TADEUSZ DOŁĘGA-MOSTOWICZ

Drugie życie doktora Murka

wolnelektury.pl



FUNDACJA nowoczesna Polska

TADEUSZ DOŁĘGA-MOSTOWICZ

Drugie życie doktora Murka

ROZDZIAŁ I

Pan Seweryn Czaban spieszył się. Biła właśnie ósma, a punkt o ósmej miał być na obiedzie u prezesa Bolińskiego. Gotowi mu spóźnienie policzyć na karb nieznajomości form towarzyskich, albo — co gorsze — lekceważenia. Tymczasem robił przecie, co mógł, by wydążyć. Ale dzisiaj właśnie wszystko się nań sprzysięgło. Nidenberg, łajdak! przyniósł zamiast solidnie obiecanej gotówki całą walizkę różnych papierów. Akcje, obligacje, weksle gwarancyjne. Obliczenie tego, sprawdzenie kursów giełdowych, targ o kupony — wszystko to musiało zająć przeszło godzinę czasu. W dodatku nad karkiem sterczała panna Wenzel, której musiał podyktować dwa listy w niezmiernie pilnych sprawach Zarządu Dóbr i Interesów książąt Zasławskich, których był plenipotentem, a szwagier, niepojętny cymbał, żądał szczegółowych instrukcyj na jutrzejszą licytację huty szklanej „Bolnix", do czego miał w imieniu Czabana stanąć.

Jak na złość, żona przyszła tu też z molestacjami o auto. Chciała jechać na bal do Resursy Obywatelskiej, bo Tunka musi się tam pokazać przez wzgląd na młodego Szwowskiego. Pana Seweryna oczywiście nic to nie obchodziło, lecz nie mógł im odesłać samochodu, bo sam go potrzebował. Umówił się z paru dygnitarzami, że urządzi im dzisiejszej nocy bibę w „Krzywej Karczmie" pod Tarczynem, zamówił sobie zawczasu trzy dziewczynki z Dancing-Klubu, pod Tarczyn wysłał już szampan, homary, ostrygi i kucharza z „Oazy" i wprost z obiadu u Bolińskich miał jechać po dziewczęta. O zmianie tych planów nie mogło być mowy.

— Pojedziesz na bal taksówką — rzucił żonie zirytowany do ostateczności jej boleściwą miną — albo nie jedźcie wcale. I nie przeszkadzaj mi, do stu djabłów!... Na czem tam skończyliśmy, panno Wenzel?...

— ...na gwarancję hipoteczną Zarząd Dóbr zgodzić się nie może — odpowiedziała sekretarka, nie podnosząc oczu z nad papierów, by w ten sposób zaznaczyć swoje niezadowolenie z pryncypałowego stroju. Pomimo siwizny, długiego czerwonego nosa i okularów w cienkiej żelaznej oprawie uważała za nieprzyzwoitość ze strony szefa takie nieliczenie się z jej panieńską skromnością.

Pan Czaban w spodniach tylko, z majtającemi się ztyłu szelkami, krążył po gabinecie, dopinając oporne spinki w sztywnym gorsie koszuli. Szofer Bronisław stał przy drzwiach z frakiem w ręku, a pan Żołnasiewicz raz po raz przerywał Czabanowi dyktowanie pytaniami:

— Przepraszam cię, Sewerciu, więc ile w ostateczności mogę dać Kumejkowskim za odstąpienie od licytacji?

— Osiem, do cholery! Osiem, mówiłem już. Ani grosza więcej. Gdybym sam mógł tam być, zgodziliby się na sześć... Niech pani pisze: Jeżeli w przeciągu miesiąca nie otrzymamy od WPana rejentalnej zgody między Nim a Spółką Drzewną, będziemy zmuszeni wystąpić na drogę sądową... Tak. Z poważaniem. Teraz do Ministerstwa Rolnictwa. Powołując się na decyzję JWPana Ministra z dnia... nie pamiętam... znajdzie to pani w teczce... Zarząd Dóbr i t. d. ma zaszczyt...

— Przepraszam cię, Sewerciu — pokornym tonem przerwał znów szwagier — a jeżeli Kumejkowscy nie zechcą bez gotówki?

— To każ się im pocałować w ciepłe miejsce! — ryknął pan Seweryn i jednocześnie odwrócił się do żony: — Czegoty sterczysz nad moją biedną duszą! Djabli mnie wezmą! Nie zostawię auta, bo nie mogę. Bronisław! Kamizelka!

Zaterkotał telefon na biurku. Panna Wenzel podniosła słuchawkę, odezwała się i po chwili powiedziała:

— Dzwoni jakaś pani do pana dyrektora. Mówi, że w osobistej sprawie.

— Hallo?... Kto?... Aaa, dobry wieczór... Naturalnie, naturalnie... Tak... tak... tak...

Wszyscy przyglądali mu się z zaciekawieniem, ale ani z jego odpowiedzi, ani z wyrazu czerwonej mięsistej twarzy nie mogli wywnioskować, z kim mówi i o czem. Pani Czabanowa przyzwyczaiła się oddawna do niewypytywania męża o telefony. Bała się jego gniewu i przekleństw, których nie skąpił nikomu, ilekroć ktoś ośmielił się wtrącić do jego spraw czy interesów. Jedna Tunka umiała jako tako poradzić sobie z ojcem, ale i to nie zawsze.

Czaban skończył dyktowanie, instrukcje dla szwagra i ubieranie się jednocześnie i powiedział:

— Panno Wenzel, zabiorę panią i wysadzę w mieście przed naszem biurem. Tylko prędko. A ty, Józek, i ty — zwrócił się do szwagra i żony — uważajcie! W kasie są grube hopy. W razie, jeżelibym nie wrócił przed szóstą rano, weźmiesz Józek z kasy tę walizeczkę i jedź do Sosnowca. Bezpieczniej będzie zabrać w drogę Buczkowskiego. Panno Wenzel, pani go wytelefonuje, by stawił się tu punkt szósta rano. W biurze zastąpi go Markiewicz. Bronisławie, jedziemy.

Wraz z wyjściem pana Seweryna w całej willi zapanował spokój. Systematyczny pan Żołnasiewicz otworzył kasę, sprawdził zawartość walizki i zamknął ją spowrotem. Pani Czabanowa kazała nakrywać do stołu kucharce, bo pokojówka zajęta była przeszywaniem haftek w balowej sukni Tunki. Tunka leżała w pidżamie na tapczanie w hallu i czytała książkę.

Pani Sewerynowa siadła przy niej i przyglądała się córce z nabożnym podziwem, aż ta poruszyła się niecierpliwie:

— O jej, mamo! Nie wlepiajże się we mnie. Wiesz, że tego nie znoszę.

— Ależ ja wcale nie... Tak tylko, moje drogie dziecko.

— No, to idź już! Zostaw mnie, bo to mi przeszkadza.

— Dobrze, dobrze, kochanie. Myślałam, że może czego potrzebujesz. Wiesz, że ojciec nie odeśle nam auta. Taki uparty.

— Pewno potrzebne mu. Weźmiemy taksówkę.

— Trzeba będzie posyłać Paulinkę, bo przecie na tem odludziu za żadne pieniądze się nie znajdzie. Już przyznam się, że obrzydło mi mieszkanie na końcu świata. Tyle kosztowała ta willa!... Mój Boże! Ale czy to twemu ojcu można przemówić do rozsądku?... Zakrzyczy, wydrwi, narobi hałasu...

— Oj, nudzisz mamo! — rozkapryszonym tonem zamruczała Tunka.

Pani Helena pogłaskała córkę po włosach, westchnęła i poszła do sypialni sprzątać rozrzuconą mężowską garderobę. Zawsze tak było. Kiedy jako młode małżeństwo mieszkali w odnajętym pokoiczku na czwartem piętrze, kiedy w koszarach zajmowali służbowe mieszkanie oficera intendentury, kiedy mieli oficynę w Cieńczy u książąt Zasławskich, a później apartament na Wilczej, a teraz kiedy usadowili się we własnym pałacyku na Skolimowskiej, Seweryn wszystkie rzeczy doprowadzał zawsze do krańcowego nieładu, a ona musiała wiecznie sprzątać i tem więcej miała z tem roboty, im było więcej rzeczy, im byli bogatsi. Narzekała na to już z nałogu, bo prawdę powiedziawszy, bez tego zajęcia nie wiedziałaby, co z sobą zrobić. Dawniej musiała gotować, prać, cerować, prasować mężowskie ubranie, dziś odebrała to jej służba. Dawniej wolne chwile spędzała z małą córeczką lub na pogawędkach z sąsiadami, dziś córeczka wyrosła i miała własne życie, a sąsiadek nie było, bo nowa willa stała zdala od innych na krańcu miasta. Domowa służba i stary stróż, pełniący również obowiązki ogrodnika — oto wszystko. Brat, w rodzinie zwany niezdarzonym Józkiem, przygarnięty z łaski przez Seweryna, nie cieszył się sympatją rodzonej siostry. Pani Helena w głębi duszy bolała nad każdem ubraniem mężowskiem, wcale jeszcze dobrem, które wędrowało do szafy Józka, bolała nad każdym kęskiem jedzenia, czy kieliszkiem drogiego koniaku, który bezpowrotnie znikał w jego wnętrznościach.

Ale cóż mogła na to poradzić! Pan Seweryn nie znosił oszczędności, rozrzucał pieniądze na prawo i lewo, lubił żyć, lubił się pokazać, lubił rozkazywać, a rozkazywać mógł tylko tym, których uzależniał od siebie, zależność zaś polegała na nieustającym strumieniu pieniędzy, płynących z jego kieszeni do kieszeni innych. Uważał się za genjalnego businessmana, za finansistę w wielkim stylu, za mistrza w interesach. I rzeczywiście dotychczasowe jego powodzenie zdawało się to potwierdzać.

— Rozrzucam pieniądze garściami — lubił mawiać — a zbieram je koszami.

Nie wszyscy zachwycali się tym systemem Seweryna Czabana. Pani Helena nieraz od rozmaitych ludzi słyszała nie obwijane w bawełnę opinje mocno krytyczne. Byli i tacy, co radzili jej koniecznie odkładać co się da i kryć to przed mężem, bo bankructwo nie minie go wcześniej czy później. Kto jak warjat rzuca się na najszaleńsze ryzyka, kto pakuje bez namysłu setki tysięcy w najbardziej wątpliwe imprezy, musi źle skończyć.

Tak poważna osobistość, jak prezes Boliński mówił przecie Sewerynowi w oczy:

— Pan nie masz pojęcia o interesach, pan masz tylko szczęście.

Tak pocichu myślała i pani Helena. Przecież nieraz widziała jak Seweryn uzależniał własną decyzję w różnych ważnych sprawach od tego, czy wyszedł mu pasjans, czy nie, lub czy w pudełku miał parzystą liczbę zapałek. To też, o ile się dało przed mężowskiem okiem ukryć, oszczędzała na wszystkiem i składała w banku. I cóż z tego, skoro po kilka razy do roku zdarzały się takie sytuacje, że mąż nie miał grosza przy duszy. Nie tylko nie dawał na utrzymanie domu, lecz pożyczał od służby, od szofera, od stróża Malcerka wszystko, co mieli. Samochód, meble, wszystko było „opisane", na hipotece willi rosły krociowe zapisy, biżuterja wędrowała do lombardu, w sklepach brało się na kredyt, no i oczywiście Seweryn przychodził i mówił krótko swoim tonem nieznoszącym sprzeciwu:

— Helka, potrzebuję forsy! Ile masz w banku?

W dwie minuty później miał już w kieszeni czek na całą tak pracowicie uzbieraną sumkę, a pani Helena wybierała się już na żebry pod kościół, nie polegając na wybornym humorze męża, niepoprawnego optymisty.

I nagle interes dochodził do realizacji, forsa spływała rzeką. Spłacało się długi, po knajpach i w willi na Skolimowskiej lał się szampan, Tunka wybierała sobie u jubilerów brylanty wielkości orzecha, pani Helena pociła się w Adrji w pelerynie z czarnych soboli, a orkiestry po wszystkich lokalach rżnęły całemi nocami „Ej szaraban mój, amierikanka, a ja diewczonka, a ja cyganka".

A pan Seweryn Czaban wypijał „pod tę melodję" nieskończone ilości najdroższych trunków, podejmował szeroko po kilkanaście osób różnego pokroju i autoramentu i sypał, sypał pieniądze garściami.

W rezultacie nikt, nie wyłączając pani Heleny, nie wiedział, co i ile ma pan Czaban. Kupował majątki, kamienice, całe fabryki, place, udziały w różnych przedsiębiorstwach, kupował sumy w procesach, przeprowadzał windykacje spadków, pośredniczył w grubych pożyczkach, sprzedawał, zamieniał, wydzierżawiał, grał na giełdzie, robił kokosy lub tracił na stajni wyścigowej, elektryfikował jakieś miasteczka, parcelował jakieś tereny, obracał miljonowemi kwotami i żył w tem, jak w ukropie, nie chcąc, nie umiejąc, wprost nie mogąc odpocząć. Zdrowy i silny pomimo zbliżającej się pięćdziesiątki, potrafił trzy noce z rzędu być w drodze dla ubicia jakiegoś interesu i drugie trzy hulać, przesypiając urywkami po dwie, trzy godziny na dobę. Jedyne swoje stałe stanowisko, stanowisko plenipotenta książąt Zasławskich, traktował jako rzecz drobną i uboczną, chociaż dawała mu wcale pokaźny i stały dochód.

Ilekroć koło Tunki zaczął się kręcić jakiś odpowiedniejszy młody człowiek, pani Helena naciskała męża:

— Przecie muszę, Sewerynie, wiedzieć, ile dasz posagu Tunce? Od tego zależy jej przyszłość!

— Powiedz, kto i ile chce — odpowiadał pan Seweryn — i na jaki termin ma być forsa, a będzie.

Sam nie lubił wchodzić w te matrymonjalne projekty, chociaż córkę kochał bardzo. W jej wychowaniu też nie zabierał głosu. Postawił tylko jedną zasadę:

— Niech dziewczyna robi, co się jej podoba. Żadnych zakazów, żadnego pilnowania. W pilnowaniu można dojść do „czortików", a dziewczyna, jeżeli zechce, to i tak się puści. Niech ma własny rozum. Głupiego i tak nie nauczysz, a mądremu nauki nie trzeba.

Pani Helena była wręcz odmiennego zdania, ale jej zdanie w tym domu nic nie znaczyło. Gdy wychodziła za Seweryna, młodzieniaszka w wyświechtanym garniturku, pochodzącego niewiadomo skąd, przystojnego wprawdzie i energicznego, lecz niewykształconego i o prostackich manjerach, sądziła, że wyświadcza mu łaskę, że z wdzięczności będzie ją na rękach nosił. Bądź co bądź była córką dyrektora gimnazjum w Smoleńsku, człowieka ogólnie szanowanego i szlachcica. Pozatem miała rentę, skromną wprawdzie, ale wystarczającą na życie. A że nie tylko wykształceniem, wychowaniem i pochodzeniem przewyższała męża, bo była odeń o sześć lat starsza, przewidywała, że w małżeństwie z Sewerynem ona będzie zawsze górą. Tak też i było przez ten krótki czas, póki żył ś. p. pan Żołnasiewicz i płacił rentę, ale wraz z jego śmiercią i z wyjazdem ze Smoleńska do Petersburga zmieniło się wszystko radykalnie.

Z biegiem czasu przyszła zamożność, a nawet bogactwo, lecz pani Helena nie umiała niem się cieszyć. Bała się drogich sukien, które można poplamić, porcelanowych wazonów, które tak łatwo było stłuc, kosztownych mebli i antyków, kryształów i sreber, których pełen był dom, ogromnej kasy ogniotrwałej, od której klucze lekkomyślny Seweryn zostawiał jej bratu. Bała się, że służba wyjada różne smakołyki ze śpiżarni, że pan Żołnasiewicz wypija resztki z butelek, bała się też złodziei, to też drzwi w willi były opancerzone i wzmocnione wielkiemi ryglami, a okna zabezpieczone mocnemi żelaznemi okiennicami zamykanemi odwewnątrz. Codziennie wieczorem pani Helena osobiście sprawdzała, czy wszystkie okiennice są pozamykane i czy działa dzwonek alarmowy do stróżówki Malceraka, a tego dnia robiła to tem skrupulatniej, że Seweryn przed wyjściem wspomniał o „grubych hopach", znajdujących się w szafie pancernej.

W chwilach takiego strachu, z których mąż kpił zawsze, nawet na swego brata patrzyła życzliwiej. Bądź co bądź był jedynym mężczyzną w domu. To też gdy pomimo dwukrotnego dzwonienia do stróżówki Malcerak się nie zjawiał, pani Helena weszła do gabinetu, gdzie Żołnasiewicz wpisywał coś do ksiąg buchalteryjnych i powiedziała:

— Mój drogi Józiu! Obawiam się, że dzwonek do Malceraka zepsuł się. Czybyś nie poszedł sprawdzić?

— Dajże, kochanie, spokój — skrzywił się Żołnasiewicz, podciągając pod krzesło swoje długie nogi i nerwowo gładząc się po łysinie — jutro raniutko wyjeżdżam a roboty huk.

— Kiedy, widzisz, Józiu, ja mam jakieś złe przeczucie...

— Co drugi dzień masz złe przeczucia.

— Tak, ale patrz, już po dziesiątej, a nie słychać psów w ogrodzie.

— Bo deszcz leje. Psy siedzą gdzieś w kącie.

Pani Helena stała jeszcze chwilkę i nagle zawołała z gniewem:

— Żadnego pożytku z ciebie nie mamy.

I w tej chwili zgasło światło. Zgasło jednocześnie w całej willi.

— Jezus, Marja! — krzyknęła pani Helena. — Co to jest?!

— Mamo! — rozległ się z hallu głos Tunki — Światło się zepsuło.

— Nieszczęście! — jęknęła pani Helena.

— Żadne nieszczęście — zirytował się pan Żołnasiewicz — poprostu woda zalała przewody tak, jak w zeszłym tygodniu. Gdzie są świece?

— W kredensie, ale ja tam nie pójdę za żadne skarby.

— Więc daj klucze.

Pan Żołnasiewicz zapalił zapałkę i przy jej pomocy dobrnął do sypialni gospodarza, gdzie na nocnym stoliku znalazł elektryczną latarkę.

— Zadzwoń najpierw do pogotowia elektrycznego — niecierpliwiła się pani Helena.

— Właśnie to chcę zrobić. Gdzieś tu na biurku musiała być ich kartka. A, jest.

Podniósł słuchawkę i trzymał ją przez chwilę przy uchu:

— Stacja się nie odzywa! — mruknął.

— Jakto się nie odzywa! Pozwól! — wyrwała mu słuchawkę i spojrzała nań z ironją, bo właśnie rozległ się sygnał stacji. Nakręciła numer i usłyszała spokojny niski głos:

— Hallo, tu Pogotowie Elektryczne.

— Proszę pana! Proszę prędzej przysłać kogoś, bo nam się znowu światło zepsuło. Dobrze?

— Ale podajże adres — powiedział pan Żołnasiewicz.

— Aha, prawda, ulica Skolimowska dwa, willa dyrektora Czabana.

— Zapisane — odpowiedział głos — Wysyłamy elektromontera taksówką. Za kilka minut u państwa będzie.

— Chwała Bogu! — odetchnęła pani Helena. — Jakbyśmy się pociemku przebierały na bal. Daj mi tę latarkę. Pójdę po świece. To rozpacz mieszkać na tem odludziu.

Pani Helena wyjęła świece, dała jedną do kuchni, dwie do jadalni, dwie do hallu Tunce i ostatnią zaniosła bratu do gabinetu.

— Kończ prędzej — powiedziała — bo trzeba siadać do kolacji. Czy ten elektrotechnik prędko przyjedzie?... Bo moglibyśmy zatrzymać jego taksówkę. To nawet niezła myśl. Poco Paulinkę na deszcz pędzać po inną, skoro będzie ta. Jak myślisz, czy on naprawi łatwo?... Bo jeżeli tak, moglibyśmy ewentualnie z kolacją zaczekać?

Pan Żołnasiewicz, który już zdążył zabrać się do roboty, chwycił się za resztki włosów:

— Kobieto! Pozwolisz mi pracować? Mnie głowa od tych liczb pęka, a ty mi z kolacją!

— Tylko nie podnoś głosu! Też!

— Zobaczysz, co ci Seweryn powie, gdy nie skończę na czas! — zagroził pan Józef.

I to poskutkowało. Pani Helena wyszła. Słyszał zdaleka jej narzekania w jadalni, gdzie nakrywano do stołu i w hallu. Usiłował odczytywać pośpieszne i zagryzmolone notatki szwagra, lecz przy świecy przychodziło mu to z wielką trudnością. Minęło tak może pięć, czy dziesięć minut, gdy do jego uszu dobiegło kołatanie do drzwi frontowych.

— Mamo, ktoś stuka od frontu — zawołała Tunka.

— To pewno ten monter, ale czemuż nie dzwoni?

— Idjotka — pomyślał pan Żołnasiewicz — przecież dzwonki nieczynne.

Słyszał, jak pokojówka Walercia, przebiegła do przedpokoju i swoim kokieteryjnym głosikiem dopytywała się, kto tam? Jak otwierała zasuwy i rygle.

I nagle przeszył powietrze jej ostry krzyk:

— Jezu!...

Jednocześnie zaszomotało się coś gwałtownie i czyjś męski ochrypły głos wrzasnął:

— Ręce do góry! Stać, bo strzelę!

Pan Żołnasiewicz zerwał się, jednym susem dopadł drzwi, zatrzasnął je i przekręcił klucz w zamku.

— Bandyci! — przemknęło mu przez głowę i w jednej sekundzie zorjentował się, że pozostaje mu jedyna droga ucieczki przez sypialnię, sionkę i boczne małe drzwi, a potem przez ogród i na puste tereny przy ulicy Morskiej.

Rzucił się też w stronę sypialni, lecz nagle wstrzymał się. Przypomniał sobie cenną walizeczkę zamkniętą w kasie pancernej. Właśnie otworzył ją, gdy do drzwi załomotały czyjeś pięści:

— Otwierać!

Żołnasiewicz porwał walizeczkę, zatrzasnął kasę, w ciemnej sypialni zaplątał się w portjerze, przyczem spadły mu okulary. Całą nadzieję pokładał w tem, że grube dębowe drzwi gabinetu zabiorą napastnikom dużo czasu. W sionce odsunął rygle, nacisnął klamkę i tuż przed nosem ujrzał lufę rewolweru. Chciał krzyknąć, lecz ze strachu nie mógł wydobyć z siebie głosu, tylko automatycznie podniósł ręce do góry upuszczając walizkę, która koziołkując po schodach zsunęła się na ziemię.

Ciemna postać ociekająca deszczem i w czarnej masce na twarzy, nie spuszczając rewolweru, warknęła:

— Masz szczęście... Uciekaj...

Żołnasiewicz zawahał się. Nagle wewnątrz willi rozległy się przytłumione strzały.

— Prędzej — zaryczał człowiek w masce i jakby ze złością pchnął go lufą w piersi. Żołnasiewicz jęknął z przerażenia i skoczył w bok, wywrócił się twarzą w mokrą trawę, poderwał się i mknął przez ogród ku tylnej furtce, gubiąc po drodze nocne pantofle i kłapiąc zębami ze strachu i z zimna. Biegł zaś coraz szybciej wytężając resztki sił, gdyż najwyraźniej słyszał, że ktoś pędzi za nim.

— Rozmyślił się — przemknęło mu przez głowę — i chce mnie zabić!

Na szczęście dopadł furtki wychodzącej na ulicę Morską. Udało mu się namacać i odciągnąć ciężką zasuwę, wypadł, skręcił w prawo, usłyszał jeszcze za sobą powtórne klap-

nięcie furtki i szybkie kroki oddalające się w przeciwnym kierunku. Wówczas odzyskał przytomność i chociaż nie zwolnił biegu, zaczął krzyczeć rozdzierającym głosem:

— Bandyci! Ratunku! Bandyci!...

Ale pusto tu było i tak cicho, że jego wrzask dobiegł nawet do uszu człowieka uciekającego w przeciwną stronę. Ten przyśpieszył kroku, zwolnił dopiero przy końcu, a raczej przy zakręcie ulicy. Tu już były latarnie. Po obu stronach ciągnęły się wysokie drewniane parkany. Zawrócił w pierwszą poprzeczną uliczkę na lewo, przebiegł kilkaset metrów, skręcił w prawo i znalazł się w pustem polu. Nogi grzęzły po kostki w rozmiękłym gruncie kartofliska, od południa ciągnęła cuchnąca woń:

— Zwalne glinianki — skonstatował.

Wiedział już teraz gdzie jest. Jeszcze kilkaset kroków i zatrzymał się na zboczu olbrzymiego zsypiska śmieci. Dopiero teraz zauważył, że wciąż w prawem ręku zaciska kolbę rewolweru, a w lewem trzyma walizkę, porzuconą przez tamtego w willi.

— Poco ja ją wziąłem? — zdziwił się i już zamachnął się, by cisnąć walizkę do glinianki, gdy opamiętał się. — jest lekka, nie utonie i będzie pływała powierzchu. Jawny ślad dla policji, że tędy uciekałem.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zakopać jej w śmieciach, gdy olśniła go myśl:

— Tam mogą być pieniądze!

Przecie tylko poto poszedł na tę wyprawę, tylko dlatego zdecydował się zostać bandytą. Przecenił swoją odwagę. Nie, nie odwagę, lecz nerwy. Nie mógł strzelić. Pierwszy raz w życiu widział tego łysego faceta, pewno właściciela willi. Nic go ten burżuj nie obchodził. A jednak nie mógł strzelić. Puścił go żywcem, drań narobi alarmu. Zepsuł cały plan, całą wyprawę. Czy tamci zdołają uciec?... Piekutowski może, bo pilnował od kuchni, ale Czarny Kazik i Majster mieli robotę w środku. Teraz pewno już tam jest policja.

— Jeżeli ich złapią — pomyślał — to sypną mnie, jak amen w pacierzu. Popierwsze zechcą się zemścić, że im nawaliłem, a podrugie, cóż ja ich obchodzę. Taki Czarny Kazik widział mnie pierwszy raz w życiu, a Piekutowski i Majster tyle o mnie dbają co o zeszłoroczny śnieg.

Nie uważali nawet za potrzebne wtajemniczyć go we wszystkie szczegóły. Wiedział tyle, że w willi tego Czabana obłowią się, że druty elektryczne i telefoniczne będą przecięte, że w domu będzie tylko jeden mężczyzna i cztery kobiety, bo z drugim mężczyzną, z ogrodnikiem miał się już wcześniej załatwić Piekutowski. A jemu? Jemu kazali pilnować przy małych drzwiach i zastrzelić każdego, ktoby tamtędy próbował uciekać. Do odwrotu miał być gwizdek.

— Gwizdka nie słyszałem — skonstatował — ale strzelali! Musieli tam pozabijać te baby, bo facetowi ja dałem zwiać.

Rozejrzał się i postanowił obejść miasto, by polami wyjść aż do Wisły, a stamtąd do Czerniakowa. W Czerniakowie nikt nie będzie łapał bandytów ze Skolimowskiej, a pozatem miał tam już od dawna swoją doskonałą kryjówkę na tyłach posesji, gdzie był skład drzewa. Tam w fundamentach po spalonym domku znalazł kiedyś doskonały schowek, w którym postanowił ukryć zdobytą przypadkowo walizeczkę.

Do Wisły jednak był kawał drogi, a że dla ostrożności należało kluczyć, stracił dobre dwie godziny, nim dotarł na miejsce. Wypłókał w rzece buty i mankiety spodni, poczem wyłamał nożem zamki w walizeczce, wsunął się z nią pod stare czółno, wywrócone na brzegu do góry dnem i zapalił zapałkę.

Ucieszył się i zmartwił się jednocześnie: wewnątrz były różne akcje i obligacje, całe paczki weksli i tylko niewiele ponad dwa tysiące gotówki w stuzłotowych banknotach. Rozumiał doskonale, że reszta poza gotówką nie przedstawia dlań żadnej wartości. Oczywiście ów Czaban ogłosi zastrzeżenie i każdego, kto z tem przyjdzie do któregokolwiek banku, czy kantoru wymiany, odrazu przymkną. Może kiedyś, po latach da się to spieniężyć, ale on przecie chciał wyjechać zaraz zagranicę.

— Właściwie dlatego tylko zdecydowałem się pójść na rabunek — mruknął do siebie i zastanowił się.

Czy rzeczywiście dlatego?... Tak wiele złożyło się na to przyczyn. Więc co?... Czy Arletka, kochanka Czarnego Kazika?... Czy chęć wyjazdu z nią i beztroskiego życia?... Czy pragnienie odbicia się za dwuletnią straszliwą nędzę?... Czy chęć zemsty na tych, co opływają w dostatkach, na burżujach?... W myśl zasady bolszewickiej: rabuj zrabowane?...

Czy chciał tem przypieczętować utratę już wszelkiej wiary, wszelkich ideałów, wszelkiego szacunku dla tak zwanych bliźnich, dla burżujów zarówno jak i dla proletarjuszów?... I dla samego siebie?

Tak! Chciał jednym zamachem, jednem targnięciem wydrzeć z siebie tę jadowitą narośl, to sumienie! Chciał raz na zawsze zatrzasnąć za sobą drzwi, by nie było odwrotu! Jednem cięciem odrąbać wszystko, co łączyło go z dawnym światem i rozpocząć nowe życie. Drugie życie!

Jeżeli zdecydował się na rabunek, na morderstwo, to tylko dlatego, że musiał sam siebie przekonać, że potrafi przejść na drugi brzeg, że potrafi spalić mosty, że może zostać łotrem; że nie powlecze się za nim jak kula u nogi ta etyka, która ściągała go w dół; że skoro tamto życie, życie człowieka uczciwego stało się dlań niepodobieństwem, bezmyślną wegetacją na ruinach, niegodną jednego dnia, jednej godziny, zdoła odnaleźć sens i cel drugiego życia! Że zdoła skoczyć przed siebie równemi nogami i nie zachwiać się!

Postawił wszystko na kartę, na ślepo skoczył w przyszłość, gdyż bał się wejść w nią wolno. Bał się tego, że się cofnie. Wystawił się tedy na najostrzejszą próbę.

— I przegrałem — stwierdził głośno.

Nie mógł nacisnąć cyngla, nie mógł zabić. Próba zawiodła.

— Bandytą być nie potrafię...

I nagle zastanowił się: a czemże jest teraz, w tej chwili? Nie to ważne, iż jest w posiadaniu cudzych pieniędzy, nie to ważne, że z punktu widzenia prawa i społeczeństwa stał się zbrodniarzem, lecz tylko to, że nic sobie nie ma do wyrzucenia, chyba ową słabość w chwili, gdy należało nacisnąć cyngiel. To ważne, że nie odczuwa najmniejszych wyrzutów sumienia, że — przyłapał siebie na tej myśli — nawet spólników, z którymi dokonał napadu, zamierza oszukać i całą zdobycz zachować dla siebie. Nie przez chciwość, lecz poprostu dlatego, że uważa ich za taki sam objekt do obłupienia, jak i owego właściciela willi.

Zaśmiał się głośno, a jego śmiech zabrzmiał głucho w pustem pudle wywróconej łodzi.

— Jestem wolny — powiedział jeszcze kilka razy — jestem wolny.

Wsłuchiwał się w swój głos z zaciekawieniem, jakby słuchał kogoś obcego i nieznanego.

Potem wyczołgał się, zamknął walizkę, wsunąwszy najpierw gotówkę do kieszeni i odszukał w pobliżu fundamenty po spalonym domu. Na dole w kącie odgarnął gruzy, znalazł drzwiczki pieca, który kiedyś zapewne ogrzewał suterynę i wsunął do środka walizkę. W schowku tym już miał jeden skarb, ukryty tu niedawno. Była to koperta z bardzo cennemi dokumentami szpiegowskiemi. Wysłany przez egzekutywę Partji Komunistycznej na prowincję, miał te papiery przywieźć i oddać. Przywłaszczył je, jednak nie dla zysku. Przecie sam nie wiedział właściwie, co z niemi zrobić. Nie oddał ich towarzyszowi Bigelsteinowi, ani innym z C. K. W., bo przestał w nich wierzyć. Był najlojalniejszym komunistą, póki nie przekonał się, iż góra partji to dranie i pasorzyty nie lepsze od kapitalistycznych łajdaków. Że szeregowi członkowie partji są stadem owiec, tumanionych ideałami komunistycznemi, a przywódcy robią majątki na szpiegostwie i na kradzieży grosza partyjnego. Dlatego nie oddał tej koperty, chociaż wiedział, że naraża się na podejrzenia. W duchu gardził dziś tak samo proletarjatem, jak i burżujami, nienawidził tak samo państwa, jak i komunizmu. Nienawidził ludzi. Jedni wydarli mu chleb i dach nad głową, inni pozbawili go wiary w moralny sens życia: zapluli jego ideały, patrjotyzm, poczucie sprawiedliwości, miłość i ojcostwo, ukochanie biedaków, chęć poświęcenia się — wszystko.

To oni, oni zniszczyli go, wdeptali w błoto, wyzuli z tego w co wierzył, co czcił i co kochał. Zrobili zeń swego wroga. Zapędzili w matnię, jak dzikie zwierzę, by tu poznało, że ma kły i pazury. I zwierzę poznało, że jest drapieżnikiem...

Dniało już, gdy doszedł do śródmieścia. Ulice były puste, deszcz nie przestawał padać. Ubranie przemokło do nitki. O powrocie do mieszkania na Solcu nie mogło być mowy. Jeżeli tamtych nakryli w willi Czabana, mieszkanie pani Koziołkowej już jest obstawione policją. Jeżeli Czarny Kazik, Piekutowski i Majster zdołali zbiec i zatrzeć ślady, to sami natrafią nań teraz. Dostanie kulą w łeb, lub nożem w plecy, zanim zdąży słowo na swoje usprawiedliwienie powiedzieć. Wprawdzie nie mają żadnych dowodów przeciw niemu. Nie wiedzą nic o walizce, ani o tem, że pozwolił uciec owemu łysemu. Jednak już samo

to, że nie wytrwał przy drzwiach, że przez to zepsuł im całą robotę, wystarczy takim ludziom, jako uzasadnienie zemsty. Zresztą pewno o wszystkiem dowiedzą się z gazet.

— I ja się dowiem, — zakonkludował, — a wtedy będzie czas pomyśleć, co robić dalej.

Narazie miał tylko jedną i to wcale wygodną kryjówkę: partję. Władze partyjne wprawdzie nie darzą go obecnie przesadną życzliwością, ale wśród szeregowych członków nikt nic nie wie i wiedzieć nie może o tem, że góra ma doń pretensje za niedostarczenie owej szpiegowskiej paczki planów. Znają go, jako jednego z wybitniejszych komunistów, towarzysza Garbatego. I każdy udzieli mu schronienia. Po krótkiem wahaniu, zdecydował się na towarzysza Kuzyka, który miał swój warsztat stolarski przy mieszkaniu, a w warsztacie telefon. Sam nieraz posyłał Kuzykowi do ukrycia różnych ludzi, którzy na kilka dni, czy tygodni, musieli zniknąć z oczu policji. Wygoda u niego była tem większa, że i stróż tej kamienicy należał do partji, a bezpieczeństwo tem pewniejsze, że Kuzyk, z polecenia zwierzchności partyjnej, wstąpił do „Strzelca", organizacji, mocno popieranej przez państwowe władze bezpieczeństwa, dzięki czemu nikt go nie podejrzewał.

Jeszcze jednym plusem Kuzyka było to, że nie mając żadnego kontaktu ani z „Propagitem", ani z Komitetem Wola 2, ani z tamtymi ludźmi, nie mógł znać prawdziwego nazwiska Garbatego. Jeśliby zatem policja ujęła Czarnego Kazika i Piekutowskiego, a tamci sypnęli Murka i jego nazwisko ukazałoby się w dziennikach, Kuzykowi przez myśl nie przeszłoby, iż ukrywany przezeń towarzysz partyjny, jest owym bandytą Murkiem. Zanim zaś Egzekutywa poda to do wiadomości członków, starczy czasu, by zwiać.

Kuzyk istotnie przyjął Murka, bez cienia podejrzliwości. Nie pytał o nic, kazał żonie posłać gościowi łóżko w małej komórce za warsztatem i sam mu przyniósł jedzenie.

— Wpadli na mój ślad i depczą mi po piętach, — uważał za stosowne wyjaśnić Murek. — Nie zrobię wam wielkiego kłopotu, towarzyszu?

— Niema o czem gadać, towarzyszu Garbaty — odpowiedział stolarz.

— O wydatki nie bójcie się, pokryję.

— Obejdzie się, towarzyszu Garbaty. I tak, to zaszczyt dla mnie, żeście do mnie przyszli. Mam dla siebie, starczy i dla was. Może chcecie ogolić się?

Murek dotknął ręką podbródka:

— Nie, lepiej zapuścić.

— Lepiej, — przyznał Kuzyk, — szpicle wprawdzie mają ostre oczy, ale zawsze lepiej. Czy może trzeba zawiadomić kogo, że tu jesteście?

— O, nie! Nikogo. Kogo trzeba było, już sam poinformowałem. A czy wasi czeladnicy tu nie zajrzą, do komórki?

— Nie. Nie mają tu żadnego interesu. Zresztą, to pewni ludzie, sami swoi.

— To teraz się prześpię, — ziewnął Murek, — całą noc kluczyłem.

Zasnął natychmiast i chociaż wkrótce w stolarni zaczęła się praca, świszczały heble, warczały piły, stukały młotki, nie obudził się, aż grubo po południu. Żona Kuzyka odgrzała mu obiad: kluski kartoflane na mleku i gryczaną kaszę ze skwarkami. Sama usiadła i przyglądała się z upodobaniem apetytowi Murka.

— Kasza pewno wyschła? — zapytała troskliwie.

— Gdzie tam. Od dawna takiej nie jadłem. A która to może być godzina?

— Może być i ósma — zaśmiała się, — ale jest dopiero czwarta.

— A cóż w warsztacie tak cicho?

— Sobota, fajerant.

— A mąż?

Wzruszyła ramionami:

— Wiadomo, fajerant. Poszedł chlać. Taka już nasza kobieca dola. W tygodniu to robota, w niedzielę to już leci na wiec, czy na zebranie, a fajerant — chla po knajpach. Tylko ja muszę ciągle siedzieć w domu.

— Cóż — perswazyjnie powiedział Murek, — taki porządek. Mężczyzna musi zarobić na chleb, ma swoje obowiązki polityczne, no, i rozrywka mu przecież, raz na tydzień, przy sobocie, należy się.

— A mnie nic nie należy się?... Pocóż się ze mną żenił, skoro go nigdy na oczy nie widzę?

Murek uśmiechnął się:

— No, bo w nocy ciemno.

— My już dziesięć lat ze sobą żyjem — machnęła ręką, — to i ta noc żadna antrakcja.

Spojrzał na nią uważniej. Była brzydka, chuda i koścista, a w dodatku, chociaż blondynka, skórę na łydkach i rękach, aż do łokcia, miała mocno owłosioną. Na górnej wardze zaznaczały się wyraźne wąsiki, a pod dolną, rzadziutka, jakby hiszpańska, bródka. Ruchy miała żywe, zręczne, drażniące, spojrzenie zaczepne, uśmiech miły.

— To pani nudzi się — zagadnął.

— A pewno.

— Żeby pani należała do partji, tobyście razem, z mężem, tam pracowali.

— Poco mi to? Bo to ja mało mam roboty w domu? A nudno, bo niema do kogo przemówić. Ot, dziś pan jest, to już tu siedzę i panu głowę zawracam.

— Cała przyjemność po mojej stronie — skłonił się z kurtuazją, — a czy... czy mąż nie boi się zostawić tak żonę z obcym człowiekiem?

— Albo pan mnie zje? — zaśmiała się z wyraźną kokieterją.

— Zjeść, nie zjem, ale jabym na miejscu paninego męża, nie ryzykował.

— On — zaśmiała się — mówił, że pan jest bardzo poważny człowiek. Zaprosiłbym go, powiada, na jednego „Pod Łabędzia", ale on nie taki. Solidny, powiada, nietrunkowy. Czy pan naprawdę jest ważną figurą w partji?

— Zależy, co kto uważa za ważność — odpowiedział wymijająco.

— A pan kawaler?

— Kawaler.

— Najlepszy stan — westchnęła, — a może panu co potrzeba?

— Owszem. Jeżeli pani będzie wychodzić na ulicę, to poproszę kupić mi kilka dzienników.

— Dlaczego nie mam wyjść. Tylko, niech pan powie, jakie?

Podał jej tytuły, wręczył złotówkę i czekał. Słyszał przez cienką ścianę, jak podśpiewywała sobie mocnym ostrym głosem, zabierając się do wyjścia.

— Baba oczywiście ma ochotę na wykorzystanie okazji — myślał. — Pewno z każdym partyjnym, który tu się ukrywa. Cóż, prawdziwa żona komunisty. Wspólna własność, psiakrew. A ten mąż, idjota, jest przekonany, że nikt go nie okradnie. Solidny towarzysz!... On takiemu solidnemu towarzyszowi daje schronienie, naraża się dla niego, karmi go, a ten używa mu jego żony. Oto moralność ludzka!... Świństwo.

I nagle zapytał siebie:

— Poco mam być lepszy? Świństwo?... To i dobrze, że świństwo. Właśnie tak! On dla mnie wszystko i zaufanie, i przytułek, i jedzenie, i szacunek, a ja za jego plecami najgorszą krzywdę mu zrobię. Nie bądź, durniu, frajerem.

Zerwał się i zaczął chodzić po komórce.

— Trzeba być konsekwentnym. Nie mogłem żyć jak człowiek. To będę żyć jak świnia.

Gdy jednak Kuzykowa przyniosła gazety, nie zdobył się na żaden agresywny gest.

— Dziękuję pani — powiedział, nie patrząc na nią i zabrał się do czytania.

Ona postała chwilkę i wyszła.

W dziennikach z łatwością odnalazł obszerne wzmianki o napadzie bandyckim na willę plenipotenta książąt Zasławskich, dyrektora Czabana. Dowiedział się, że — to było najważniejsze, — że sprawców nie ujęto. Odetchnął z ulgą. „Spłoszeni bandyci w liczbie sześciu, zdołali zbiec". Poza mylnie podaną liczbą napastników, były inne nieścisłości. Były jednak i rzeczy nowe. Nie wiedział naprzykład o tem, że „bandyci uprzednio przecięli przewody elektryczne i telefoniczne i do telefonicznego kabla przyłączyli własny przenośny aparat, znaleziony zrana przez policję na sąsiedniej, pustej posesji.

To musiała być robota Piekutowskiego, który znał się na elektrotechnice. On też zapewne udusił stróża Malceraka, którego zwłoki znaleziono w krzakach, przy kuchni. Dowiedział się też Murek, że ów łysy nie był Czabanem, lecz jego szwagrem, a napad odbył się „pod nieobecność właściciela willi, który w związku ze swemi rozgałęzionemi interesami handlowemi, bawił poza Warszawą".

Czarny Kazik, Majster i Piekutowski nie wyszli z pustemi rękoma, gdyż — jak podawały pisma — bandyci zrabowali nie tylko walizkę z papierami wartościowemi i wekslami, na przeszło dwieście tysięcy, lecz i biżuterję, wartości około czterdziestu tysięcy złotych...

— W każdym razie — zastanowił się Murek, — tamci wiedzą, że walizkę ja mam. Mogę wprawdzie bujać ich, że o niczem nic nie wiem, że to niby łysy szwagier pewno zwędził walizkę, że ja go na oczy nie widziałem, a on tylko zawala tak, by skorzystać z okazji napadu i szwagra ocyganić. Mogę im powiedzieć, że zwiałem wcześniej, bom miał pietra. I cóż dziwnego! Pierwszy raz w życiu szedłem na taką rzecz. Ich wina. Nie zapraszałem się. Sami mnie wciągnęli.

Czuł jednak, że takich cwaniaków nie uda się nabrać i wykiwać. Choćby nawet zaczęli wątpić, to i tak, dla wszelkiej pewności, wyprawią go na tamten świat. Dlatego musiał ich unikać, jak zarazy. Nie czuł strachu, ale w razie walki miałby mniejsze szanse od każdego z nich. Postanowił tedy zostawić na przepadłe swoje rzeczy u Koziołkowej. Nie przedstawiały one zresztą żadnej poważniejszej wartości. Dokumenty zaś, na szczęście, miał przy sobie.

W całej sprawie, była jedna rzecz pocieszająca: przez całą noc lał deszcz i ślady zmył tak, że nawet psy policyjne nie mogły ich odnaleźć. Jeżeli zatem policja w inny sposób nie dotrze do mieszkania Koziołkowej, mógł się przed policją przynajmniej czuć o tyle o ile bezpieczny.

Zawcześnie było jeszcze na powzięcie jakiejkolwiek decyzji. Przedewszystkiem należało porozumieć się z Arletką. Przewidując to, Murek z rozmysłem zainstalował się u Kuzyka, bo był tu telefon. Cokolwiek bowiem Arletka mówiła, byłby lekkomyślny, gdyby polegał na jej zapewnieniach. Nie ufał jej tak, jak nie ufał nikomu. Zarówno swojem zachowaniem się, jak i słowami, Arletka chciała go przekonać, że się w nim kocha. Całe wciągnięcie Murka do bandy, było właściwie jej dziełem. Spędziła z nim nawet kilka godzin w łóżku. Skądże jednak mógł wiedzieć, czy nie było to ukartowane między nią, a jej kochankiem. Twierdziła, że nienawidzi Czarnego Kazika, ale czy można wierzyć takiej fortancerce z nocnego lokalu?...

To też Murek ułożył sobie, że nie zdradzi Arletce swojej kryjówki. Zatelefonuje wieczorem do Dancing-Clubu i wypyta o wszystko. A wtedy zobaczy, co dalej.

Narazie wszakże własne położenie wydało się Murkowi lepsze niż sądził przed przeczytaniem gazet. Wątpił, by Czarny Kazik i jego wspólnicy dali się teraz, gdy bezpośrednich śladów nie zostało, nakryć. Na ich trop policja mogłaby wpaść tylko w tym wypadku, gdyby ową zrabowaną biżuterję zaraz usiłowali spylić. Na to jednak byli zbyt sprytni, a zresztą mieli — jak wiedział — sporo forsy i nic ich do tego nie zmuszało.

Obejrzawszy wyjęte z walizki stuzłotówki Murek z zadowoleniem stwierdził, że były to banknoty stare i niepodobna było bać się, by ktoś miał ich numery ponotowane. Natomiast narazie, ani myślał o sprzedawaniu tamtych akcyj i obligacyj.

Na tych rozmyślaniach upłynął Murkowi czas do ósmej, kiedy znowu przyszła doń pani Kuzykowa, z kolacją. Tym razem przyniosła czysty, biały obrus do przykrycia stolika, kółko smażonej kiełbasy na patelni, butelkę czystej, a przytem dwa talerze, dwa noże i dwa widelce.

— Nie chcę tam pana do pokoju, ani do kuchni zapraszać — powiedziała, — bo choć okna przysłonięte, to ludzie lubieją podglądać. A mnie też weselej będzie z panem do towarzystwa.

— A i mnie też! Ale, co za wspaniała kolacja!

— Jaka tam wspaniała. No, wypijem za nasze kawalerskie!

Nalała sporą szklaneczkę po musztardzie i przymrugnąwszy do gościa, wychyliła ją duszkiem:

— W pańskie ręce — nalała drugą i Murek, by dostosować się do jej żartobliwego tonu, powiedział:

— Żeby nasze dzieci bogatych rodziców miały i tramwajów się nie czepiały.

Nauczył się sporo takich powiedzonek, podczas swego dwuletniego bezrobocia, szwendania się po domach noclegowych i szynkach na przedmieściach. Był czas, gdy obawiał się nawet, że trudno mu będzie wyleczyć się z tych argotowych nabytków. Wtedy jeszcze miał nadzieję wrócić do dawnego życia, dostać posadę i ożenić się z Nirą Horzeńską. Aż uśmiechnął się teraz, wspomniawszy te czasy.

— Tak mi potrzebny dziś poprawny język, jak zającowi dzwonek — pomyślał i z satysfakcją powiedział głośno:

— Fajna zagrycha! No, siup, pani Kuzyk! Jeszcze po jednym.

— Z pana to sympatyczny człowiek — uśmiechnęła się.

Siedzieli obok siebie na łóżku, gdyż w komórce krzeseł nie było i ze względu na jej wąskość, nie mogłyby się nawet zmieścić. Kuzykowa zaczęła opowiadać coś o jakiejś głupiej Felci, swojej krewnej, i zaśmiewała się, nie omijając sposobności, by za każdym razem oprzeć się o sąsiada. Łóżko stare i niezbyt mocne, trzeszczało ostrzegawczo przy tych poruszeniach, a gdy raz zachwiało się mocniej, Murek orzekł:

— Nie było ono robione na dwie osoby. Żeby u stolarza i taki słaby mebel. Szewc bez butów chodzi.

— O nie, — zaprotestowała, — niech pan pójdzie do pokoju, to zobaczy pan, jakie nasze jest mocne.

— A no, chodźmy!

Szli pociemku ze względu na owe okna. Przez warsztat, sionkę i kuchnię. W pokoju od podwórzowej latarni było jaśniej. Przy ścianie stało szerokie czeczotowe łóżko. Murek uprzytomnił sobie, że jest to tak zwane małżeńskie sanctuarium towarzysza Kuzyka, że popełni podłość, wyzyskując jego zaufanie i romansowość jego żony. Lecz właśnie chciał, musiał ugruntować w sobie przekonanie, że wyzbył się wszelkich skrupułów. A że w dodatku zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, w wypadku niespodziewanego powrotu Kuzyka, co pociągnęłoby za sobą nieobliczalne następstwa, tembardziej nie odstąpiłby teraz od celu.

Objął Kuzykową i przewalił się z nią na łóżko. Broniła się, zaskoczona widocznie nagłością ataku, lecz broniła się krótko. Materac w łóżku był sprężynowy, tak wygodny, jak tamten w Hotelu Szwedzkim, dokąd zaprowadziła go Arletka. Ale Kuzykowa, prosta i niemłoda już kobieta, pod żadnym względem nie mogła równać się z Arletką. W chwilę później Murek już czuł wstręt do niej i do siebie. Leżał nawznak odwróciwszy głowę, by nie dolatywał od niej ostry zapach potu i nieświeży oddech.

A przytem ogarnęło go rozczarowanie. Pragnął popełnienia podłości, oczekując z niej jakiejś jadowitej złej satysfakcji, a tymczasem nie przyszło nic poza obrzydzeniem. Wszystko stało się zwyczajne, nieważne, obojętne.

Usiłowała go zatrzymać, gdy wstawał, zapewnieniami, że mają jednak dużo czasu, że mąż prędko nie wróci. Odburknął, że czuje się zmęczony, że może wkrótce jeszcze przyjdzie do niej.

— Ale jak będę spała to nic, niech mnie pan obudzi — zawołała za nim.

— Dobrze, dobrze. Obudzę.

Poomacku dotarł do komórki, wypił resztę wódki, później w stolarni umył się nad zlewem i wyjrzał przez okno. Brama już była zamknięta, musiało już tedy być po jedenastej. Przeczekał jeszcze kwadrans, sprawdził, że Kuzykowa śpi, że zatem nie będzie mogła go podsłuchać, pozamykał drzwi i zatelefonował do Dancing-Clubu. Po chwili usłyszał głos Arletki.

— Dobry wieczór, tu Murek.

— Ach! Nareszcie! Nic ci nie jest? — w jej głosie było tyle szczerej radości, że aż się zdziwił. Widocznie podejrzewał ją niesłusznie.

— W porządku — odpowiedział — a tamci?

— Owszem, ale nie mogę mówić przez telefon. Możesz się ze mną zobaczyć?

— No przecie do twojej knajpy nie przyjdę.

— Wiem, naturalnie. Ale ja wyskoczę na pół godzinki — i dodała szeptem — za pół godziny w tym hotelu, co wiesz. Dobrze?

Już chciał się zgodzić, gdy przyszło mu na myśl, że może to być zasadzka. Ona zdąży zawiadomić tamtych, no a w hotelu znajdzie się jak w potrzasku.

— Nie — odpowiedział — czekaj na mnie na rogu Wielkiej i Chmielnej. Przyjdę.

— Dobrze — zgodziła się natychmiast i położyła słuchawkę.

Murek nie odkładał swojej jeszcze przez dobre kilka minut: chciał się przekonać, czy Arletka nie spróbuje zaraz połączyć się z tamtymi. Nieco uspokojony wyszedł na ulicę, narzuciwszy na siebie jakąś starą jesionkę, którą znalazł w komórce.

Do umówionego miejsca zbliżył się, zachowując wszelkie ostrożności i ściskając w kieszeni kolbę rewolweru. Arletka była sama. W sąsiednich wnękach bram stało dużo dziewczyn ulicznych, ale żadnych mężczyzn nie dostrzegł. Zrównał się z Arletką i wziął ją pod rękę. Przytuliła się i zaszeptała:

— Tak się bałam o ciebie. Czytałeś gazety?

— Czytałem. Chodźmy tędy — pociągnął ją w stronę Złotej — a cóż tamci? Wrócili na Solec?

— Wrócili. I nie wiedzą co się z tobą stało. Posądzają cię, żeś odebrał temu gościowi walizkę i zwiał.

— No, i co?

— Ja im mówię, że niemożliwe, ale Piekutowski twierdzi, że tyś pewno ukrył się, ze strachu przed policją, ale że dasz znać o sobie i przyniesiesz tę forsę do podziału. A najgorzej to boją się, byś nie spróbował sprzedać tych papierów, bo wówczas złapaliby cię odrazu.

Murek uśmiechnął się:

— A ty jak myślisz? Mam ja tę walizkę?

Spojrzała nań z zaciekawieniem:

— Myślę, że masz...

— A jeślibym miał, to sądzisz, że trzeba się z nimi podzielić?

— Nie, nie! — zaprotestowała gorąco. Poco masz się dzielić?... Byłbyś głupi. Możesz im powiedzieć, żeś tej walizki na oczy nie widział.

— A oni uwierzą?

Zamyśliła się i potrząsnęła głową:

— Nie uwierzą.

— Mógł przecie ten cały Czaban zbujać, mógł nie mieć jej wcale w domu, albo ją zabrać, bo przecie w gazetach było, że wyjechał za interesami.

— Za jakiemi tam interesami — zaśmiała się Arletka — on był z Zuzą, z Rudą Węgierką i ze mną przez całą noc w Krzywej Karczmie pod Tarczynem. On żyje z tą Węgierką. I właśnie przez nią ja wiedziałam, że tego dnia u niego w domu będzie tyle forsy.

Zastanowiła się i dodała:

— Nie, niema innej rady, jak ukryć się i nie pokazywać się im na oczy. Gdzieś ty się teraz ulokował?

— Tam, u jednego — odpowiedział wymijająco.

— Jedno z dwojga: albo mi nie wierzysz, albo u kobiety.

— Wierzę ci. I nie u żadnej kobiety, tylko u jednego partyjnego.

Zdziwiła się:

— Więc ty nadal z tymi komunistami?...

— Skądże — wzruszył ramionami — ale, jak mogę skorzystać, to dlaczego nie.

— Pewno — przyznała.

Wstąpili do małej knajpki, usiedli w kącie i rozmawiali półgłosem. Musiał jej opowiedzieć o przebiegu „roboty". Jak go postawili przy drzwiach, jak później wybiegł jakiś łysy facet z walizką, jak wszystko dalej stało się inaczej niż planowali, dlatego tylko, że nie mógł zdobyć się na zastrzelenie owego faceta.

— Później ukryłem w bezpiecznem miejscu walizkę i na tem koniec. Nie wiem tylko, co dalej ze sobą robić, i z czego żyć. Mam wprawdzie w kieszeni zagraniczny paszport na cudze nazwisko, z moją fotografją, ale bez forsy zagranicę nie mamy poco jechać. A o spyleniu tych papierów teraz nie można marzyć. Chyba gdzie na prowincji, ale to wątpię.

— To prawda — przytaknęła.

— A wrócić do pracy w Warsztatach Kolejowych też nie mogę, bo Piekutowski i reszta wiedzą, że tam mnie można szukać. A że będą szukać, to pewne.

Zaśmiał się i dodał:

— Wogóle zaciasno coś już na świecie. Na karku policja kryminalna i policja polityczna, komuniści też niedługo mną się zainteresują... Ale najgorsze to ten twój Czarny Kazik i kompanja.

— On nie mój — chwyciła Murka za rękę. — Poco tak mówisz, skoro wiesz dobrze, że tylko ty jesteś mój.

— I on... ile razy zechce.

Spochmurniała i zacisnęła usta.

— Niedługo już tego.

— Zastanawiałem się — zaczął Murek po pauzie. — Zastanawiałem się, jak to zrobić, żeby Koziołkowa mnie wymeldowała. Taka nieobecność, może zwrócić uwagę policji.

— To łatwo zrobić.

— W jaki sposób?

— Napiszesz do Koziołkowej list, że wyjechałeś.

— Nie, — skrzywił się, — to na nic. Chyba... chyba, że list będzie wysłany z jakiegoś innego miasta.

— No, to trzeba tak wysłać, — powiedziała Arletka, — napisz jutro taki list, a ja włożę do drugiej koperty i wyślę do Katowic, do jednej koleżanki, która tańczy tam w „Momusie". Ona to chętnie zrobi. Gdy zaś Koziołkowa dostanie taki list, pokaże go oczywiście Kazikowi i wówczas przestaną cię szukać w Warszawie.

Pomysł nie był zły i Murek postanowił tak postąpić. Zamiast zamierzonej półgodzinki, przesiedział z Arletką do dwunastej i gdy się rozstawali, o tyle był jej pewny, że na jutro umówił się z nią na siódmą, odrazu w hotelu.

— Tylko uważaj, by cię nie śledzili, — ostrzegł ją — bo może oni podejrzewają, że ty ze mną się spotykasz!

— Skądże — zaśmiała się, — odkąd nadałam im tę robotę u Czabana, są pewni mnie, i żaden okiem nie mrugnie. O mnie się nie bój. Poradzę sobie.

— Ale słuchaj, Arletko — przytrzymał jej rękę, — jakbyś mnie chciała wkopać, to wiesz, że...

— Głupi jesteś! — oburzyła się.

— No, to dobrze. Dowidzenia. Jutro o siódmej.

— O siódmej.

Ale o siódmej Murek nie mógł stawić się na randkę. Już wieczorem, układając się do snu, miał silne dreszcze, a zrana przyszła gorączka. Musiał się zaziębić, warując owej nocy na Skolimowskiej, albo leżąc na gołej ziemi pod czółnem. Gorączka przed południem tak się wzmogła, że chwilami tracił przytomność. Przytem dokuczał mu piekielny ból głowy i dręczyły wymioty. Kuzykowa zaaplikowała choremu wszelkie znane sobie środki lekarskie: natarła mu plecy i piersi terpentyną, głowę obwiązała ręcznikiem z plasterkami cytryny i dała odwaru z malin, na poty.

Pomimo to, gorączka nie spadła, a następnego dnia jeszcze wzrosła. Kuzyk, wielce stroskany, sprowadził znajomego lekarza, który orzekł, że jest to zwykła grypa i zapisał proszki.

Jakkolwiek grypa była zwykła, przetrzymała Murka dziewięć dni w łóżku. Gdy się podniósł, nie mógł się utrzymać na nogach, a w lustrze sam siebie nie poznał: broda i wąsy wyrosły mu na dwa palce, okalając wychudzoną twarz gęstym, ciemnym zarostem.

— Jeszcze tydzień, dwa — żartował, — będę wyglądał jak pop.

— Myślałem, towarzyszu, — klepał go serdecznie po ramieniu Kuzyk, — że już nam tu wyciągniecie kopyta. No, szczęśliwie wszystko dobrze się skończyło. Aleście w gorączce krzyczeli. Czasami to i pietra miałem, bo do warsztatu, jak to do warsztatu, klienci obcy czasem przychodzą, a wy to majaczenia takieście mieli. Bałem się, że tajemnicę jaką wydacie.

— A cóż ja takiego mówiłem?

— Różne rzeczy, że i nie spamiętać. Najgorzej — zaśmiał się — toście na siebie wymyślali, od najgorszych. Ażem się z żoną ubawił. No i wciąż do telefonu rwaliście się. Ale wiadomo, siły słabe, coście z łóżka wyleźli, to i na ziemi.

I teraz, chociaż już mógł wstać, zatelefonować do Arletki nie mógł. Jak na złość, Kuzyk dostał wielkie zamówienia na meble i w stolarni pracowano dzień i noc. Dopiero w niedzielę, późnym wieczorem, zadzwonił do Dancing-Clubu, lecz poto tylko, by dowiedzieć się, że „panna Arleta już u nas nie pracuje". Telefonował jeszcze kilka razy, prosząc o informacje, lecz powiedziano mu tylko, że od tygodnia przeniosła się do innego zakładu, a do którego — nie wiedzą. Informowanie się w kilku, bardziej znanych, nocnych lokalach, wybranych z katalogu abonentów na chybił-trafił, też nie dało rezultatu.

Tymczasem, wraz z powrotem Murka do zdrowia, Kuzykowa korzystała z każdej nieobecności męża, by atakować gościa. Czy Kuzyk zaczął się czegoś domyślać, czy też po-

prostu uprzykrzył sobie przeciągający się pobyt Murka w domu, dość, iż coraz niechętniej doń się odnosił. Z tem wszystkiem i Murkowi już obrzydło to przymusowe więzienie.

Należało zresztą pomyśleć o takiem, czy innem, urządzeniu się. W tym celu przedewszystkiem udał się pewnego wieczora na ulicę Świętokrzyską, gdzie kupił nowe ubranie, elegancką jesionkę i kapelusz. Zafundował też sobie rogowe okulary, w których wyglądał jak profesor, bo i broda dodawała mu powagi. Do jakiego stopnia się zmienił, miał możność stwierdzić, gdy nos w nos spotkał na ulicy towarzysza Posiadłego, z którym znali się doskonale. Posiadły przeszedł obok niego i wcale go nie poznał.

Próba ta ucieszyła Murka bardzo. Oczywiście, o wykorzystaniu swej metamorfozy zewnętrznej dla ukrycia się przed komunistami, nie można było myśleć poważnie. Wcześniej, czy później, dowiedzą się o tem od Kuzyka, a wówczas ich podejrzenia jeszcze bardziej się ugruntują, i zapadnie wyrok, na którego wykonanie nie trzeba będzie długo czekać. To też Murek postanowił zameldować się w partji. Może nie zrobiłby tego, gdyby mógł odnaleźć Arletkę. Przy jej sprycie dałoby się może coś wykombinować. Wszelkie jednak poszukiwania nie dały pożądanego skutku, a bał się zaryzykować pójścia na Solec i próby nawiązania z nią kontaktu przez dozorcę domu. Wogóle całej tamtej dzielnicy należało unikać.

Narazie rozkoszował się od dawna nieznanym odpoczynkiem i dostatkiem. Czysta bielizna, przyzwoite ubranie, dobre papierosy i możność najadania się dosyta nie były do pogardzenia. Pieniędzy jeszcze miał dużo i narazie mógł się nie kłopotać nietylko o jutro, lecz i o najbliższe miesiące. Jednakże niewyzyskanie tego czasu dla wykombinowania sobie nowego przypływu gotówki, byłoby lekkomyślnością nie do darowania. Im dłużej tedy próżnował, tem natrętniej nawiedzały go różne pomysły. Najprostszym i najłatwiejszym byłoby rabowanie. Dość jest w Warszawie ciemnych ulic i samotnych przechodniów, by, mając w ręku rewolwer, zapewnić sobie możliwe dochody. O rabowaniu na większą skalę, o włamaniach i napadach bandyckich, nie chciał nawet myśleć. Po pierwsze, wymagało to, bądź co bądź, fachowej wiedzy i wprawy, a po drugie współdziałania z kilkoma specjalistami. Natomiast pierwszy sposób Murek postanowił wypróbować. Nie tyle sposób, ile siebie.

W tym celu upatrzył małą pustą uliczkę Szkolną, w samem śródmieściu. Po północy zdarzało się, że w ciągu pół godziny nie było tam ani jednego przechodnia, zaś najbliższe posterunki policyjne znajdowały się w dostatecznej odległości.

Pewnego dżdżystego wieczoru, nacisnąwszy kapelusz na oczy i z podniesionym kołnierzem palta, zaczaił się w bramie, mniejwięcej w środku ulicy. Wyglądał, jak ktoś, oczekujący na otwarcie bramy. Najpierw do kamienicy, naprzeciwko, podjechała taksówka i wysiadło z niej kilka osób, później przeszła pod parasolem jakaś roześmiana parka. Zbliżała się już północ, gdy w wylocie ulicy zobaczył grubą, okrągłą sylwetkę otyłego jegomościa.

— Dobry — pomyślał.

Jegomość szedł wolno, sapiąc i mrucząc coś pod nosem. Aż przysiadł, gdy Murek niespodziewanie zagrodził mu drogę.

— Ręce do góry! — zawołał Murek, wydobywając z siebie najgroźniejszy ton, na jaki umiał się zdobyć i opierając lufę rewolweru o pierś grubasa.

Nie mógł widzieć w ciemności jego twarzy, lecz przerażenie napadniętego i tak było dość wymowne.

— Co to? Co to? — zajęczał, konwulsyjnie wymachując podniesionemi rękami.

— Dawaj forsę — warknął Murek i usiłował wsunąć lewą rękę pod palto grubasa, lecz wówczas stała się rzecz nieprzewidziana: delikwent stracił widocznie poczucie rzeczywistości, wpadł w głupi lęk, bo zaczął przeraźliwie wrzeszczeć:

— Ratunku! Mordują! Ratunku!... Litości!...

Oczywiście wystarczyłoby gruchnąć go kolbą w łeb i zwalić, lecz Murek tak dalece nie przewidywał podobnego obrotu sprawy, że zgłupiał na chwilę. Na szczęście oprzytomniał w porę i zaczął uciekać.

— Mordują!... Mordują... — darł się za nim grubas.

Zanim jednak zrobił się na Szkolnej ruch, Murek zdążył przemknąć przez Rysią do Marszałkowskiej i skręcić w Sienną.

Wrócił do domu roztrzęsiony wściekły i rozgoryczony, a jednocześnie ubawiony tem tragi-komicznem zdarzeniem.

— Tak się zbłaźnić! — powtarzał — Tak się zbłaźnić!

Długo nie mógł zasnąć i doszedł do przekonania, że nie potrafi nigdy zostać bandytą. Inny, choćby taki Majster, w podobnym wypadku miałby już pugilares grubasa w kieszeni. A czy jego właściciel leży z rozbitą czaszką w prosektorjum, czy w szpitalu, byłoby to mu zupełnie obojętne.

Widocznie, nie dość jest nienawidzieć ludzi i pogardzać nimi, by ich zabijać.

Nazajutrz Murkowi każdy spotkany na ulicy gruby jegomość wydawał się wczorajszą niedoszłą ofiarą.

— Nie, to nie dla mnie — utwierdzał się w przekonaniu, lecz nie umiał nic innego wymyśleć.

Pomysł przyszedł zupełnie przypadkowo, dzięki zbiegowi okoliczności.

Po przyjściu do domu zastał u Kuzykowej cygankę. Stara i brudna baba o zwiędłej twarzy siedziała przy kuchennym stole i rozkładała karty, skrzecząc swoje przepowiednie o „spotkaniu z brenetem wieczorową porą" i o tem, że „kocha się w pani jeden na stanowisku, blondyn z natury". Po wyjściu cyganki Murek powiedział:

— Bzdury ona plecie. Ja lepiej potrafię wróżyć.

— A ty umiesz?

— Pewno, że umiem — z wyższością uśmiechnął się Murek, przypomniawszy sobie panią Koziołkową i jej wróżbiarstwo.

— No, to powróż mi!

— Służę, z przyjemnością. A karty są?

— Są, ale zwyczajne.

— Zwyczajne, nie zwyczajne — wzruszył ramionami — żadna różnica. Kto prawdziwą wiedzę tajemną zna, ten i ze zwyczajnych kart więcej prawdy wywróży, niż ze specjalnych. Zresztą i z ręki mogę.

Kuzykowa przyniosła karty i Murek kazał jej siedem razy przetasować i przełożyć na trzy kupki lewą ręką, zasłaniając jednocześnie oczy prawą.

— Zasłonić oczy? — zdziwiła się — Żadna wróżka jeszcze mi tego nie kazała.

— Dlatego i wróżba nie mogła być dobra. Dobra wróżba wymaga swojej… — nie przyszło mu nic lepszego na myśl i zakończył — wymaga swojej cyrkumferencji.

— No, dobrze — zgodziła się.

— Nie ja mówię, karta mówi — zaczął uroczystym tonem Murek, pękając w duchu ze śmiechu na widok skupionej miny Kuzykowej. — Co złego, czy dobrego los niesie, na los odpowiedzialność idzie, a ja tu słowa ująć ni dodać nie mogę, bo los sam przemawia, a los pani szczęśliwy i pomyślny. Najpierw przeszłość, potem teraźniejszość a na końcu przyszłość wróżba wyjaśni, całą prawdę odsłoni, złe i dobre, szczęście i zmartwienie wszelkie pokaże. Smutki swoje pani nogami podeptała, pod czerwonym asem pomyślność dla domu i zazdrość ludzka, ale na dobre wyszła. Przez nieżyczliwą krewniaczkę strata w majątku była, a trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, choroba ciężka w familji, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, bliska osoba umarła, mężczyzna, jakby ojciec, tak właśnie przez straszny wypadek życie zakończył.

— Święta prawda, ojciec w fabryce pod wagonetkę wpadł — potwierdziła Kuzykowa.

Murek o tem doskonale od niej samej wiedział, lecz surowo oświadczył:

— Nie ja mówię, karta mówi. Karta kłamstwa nie zna, prawdy nie zatai. Letnią porą zmartwienie przez list z drogi było i obmowa od damy dzwonkowej, co męża pani przyciągnąć chciała.

I mówił Murek jak z nut, wysypując z siebie wszystko, co wiedział o przeszłości Kuzykowej, później o jej teraźniejszości, później o przyszłości. Kobiecina oszołomiona, słuchała z otwartemi ustami, przyczem Murek, obserwując uważnie wyraz jej twarzy i prowokując, od czasu do czasu, do potwierdzeń, zaprzeczeń, czy ogólniejszych uwag, przekonał się, że poomacku, posługując się dwuznacznością rozmaitych określeń, wcale nie trudno wpaść na prawdę. W ten sposób dowiedział się, że Kuzykowa utrzymywała przez dłuższy czas bliższe stosunki z jednym z czeladników męża, że czeladnik ów ożenił się, że oprócz

czeladnika, Kuzykowa obdarzała swemi względami jeszcze jakiegoś Adama i jego brata Pawła.

Mówiąc o przyszłości, Murek przezornie nie zapomniał o własnej wygodzie. Zapowiedział mianowicie, że przez bliskiego sercu blondyna nieszczęście będzie w ciągu tygodnia, ale jest sposób zażegnania, unikać go w tym czasie i przed każdem zaśnięciem trzy razy stuknąć w nieheblowane drzewo.

Musiał zaraz objaśnić dokładnie, jak stukać i którym palcem. A grożące nieszczęście odmalował w tak ponurych barwach, (mąż miał siekierą zabić żonę i blondyna, a sam się powiesić), że zagwarantował sobie spokój przed natarczywością gospodyni. By ugruntować wiarę Kuzykowej w te wróżby, przepowiedział, że wkrótce zginie w domu rzecz cenna i pamiątkowa, nie należy jednak martwić się, bo po niedługim czasie napewno się odnajdzie.

Tak prorokując, nawet widział ową rzecz. Była to obrączka pani Kuzykowej, leżąca koło ścierki na parapecie okna. Po skończonej wróżbie, zakręcił się po kuchni i obrączkę wrzucił do kieszeni fartucha, wiszącego na drzwiach.

W dwie godziny później Kuzykowa podniosła alarm. A wieczorem zguba się znalazła, ku ogólnej radości. Skutek zaś był taki, że Murek nazajutrz musiał wróżyć czterem czeladnikom i chłopcu. Sam Kuzyk ociągał się, wstydząc się snać przesądów, lecz po kolacji i on poprosił o kabałę.

Na drugi dzień Murek obszedł kilka antykwarni i wrócił z dużą paczką książek o wiedzy tajemnej. Były tam senniki, proroctwa Sybilli, poważniejsze studja okultystyczne i podręczniki chiromancji, sztuczek spirytystycznych, astrologja, kabbała w popularnym skrócie, zbiór zaklęć i formuł magicznych, grafologja i kilkanaście broszur z pogranicza religji, psychologji i fizyki, na którem to pograniczu swobodnie grasować może fantazja, spryt i szalanterja.

Sam Murek nigdy nie wierzył w te rzeczy i nigdy się niemi nie interesował. Jego pozytywny umysł źle działał w dziedzinie abstrakcji, w dziedzinie zaś fikcji reagował uśmiechem. Teraz jednak zabrał się do studjowania obfitego materjału z całą właściwą sobie skrupulatnością. Strofował sam siebie, gdy w tym, czy w innym momencie wybuchał śmiechem, lub zapomniał się i zamiast wbijać sobie w pamięć przeczytane informacje, bawił się tem, jak humorystyczną lekturą. Przecież nie dla rozrywki wydał trzydzieści kilka złotych. Była to inwestycja, na której miał oprzeć swój byt.

Jednocześnie zaczął szukać mieszkania. Wziąwszy pod uwagę swoje możliwości finansowe, kwestję klienteli i własnego bezpieczeństwa, postanowił zainstalować się w dostatecznej odległości od Solca i wynajął sobie pokój w oficynie, przy placu Zbawiciela. Kamienica była duża i przyzwoicie utrzymana, mieszkanie na drugiem piętrze, należało do staruszki, wdowy po niegdyś słynnym — jak zapewniała — tenorze. Sama wdowa, pani Relska, była zamłodu aktorką dramatyczną, obecnie zaś żyła „z własnych funduszów", co w tym wypadku oznaczało, iż swe skromne potrzeby zaspokajała z dochodziku, jaki dawało mieszkanie: z sześciu pokojów odnajmowała pięć.

Pani Relska objaśniła Murka, że salon i gabinet zajmuje pewien przemysłowiec śląski, który mieszka stale w Katowicach i przyjeżdża stosunkowo rzadko, buduar wynajęty jest pani Juraszkowej, żonie pułkownika, która, chociaż rozeszła się z mężem, — bo tacy to teraz mężowie, — jednak może uchodzić za wzór przyzwoitości i wypłacalności. W dawnym stołowym stoi fortepian — i tu właśnie mała niewygoda — serdeczny kolega zmarłego męża pani Relskiej, profesor Leliwa, daje lekcje śpiewu. Ale tylko w godzinach rannych, od dziewiątej do pierwszej. Potem w mieszkaniu panuje wzorowa cisza.

Pokój wolny nie prezentował się zbyt efektownie. Miał jednak i ważne zalety. Przedewszystkiem był duży, podrugie łóżko stało za kotarą, jakby w niszy, potrzecie robił wrażenie poważne, niemal ponure. Po długich targach, ugodzili się na sześćdziesiąt pięć złotych miesięcznie i Murek sądził, że sprawa jest załatwiona, gdy staruszka zapytała:

— A kto może o szanownym panu dać referencje?

— Poco referencje? — zdziwił się.

— Pan zechce wybaczyć, ale w dzisiejszych czasach tyle jest różnych ludzi... A u mnie mieszkają sami solidni...

— Aha, — zaśmiał się, — a moja powierzchowność nie wzbudza w pani zaufania?

Pani Relska żachnęła się:

— O! Cóż znowu! Przeciwnie. Powiem panu szczerze, że bardzobym pragnęła mieć takiego lokatora. A gdzie pan przedtem mieszkał?

— Widzi pani, — z namysłem odpowiedział Murek, — referencjami nie będę mógł służyć, chyba, że zechciałaby pani zwrócić się o nie do Uniwersytetu w Heidelbergu, lub do Pruskiej Akademji Nauk.

— W Niemczech?

— Tak, proszę pani, bo jestem obywatelem niemieckim. Do Polski przyjechałem w sprawach naukowych i to na krótko. Ale tak mi się w Polsce podobało, że postanowiłem tu zostać dłużej.

Pani Relska dostała rumieńców:

— Podobało się panu?

— Bardzo, zwłaszcza ludzie. Niesłychanie mili, serdeczni, uczynni i rozumni. A już takich kobiet, pięknych, zacnych i uczciwych, nie spotkałbym na całym świecie.

Staruszka połknęła haczyk do końca:

— Odrazu poznać człowieka o starej, zachodniej kulturze — orzekła. — A, że też pan tak dobrze mówi po polsku?

— Rodzice moi przed wojną mieszkali w swoich dobrach w Prusach Wschodnich i mieliśmy tam dużo sąsiadów Polaków. Zresztą później studjowałem slawistykę, bo podziwiam piękno waszego języka dźwięcznego języka.

— Sie sind aber sehr... sehr... miły, mein Herr... — wysiliła się pani Relska.

— Nazywam się Oskar Klemm, doktór filozofji i profesor okultystyki indyjskiej, żeby zaś nie być gołosłownym, służę, oto mój paszport.

Podał jej dokument, w którym już wczoraj mozolnie dopisał przed nazwiskiem dwie literki „dr. ", słuszniej mu zresztą należne, niż cała reszta danych, zawartych w paszporcie.

— Referencyj — ciągnął — nie mogę o sobie udzielić i z tej racji, że moje badania naukowe przeprowadzałem w Polsce w różnych miastach, zatrzymując się oczywiście w hotelach...

— Ależ to zbyteczne, zupełnie zbyteczne, — przerwała mu, — skoro się odrazu i tak widzi, z kim się ma do czynienia. Miałam wprawdzie na ten pokój innego kandydata, ale oczywiście wolę pana doktora. Zwłaszcza, jeżeli pan na dłużej, bo zmieniać wciąż to moc kłopotu, sam pan rozumie.

Murek rozumiał i zapewnił, że nie zamierza w ciągu najbliższych kilku lat opuścić Warszawy.

— Badam tu — dodał — olbrzymi materjał, spuściznę naukową po waszym wielkim okultyście, Ochorowiczu.

— Ochorowiczu!... Ależ znam! Jakże! — zawołała pani Relska. — Moja siostra kiedyś bardzo cierpiała na oczy i obeszłam z nią wszystkich okulistów. Ochorowicz, a jakże, znakomitość! Taki z bródką, niewysoki?

— Możliwe, proszę pani, — przyznał Murek, — ale ja o innym Ochorowiczu mówię, o okultyście, nie o lekarzu okuliście.

— Że to ja zawsze przesłyszę się. Nie, nie, zaraz... Na Smolnej, dobrze mówię, na Smolnej, po parzystej stronie. A pan też od ocznych chorób?

— Nie, proszę pani — uroczyście powiedział Murek — ja jestem od chorób duszy.

— Nerwowych?

— I nie nerwowych.

— To znaczy, że pan doktór jest psychjatrą?

Nie zrażając się temi pytaniami, Murek spokojnie objaśnił, co to jest okultyzm, jaka potężna i głęboka wiedza i ile ulgi może przynieść cierpiącej ludzkości.

Nie mówił tego przez gadatliwość, lecz z wyrachowaniem. Chodziło mu o przygotowanie gruntu pod taką właśnie umowę z panią Relską, by zgodziła się na przychodzenie doń klienteli. Narazie wszakże nie wspominał o tem ani słowem, gdyż bał się, że spotka go kategoryczna odmowa. Praktykę zresztą zamierzał zacząć dopiero po tygodniu lub dwóch, po całkowitem zainstalowaniu się i urządzeniu pokoju w stylu magiczno-astrologicznym.

Zostawił tedy zadatek i paszport, prosząc, by go natychmiast zameldować, gdyż jako cudzoziemiec, chce być w zupełnym porządku z krajowemi przepisami policyjnemi.

W rzeczywistości, żądał tego przez ostrożność, na wypadek, gdyby autentyczność paszportu zakwestjonowano w komisarjacie. Tak sobie też ułożył, że nie zjawi się u pani Relskiej, zanim nie dowie się, że meldunkowe formalności zostały już załatwione.

Pozatem i tak nie mógł się wprowadzić odrazu, gdyż nie miał rzeczy, a zjawienie się nowego sublokatora bez kufrów czy choćby walizek, wywołałoby niewątpliwie podejrzenia.

Cały następny dzień poświęcił tej sprawie. Kupił na Bagnie duży, używany kufer, i dwie spore walizy. W różnych rupieciarniach, powybierał potrzebne atrybuty wróżbiarsko-magiczne, a więc dwie trupie czaszki, nieco wyleniałego puhacza, czarne domino maskaradowe, spory kawał również czarnego sukna, którego rozmiary i mnogość plam po stearynie wskazywały, że służyło kiedyś do przykrywania katafalków, wielki świecznik siedmioramienny, szklany przycisk na biurko w formie dużej kuli, sito, które kazał polityrować na czarno, i kilo fasoli do „egipskiej wróżby z ziarna", i drobiazgi, jak karty zwykłe, magiczne i do francuskiej kabały, świece, papier, gęsie pióra i t. p.

Gdy po dwuch dniach zatelefonował do pani Relskiej i dowiedział się, że meldunek już załatwiony, a pokój sprzątnięty, pożegnał się z Kuzykami, którym oświadczył, że wyjeżdża do Lwowa, że im bardzo dziękuje za gościnę, i że partja komunistyczna nie zapomni im ich zasług, za co on, towarzysz Garbaty, ręczy.

Tym zwrotem zamknął nieco strapionemu Kuzykowi usta, w najodpowiedniejszej chwili, gdyż właśnie wtedy, gdy chciał on upomnieć się u Murka o obiecywany zwrot kosztów utrzymania.

Stolarz tylko zerknął ku żonie, wzywając ją na pomoc, lecz pani Kuzykowa, jeżeli rościła jakie pretensje do gościa, to tylko te, że tak daleko wyjeżdża, i że nie będą mogli się widywać. Rachunki, w związku z pobytem Murka u nich, uważała za nieistniejące, lub też w wiadomy jej sposób wyrównane.

Zabrawszy z Sosnowej niewielką paczkę rzeczy, Murek wziął dorożkę i pojechał na Bagno po swój kufer i walizy, a załadowawszy to wszystko, wyprawił się na nowe mieszkanie.

O ile pani Relska przyjęła Murka z nieukrywaną radością i sympatją, o tyle niewiele młodsza od niej, bo około pięćdziesiątki sobie licząca Michałowa, służąca, patrzyła nań z nabożeństwem i podziwem.

Objawy tych uczuć stały się jeszcze wyraźniejsze nazajutrz, gdy pokój nowego sublokatora został przezeń urządzony według wszelkich zasad, a nawet, ponad ich wymagania, nauk tajemniczych. Michałowej, już sam całun, pokrywający stół, wystarczyłby; zniosłaby jako tako ustawione na nim okropne czaszki, żydowski świecznik i szklanną kulę, ale puhacza omijała z nieukrywanym lękiem.

— On obraca temi swojemi ślepiami, panie doktorze, — zapewniała Murka, — w którą stronę się człowiek ruszy, on wciąż oczu z niego nie spuszcza.

W oszklonej bibljoteczce Murek, rozłożył makulaturę, zaś na wierzchu, na biurku, i wszędzie gdzie się dało, porozkładał książki „fachowe".

Nie tracąc też czasu, przystąpił do przerysowania tuszem na większe kartony rycin astrologicznych, różnych horoskopów, figur, pentagramów i kabalistycznych znaków. Narazie poprzypinał pluskiewkami kartony do ścian, obiecując sobie oprawić je w ramki i oszklić, gdy wróżbiarstwo zacznie dawać dochody.

Tym razem miał jeszcze stare sprawy na głowie.

Trzeba było pokazać się w partji, gdzie w związku z jego zniknięciem mogły się ugruntować podejrzenia.

W lokalu partyjnym, zakonspirowanym jako biuro wynajmu filmów, starzy towarzysze nie poznali Murka, a najbliższy jego współpracownik, towarzysz Dyl, przyjął go pytaniem:

— Szanowny pan w jakiej sprawie?

— Chciałem zapytać, czy nie macie nowego filmu z Gretą Garbo, towarzyszu Dyl? — zażartował Murek.

W biurze zapanowała konsternacja, a Dyl uśmiechnął się blado:

— Szanowny pan się myli. To jakieś nieporozumienie. Ja się nazywam Stupiński.

Murek wybuchnął śmiechem:

— I nie wstyd wam!? Nie poznajecie?...

Jeden z obecnych, towarzysz Zeitman, zawołał:
— O, do djabła! Toż Garbaty!
Dyl otworzył usta:
— Niechże was, towarzyszu! Do teatru moglibyście grać.
— A jaki elegant! — podchwycił zezowaty Rybicz.
— Co się z wami działo?
— Posyłano po was dwa razy z C. K. W. Ale w mieszkaniu dawnem już was nie było.
— I w warsztatach kolejowych nie pracujecie?
Murek machnął rękami:
— Węszą za mną.
— Bo?
— Dużoby gadać. A u nas tu widzę szczęśliwie: wszyscy w komplecie?
Dostrzegł nieufne spojrzenia od początku, a i teraz Dyl, który zbyt był impulsywny, by umieć dobrze się maskować, przyglądał się Murkowi podejrzliwie.
— W komplecie — odpowiedział zdawkowo i zapytał: — A wyście myśleli, że nie?
— Dlaczego miałem myśleć?... Cieszę się. A na... moje miejsce wyście weszli?
— Jakto na wasze?
— No, bo długo mnie nie było. Sądziłem, iż Egzekutywa albo was mianowała, albo delegowała kogoś innego.
Towarzysz Dyl zapytał:
— A wy co? Chcecie ustąpić?
— Moje chcenie, czy niechcenie mało tu znaczy — zauważył Murek.
Towarzysz Dyl odwrócił się i zamienił porozumiewawcze spojrzenie z innymi, poczem zwrócił się do Murka.
— Chodźcie, towarzyszu Garbaty, pogadamy.
Murek wszedł za Dylem do małego pokoiku, w którym tak niedawno jeszcze sam urzędował. Odrazu zorjentował się, że już ktoś zajął jego miejsce i to nie Dyl, gdyż w popielniczce pełno było niedopałków, a Dyl nie palił. Te same kąty, w których kiedyś Murek czuł się jakby w sztabie wielkiej i dążącej ku szczytnemu zwycięstwu armji, wydały mu się dzisiaj równie szare i obojętne, jak i reszta świata, z którym się pożegnał nazawsze. Zdawał sobie sprawę, że wprowadzono go tu teraz pod pretekstem pogawędki, że Dyl wydał milczące polecenie tamtym, by o przyjściu towarzysza Garbatego zawiadomić C. K. W. i otrzymać instrukcje.
Należało się liczyć z tem, że zechcą go tu przetrzymać i poddać badaniu, przeciw któremu zresztą nic nie miał. Właściwie poto się zjawił z gotowym planem. Chodziło mu o zapewnienie partji, że pozostaje nadal jej wiernym członkiem, a to dlatego, by go nie inwigilowano i nie posądzono o konszachty z policją polityczną. Z drugiej strony nie miał najmniejszej ochoty pracować dla partji i jeżeli się czegoś obawiał, to narzucenia mu dawnych lub nowych obowiązków. By tego uniknąć, postanowił udawać wystraszonego, symulować manję prześladowczą na punkcie lęku przed policją, która rzekomo wpadła na jego ślad od czasu podróży po owe nieszczęsne dokumenty do towarzysza Sławomira.
W tym też duchu, skoro się tylko znaleźli we dwójkę z Dylem, zaczął mówić dużo i z nadmierną obfitością szczegółów.
— A dlaczegoście nie zawiadomili nas o tem? — spokojnie przerwał Dyl.
— Bałem się ściągnąć szpiclów na was.
— Ale widzę, że wam się niezgorzej powodzi! Macie jakie zajęcie?
— Takie tam i zajęcie — lekceważąco uśmiechnął się Murek — ot, zarabiam po parę złotych dziennie.
W tej chwili drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł, jak się tego Murek spodziewał, towarzysz Bigelstein z Centralnej Egzekutywy. Zrobił zdziwioną minę i zawołał:
— O Garbaty! Ledwiem was poznał. Skądżeście się wzięli, gdzieście bywali?
Jego przyjazny ton i uśmiechnięta mina nie wróżyły nic dobrego.
— Właśnie przyszedłem się wytłumaczyć — zaczął Murek, lecz Bigelstein klepnął go po ramieniu:
— Musicie się aż tłumaczyć?
— Nie aż, tylko poprostu wyjaśnić, dlaczegom tak długo nie przychodził.

Udając, że nie dostrzega nieufności Bigelsteina, Murek opowiedział zawiłą historję o tem, jak wpadł w oko policji, jak usiłowano go pewnego dnia przyłapać i zrewidować na Powiślu, jak uciekł z narażeniem życia przez strychy i dachy.

— No, i od owego dnia — zakończył — ukrywałem się, nie pokazując nosa na ulicę.

— A gdzieżeście się tak ukrywali? — z ironiczną dobrotliwością zapytał Bigelstein.

— Gdzieżby, jak nie u towarzysza Kuzyka.

— Kto to jest? — zwrócił się Bigelstein do Dyla.

— O, to zupełnie pewny nasz człowiek. Często korzystamy z jego mieszkania — odpowiedział Dyl.

Bigelstein zdziwił się:

— I wyście tam cały czas siedzieli?

— A cóż miałem robić? Wolałem to, niż dać się złapać. Tych szpiclów namnożyło się tyle, że wprost nosa na ulicę wychylić nie można. Ja i teraz staram się jak najmniej wychodzić.

Bigelstein wzruszył ramionami.

— Jesteście przesadnie zdenerwowani, towarzyszu. A to szkoda. Do roboty w partji potrzebni są ludzie ze zdrowemi nerwami. Tak.... tak... Więc siedzieliście wciąż u tego Kuzyka?

— U niego

— Dziwi mię tylko, dlaczegoście przez niego nie dali nam znać, gdzie jesteście?

— Tak byłem roztrzęsiony, że nawet i tego się bałem.

— A w warsztatach kolejowych już nie zamierzacie pracować?

— Narazie nie mógłbym. A wogóle znalazłem sobie lepszą robotę, lepszą choćby dlatego że mogę pracować w domu i nie leźć ludziom w oczy.

— I cóż to za zajęcie? — zapytał Bigelstein.

Murek skrzywił się:

— Podania piszę różnym ludziom, prośby, zeznania podatkowe, parę złotych się zarobi...

— Wyglądacie tak elegancko — zaśmiał się Bigelstein — jakbyście nie po parę złotych lecz po parę tysięcy zarabiali.

Murek zrobił naiwną minę:

— Przecież musiałem, to należy do charakteryzacji.

Skolei Bigelstein wrócił do sprawy owej koperty o zeskamotowanie, której widocznie wciąż posądzał Murka, nie chcąc zgodzić się z opinją naczelnych władz partyjnych. Wreszcie nie mogąc nic z Murka wydębić, doszedł do przekonania, że „w obecnym stanie nerwów" nie powinien on wracać do pracy partyjnej, zwłaszcza poważniejszej. Jednakże nie zamierzał widocznie zrezygnować z udziału towarzysza Garbatego w robocie komunistycznej, gdyż polecił mu przygotowanie się do cyklu wykładów popularnych o Marxie, Leninie, Stalinie i o rewolucji październikowej, które to wykłady Murek miał wygłaszać w „jaczejkach" dla kandydatów na członków partji. Oznaczało to w praktyce odsunięcie Murka z Grupy Aktywnej do Propagitu. Natomiast w rzeczywistości Bigelsteinowi chodziło zapewne o to, by nie spuścić oka z towarzysza Garbatego i mieć kontrolę nad jego prawomyślnością komunistyczną.

Chociaż Murek nie był uszczęśliwiony tą dyrektywą i wiedział, że od funkcji prelegenta narazie przynajmniej nie może się wykręcać, był zadowolony z przebiegu wizyty w partji. Nie wątpił, że tegoż jeszcze dnia u Kuzyka zasięgną informacji, czy mówił prawdę. Było mu to nawet na rękę i umyślnie o swojem ukrywaniu się u Kuzyka mówił tak lekko, by go posądzono o kłamstwo.

— Przekonają się, że ich nie oszukałem i staną się mniej podejrzliwi — myślał.

Zastanawiał się też nad tem, czy dla ułatwienia swojej sytuacji i dla pozbycia się kontroli partyjnej, nie sypnąć Bigelsteina i innych. Jednak myśl, że w ten sposób ułatwiłby pracę policji i przyczyniłby się do mniejszego lub większego ubezpieczenia tej bandy znienawidzonych ludzi sytych, to jest kapitalistów i biurokracji, czyli państwa, wywołała w nim decydujący sprzeciw.

Zresztą na denuncjację zawsze będzie czas.

ROZDZIAŁ II

„Mahatma Bahil, mistrz wiedzy tajemnej, doktór wyższej filozofji hinduskiej, wtajemniczony kapłan kultu bogini Kali, magister nauk wschodnich, jasnowidz i chiromanta, nadworny astrolog Jego Królewskiej Mości Maharadży Nepalu, prezes Bengalskiego Towarzystwa Okultystycznego — przejazdem do Londynu, zatrzymał się w Warszawie i będzie przyjmował wszystkich tych, którzy pragną rady, wskazówki, pociechy duchowej, którzy chcą poznać swoją teraźniejszość i zajrzeć w tajemnicze mroki przyszłości. Śpieszcie się! Mahatma zabawi w Warszawie tylko jeden miesiąc!"

Następował adres przy placu Zbawiciela i godziny przyjęć.

Taką ulotkę wykoncypował sobie Murek, zamówił pięćset odbitek w małej drukarence przy ulicy Nowogrodzkiej, poczem osobiście, wykorzystując późne godziny wieczorne, porosklejał to w ruchliwszych punktach Mokotowa, Wierzbna, Ochoty, Kolonji Staszyca, Lubeckiego i t. d., ze specjalnem uwzględnieniem przystanków tramwajowych i autobusowych. Nie odrazu zdecydował się na tak szeroką akcję propagandową. Przedewszystkiem musiał uzyskać zgodę swojej gospodyni, pani Relskiej oraz wzbudzić żarliwą wiarę w swoje zdolności nadprzyrodzone, nietylko w niej, lecz i we wszystkich domownikach, nie wyłączając pułkownikowej Juraszkowej, profesora śpiewu, a nawet jego uczenic.

Osiągnięcie tego sukcesu nie przedstawiało większych trudności. Już po kilkudniowym pobycie w nowem mieszkaniu, Murek o wszystkich wszystko wiedział, gdyż zarówno pułkownikowa, jak i gospodyni, nic lepszego nie mając do roboty, nader chętnie rozmawiały z Murkiem, służąca zaś uważała za swój najświętszy obowiązek, wytrząsnąć przed sublokatorem obfity zapas wiadomości, plotek i domysłów, dotyczących nietylko tego mieszkania, lecz i całej kamienicy.

Zanim zaczęła działać drukowana reklama, reklama ustna już przyniosła owoce. Profesor śpiewu, histeryczny staruszek, sam zapamiętały spirytysta, mocno przyczynił się do rozgłosu Mahatmy w środowisku muzycznem i aktorskiem. Pani Juraszkowa, spędzająca codziennie około ośmiu godzin w kawiarniach, okazała się wręcz niezastąpioną naganiaczką klienteli. Niewygodna była o tyle, że Murek musiał jej codzień wróżyć, czy mąż zerwie wreszcie swój romans z majorową Kamionkową i w jakiem stadjum obecnie ów romans się znajduje. Trzeba było bardzo wysilać wyobraźnię, by dla zaspokojenia głodu nowin pułkownikowej urozmaicić barwnemi zdarzeniami flirt wiarołomnego małżonka. Trudniej szło udzielanie ścisłych informacyj o każdym szczupłym brunecie, lub łysawym blondynie, który tego właśnie dnia był w kawiarni Europejskiej, lub Simie z tą wydrowatą doktorową Ziarnowską, czy z Milulką Bonderakówną, co żyła przedtem z adwokatem, którego nazwisko zaczyna się na P, takim z krótszą lewą nogą, co miał najładniejszą garsonierę w Warszawie.

Murek oczywiście udzielał informacyj, które, jak dowiadywał się po kilku dniach sprawdzały się co do słowa. Wysiłki te i gratisowe wróżby dla zaspokojenia ciekawości pani pułkownikowej opłacały się jednak Murkowi sowicie. Ani aktorzy, ani muzycy profesora, ani znajome paniusie pani Relskiej, ani kuzynki i przyjaciółki uczenic profesora nie mogły się porównać z klientkami zaagitowanemi przez Juraszkową. Dotyczyło to zarówno ilości, jak i jakości. Kawiarniane damy, rozpróżniaczone i nie mające czem zapełnić swego pustego życia, rozporządzały i czasem i gotówką, płaciły też drożej niż inni.

Murek nie ustalił swego honorarjum wieszczbiarskiego, gdyż praktyczniej było traktować to indywidualnie, w zależności od ciężaru gatunkowego spraw interesujących danego klienta i od ciężaru jego kieszeni. Klient zresztą mógł sam sobie wybrać taksę według tabelki: wróżba z kart — 1 zł., wróżba z ręki — 2 zł., z kuli — 5 zł., z ziaren 10 zł. Pod spodem tego cennika było dopisane: „Ceny kryzysowe".

Już po krótkiej praktyce Murek przekonał się, że zawód jasnowidza i wróżbity nie wymaga nadmiaru pracy ani wielu trudów. Nie wymagał też zbyt ścisłych określeń. Przeciwnie, im zawilej i dwuznaczniej formułował swoje proroctwa, tem większe było zadowolenie klienta, a zwłaszcza klientki.

Już sama inscenizacja przemawiała silnie do wyobraźni delikwenta. Zasłonięte okna, przytłumione światło stojącej lampy, osłoniętej czerwonym kloszem, lub w ważniejszych wypadkach chybotliwe płomyki siedmioramiennego świecznika, trupie czaszki i puhacz wywierały niesamowite wrażenie. Mahatma w długiej czarnej szacie, w ciemnych okula-

rach i z poważną brodą mówił głosem ciepłym, namaszczonym, celebrującym. Na początku wypytywał klienta, o co mu chodzi, na jakich stronach jego życia ma skupić najwięcej uwagi. Z ułamków informacyj, osiągniętych w ten sposób, z jego wyglądu, sposobu bycia i reakcji, zawsze wyciągał dostateczną ilość wniosków, by natrafić na prawdę. Rzadko się zdarzał całkowity zawód i to tylko u mężczyzn. Najlepszemi klientkami były kobiety, przychodziło ich zresztą najwięcej. Naogół jednak pierwszy miesiąc działalności Mahatmy miał mniejszą frekwencję, niż on sam przypuszczał. W związku z tem i dochód był mizerny. Wpływy wystarczały zaledwie na opłacenie komornego i skromnego utrzymania.

Nie zraziło to Murka. Z biegiem czasu nabierał doświadczenia, z każdym tygodniem, pomału, lecz stale rosły w mieście kręgi osób, które o istnieniu Mahatmy wiedziały. Należało mieć cierpliwość, no i myśleć o dalszej reklamie.

W ostatnich dniach grudnia Murek skończył właśnie cykl swoich prelekcyj komunistycznych i, mając więcej wolnego czasu, postanowił rozpocząć bardziej systematyczną kampanję reklamową. Miała ona polegać na planowem obrobieniu poszczególnych dzielnic. Nalepki Mahatmy Bahila musiały zaatakować śródmieście. Tu jednak nawet bardzo późnym wieczorem kręciło się dużo osób, no i łapaczów. Natomiast o świcie ulice były puste, to też w tych godzinach Murek wychodził z domu i gdzie się dało naklejał swoje ulotki.

Pewnego ranka właśnie upatrzył sobie wygodne miejsce na nalepkę tuż przy nocnym dancingu, w którym już pogaszono światła, gdy z lokalu wyszło jakieś większe towarzystwo. Podchmieleni panowie i hałaśliwie śmiejące się panie otoczyli go ze wszystkich stron z okrzykami:

— Chodźmy, zobaczymy, co to jest?

— Pewno obiady domowe!

— Na świeżem maśle!...

— Nie, nie, czekajcie — upierał się zawiany blondyn, o błyszczącej i czerwonej twarzy. — Muszę zobaczyć.

I przepychając się wytrącił Murkowi z ręki buteleczkę z klejem. Murek odwrócił się doń wściekły. Przez tego pijaka przepadło trzydzieści groszy. Już chciał go rugnąć i zażądać dwóch złotych odszkodowania, gdy o krok za nim zobaczył Arletkę i stojącego obok niej Czarnego Kazika.

Bandyta, w czarnym pilśniowym kapeluszu i szykownem futrze, z papierosem w ustach, wyglądał jak amant filmowy, grający rolę pijanego złotego młodzieńca. Przesunął obojętnym wzrokiem po twarzy Murka i zawołał na owego czerwonego blondyna:

— Jedziemy, Zygmuś, szkoda czasu.

— Nie poznał mnie — z ulgą odetchnął Murek.

Lecz i Arletka go nie poznała. Całe towarzystwo zaczęło pakować się do taksówki i po chwili odjechało. W pierwszej sekundzie Murek omal nie wskoczył do następnego samochodu, by jechać za nimi. Jednak opamiętał się. Włazić w oczy Kazikowi, byłoby conajmniej lekkomyślnem ryzykanctwem, o Arletkę zaś i tak dowie się w tym lokalu. Chciał to zrobić zaraz, lecz drzwi już były zamknięte.

— To i lepiej — pomyślał. Zapytam ich przez telefon.

Wrócił do domu, zapalił maszynkę spirytusową i zabrał się do przyrządzania swego śniadania. Właśnie dopijał drugą szklankę herbaty, gdy w przedpokoju rozległ się dzwonek. Przeczłapały kroki Michałowej, a po chwili Murek usłyszał jej głos:

— Pan doktór Mahatma teraz nie przyjmuje, dopiero popołudniu.

I znowu:

— Nie mogę, proszę przyjść o drugiej.

Widocznie jednak ten ktoś nie ustępował, gdyż Michałowa zapukała do drzwi Murka.

— Proszę pana doktora, tu jakaś pani przyszła. Mówi, że ma interes. Tylko wyrozumieć nie mogę, o co jej chodzi, o jakieś reklamy, o jakiegoś człowieka, żeby pan doktór powiedział...

— Dobrze — powiedział Murek — zaraz wyjdę do tej pani.

Był tylko w spodniach i koszuli, narzucił więc swoje pontyfikalne czarne domino, z powodzeniem spełniające rano rolę szlafroka. W przedpokoju było ciemno. Przy

drzwiach stała jakaś pani. Futrzany kołnierz jej palta zakrywał połowę twarzy. Pomimo to Murek poznał ją odrazu:

— Arletka!...

Ona chwyciła go za rękę:

— To ty!

— Chodźmy.

Wprowadził ją do pokoju, zamknął drzwi i zaśmiał się:

— Myślałem, ba, byłem pewien, żeś mnie nie poznała tam na ulicy.

— Bo i nie poznałam.

Murek zdziwił się:

— Więc jakim sposobem znalazłaś mnie?

Arletka rozejrzała się po pokoju:

— To nie było trudne, poznał cię ten drań.

— Kazik?

— Tak.

Murek przygryzł wargi.

— Psiakrew — zaklął pod nosem. Już myślałem, że będę miał spokój. Widzisz: jakoś się urządziłem, jakoś żyję... Myślałem... A ta szelma ma oczy!... Czy on czeka na dole?

— Skądże — wzruszyła ramionami Arletka — uwalił się i śpi.

— A ciebie on tu przysłał?

Skinęła głową:

— On. On nie wie, że ten Mahatma to ty. Myślał, żeś się temu Mahatmie wynajął do rozlepiania reklamek. Kazał mi pójść na wróżbę i wypytać o adres tego człowieka, który chodził z reklamami. Nawet dał mi piątaka za honorarjum.

— A ty co mu powiesz? — spojrzał na nią ponuro.

Arletka pomału zdjęła palto, kapelusz, podeszła do biurka, obejrzała czaszki, szklaną kulę, puhacza, zapaliła papierosa i zapytała, nie patrząc na Murka:

— Dlaczego nie przyszedłeś wtedy do „Szwedzkiego"?

— Zachorowałem. Miałem grypę.

— Kłamiesz.

Murek popatrzył na nią zdziwiony:

— Poco miałbym kłamać?

— Chciałeś się ode mnie odczepić.

— Zwarjowałaś — zaśmiał się — gdybym się nie bał, że u Koziołkowej mnie poznają, dowiadywałbym się i tam.

— Jakto i „tam", boś się gdzie dowiadywał?

— W Dancing Clubie, w innych lokalach. Przepadłaś jak kamień w wodę. Myślałem, żeś wyjechała z Warszawy.

— A nie bujasz — zerknęła ku niemu niedowierzająco.

Murek puknął się w czoło:

— Zastanów się, kobito! Po jakiego djabła miałem cię unikać? Człowiek się cieszy, że nareszcie ją spotkał, a ona z posądzeniami wyjeżdża!...

Arletka nie dała się jeszcze przekonać, ale ze zmiany jej tonu i wyrazu twarzy widać było, że chciałaby wierzyć. Murek zaczął jej opowiadać o wszystkiem co go spotkało w tym czasie, o tem, jak wpadł na pomysł swego obecnego procederu, jak skompletował atrybuty wróżbiarskie.

Słuchała z nader żywem zainteresowaniem.

— Ty wiesz, że to nie jest głupi kant — orzekła z przekonaniem. — Na tem można zrobić hopy.

— Hopy nie, ale na życie starcza.

— Bo inaczej się trzeba do tego zabrać. Nieraz już dawniej, patrząc, jak do Koziołkowej różni ludzie przychodzą, myślałam o tem. Na tem można zbić forsę. Są różne sposoby...

Murek zaciekawił się:

— Jakież to sposoby?

Arletka jednak nie odpowiedziała. Wstała. Zajrzała za kotarę, gdzie stało łóżko, i zapytała:

— No, i co mam powiedzieć Kazikowi?

— Jak uważasz.
— Bo widzisz, — zawahała się, — to będzie zależało...
— Od czego?
Zbliżyła się doń i spojrzała mu wprost w oczy.
— Jak będzie z nami?...
Murka trochę zaskoczyło to pytanie. Arletka nie przestała mu się podobać. Raczej przeciwnie: wyglądała teraz ładniej, niż przedtem. Działał zresztą na Murka zawsze jej chłodny rozsądek, a mówiąc poprostu, cynizm. Ilekroć myślał o przyszłości, zawsze przychodziła mu na myśl ona. Postawienie jednak sprawy tak zdecydowanie, wydało mu się jakiemś niebezpieczeństwem. Jak będzie z nami! Czy nie wyobraża sobie czasem, że się z nią ożeni?...
Odpowiedział dyplomatycznie:
— Będzie jak najlepiej. Jak sama zechcesz.
— U kogo ty tu mieszkasz?
— Wdowa, staruszka.
— Ma córkę?
— Dajże spokój, — zaśmiał się. — Widzę, do czego zmierzasz. Nie mam żadnej kobity...
— Oprócz — przerwała mu — tych, które do wróżby przychodzą.
Murek wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie:
— Jesteś zazdrosna?
— Nie, — potrząsnęła głową. — Chcę tylko wiedzieć, jak sprawy stoją. I czy mam poco... — nie dokończyła, lecz Murek domyślił się, z ostrego błysku w jej oczach, że ma to związek z owem rzuconem kiedyś, na wspomnienie Czarnego Kazika: „On nie będzie żył".
— Ja bardzo tęskniłem za tobą, — zaczął Murek, — sądziłem jednak, żeś ty już o mnie zapomniała, żeś może nawet wyszła zamąż...
Zaśmiała się:
— Za kogo?
— No, choćby za tego swego Kazika.
— Wolałabym skoczyć do Wisły — powiedziała ponuro. — I tak mi życie zbrzydło. Nie pracuję teraz w żadnym lokalu. On mi nie daje.
— Więc co robisz?
— Nic. Leżę i palę papierosy.
— U Koziołkowej?
— Nie. Mieszkam razem z nim.
— A on wie, że ty go nienawidzisz? — zapytał Murek.
— Gdybym mu to nawet codzień powtarzała, to i takby nie uwierzył.
Spojrzała na zegarek. Murek zapytał:
— Więc co mu powiesz?
— Jakoś wykręcę. Czy będziesz wieczorem w domu?
— Oczywiście.
Wyciągnęła do niego rękę i powiedziała bez uśmiechu:
— Jeżeli będę mogła, przyjdę.
Odprowadził ją do drzwi i wrócił zamyślony. W zachowaniu się Arletki i w tonie, jakim mówiła, było coś przykrego, obcego, odstręczającego. Teraz już wprawdzie nie obawiał się z jej strony podstępu, lecz nie wyobrażał sobie, by stosunki ich mogły się znośnie ułożyć.
Przez cały dzień trapiła go ta sprawa. Nawet przyjmując klientów, był wbrew zasadom roztargniony i plótł na odczepne, co mu ślina na język przyniosła.
Było już po dziesiątej i właśnie układał się do snu, gdy przyszła. Była w doskonałem usposobieniu, wesoła, namiętna, a nawet czuła.
— Zastanawiałam się długo — powiedziała — i doszłam do wniosku, że niesłusznie cię posądzałam. Ale żebyś ty wiedział, jak ja byłam na ciebie wściekła. No, teraz nie mówmy już o tem.
Przysiadła obok Murka na łóżku i ocierając się oń dodała:
— Mam dziś dużo czasu. On gra. Nie wróci aż nad ranem.

Nad ranem też dopiero Arletka wyszła. Ta noc ich pogodziła, zacierając wspomnienia wszystkich nieufności i podejrzeń. Podczas tej nocy dojrzało też postanowienie: wyrok śmierci na Czarnego Kazika. Murek próbował to wyperswadować Arletce, lecz go przekonała. Jakże mogliby razem zamieszkać, jakież byłoby ich życie pod wieczną groźbą zemsty tamtego? Zresztą Arletka od dawna poprzysięgła mu śmierć. Nie wiedziała jeszcze, jak to zrobi i kiedy. O tem zresztą narazie z Murkiem nie chciała mówić.

Odtąd widywali się coraz cześciej. Arletka wpadała do Murka o różnych porach, czasami późną nocą, co zaczęło wywoływać niezadowolenie pani Relskiej, a głównie Michałowej. Gdy pewnego dnia doszło w obecności Arletki do małej awanturki, a Murek bardzo się tem zalterował, Arletka powiedziała:

— Musimy zamieszkać razem, wziąć ładne mieszkanie i rozwinąć twój interes, ale przedtem trzeba skończyć z tamtym.

Zamyśliła się i dodała szeptem:

— Dłużej już nie wytrzymam.

Nazajutrz nie przyszła, natomiast około godziny szóstej popołudniu zatelefonowała:

— Czy to pan, panie Franku — odezwała się nieswoim jakby i nienaturalnym głosem. — Dobrze, że pan czekał na mój telefon. Niech pan koniecznie zaraz przyjdzie z tą walizką na umówione miejsce... Dobrze?... No, to doskonale.

Położyła słuchawkę, zostawiając Murka w osłupieniu.

Przeczuwał, że musi to mieć jakiś związek z Czarnym Kazikiem. Zaniepokoił się jednak tem, że Arletka doń dzwoniła. Na wszelki wypadek, wróciwszy do swego pokoju, chciał wziąć rewolwer do kieszeni.

W szufladzie jednak rewolweru nie było.

Tymczasem Arletka mówiła do Kazika:

— No widzisz! kiedy ja coś zrobię, to jest zawsze zrobione na mur.

Spojrzał na nią z pod przymrużonych powiek:

— Jeszcze nie wiadomo, czy przyjdzie — odburknął.

— Napewno — zaśmiała się przymilnie. — Przecież mamy razem uciekać do Gdańska.

— Dam ja mu Gdańsk! Chodźmy.

Do rogu Granicznej szli obok siebie.

— Czy aby napewno przyniesie do tej swojej ciotki walizkę? — zapytał Kazik. — Bo jeżeli nie, to szkoda tej forsy. Uparłaś się, że tam go zwabić najlepiej...

— Najlepiej — przerwała — bo klatka schodowa pusta i zresztą mieszkają tam sami żydzi. Wrazie krzyku, nikt nie odważy się zastąpić nam drogi.

— Nie bój się — wsadził obie ręce do kieszeni. — Nie takie rzeczyśmy robili.

— No, to już pójdę naprzód, bo jak cię zobaczy na ulicy lub na podwórzu, to zwieje.

— Tylko mnie nie ucz. Byle przyszedł. Piąte piętro?

— Piąte z podwórza na prawo — rzuciła mu prędko i przyspieszyła kroku, przeciskając się przez tłum przechodniów.

Jak zwykle w tej handlowej dzielnicy miasta, na krótko przed zamknięciem sklepów ruch panował wielki. W bramie i na podwórzu, ponieważ był to dom przechodni, również było tłoczno. Wózki ręczne, tragarze z pakami, grupki kłócących się handlarzy. Arletka przebiegła przez podwórze i weszła w sień na prawo.

Były to wązkie drewniane schody o chwiejnych poręczach. Obliczywszy sobie czas, przystanęła na chwilkę przy oknie drugiego piętra: nie czekała długo, Kazik właśnie wchodził w bramę. Wówczas wbiegła zadyszana na górę, myśląc z niepokojem, czy się tu nic nie zmieniło od czasu, gdy odwiedzała chorą koleżankę z Dancing Clubu. Wszystko jednak było tak samo, schody puste, okna bez ram o bardzo niskich parapetach. Dobiegła na samą górę i przyczaiła się.

Po chwili usłyszała kroki. Serce biło jej mocno. Kazik wchodził powoli, jego buty zlekka skrzypiały.

Gdy już był na podeście, zbiegła naprzeciw niemu i powiedziała szeptem:

— Jeszcze nie przyszedł.

— To i dobrze. Zaczekamy.

Arletka wzięła go pod rękę i przytuliła się:

— Tylko uważaj, Kazieńku — szepnęła pieszczotliwym tonem. — On podobno jest silny...

Odsunął ją szorstko:

— Trzem takim dam radę...

Ktoś na czwartem piętrze otworzył drzwi mieszkania i zaczął schodzić ze schodów. Kazik odezwał się po chwili, nie patrząc na Arletkę:

— A ty skąd wiesz, że on jest silny? Mocowałaś się z nim?...

Spojrzała na jego twardy profil, na zacięte usta, na oczy, które zdawały się świecić w mroku i nieznacznie zanurzyła rękę w torbie.

— Przecież wiesz, że ciebie jednego kocham — powiedziała z wyrzutem i wychyliła się ku oknu. — O, patrz idzie!...

Kazik, nie wyjmując rąk z kieszeni, wypluł papierosa, rozgniótł ogień nogą i wyjrzał przez okno...

Na tle szarego kwadratu przyciwległej ściany domu, stojąca styłu Arletka widziała wyraźnie odcinające się kontury jego małej głowy, szerokich ramion i wąskich bioder.

Wciągnęła pełne płuca powietrza, zacisnęła zęby i z całej siły pchnęła go przed siebie...

Wszystko stało się z jakąś straszliwą prostotą. Sylwetka człowieka, który przed nią stał znikła nagle. Nawet nie była pewna, czy usłyszała krótki urwany krzyk, czy jej się tylko zdawało. Gdy tu szła, pełna była jego śmierci. Wyobraźnia drgała w napięciu oczekiwania kulminacyjnego momentu. W duszy pęczniała, rozdymała się, dojrzewała zbrodnia...

I oto nie było nic!... Nic się nie stało. Ogarnięta przejmującem rozczarowaniem patrzyła w pusty kwadrat okna.

Głuchy i ciężki odgłos ciała uderzającego o kamienie podwórza i ostry wielogłosy krzyk przerażenia, który wydarł się z dołu, wybuchnął fontanną dźwięków między ścianami oficyn. Zatupotało, zakotłowało się na dole. Arletka oprzytomniała:

— Uciekać!...

Drżały jej kolana, gdy wbiegała po schodach, gdy na palcach szła szybko przez długi, jedną tylko nędzną żarówką oświetlony korytarz... Ale pamiętała, trafiłaby tu poomacku. Należało dwa razy skręcić w lewo i oto ratunek, klatka schodowa lewej oficyny. Schodziła wolno, mijana i potrącana przez mieszkańców biegnących do wypadku.

Kołem stał wielki tłum pełen gwaru. Uniosła się na palcach i zobaczyła: leżał rozpłaszczony z bezwładnie i śmiesznie rozrzuconemi rękami i nogami.

Obejrzała się ostrożnie, lecz nikt na nią nie zwracał uwagi. W bramie minęła się z dwoma policjantami, skręciła w boczną ulicę i wsiadła w taksówkę. Spokojnie podała adres.

W domu nie zastała nikogo. Państwo Kaczmarscy, u których wynajmowali pokój, mieli tego dnia jakieś imieniny. Arletka szybko przyniosła z kuchni tasak, podważyła nim blat stołu i wyciągnęła szuflady. Było tu kilkanaście złotych, dwa rewolwery i mocno związana w węzeł chustka z kilkunastu sztukami złotych monet i biżuterją. Nie przypuszczała, by policja w jakikolwiek sposób mogła się dowiedzieć, że on tu mieszkał. Kaczmarscy napewno tego niezdradzą, bo ściągnęliby biedę na własne głowy, on zaś nigdy nie miewał przy sobie żadnych dokumentów, ani notatek. Oczywiście rozpoznają go, choćby nawet miał twarz zmasakrowaną. Od czego mają daktyloskopję. Nie wyśledzą jednak, gdzie mieszkał. Pomimo to należało być ostrożną.

Wzięła do torebki węzełek z biżuterją i pieniądze. W kwadrans później była już u Murka. Musiała bardzo się spieszyć, by Kaczmarscy zastali ją w domu. Dlatego na pytające i zaniepokojone spojrzenia Murka odpowiedziała tylko:

— Masz. Schowaj to dobrze — i wręczyła mu zawartość torebki wraz z jego rewolwerem.

Przytrzymał ją za rękę:

— Co się stało?

— Później... Nie mam czasu.

— Jedno słowo! Co z nim?...

Arletka była blada i wzburzona, lecz ubawiła ją wystraszona mina Murka:

— Jeżeliś pobożny, zmów za jego duszę paciorek — zaśmiała się nerwowo.

— Zastrzeliłaś go?

Niecierpliwie wyrwała rękę:

— Jutro ci wszystko opowiem, a teraz nie zatrzymuj mnie, bo mnie zgubisz.

— Widzieli cię? — zapytał z niepokojem.

— Nikt nie widział, ale Kaczmarscy mogą na mnie rzucić podejrzenie wobec Piekutowskiego i innych wspólników Kazika. Jutro przyjdę.

Nazajutrz Murek wiedział już wszystko, zanim Arletka przyszła. W rannych dziennikach była wiadomość o tem, że znany i oddawna przez policję poszukiwany bandyta Kazimierz Myszakowski, używający przezwiska „Czarny Kazik", popełnił samobójstwo, wyskoczywszy z piątego piętra na bruk.

Wzmianka kończyła się ustępem:

„Wobec tego, że na klatce schodowej w tej kamienicy brak ram okiennych, a parapety są niskie, nie można wykluczyć nieszczęśliwego wypadku. Brana jest również pod uwagę ewentualność porachunków w świecie przestępczym. Śledztwo w toku".

Murek bez trudu domyślił się reszty. Arletka wzięła jego rewolwer jedynie na wypadek, gdyby plan się nie udał. Obejrzał broń i rzeczywiście nie brakowało w niej żadnego ładunku. Złożył gazetę i zamyślił się.

Miał ją zawsze za odważną dziewczynę. Wiedział, że potrafi być bezwzględna i nielitościwa. Nigdy nie przypuszczał jednak, że zdecyduje się na morderstwo, że zdoła z zimną krwią zabić człowieka, który bądź co bądź żywił dla niej jakieś uczucia.

— Nawet śmiała się i żartowała — stwierdził nie bez obrzydzenia, ale i z podziwem. — Trzeba właśnie umieć być takim...

A Arletka umiała. Przyszła dopiero wieczorem, roześmiana, rozmowna, wręcz radosna. Zarzuciła Murkowi ręce na szyję i przeciągnęła się zalotnie:

— Co za szczęście! Pomyśl tylko: Jestem wolna! Zupełnie wolna.

Oczy jej iskrzyły się.

Murek starał się ukryć zdziwienie. Usiadła na fotelu, podciągnąwszy pod siebie nogi i dziecinnym rozbawionym tonem, tonem, którego nigdy dotychczas u niej nie słyszał, zaczęła opowiadać z najdrobniejszemi szczegółami, jak ułożyła i wykonała swój morderczy plan. Opowiadała to niczem bajeczkę z miną taką, jakby spodziewała się zachwytu i pochwał od słuchacza.

I Murek dał się w to wciągnąć. Musiał i chciał tego. Zawzięcie bronił się przeciw refleksjom, wpatrywał się w jej jasną uśmiechniętą twarz, w naiwne minki, w piękne przezroczyste oczy.

— Tak właśnie być powinno, tak właśnie — powtarzał sobie uporczywie.

Bo czyż nie postąpiła słusznie? Zemściła się na człowieku, który ją pokrzywdził, uwolniła się od terroru, od przemocy, od wiecznie wiszącej nad nią groźby. Czyż nie miała prawa? Czyż miała zostać niewolnicą znienawidzonego kochanka do końca życia, czy też do chwili, pókiby jej nie odpędził od siebie? Gdzież tu miejsce na skrupuły? Nie doznała od niego niczego, poza krzywdą, a jeżeli ją nawet kochał, to taka miłość, wszystko jedno zresztą jaka — skoro narzucona, też była tylko krzywdą.

Nietylko miała prawo uwolnić się, lecz powinna była to zrobić. A że nie było innego sposobu poza zabójstwem, więc postąpiła słusznie.

Słuchał jej opowiadania i przekonywał siebie, bo napełnił go lękiem własny przestrach przed dokonanym czynem. A musiał przecież wierzyć w siebie i w drogę, którą wybrał. Tak wierzyć, jak Arletka wierzyła w to, że nietylko nie postąpiła źle, lecz postąpiła dobrze.

Tego dnia została u Murka na noc, w związku z czem pani Relska nazajutrz wymówiła mu mieszkanie. Gdy martwił się tem, Arletka powiedziała:

— Przecież i tak wyprowadziłbyś się stąd niedługo. Od jutra zacznę poszukiwania.

Zabrała się do tego energicznie i po tygodniu byli już na własnych śmieciach. Dwa pokoje z kuchnią i ładnem wejściem przy ulicy Jasnej na pierwszem piętrze były zupełnie odpowiednie na locum dla jasnowidza, wróżbity i chiromanty, wyglądały wcale efektownie. Murek bał się wprawdzie kosztów, lecz Arletka była dobrej myśli:

— Zobaczysz — mówiła — będziemy robić kokosy.

Ku zdziwieniu Murka sprzeciwiała się jego zamiarom reklamowym. Twierdziła, że kto się ogłasza, ten na żadną porządniejszą publiczność liczyć nie może.

— A w jakiż sposób zyskać, ściągnąć tutaj porządniejszą publiczność, jeżeli się człowiek nie reklamuje? — nie bez ironji zapytał Murek.

— Właśnie w tem jest cały sęk — zaśmiała się. — Umyśliłam, że niema sensu tyrać cały dzień po złociszu od sztuki. Lepiej mieć paru klientów, a takich, co solidnie zapłacą. A wiesz kto solidnie zapłaci?

— Kto?

— Taki, któremu będzie na czemś bardzo zależało.

— Skądże ich wyłowić?

— To nie jest takie trudne. Pracując po nocnych lokalach poznałam wielu takich facetów, którzy pocichu przed żonami przychodzili ze swemi kochankami lub utrzymankami. Gdy przychodzili sami, po pijanemu zwierzali się nam, dziewczętom, ze swoich zdrad małżeńskich i romansów...

— I po kiegoż licha mieliby oni przychodzić do wróżbity? — przerwał Murek.

— Nie oni, mój złoty, lecz ich żony. Pomyśl tylko, jaki skutek! Każdej takiej klempie zwalisz odrazu kupę informacyj o niewierności jej męża. A przysięgam Ci, że dla każdej kobiety to wprost nie ma ceny. Można taką oskubać do nitki. Żeby zaś wiedzieć, co się dzieje, kto z kim i kiedy, wystarczy pogadać z fortancerkami, z kelnerami z droższych lokalów i z fryzjerami.

Murek zdziwił się:

— Dlaczego z fryzjerami?

— Ach — machnęła ręką. — Nie masz pojęcia, czego taka paniusia fryzjerowi nie powie. Wszystko wygada. Gęba się jej nie zamyka. Lepiej niż na spowiedzi. Pan Janusz, u którego ja się czeszę, za każdym razem ma cały worek najlepszych wiadomości, bo przytem jedna drugą obmawia. Mówi, że po pracy, kiedy zaczną jego koledzy nabijać się z klientek i z tego, co od nich słyszeli w ciągu dnia, to boki zrywają. A także fryzjer dla każdej baby świętość. Niech tylko jej poradzi, by poszła do ciebie na wróżbę, niech powie, że wychwalała cię pani ministrowa, czy inna hrabina, to przyleci w te pędy. Wogóle już ty się tem nie zajmuj. Wróż, a ja zajmę się ściąganiem klienteli.

Zamyśliła się i dodała:

— Mam zresztą i inne pomysły. W każdym razie nikomu nie będziesz wróżył na ślepo. A za to muszą płacić.

W ten sposób zaczęli. W pierwszych tygodniach nader rzadko odzywał się dzwonek w mieszkaniu jasnowidzącego Mahatmy, lecz już po dwóch miesiącach interes dawał dobre zyski. Arletka prawie całe dnie spędzała poza domem zajęta wywiadem. Odnowiła przyjacielskie stosunki z dawnemi koleżankami z dancingów, zawarła ryczałtowe umowy z paru kelnerami w większych lokalach, skaptowała sobie na dobrą prowizję paru wziętych fryzjerów i kilka manicurzystek. Pozatem przesiadywała w modnych kawiarniach, gdzie spotykała wielu znajomych panów, od których zawsze można było sporo rzeczy się dowiedzieć.

Z tem wszystkiem miała moc zajęcia, bieganiny i kłopotów, lecz traktowała to po sportowemu. Chciała udowodnić Murkowi, że potrafi dostarczyć tyle klientek i klientów, że oboje w krótkim czasie zbiją forsę. Jakoż dochody z tygodnia na tydzień rosły. W wypadku szczególniejszej oporności tego lub innego klienta lub klientki, należało chwytać się radykalniejszych sposobów. Robiło się to bardzo prosto, przy pomocy anonimów lub intryg telefonicznych. Murek z wrodzoną sobie sumiennością, sporządził ścisłą kartotekę, przepełnioną najbardziej drobiazgowemi informacjami. Uzupełnił też swoją bibljoteczkę wiedzy tajemnej. Mieszkanie też zmieniło swój wygląd. Było tu coraz zasobniej i Murek czuł się zadowolony z dochodów.

Arletka natomiast oburzała się, ilekroć o tem wspomniał:

— Chyba oszalałeś! Musimy być bogaci.

Jej myśl ustawicznie napięta była w tym kierunku. Oczywiście na wzbogacenie się przy obecnych wpływach nie było co liczyć.

— Poczekamy na okazję — mówił Murek.

— Dość tego czekania — odpowiedziała — skoro niema okazji, trzeba ją stworzyć.

Minęło jednak znowu dwa miesiące i przyszło lato a wraz z niem wyjazdy wakacyjne. Frekwencja gwałtownie zmalała. Z planów Arletki, by choć na kilka tygodni wyjechać do Krynicy musieli zrezygnować. Nawet z codziennemi wydatkami było kuso. Wówczas to któregoś dnia powiedział Murek:

— Mam przecież te obligacje i papiery procentowe Czabana. Całą walizkę.

— Człowieku! Zapomniałam na śmierć! I ty teraz dopiero o tem mówisz.

— Mówię i to niepotrzebnie.

— Dlaczego?

— Bo i tak ich sprzedać nie można. Numery zastrzeżone. Dość przyjść do banku, by zaraz cię aresztowali.

Arletka zamyśliła się:

— Jest przecie w Warszawie wielu takich żydów, którzy handlują walutami prywatnie...

— Czarna giełda — wtrącił.

— Dowiadywałeś się? — zapytała.

— Owszem — machnął ręką — dadzą najwyżej dziesięć procent, a i to trzeba im zawierzyć, tak że mogą całkiem wykiwać, albo w dodatku szantażować.

— A kto mógłby to bezpiecznie sprzedać?

— Tylko sam Czaban. Myślałem już o tem, by zaproponować mu wykupienie tej walizki. Tylko za wielkie ryzyko i jak to zrobić?

Arletka przecząco potrząsnęła głową.

— To na nic. Ja go znam. Taki cwaniak. Nic nie da i jeszcze do kryminału wsadzi. Trzeba coś innego wykombinować.

I na to mieli jednak czas, gdyż jak to bez trudu stwierdzili przez telefon, Czaban bawił zagranicą. Pomimo to Arletka postanowiła rozpocząć wstępne działanie, rozpoczęła zaś je od odwiedzin u węgierki Bibi. Bibi nie tańczyła już oddawna. Dziewczyna miała szczęście, bo wyszła zamąż za niejakiego Zielińskiego, urzędnika na przyzwoitym stanowisku. Z Zielińskim Czaban miewał często interesy i wyswatał go ze swoją przyjaciółką. Nie było jednak tajemnicą, że sam z nią dawnych stosunków nie zerwał. Świadczyły o tem i futra i inne luksusy pani Bibi, nie mieszczące się w dochodach jej męża.

Bibi niegdyś przyjaźniła się z Arletką, to też szczerze ucieszyła się, gdy ją ujrzała. Nie zmieniła się w niczem. Była szczebiotliwa, wesoła i lekkomyślna jak zawsze, pełna projektów zabaw, eskapad, zaabsorbowana setkami spotkań, telefonów, przygodnych flirtów, przymiarek i t. p. Arletce bez trudu udało się wtrącić w rozmowie kilka entuzjastycznych wzmianek o przepowiedniach wielkiego jasnowidza Mahatmy Bahila. Wystarczyło to w zupełności, by zainteresować Bibi. A ponieważ w ciągu godziny Węgierka zdążyła opowiedzieć przyjaciółce moc szczegółów o sobie, nazajutrz, gdy zjawiła się u Mahatmy, była wręcz olśniona jego nadprzyrodzonym darem.

Gdy zasypywała go wykrzyknikami największego uznania, Murek powiedział:

— Ach, proszę pani, życie żadnej jednostki nie przedstawia dla mnie tajemnic. Najskrytsze jej myśli i uczucia, jej przeszłość i przyszłość, widzę w tej szklanej kuli z całą doskonałością. Ale umiem dokonać rzeczy znacznie trudniejszych. Naprzykład, przewidzieć kursy giełdowe, odnajdywać rzeczy zagubione, lub ukryte skarby.

Bibi zawołała z zachwytem:

— Ależ pan, mistrzu, mógłbyś się stać w ten sposób miljonerem!

Murek uśmiechnął się pobłażliwie:

— Mógłbym. Tylko widzi pani, ja pracuję dla wiedzy i dla dobra ludzkości. Pieniądze byłyby mi tylko zawadą. Ale bliźnim z chęcią zawsze służę. Nie może sobie pani wyobrazić, ilu wielkich finansistów przychodzi tu do mnie. Dyrektorzy banków, kierownicy wielkich firm handlowych, przemysłowcy... Przyjeżdżają z Łodzi, z Katowic, nawet z zagranicy...

— Ja rozumiem, że pan, jako uczony i jasnowidz nie bardzo dba o pieniądze. Ale jabym pękła z zazdrości, gdyby na moich wskazówkach ktoś dochodził do majątku, a ja żebym z tego nic nie miała.

— No, pani może z tego coś mieć — powiedział znacząco.

— Jakto?

— O, to bardzo proste. Ja takiego udziału w zyskach nie potrzebuję. Ale mógłbym zastrzedz ten udział dla pani.

Okrągłe oczy Bibi otworzyły się szeroko:

— Dla mnie?

— Dlaczego nie.

— Bo z jakiego tytułu?

Murek zrobił nieokreślony ruch ręką:

— Chociażby przez sympatję dla pani.

— O, pan jest bardzo uprzejmy, ale sympatja to jeszcze nie tytuł — zrobiła zalotną minkę.

— No więc, powiedzmy: prowizja. Gdy ktoś z pani znajomych, dzięki mojej wiedzy zrobi jakiś świetny interes, będzie musiał zrewanżować się pani częścią dochodu, już za samo to, że to pani skierowała go do mnie. I jak pani woli: Może pani osobiście zawrzeć z nim taką umowę, lub też ja podam mu ten warunek.

— To pyszne! — Bibi klasnęła w ręce. — Pyszne! Znam kogoś takiego... Bardzo panu dziękuję.

Od tego dnia Murek czekał na zjawienie się Czabana. Mijały jednak tygodnie, a ten nie wracał do Warszawy.

Tymczasem dochody wciąż malały. Murek z nudów studjował swoje podręczniki okultystyczne, wprawiał się w chiromancji i odczytywał swoją kartotekę. Właśnie przy tej czynności przyszło mu na myśl, że taki kapitał, jak poufne wiadomości o różnych grzeszkach różnych ludzi, można wyzyskać nietylko w procederze wróżbiarskim. Przecie zagrożenie, naprzykład takiej pani prezesowej Holbeinowej ujawnieniem jej stosunku z porucznikiem Żuczkiem (a wystarczyłby tu anonim do jej męża), przyniosłoby lekko licząc, pięćset złociszów. Świństwo, bo świństwo, ale kogo tu byłoby żałować!...

Ucieszył się tym pomysłem bardzo. W kartotece znalazł jeszcze kilkanaście nazwisk osób, z których możnaby pociągnąć. Wynotował wszystko i czekał na Arletkę, gdyż sam ani rusz nie mógł wykombinować techniki i organizacji pomysłu. Oczywiście byłyby nierozsądnem ryzykiem osobiste pertraktacje z tą czy inną ofiarą.

Pakowanie w to Arletki również groziło poważnemi następstwami jemu samemu. Napróżno głowił się nad tem do wieczora. Gdy jednak przyszła Arletka, jeszcze raz miał możność sprawdzić, jaki ta dziewczyna ma spryt. Przedewszystkiem sam pomysł uznała za świetny, powtóre znalazła odrazu sposób rozbudowania go i doprowadzenia do stanu bezwzględnej skuteczności.

— Nie myśl, — powiedziała, — by każdy na gębę zechciał dać okup za milczenie. Musimy mieć w ręku jakieś dowody kompromitujące. Jest na to rada. Znam niejakiego Walaska, który był kiedyś łapaczem, a później miał biuro prywatnych detektywów, póki nie odebrali mu koncesji. Szuja jakich mało, ale wszędzie wleźć potrafi, byle mu dać nitkę w rękę i parę złotych na wódkę. Wystarczy zaś mieć w ręku jakiś list, czy fotografję (Walaskowi trzeba kupić aparat fotograficzny), a już forsa pewna.

Murek zamyślił się.

— No dobrze, ale jak prowadzić pertraktacje?

— Człowieku! Przez telefon, a po forsę można pchnąć byle kogo. Najlepiej zwykłego posłańca. Już o to się nie bój.

Arletka była o tyle przezorna, że nie chciała Walaska sprowadzać na Jasną. Spotkała się z nim w małej restauracyjce na Starem Mieście i tam wyznaczyli sobie stały punkt spotkań. Natychmiast też puścili w ruch sprawę prezesowej Holbeinowej, dlatego, że była to sprawa łatwiejsza od innych. Holbeinowa była osobą systematyczną i odwiedzała swego amanta dwa razy tygodniowo, zawsze o godzinie szóstej. Jej mąż bowiem poświęcał te właśnie wieczory swojej stałej partji bridża. Adres amanta, porucznika Żuczka, figurował w kartotece Murka, pozostawało zatem tylko znaleźć w jego mieszkaniu jakiś list Holbeinowej lub jej fotografję z dedykacją. To zadanie nie przerastało zdolności Walaska. W ciągu tygodnia nawiązał on przyjacielskie stosunki z ordynansem porucznika, czego owocem była spora paczka bilecików pani prezesowej.

Nie bez tremy Murek odczytywał jej nazajutrz przez telefon niedwuznaczne teksty z tych pachnących kartek. Baba była przerażona i oświadczyła gotowość spotkania się na mieście i wykupienia tych rzeczy. Zgodziła się jednak załatwić to przez posłańca.

— Jeżeli jednak — zagroził na zakończenie Murek — szanowna pani prezesowa nie przyniesie mi w kopercie owych pięciuset złotych, proszę się strzec. Oddaję pani uczciwie wszystko, co posiadam, ale nie radzę żadnych wybiegów.

— Jest pan łotrem i szantażystą — odpowiedziała Holbeinowa — i choćby dlatego, żeby nie mieć przykrości powtórnej rozmowy z panem, zapłacę całe pięćset.

— Za owego „łotra” zapłaci pani o sto złotych więcej. Takie okrągłe słówko warte tyle? Chyba, że szanowna pani prezesowa zgodzi się na rewanż z mojej strony.

— Jakto rewanż?

— Zwyczajny. Łotr powie pani, że szanowna pani prezesowa jest...

Tu z naciskiem i rozdzielając sylaby, zakończył mocnem, obelżywem słowem.

Rzuciła słuchawkę, lecz w pół godziny później, Arletka czekająca przy rogu ulicy na powrót posłańca, otrzymała odeń kopertę z pieniędzmi.

Dla uczczenia tak poważnego wpływu, Murek z Arletką spędzili ten wieczór w dobrej restauracji. Pozwolili sobie na taką ekstrawagancję wyjątkowo, gdyż naogół nie pokazywali się nigdy razem, w swoim własnym, dobrze zrozumianym, interesie.

Po Holbeinowej zabrali się do młodego lekarza, doktora Sańskiego, który, za pieniądze swej starszawej i bogatej żony, utrzymywał pewną ekspedjentkę, wraz z całą jej rodziną. Sański przysięgał, że nie ma pieniędzy, że popełni samobójstwo, groził, że doniesie policji, zapewniał, że jego żona i tak wie o wszystkiem, gdy jednak przyszło co do czego, zapłacił trzysta złotych.

Jednocześnie, coraz bardziej wchodząc we wprawę, rozpoczęli kilka dalszych wymuszeń. Nie zawsze wszystko się udawało. Czasem trafiało się na ludzi, którzy istotnie nie mieli pieniędzy, lub przeciw którym nie udało się zebrać namacalnych dowodów. Tym Murek dawał spokój, natomiast w stosunku do opornych, do ludzi który utrzymywali, że wolą się narazić na największe przykrości, lecz nie dadzą się szantażować, nie miał cienia litości. Następstwem takiego oporu był głośny na całe miasto skandal rodzinny w domu pewnego adwokata, jeszcze gorzej skończyło się z właścicielem wielkiej firmy jubilerskiej Pażyńskich. Pażyński po otrzymaniu fotografji swej żony z dedykacją dla kochanka, zaczaił się przed drzwiami jego mieszkania i zastrzelił żonę.

Po tem zdarzeniu Murek przez kilka dni chodził nieswój, lecz w końcu wyperswadował sobie wszystko, tembardziej, że Arletka stukała się tylko w czoło, gdy jej wspomniał o objekcjach.

Oczywiście zajęcie się temi sprawami nie przeszkadzało Murkowi w kontynuowaniu stałego procederu wróżbiarskiego. Lato dobiegało końca, ludzie wracali do miasta, klientela rosła.

Pewnego popołudnia przyszedł Czaban. Murek nie widział go nigdy przedtem, lecz poznał natychmiast po wielkim brylancie w pierścionku, hałaśliwem zachowaniu się i owej rubasznej nonszalancji, utrzymanej w stylu przedwojennego rosyjskiego „dielca”, o szerokiej duszy i głębokiej kieszeni. Arletka dużo o nim opowiadała i umiała trafnie go określić.

Murek zbyt dobrze umiał panować nad sobą, by okazać niepokój lub radość ze zjawienia się tego gościa. Wskazał mu krzesło przed biurkiem i sam usiadł.

Czaban założył wysoko nogę na nogę, obejrzał się kilka razy po pokoju i powiedział:

— Nu, panie mistrzu, ja słyszałem, że pan podobno fenomen, a? Może pan i mnie co ciekawego powie? Ja bardzo lubię te wszystkie wasze z duchami, i wogóle.

Murek poważnym, prawie surowem spojrzeniem zmierzył gościa:

— A co pana interesuje?

— Mnie? Wszystko. Wal pan, panie mistrzu, po porządku, jak idzie.

I wcale niespeszony przenikliwem spojrzeniem z za ciemnych okularów wziął z biurka trupią czaszkę, przyjrzał się jej zbliska, puknął parę razy po ciemieniu, powąchał i odstawił spowrotem. Skolei sięgnął po nóż do przecinania kartek, przy pomocy którego oczyścił sobie paznokieć, spojrzał pod światło na brylant i chrząknął niecierpliwie.

Murek tymczasem przysunął do siebie szklaną kulę, otarł ją kawałkiem zamszu i powiedział:

— Pan jest wyjątkowo łatwym typem dla mnie jako dla jasnowidza.

— Nu, nie gadaj pan! Jak będzie jaka zła wróżba, to podziękuję żeby nie skutkowała, jak dobra, to i pan nie pożałujesz, byle się sprawdziła.

Murek się uśmiechnął:

— Co ja przepowiem, musi się sprawdzić. Może mi pan tymczasem pokażę rękę?

— Prawą, lewą? — obie wyciągnął Czaban.

— U pana prawa będzie miarodajniejsza.

— Dlaczego u mnie prawa?

— Bo... bo pan jest człowiekiem interesu. Pan prowadzi nader czynny tryb życia..

— Nu — zachęcił go Czaban.

— Pan jednak ma też do czynienia z rolnictwem, chociaż osobiście pan się tem nie zajmuje... Tak... Jest pan szczery, otwarty, co w myśli, to na języku. Lubi pan pieniądze, ale i pana pieniądze lubią. Ma pan szczęście i spokój w domu. Jest pan żonaty, ale dzieci pan nie posiada... Nie, nie! Owszem, ma pan jedno, ale już dorosłe. Poproszę o lewą rękę... No, naturalnie, córka. Jej imię zaczyna się na literę T., zdaje się że T., bo i druga litera jest co w pańskiem życiu odgrywa jakby ważną rolę, aby to nie litera B?

Murek spojrzał na Czabana, z którego twarzy znikła dotychczasowa beztroska i który zaczął się widocznie przejmować tem, co słyszał.

— Nu, co dalej?...

— Pan niedawno odbył dłuższą podróż. Bardzo niedawno. A i przedtem często pan podróżował. W życiu bywał pan na wozie i pod wozem, ale teraz pan jest już bezpieczny, bogaty i zadowolony. Mniejwięcej przed rokiem... nie... nawet nie przed rokiem, lecz bliżej poniósł pan wielką stratę, ale nie w interesach, lecz jakby przez zgubę, czy przez kradzież. Duża strata...

Murek puścił rękę Czabana, osłonił oczy dłonią i wpatrzył się w kulę:

— Widzę, widzę — mówił — źli ludzie... Dom w ogrodzie... Jakiś człowiek umiera. Krew. Zabija go ktoś, mężczyzna, ale to nie pan. I zabity też nie ma z panem bliższego związku... Może służący... Robi się ciemno! Co to jest?... Bo z jednej strony ciemno i myśli pana w tej ciemności, ale osoba pańska jakby gdzieś indziej, muzyka... śpiewanie... Nie mogę rozróżnić, bo tam jakieś krzyki... Ktoś ucieka... Mokro jest. Krew, nie krew... Deszcz pada... Liście leżą na ziemi... Jesień, to się dzieje jesienią... Bandyci zabierają... złoto, drogie kamienie i pieniądze. Bardzo dużo pieniędzy... Ale to nie są pieniądze, nie banknoty, jakieś papiery bardzo cenne...

Modulował swój głos coraz ciszej, przecierał chustką czoło, wreszcie opadł na fotel i szepnął:

— Nie mogę, to ogromnie wyczerpuje... Za chwilę...

Czaban zerwał się z miejsca:

— Przecież sam widzę. Niech pan odpocznie. Ale rzeczywiście z pana to nie byle kto!

Zakręcił się po pokoju, mijając puhacza, dmuchnął mu w pióra i dodał:

— Ani słowa pan nie zełgał. U wielu wróżek byłem i takich innych, a żeby tak, to nie! Rzeczywiście, fenomen. Bardzo jestem ciekaw, co pan mi jeszcze powie. Ale niech pan odpoczywa. Zmęczył się pan, a?

— Tak, — blado uśmiechnął się Murek, — aż się spociłem.

Czaban ze współczuciem pochylił się nad nim i, pociągając go za rękaw jego pontyfikalnego domina, powiedział zachęcająco:

— Panu pewno gorąco. Niech pan zdejmie ten szlafrok. Bez krępacji. Ciepły dzień. Ja i sam z przyjemnością marynarkę zdejmę.

— Nie, nie, — zaprotestował Murek, któremu swoboda klienta psuła kontenans.

— To może okno otworzyć?

— To utrudniłoby mi koncentrację. Pan będzie łaskaw siadać. Będziemy pracować dalej. Teraz zajrzymy w pańską przyszłość. — Podał mu talję kart: — Proszę przetasować siedem razy i przełożyć do siebie trzykrotnie.

Czaban rzeczowo zabrał się do tasowania i po chwili Murek rozłożył karty na stole. Po wygarnięciu stereotypowej porcji kumunałów, upstrzonej tu i ówdzie ścisłemi informacjami, związanemi z tem, co o Czabanie i jego życiu wiedział napewno, Murek dodał już na ślepo:

— Niech pan się strzeże oszustwa. Wkrótce będzie pan miał do załatwienia poważniejszy interes z jakimś cudzoziemcem czy też żydem. Sprawa będzie wyglądała bardzo dobrze, ale przyniesie panu straty i zmartwienia, jeżeli pan będzie łatwowierny.

— Wiem — przytaknął Czaban, — z tym Nidenbergiem trzeba zawsze trzymać się za kieszeń. A nie może mi pan powiedzieć, czy to dotyczu smarów czy lnu?

— Lnu, — z całem przekonaniem odpowiedział Murek, — wogóle to nie jest realny interes.

— Ma pan rację. Teraz jeszcze jedno: — Czy te weksle, które mam w kieszeni, warto przyjąć?

Murek zawahał się.

— Na wekslach musi być podpis: gdybym podpis zbadał grafologicznie, mógłbym panu ściśle odpowiedzieć.

— Proszę bardzo — Czaban sięgnął do kieszeni i położył przed Murkiem paczkę weksli na kilkadziesiąt tysięcy z wystawienia „Domu Handlowego M. Cukierman".

Murek nieraz za czasów swojej biedy pracował na Bielańskiej w składach tej firmy. Oczywiście, nie wiedział, czy obecnie stoi ona tak dobrze, jak wtedy, jednakże zaryzykował i rzuciwszy okiem na odległe terminy płatności weksli, powiedział poważnie:

— Ten Cukierman nie jest uczciwym człowiekiem...

— Szuja — przerwał Czaban, — ale to mnie nie obchodzi. Czy weksle wykupi, o!

— Wykupi — zapewnił Murek.

— Nadzwyczajnie pan mówi — z uznaniem zawołał Czaban, — to prawdziwy dar Boży. A nie mógłby pan mi jeszcze powiedzieć o tamtej mojej stracie? Bo, widzi pan, bandyci zrabowali mi wówczas około trzystu tysięcy złotych, ale ugryźć ich nie mogli, bo nie w gotówce, tylko w papierach wartościowych i wekslach. I sam nie mam i drugiemu nie dam. Gdyby tak można było dowiedzieć się, kto te papiery ma, tobym odkupił. Jak Boga kocham, odkupiłbym. Połowębym oddał. Niechno pan, mistrzu, popatrzy w tę swoją kulę. A nóż, a widelec!

Murek zakaszlał, by ukryć radość. Przecie o to tylko mu chodziło. Jednakże przez ostrożność postanowił drożyć się:

— Nie, dzisiaj nie mogę. Za wiele pan ode mnie żąda, jak na jeden seans. To wymaga koncentracji wszystkich sił duchowych.

Czaban podrapał się w głowę:

— Szkoda. Ale ma pan nadzieję, że coś się da zrobić, a?

— Zapewne — Murek zmarszczył czoło, — postaramy się. Rozumie pan jednak, że w tej dziedzinie żadnych gwarancyj być nie może.

— Jakże! Wróżba to nie Rolls-Royce, żeby mieć gwarancję na pięć lat. To jasne. Ale co szkodzi spróbować. Pan ma niewątpliwy dar jasnowidzenia. Jeżeli nie dzisiaj, to może jutro do pana wpaść?

Na tem też stanęło i po wyjściu Czabana Murek długo chodził po pokoju, zacierając ręce i śmiejąc się do siebie. Pomimo swojej nonszalancji Czaban wywarł na nim dodatnie wrażenie. Jego czerstwa, rumiana twarz, jakaś zdrowa jędrność, uwydatniająca się w ruchach i głosie, sprytne ale życzliwe spojrzenie, ba, nawet ten zapach mocnej kolońskiej wody, który pozostał po nim w pokoju, wszystko to tworzyło zdecydowaną całość, składając się na obraz człowieka, któremu musi dopisywać powodzenie.

Murek wiedział od Arletki, że Czaban w wielu swoich interesach nie trzymał się zbyt niewolniczo ani etyki, ani prawa, co nie przeszkadzało, że cieszył się opinją porządnego człowieka. Murkowi nie wydało się to dziwne, gdyż miał już czas przyjrzeć się życiu. Skłonny był nawet wierzyć, że to, co ludzie nazywają porządnością, jest właśnie niczem innem, jak tylko mieszaniną sprytu i powodzenia, umiejętności lawirowania i szczęścia.

Sam kiedyś uważał się za porządnego człowieka. Dziś patrzył na siebie w przeszłości czasem jak na jakiegoś prawie bohatera, czasem jak na poczciwego głupca. Po przyjrzeniu się Czabanowi, wręcz pływającemu w „zdrowiu, szczęściu i wszelkiej pomyślności", powiedział do siebie:

— Trzeba umieć tak żyć. On napewno nie ogląda się za siebie i napewno nie przeszkadzają mu spać rozmyślania nad tem, czy postępuje uczciwie, czy nie.

Wieczorem opowiedział Arletce o wizycie Czabana i zaczęli radzić, jak z nim tę kombinację załatwić.

— Nie śpiesz się — mówiła Arletka, — bo gotów domyśleć się, że w tem jest kant. Jutro powiedz mu tylko część. Ale, gdzie ty masz tę walizkę?

Murek już chciał powiedzieć jej prawdę, gdy przyszło mu do głowy, że lepiej zamilczeć. Nikomu, nawet Arletce, nie należało zbytnio ufać.

— Mam w bezpiecznem miejscu — mruknął. — U pewnego komunisty.

— No, więc jakże?

— Zabiorę od niego i ukryję gdzieś w pustkowiu.

— A czy jesteś pewien tego komunisty? Może już dawno twoją walizkę djabli wzięli?

Murek jednak był pewien. Nie naprózno co pewien czas jeździł na Czerniaków. Stosując się do rady Arletki, ułożył sobie, że nazajutrz Czabanowi powie „radosną nowinę". Mocą swego jasnowidzenia ujrzał oto bronzową walizkę, pełną cennych papierów, ukrytą w jakichś ruinach, w pobliżu wody, prawdopodobnie Wisły.

Niestety, Czaban się nie zjawił ani oznaczonego dnia, ani we czwartek. Po czterech dniach Murek zaczął się niepokoić, a nawet żałować, że nie upomniał się u Czabana o honorarjum za wróżbę. Wreszcie wysłał Arletkę na zwiady do Bibi. Okazało się, że wyjechała na tydzień do Łodzi. Wystarczyło zatelefonować następnie do Zarządu Dóbr książąt Zasławskich, by dowiedzieć się, że pan dyrektor bawi w Łodzi, lecz niedługo wraca. To uspokoiło Murka. Był przekonany, że Czaban nie ucieknie i zjawi się zaraz po powrocie.

Jakoż przyszedł. Zaczął od usprawiedliwienia się i zawołał:

— A pan może myślał, że już mnie djabli wzięli, a?

Murek uśmiechnął się z wyższością:

— Wcale tak nie myślałem, a chociażbym myślał, wystarczyłoby mi spojrzeć w tę kulę...

— Nie? — zaciekawił się Czaban. — Spoglądał pan, mistrzu?

— Spoglądałem.

— No, i co?

— Zobaczyłem pana w dużem, fabrycznem mieście. Pan wyjeżdżał?... I muszę panu dodać, że trzeba być ostrożniejszym. Tam ktoś pana śledził. A pan nie był sam... Z tego mogą wyniknąć przykrości.

Czaban klepnął się po kolanach:

— Fenomenalnie!... Pan, panie mistrzu, jest niebezpieczny człowiek... Pan, jako komisarz policji albo sędzia śledczy! Fiu-fiu!

Po krótkiej rozmowie Murek zatopił wzrok w swojej szklanej kuli, a Czaban z uwagą wsłuchiwał się w jego słowa. Wreszcie oświadczył wstając:

— Proponuję panu interes: niech mi pan tę walizkę odnajdzie, a podzielimy się rzetelnie fifty-fifty popałam. Zgoda?

I wyciągnął do Murka rękę.

— To przecież mi się nie należy — Murek udał zakłopotanie.

Czaban zaśmiał się.

— Mnie się też nie należy, bo i tak na to nie liczyłem, a bez pana nie da rady. No, zgoda?

— Zgoda — podał mu rękę Murek.

Czaban usiadł znowu.

— Nad Wisłą — powiedział, — w ruinach, ale czy w Warszawie, czy może gdzieś pod Toruniem, czy pod Krakowem?

— O, że w Warszawie, to pewne. Widziałem Warszawę dokładnie.

— A czy w kuli może pan zobaczyć ścisłe miejsce?

— To bardzo trudne. Udaje się wprawdzie czasami, ale rzadko, bardzo rzadko... Mam jednak na to sposób. Lepszy i pewniejszy!

Murek wstał, otworzył szafę, wyjął z niej pudełko i postawiwszy je na biurku, zdjął wieczko. Wewnątrz leżał owinięty w czerwonym jedwabiu nieduży, płaski przedmiot. Umyślnie pomału i z pieczołowitą ostrożnością odwinął jedwab. Zdumionym oczom Czabana ukazał się zgięty i rozwidlony na końcu kawałek drutu w kształcie litery Y. Do rozwidlonych końców tajemniczego przyrządu przyczepiony był cieniutki, jak włos, drucik miedziany, na którym w środku zwisała metalowa kulka wielkości ziarenka grochu. Murek stracił dwa dni czasu na obmyślenie i wykonanie tego instrumentu podług szkiców, znalezionych w swoich magicznych książkach.

— Cóż to jest? — zapytał Czaban.

— Różdżka — tajemniczym szeptem odpowiedział Murek.

— I do czego to jest?

— Właśnie do tego, do wykrywania rzeczy niewidocznych dla oka, znajdujących się pod powierzchnią ziemi. Ta różdżka, którą pan widzi, oddała już rodzajowi ludzkiemu ogromne usługi. Przy jej pomocy wielki różdżkarz, Adam Bon, odkrył złoża węgla w Nowej Kaledonji, następnie źródła naftowe w Rumunji i żyły złota w Meksyku. Nie chwaląc

się, ja też przed siedmiu laty, posługując się tą różdżką, odnalazłem pod Hannowerem wielkie skarby, o czem pewno pan czytał w gazetach, bo rzecz była głośna na cały świat.

Czaban zapytał:

— A jak się tego używa?

— Zwyczajnie. Trzyma się to za rękojeść, a drgania kulki wskazują kierunek. Im bliżej do poszukiwanego przedmiotu, tem silniejsze drganie. Czy nie słyszał pan serjo nigdy o różdżkarstwie?

— Nie zdarzyło się. Ale pokaż pan to — Czaban wyciągnął rękę. Murek jednak cofnął się z przerażeniem.

— Niech pan nie dotyka!...

— Bo co?

— Bo różdżka może stracić swoje własności. Widzi pan, niektórzy ludzie, czasem nawet nie wiedząc o tem, mają wysoką nadwrażliwość magnetyczną. Ich fluid magnetyczny sprawia, że taka różdżka jest specjalnie uczulana. Dotyk zwykłej ręki niweczy jej precyzyjność. Najlepiej działa nocą, kiedy niema słońca. Otóż proponuję panu, byśmy któregoś dnia, późnym wieczorem przeszli się sobie wzdłuż Wisły. Nie wątpię, że różdżka zawodu nam nie sprawi.

Czaban zgodził się odrazu. Tegoż wieczora Murek pojechał na Czerniaków, sprawdził, że walizka jest na dawnem miejscu i zabrał z kryjówki kopertę z dokumentami szpiegowskiemi, której nie mógł tu zostawić. Bał się również ją trzymać w domu lub przy sobie. Komuniści wprawdzie od dłuższego czasu dali mu spokój, nie wykluczało to jednak, że mogło im coś znowu strzelić do głowy. Pozatem, zawsze należało się liczyć z możliwością najścia policji.

Po długim namyśle wpadł na koncept ukrycia dokumentów na poczcie. Wynajął skrytkę na zmyślone nazwisko, kluczyk schował do kieszeni i odetchnął z ulgą.

Nazajutrz o umówionej godzinie spotkał się przy moście Kierbedzia z Czabanem i ruszyli w górę Wisły. Po drodze Murek od czasu do czasu wyjmował z pod palta swoją różdżkę i w skupieniu wyciągał ją przed siebie. Czaban przyglądał się tym manipulacjom z lekkiem niedowierzaniem, gdy zaś minęli most Poniatowskiego, wyraził przypuszczenie, że wszystko może być napróżno, gdyż jeżeli naprawdę walizka ukryta jest gdzieś nad Wisłą, może się znajdować w okolicy Żoliborza.

— Na to niema rady — odpowiedział Murek. — Jeżeli tutaj nic nie znajdziemy, jutro zbadamy brzeg w tamtą stronę.

Posuwając się zwolna milczeli przez przeszło kwadrans, gdy nagle na jednym z postojów, Czaban dostrzegł dziwną zmianę w twarzy Murka.

Brwi podniosły się, powieki przykryły oczy, w rysach wyraziło się skupienie. Jednocześnie ręka z tajemniczym aparatem zatoczyła krąg, poczem wahając się od prawej do lewej strony, zatrzymała się w środku.

— Tu jest największe przesilenie — szepnął Murek.

— Co to znaczy? — również szeptem zapytał Czaban, chociaż nikogo w pobliżu nie było.

— To znaczy, że znajdujemy się niedaleko od jakiegoś ukrytego przedmiotu.

— Od jakiego?

— Nie jestem jeszcze pewien. W każdym razie mamy kierunek.

Szli teraz jeszcze wolniej i coraz częściej Murek sprawdzał przy pomocy różdżki kierunek. Zbliżali się właśnie do zwietrzałych fundamentów po spalonej willi, gdy zawieszona na miedzianym druciku kulka zaczęła drgać tak wyraźnie, że nawet Czaban to dostrzegł.

Murek odetchnął i usiadł na kamieniu.

— Muszę wypocząć. Jeżeli ta różdżka nie jest zwykłem żelastwem, a ja nie jestem szarlatanem, ani partaczem, to musi być tutaj.

Spokojny dotychczas Czaban nie mógł ukryć podniecenia. Nerwowo wyjął ciężką złotą papierośnicę i już chciał zapalić, gdy Murek powstrzymał go:

— Niech pan tego nie robi. To może zaszkodzić.

I rzeczywiście mogłoby zaszkodzić, gdyż błyśnięcie w ciemności zapałki mogłoby ściągnąć kogoś znajdującego się w pobliżu. Po krótkim odpoczynku rozpoczęli poszukiwania. Łażąc po rumowisku, potykając się i zawadzając o nierówności terenu, obeszli całe ruiny, Murek z różdżką na przodzie, Czaban zlekka sapiąc za nim.

Wreszcie Murek stanął nad kupą pokruszonych ciegieł i chwycił towarzysza za ramię, sycząc przez zęby:

— Musi tu być.

— Szukajmy — gorączkowo szepnął Czaban — szkoda psiakrew, żeśmy nie wzięli łopaty...

Nie namyślając się długo, zaczął odrzucać na bok cegły. Po chwili błysnęły w dole białe kafle.

— Piec! — tryumfalnie sapnął Czaban.

Teraz i Murek zaczął mu pomagać. Po chwili dokopali się do drzwiczek. Czaban otworzył je i wsunął dłoń do środka:

— Jest! — zawołał tak głośno, aż Murek odskoczył, poczem wyciągnął walizkę. Teraz już nic nie mogło go powstrzymać od zajrzenia da środka. Ponieważ zaś przekonał się, że pełna była grubszych szeleszczących papierów, zerwał się i chwycił Murka w objęcia z niezwykłym entuzjazmem, wołając:

— A niechże pana cholera weźmie!... I pan na tem dobrze zarobił, ale nie to mnie najwięcej cieszy, tylko to, że te dranie, mierzawcy, nie skorzystają! Patrz pan, jak uchytrzyli się! Takie miejsce sobie wynaleźli! Ale, na psa urok, jak kto ma szczęście to mu go i bandyci nie odbiorą.

Zabrali walizkę i szli naprzełaj ku miastu. Czaban rozbawiony nie przestawał mówić:

— Co to gadać — śmiał się — czy pan wiesz, mistrzu, że ja na tym napadzie, właściwie mówiąc, zarobiłem! Sztuka, a?

— Jakto pan zarobił?

— A, ot tak: zabrali mi biżuterję żony i córki, która była zaasekurowana od kradzieży, i w tem straty nie miałem. Za to, co jest w tej walizce, miałem kupić z licytacji hutę szklaną pod Sosnowcem. Otóż jeżelibym kupił, to zrobiłbym najgłupszy interes w swojem życiu. Czytał pan, dwa miesiące temu, o tym Kumejkowskim, który rzucił się pod pociąg?... To właśnie on wtedy ją kupił!

Tu pan Czaban wybuchnął głośnym, szczerym śmiechem.

— Teraz z panem podzielę się na pół i jeszcze będę wygrany.

Doszli do pierwszej spotkanej taksówki i Czaban podał adres swojej willi. Murek nie chciał tam jechać, gdyż obawiał się, że ów łysy może go poznać, pomimo maski, którą miał na twarzy podczas napadu. Uspokoiło go jednak zapewnienie Czabana:

— Niech się pan nie krępuje, mój wygląd też nie lepszy, paniom i tak się nie pokażemy. Załatwimy sprawę w gabinecie. Musimy przecie obliczyć, co tam jest w tej walizce, ile to warte i ile się panu należy.

— Ja mam do pana zupełnie zaufanie — powiedział Murek.

— Nu, to i dobrze. Zaufanie zaufaniem, a interes interesem. Co oko widzi, to pewniejsze. A zresztą musimy jeszcze o innej rzeczy pomówić.

Taksówka zatrzymała się na ulicy Skolimowskiej, przed willą, której Murek i tak by teraz nie poznał, gdyż dawniej stała odosobniona na pustkowiu, a obecnie naokoło wszystko było zabudowane.

Ku zdziwieniu i zaniepokojeniu Murka, gdy weszli przez furtkę, Czaban skierował się nie ku drzwiom głównym, lecz w stronę owych małych drzwiczek. Obawy jednak były nieuzasadnione.

— Wejdziemy boczkiem — powiedział Czaban — nie chcę bowiem, by ktoś widział, że to przy pomocy pana odzyskałem tę walizkę.

Otworzył kluczem drzwi i po chwili znaleźli się w gabinecie. Czaban zapalił wszystkie światła, w których złocone bronzy i wspaniałe kryształy jarzyły się imponująco. Zawartość walizki została wytrząśnięta. Czaban z niezwykłą wprawą segregował, liczył i zapisywał obligacje, akcje, weksle. Murkowi podsunął tymczasem wielkie pudło z czekoladkami, do którego i sam często sięgał, mrucząc pod nosem przy rachunku. Po zajrzeniu do ceduły giełdowej i do notatnika oświadczył:

— Tak, kursy djabelnie spadły. Połowa tych weksli to makulatura, ale według pobieżnego obliczenia i tak warte to razem około stu sześćdziesięciu tysięcy złotych. Około! nie wykluczam jakiegoś parutysięcznego wahania w tę czy inną stronę. Żeby między nami nie było później żadnych sporów, proponuję panu zrobić sobie spis tego bagażu...

Murek jednak ani słyszeć o tem nie chciał. Zapewnił Czabana, że mu wierzy. Wobec tego walizka wraz z zawartością znikła w czeluści szafy ogniotrwałej, Czaban zaś zaczął:

— Nu, pozostaje nam kwestja rozrachunku. Mnie teraz djabelnie potrzebna jest gotówka. Przyjmujemy, że ja, zgodnie z naszym układem, muszę panu wypłacić osiemdziesiąt tysięcy złotych. Na niektóre jednak papiery kurs obecnie jest bardzo niski, a niektóre weksle nie odrazu dadzą się zdyskontować. Poco pan ma czekać? Zróbmy tak: Wypłacę panu teraz dwadzieścia tysięcy, a sześćdziesiąt wezmę jako pożyczkę. Dam panu dziesięć procent w stosunku rocznym. Przyzna pan, że krzywdy tu niema?

— No, zapewne.

— Na pokrycie wystawię panu własne weksle — tu zaśmiał się szeroko — niech pan tylko nie myśli, że chcę pana wykiwać. Byłbym głupi, próbując oszukać człowieka, któremu wystarczy pogapić się na karty, czy na szklaną kulę, by to odkryć. Nie wymagam zgody zaraz. Jutro mi pan da odpowiedź po naradzeniu się z tą swoją kulą. A teraz jeszcze jedno: nie chcę, by ktokolwiek wiedział, w jaki sposób odzyskałem te rzeczy, i musi mi pan obiecać zachowanie tajemnicy.

— Przecież ja nie wiem nawet, jak pan się nazywa — uśmiechnął się Murek.

— Prawda! Chyba, że i tu jasnowidzenie panu pomoże?

— To bardzo trudne. Wiem tylko, że pańskie imię albo nazwisko musi się zaczynać na literę S.

— Z panem, mistrzu, naprawdę niebezpiecznie. Nazywam się Seweryn Czaban, zaraz zresztą służę panu swoim autografem pod postacią zobowiązania dłużnego.

Murek i od tego jednak zaczął się wymawiać. Właśnie spierali się na ten temat, gdy zapukano do drzwi. Dużo wysiłku kosztowało Murka zachowanie spokojnego wyrazu twarzy, gdy ujrzał znajomą postać łysego faceta.

— Mój szwagier, pan Żołnasiewicz — przedstawił Czaban — pan...

— Doktór Klemm — odpowiedział Murek, podając łysemu rękę.

Żołnasiewicz uścisnął ją z szacunkiem. Oczywiście nie poznał Murka, zresztą miał do Czabana widocznie bardzo pilny interes, gdyż kręcił się po gabinecie niewyraźnie, spoglądając na zegarek. Wobec tego Murek zaczął się żegnać, lecz nie puszczono go:

— Chwileczkę, niech pan zaczeka — powiedział Czaban. — Każę podać auto. Stąd dobry kilometr do postoju taksówek.

Auto niedługo zajechało i gospodarz odprowadził Murka przez główne wejście. Przechodząc przez hall, Murek zobaczył dwóch młodzieńców w smokingach i dwie panie, z których młodsza, zapewne córka Czabana, była bardzo ładna.

Szofer stał przy drzwiczkach samochodu. Kołysząc się wygodnie w wielkiej limuzynie Murek z uśmiechem myślał, że niespełna rok temu opuszczał tę willę w znacznie mniej wytworny sposób.

Arletkę wiadomość o pomyślnem zakończeniu przedsięwzięcia wprawiła w istny szał radości. Wyskoczyła z wanny naga, mokra, pryskając kroplami wody na wszystkie strony, tańczyła po pokoju jak warjatka. Wyglądała przytem tak młodo, świeżo i dziecinnie, miała w ruchach tyle wdzięku i temperamentu, a w błyszczących oczach tyle śmiechu i radości, że Murek przyglądał się jej jak urzeczony. Trudno mu było utożsamić tę Arletkę z dobrze sobie znaną cyniczną, niemal oschłą dziewczyną, która potrafiła z zimną krwią zabić człowieka, mozolnie i zawzięcie przygotowywać szantaże, z ołówkiem w ręku kalkulować każde swoje jutro i pojutrze.

Nie martwił się bynajmniej tą zmianą. Tamtą Arletkę może lubił, napewno jej pożądał, ale i bał się jej zawsze. Bał się, chociaż nie był tchórzem. Czuł się w stosunku do niej, jakby w stanie ustawicznego pogotowia, oczekując wszelkich możliwych niebezpieczeństw. Z jednej strony działało to silnie na jego zmysły, z drugiej jednak z czasem stawało się nużące.

Wieść o tem, że są teraz zamożni, że będą mieli dwadzieścia tysięcy i z samych procentów około pół tysiąca miesięcznie, wywarła na nią zdumiewający wpływ. Wbrew codziennemu zwyczajowi nazajutrz leżała do południa w łóżku, zobojętniała nagle na rozpoczęte, a dobrze zapowiadające się sprawy, nie poszła na miasto, wysłała Murka po prowianty, upominając się kapryśnym głosikiem, by przyniósł coś smacznego.

Murka bawiła, cieszyła, lecz i niepokoiła ta zmiana, tembardziej, że nie miał jeszcze w ręku owych pieniędzy i że w gruncie rzeczy Czaban mógłby nie dać ani grosza, a nawet się nie pokazać.

Gdy minęła piąta, szósta, pół do siódmej, a Czaban się nie zjawiał, Murek zaczął wyglądać przez okno. Minęła jednak jeszcze godzina, pełna zniecierpliwienia i planów zemsty na Czabanie, kiedy wreszcie on sam się zjawił, a raczej wpadł hałaśliwy, uśmiechnięty, jędrny i różowy, kręcąc się po pokoju jak bąk, poklepując Murka po ramieniu i zasypując go krótkiemi zdaniami, gęsto przetykanemi pytającem „a".

Na Murka dziwnie ożywiająco działał temperament Czabana, promieniejąca zeń radość życia i pewność siebie. Rozchmurzył się też i rozruszał. Obojętnie przyjął do wiadomości, że narazie otrzyma mniej o pięć tysięcy, na które będzie musiał poczekać parę dni. Natomiast już w zupełnie dobry humor wprawił go widok banknotów, które paczka po paczce przewędrowały z pugilaresu Czabana przez biurko do szuflady. Dla porządku chciał wystawić pokwitowanie, lecz Czaban roześmiał się:

— Do djabła z pokwitowaniami, jeżeli będziemy na takie głupstwa tracić czas, to lepiej się powiesić. Nu, ale teraz ubieraj się pan, panie mistrzu, jedziemy na wódkę.

— O, doprawdy... — zaczął Murek, lecz Czaban nie dał mu dojść do słowa:

— Żadnego gadania. Szlag mnie trafi, jeżeli z panem nie wypiję. Bierz pan swoje sakpalto, kapelusz, laskę... Masz pan laskę?... — mówiąc to otworzył drzwi do przedpokoju i podał kolejno Murkowi kapelusz i palto, w poszukiwaniu laski zajrzał nawet za szafę i już dodał:

— Dostaniesz pan odemnie w prezencie pierwszorzędną laskę. To nieprzyjemnie tak chodzić z pustemi rękami. Nu, chodźmy, chodźmy!

Murek dał się wypchnąć, chociaż wolałby w gruncie rzeczy zostać w domu i poczekać na Arletkę, która miała niedługo wrócić. Bądź co bądź było to ich pierwsze święto i wolałby je spędzić z nią, niż w knajpie. Myślał nawet o tem gdy auto zatrzymało się przed restauracją, że należało w domu zostawić dla niej kartkę, z przeprosinami.

Służba w lokalu powitała przybycie Czabana entuzjastycznie. Bywał tu wprawdzie rzadko, lecz pamiętano dobrze wysokie rachunki, jakie płacił. I teraz zanosiło się na spory. Na stoliku zjawił się drogi koniak, kawior, ostrygi i piękny homar; przy stoliku w kuble z lodem osiadła butelka jakiegoś starego wina. Gdy kelnerzy odeszli, a Czaban spostrzegł, że Murek z wyraźnym brakiem zaufania omija ostrygi, powiedział:

— To niezła rzecz. Nic nadzwyczajnego, ale taka sobie galaretka. Spróbuj pan, jak Boga kocham. Ja też za pierwszym razem nie mogłem się zdecydować. Powiem nawet panu, że trochę było obrzydliwie, bo mówili, że piszczy i takie różne fintifluszki. Wal pan... — odwrócił się i zawołał na pół sali: — Gdzież to wasza orkiestra, a?

Po pół godzinie orkiestra grała już cygańskie romansy, a butelki na stoliku opróżniły się znacznie. Przekąskom nie było końca, lecz apetyt Czabana nie zmniejszał się bynajmniej. Murek, który dwie połknięte ostrygi zagłuszył majonezem z sandacza i dopchnął paru porcjami pasztetu strasburskiego, postanowił skorzystać ze sposobności:

— Pan pozwoli, że zatelefonuję? Mam maleńką sprawę

Nie miał żadnej sprawy, lecz zadzwonił do domu. Przyszło mu do głowy, czy nie ściągnąć tu Arletki. Sądził, że sprawiłoby to jej przyjemność. Arletka jednak ani słyszeć o tem nie chciała!

— Czyś oszalał? — zawołała. — Przecież on odrazu domyśliłby się wszystkiego. To za wielki spryciarz. Jakby się dowiedział, że my się znamy, przepadłoby wszystko. Ty chyba nie wspominałeś mu o mnie?

— Nie, co znowu, sądziłem tylko, że mogłabyś tu przyjść, a on zaprosiłby cię do stolika. Udawałbym, że cię w życiu nie widziałem.

Arletka wszakże odrzekła:

— Zbyt wielkie ryzyko. Stanowczo się nie opłaca.

— Ale nie gniewasz się na mnie, żem z nim poszedł?

— Skądże! Bardzo dobrze zrobiłeś. Z tej znajomości może być pożytek. Baw się wesoło, ale pamiętaj, byś się nie dał mu skusić! Znam go. Już wy na jednej knajpie nie skończycie. Przeciw temu nic nie mam. Ale jakby cię chciał zaciągnąć do „ciotki Kopystyńskiej", to pamiętaj!...

Murek uspokoił ją, że nietylko do „ciotki Kopystyńskiej", ale nawet i do innej knajpy nie pójdzie. I miał szczery taki zamiar. Nie tak łatwo było jednak z Czabanem. Po kolacji oświadczył bezapelacyjnie, że muszą pojechać do Moulin Rouge, gdzie występuje jakiś znakomity tancerz, a pozatem są bardzo ładne dziewczynki.

— Dziękuję bardzo — próbował bronić się Murek. — Ja doprawdy czuję się zmęczony.

— Zmęczony? Nu, to i dobrze. Ja też jestem po kolacji zawsze zmęczony. To właśnie pojedziemy odpocząć do Moulin Rouge.

Pojechali. W dancingu jednak nastrój był dość nędzny. Występy się jeszcze nie zaczęły. Ładniejsze fortancerki siedziały już przy innych stolikach. Reszta wyglądała nieciekawie. Natomiast do Czabana i Murka przysiadł się zaraz jakiś gruby jegomość, widocznie przemysłowiec z Łodzi, gdyż zaczął narzekać na strajk włókienniczy. W miarę, jak lokal zaczął się zapełniać, rosło i towarzystwo przy stole Czabana. Jakiś adwokat, oficer straży granicznej, znany aktor z przyjaciółką. Im częściej służba dolewała szampana, tem mniej Murek orjentował się wśród nowych znajomych i tem stawał się weselszy. Około szóstej nad ranem śpiewał już słone piosenki ludowe przy akompanjamencie orkiestry. Gruby przemysłowiec tańczył na środku kujawiaka z jakimś chudym żydkiem, który nie wiadomo skąd się wziął.

Był już jasny, słoneczny ranek, gdy Murek wrócił do domu i obudził Arletkę z zamiarem opowiedzenia jej, jak spędził wieczór. Zanim jednak dojechał do połowy, sam zasnął kamiennym snem.

Od tego dnia Czaban wyraźnie polubił Murka. Dwa, a czasem i trzy razy na tydzień dzwonił doń, próbując wyciągnąć go na knajpę, kilka razy przychodził sam, by „pan mistrz" udzielił mu rady w interesach. Chociaż nie bez strachu Murek jednak radził: tu kupić, tam sprzedać, z tym nie wchodzić w spółkę.

Lada dzień spodziewał się, że temi wskazówkami narazi Czabana na poważne straty. Widocznie jednak człowiek ten miał naprawdę wielkie szczęście w interesach, gdyż mijały miesiące, a powodzenie go nie opuszczało.

ROZDZIAŁ III

Wraz z przeprowadzeniem się do nowego mieszkania, znacznie obszerniejszego i wcale eleganckiego, chociaż mieszczącego się na tejże klatce schodowej, Murek podniósł swoją taksę. Klientelę przyjmował teraz między jedenastą rano, a drugą popołudniu. Wieczory wymówiła sobie Arletka i spędzali je razem prawie codzień. Dziewczyna pod wpływem dobrobytu i ustania trosk dawniejszych zdawała się kwitnąć. Od rana Murek słyszał jej śpiew, niezwykle miły głos: niski i ciepły, od rana przyglądał się jej roześmianym oczom i jej urodzie, którą wciąż nie mógł się nasycić. Kiedy mówił jej:

— Aż dziw, jak mi z tobą dobrze — nietylko nie było w tem przesady, lecz raczej zbytnia powściągliwość w ocenie własnych uczuć.

Jego życie nabrało przecież w końcu jakiegoś rytmu stałego, zakotwiczyło się, weszło na jakiś tor. Zapewne inaczej to sobie kiedyś wyobrażał dawny Murek, ale przecież i to było dużo, bardzo dużo, znacznie więcej niż mógł się spodziewać. Jeżeli dawniej nie wierzył w miłość Arletki, a później nie oceniał dość poważnie tej miłości, to teraz w każdym dniu i o każdej godzinie miał tyle jej świadectw, że otaczała go zewsząd jakby ciepłą różową mgłą, z której niepodobna było i z której nie chciał się uwolnić.

Co prawda od czasu do czasu ogarniał go nagle niepokój. Niewiadomo skąd cisnęły się pytania, czy to, co od Arletki otrzymuje i to, czem jej się wypłaca nie jest jakąś przebiegłą komedją, ułożoną i wyreżyserowaną przez strach obejrzenia się w przeszłość, przez zawzięte pragnienie wykreślenia z pamięci dawnych ideałów, wierzeń, nadziei? Czy nie było to wielkie i bolesne oszustwo, którem każde z nich, siebie i drugiego chciało otumanić, każde z nich, z pary rozbitków, którzy wpatrują się w swoje oczy dlatego tylko, by nie odwrócić głowy i nie zobaczyć, że otacza ich przepaść i pustka...

Jakże często Murek łapał siebie na dziecinnych spekulacjach myślowych, w których chciał znaleźć ten pas ratunkowy dla siebie i dla niej, lecz przedewszystkiem dla siebie: odrobinę szacunku. Nie chciał szanować siebie. Z tą ambicją rozstał się już dawno. Ale czemuż nie mógł szanować jej, czemu ze wstydem musiałby opuścić głowę, gdyby na

Arletkę posypały się kamienie oskarżeń i potępienia... Jakże tragicznie tajało i nikło mu w rękach to, co pragnąłby dzisiaj nazwać swem szczęściem, jakże kurczyło się i więdło pod tchnieniem nieubłaganej świadomości, że dla ludzi, że dla świata ta jego Arletka jest i pozostanie na zawsze wyklętą zbrodniarką, czemś złem, czemś brudnem, czemś, czego nawet pokuta odkupić nie potrafi.

I wówczas budził się w nim bunt, wzrastała wściekła zapieniona nienawiść do ludzkości, której brud, fałsz i nędzę moralną tak dobrze przecie poznał, a która z jakąś niesamowitą cyniczną obłudą wciąż zakrywa własną brzydotę nakazami etycznemi, wzniosłemi prawami i dogmatami, przed któremi pada na twarz i bije czołem publicznie poto, by pocichu i pod osłoną tych właśnie bożków uprawiać swoją codzienną podłość.

Z nienawiści tej rodziła się żądza zemsty. I wówczas mścił się na tych, których najłatwiej mógł dosięgnąć, na ludziach figurujących w jego kartotece. Rozsyłał anonimy, telefonował, donosił, wiedząc, że łamie życie, że za każdym razem odsłania obłudne maski, by jaknajszerzej widziano, ile podskórnego brudu jest pod ich oficjalną moralnością, by świat mógł się przejrzeć w mętnej kałuży swojej rzeczywistości.

Bo jakże miał walczyć o nią, o Arletkę, jak o swoje prawo do szczęścia? Gdyby był szatanem i mógł im wszystkim pootwierać piersi, w których wyschłe i samolubne biły serca, gdyby mógł otwierać czaszki pełne zaczajonych niewylęgłych zbrodni i tchórzliwych podłości!... Między taki tłum mógłby wejść z podniesioną głową, mógłby przyprowadzić mu Arletkę i zapytać:

— Kto z was śmie na nią rzucić kamieniem?...

Ale przecież był bezsilny. I wypalała się w nim gorycz i tylko nowa blizna zaciągała się gdzieś wewnątrz obok starych blizn zrogowaciałych już, stwardniałych, znieczulonych. Gdyby Arletka wiedziała, po jakich to walkach i szarpaniach wewnętrznych przychodzą owe pocałunki niezwykle czułe, owe pieszczoty pełne ojcowskiej jakby tkliwości, owe uniesienia przytuleń i wyznań, domyśliłaby się może, że burza wydobyła z dna jego duszy jakieś ogromne współczucie, jakąś serdeczną litość, której ciepłem chciał jej wynagrodzić swoją niezdolność do pełnej, całkowitej miłości.

W takie dni bywał cichy i wyjątkowo dobry. A ona niczego więcej od niego nie chciała: była szczęśliwa. Bo i czego jej do szczęścia brakowało?... Nigdy, odkąd siebie pamiętała, nie było jej tak dobrze. Nigdy nie miała ani człowieka, którego kochałaby tak głęboko, ani domu, własnego domu, w którymby było tak ładnie, swojsko i miło, ani nawet strojów takich i dostatku. A nadewszystko, jakże rozkosznie było wyjść wreszcie z tego sztywnego, kolczastego pancerza, przestać być drapieżnem zwierzątkiem, zawsze gotowem zarówno do napadu, jak i do obrony. Rozprężały się jej mięśnie, jej spojrzenia stały się mniej ostre, jej myśli jaśniejsze.

Tak minęła druga ich wiosna i nadeszło lato. Od czerwca Murek wynajął w Urlach pod Warszawą dwa małe pokoiki w drewnianej willi ukrytej wśród sosen. Arletka zamieszkała tam na całe trzy miesiące, a on przyjeżdżał do niej na soboty i niedziele. Prawdę powiedziawszy, mógłby wcale nie wracać do Warszawy, gdyż klienteli było coraz mniej w związku z wyjazdami na wakacje, wolał jednak i tych zarobków nie lekceważyć.

Pewnego dnia, gdy już zabierał się do snu i służącej wydawał dyspozycje na dzień jutrzejszy, zadzwonił telefon. Służąca usiłowała dowiedzieć się, kto mówi, lecz telefonujący zadowolił się wiadomością, że pan jest w domu i położył słuchawkę. W niespełna kwadrans wpadł ze zwykłym sobie impetem Czaban:

— Nu, co? Pan już w piżamie? — zawołał. — To ubieraj się pan prędzej i pakuj pan neseser. Jedziemy!...

— Dokąd? — zdumiał się Murek.

— Wszystko powiem, tylko nie trać pan czasu. Hermenegildo, Adelajdo! Zuziu, Fruziu!... — zawołał w stronę drzwi. — Jak na imię tej pańskiej Genowefie, a?

— Józefa.

— Hej, Józefo, Józefo kochana, Józefo nadobna! Pali się! Gore! Na ratunek! — krzyczał jak opętany Czaban.

Wystraszona kucharka wleciała do pokoju „z boskiem imieniem na ustach" i otrzymała natychmiast dyspozycje wyciągania i pakowana neseseru. Gdy już wszystko było gotowe, Murek zapytał nakładając marynarkę:

— Więc dokąd mamy jechać?

— Za Kielce! Do Koszołowa!

— Ale po co? — hamował irytację Murek.

Na to Czaban pochylił się doń i szepnął:

— Nafta!

— Jakto nafta? — nie zorjentował się Murek.

— Nu, przecież nie w bańce, tylko w ziemi! Są objawy i mogę kupić tamte tereny i zrobić na tem miljony, ale bez pańskiej pomocy i decyzji grosza nie wyłożę. Musisz pan, panie mistrzu, zabrać swoją tę maszynkę.

Zatarł ręce, lecz Murek skrzywił się:

— No, różdżka... zapewne, ale to nie daje stuprocentowej gwarancji...

— Mnie daje. Już ja widziałem, co ona umie. A pańskie jasnowidztwo od czego.

Nie było rady. Murek zapakował różdżkę, zdążył jeszcze wstąpić do kuchni i uprzedzić służącą, że wyjeżdża w interesach na kilka dni i dopędził Czabana, który z neseserem był już na schodach.

Przed bramą czekał jego wielki samochód. Wsiedli i dopiero gdy znaleźli się za rogatkami na gładkiej, pustej szosie, Czaban zaczął opowiadać. Okazało się, że do odkrycia owej nafty doszedł przypadkowo. Mianowicie umieścił żonę i córkę na lato w majątku ziemskim pewnej hrabiny, która urządziła u siebie pensjonat. Sam wpadł tam z Krynicy na jeden dzień i podczas spaceru w okolicy na bagnistych jeziorkach zobaczył tłuste plamy. Wystarczyło zamoczyć nogi do kostek, by sięgnąć ręką, a później palce powąchać: była to nafta! Najprawdziwsza ropa naftowa, jaką sobie tylko można wyobrazić. Ludzie w okolicy dawno o tem wiedzieli, jednak przez wrodzony brak inicjatywy, czy przez zwykłą głupotę, nie zainteresowali się tem bliżej. Naokoło w promieniu kilkunastu kilometrów ziemia jest nieurodzajna i tania. Przeważnie nieużytki. Ostrożnie działając można wykupić parę tysięcy hektarów za psie pieniądze, zanim się spostrzegą, o co chodzi.

Czaban był tem wszystkiem podniecony, o tyle jednak ostrożny, że objaśniając Murka zasunął szybę dzielącą ich od szofera i mówił półgłosem.

— Nu, co pan o tem sądzi?

— Sądzę — odpowiedział Murek — że nie trzeba odrazu kupować tak wielkich terenów.

— To inni podkupią... Pan nie znasz tych nafciarzy. Niech tylko się rozejdzie, że tam jest nafta, będzie ich jak psów. Cała sztuka polega na tem, by rzecz przygotować w absolutnej tajemnicy.

O świcie minęli Kielce, przed wschodem słońca byli już na miejscu. Szofer zdziwił się, gdy obaj panowie wysiedli przed bramą wjazdową, wyjęli coś z walizki i kazali mu jechać do garażu, a sami oświadczyli, że idą na spacer.

— Jak tu pięknie i cicho — Murek wciągnął w płuca świeże pachnące powietrze i właśnie dla skonstatowania tego zapachu, tak dobrze znanego z najmłodszych lat dziecinnych, poruszał nozdrzami.

— Co? Czujesz pan?

— Naturalnie — skinął głową Murek.

— Nafta?

— Nie, zboże kwitnie...

Czaban niecierpliwie machnął ręką i mruknął:

— Chodźmy tędy.

Obeszli wzdłuż park i ogród owocowy. Dalej teren zaczął się obniżać. Szli między kartofliskami aż do łąk, zrzadka porośniętych łoziną i wierzbiną. Aż do widniejących w odległości paru kilometrów wzgórz i pagórków były takie nieużytki, gęsto usiane jeziorkami i bajorami. Gdzieniegdzie pasły się konie, nad brzegiem wody stały poważnie dwa bociany, skądś zdaleka dolatywało ryczenie krów, widocznie pędzonych na pastwisko. Ludzi nie było widać.

Zbliżyli się do jeziorka, płosząc jakieś piskliwe ptactwo i Czaban wskazał Murkowi wodę przy brzegu. Istotnie poprzez gęstą rzęsę ametystowym dużym plackiem przeświecała tłusta plama. Czaban złamał gałązkę, do jej końca przywiązał chusteczkę i zanurzył w wodzie, poczem powąchał ją i błogi uśmiech wystąpił mu na twarz. Murek uśmiechnął się z mniejszem zadowoleniem, ale musiał przyznać, że chustkę czuć było naftą ponad wszelką wątpliwość. O kilkaset kroków dalej, w miejscu, gdzie w grząskim gruncie kopyta

końskie zostawiły głębokie i nabiegłe wodą ślady, również znać było opalizujące brzeżki. W milczeniu przeszli jeszcze kilometr, wciąż oddalając się od dworu i tu jeszcze wyraźniej na powierzchni wielkiej kałuży fioletem i brudno różowemi odbłyskami opalizowała nafta.

Czaban wziął się pod boki i triumfalnie spojrzał na Murka:

— Nu! Jest nafta, czy niema?

— Niewątpliwie jest, tylko...

— Tylko co?

— Nie wiadomo ile, ani jak głęboko... Zresztą woda podskórna mogła ją przynieść z bardzo daleka.

— Właśnie dlatego pana tu przywiozłem — powiedział Czaban — żeby pan to ustalił. Wyciągaj pan swój instrument! Szkoda czasu!

Murek jednak zaoponował. Takich rzeczy nie można robić łapu-capu. Najpierw należy dokładnie zapoznać się z terenem, by nie tracić czasu napróżno, a powtóre do tego rodzaju duchowego i nerwowego wysiłku można się zabrać wtedy, gdy się jest wypoczętym, gdy się ma w dodatku rodzaj natchnienia. Trudno zaś o natchnienie po nieprzespanej nocy. Widząc niezadowolenie Czabana, Murek dodał:

— Zresztą, niech pan spojrzy, tam idą jacyś ludzie, i tam też. Niechby nas z różdżką zobaczyli, natychmiast rozniosłoby się, że czegoś tu szukamy.

— Masz pan rację — przyznał Czaban. — Pójdziemy tymczasem w tamtą stronę, aż do tej chaty na wzgórzu.

— Po co? — zdziwił się Murek.

— Przy chałupie musi być studnia, — krótko odpowiedział Czaban.

Po godzinie drogi, zmoczeni powyżej kostek i sapiąc ze zmęczenia, wspięli się na wzgórze. Przy chałupie istotnie była studnia, a baba zajęta karmieniem świń, przyniosła na prośbę Czabana, kubek, którym ten zaczerpnął wody ze stojącego na cembrowaniu wiadra. Wziął łyk do ust, posmakował i podał Murkowi:

— Wyraźnie czuć naftą — powiedział półgłosem.

Baba jednak dosłyszała:

— Woda u nas kiepska, ale czysta, to się ino zdaje, że z naftą.

— I to tak u was przez cały rok? — zapytał Czaban.

— A, bez cały.

— W całej okolicy tak?

Kobieta objaśniła, że już w sąsiedniej wsi, w Kozuniach, o dwa kilometry dalej, woda jest świetna w smaku, taksamo i we dworze w Koszołowie, a w Bezwitkach, po prawej stronie, to nawet bydło, jeśli nie tutejsze, spoczątku pić nie chce.

— A co jest za Bezwitkami?

— Dyć bór, nie widzita!

Rzeczywiście, na horyzoncie, za mocno sfalowanemi wzgórzami, znaczyła się sina smuga lasu.

— Musimy sobie zrobić mapkę całej okolicy — mówił Czaban, gdy wracali. — Pójdziemy dziś wcześnie spać, a jutro wstaniemy o świcie, i przygotuj pan sobie natchnienie!...

— Tu niema miejsca do żartów — przerwał Murek. — Jeżeli pan nie wierzy, to proszę bardzo. Niech pan sprobuje. Gotów jestem nawet poświęcić różdżkę.

Czaban jednak zaczął go przepraszać i poklepywać po ramieniu, zapewniając, że nie miał zamiaru żartować:

— Bo tu nie o żarty chodzi, lecz o miljony. O miljony nietylko dla mnie, ale i dla pana.

— Teraz to już pan rzeczywiście kpi ze mnie, — postanowił go pociągnąć za język Murek. — Zapłaci mi pan moje honorarjum, i koniec, ale choćby było największe, to skądże miljony?

— Ja wcale nie myślę płacić panu żadnego honorarjum — zdecydowanym tonem oświadczył Czaban. — Po pierwsze, szkodaby mi było każdego grosza, który mogę ulokować w tej złotodajnej ziemi, a powtóre chce mieć pana za wspólnika... Przekonałem się, że na tem bardzo dobrze wychodzę. Mój nos do interesów i pańska ta cała czarna magja, czy jak tam, gdy się złączą, to mogą świat zawojować. Pan sam do interesów jesteś fujara,

ale razem!... Zobaczysz pan. Będziemy pływać w forsie. Rzucisz pan swoje wróżbiarstwo, bo co to może przynosić, nu, i weźmiemy się ostro.

— Wróżbiarstwo uprawiam tylko przygodnie — z powagą odpowiedział Murek. — Głównie poświęcam się pracy naukowej w dziedzinie okultyzmu.

— To nie będziesz się pan poświęcał. Po cholerę, poświęcenie temu, co ma forsę!

Minęli bramę parkową, przez szeroką kasztanową aleję doszli do dworu. Wielki, piętrowy dom z gankiem, opartym na sześciu kolumnach, obudził się już i pełen był życia. Z pootwieranych okien dobiegały, śmiechy, okrzyki i donośny głos radja, czy też gramofonu.

W Koszołowie oprócz starej hrabiny i kilku jej krewnych, bawiło około trzydziestu osób, „letników" z Warszawy, Kielc, Krakowa i Śląska. Wszystko to już wstało. Niektórzy jedli śniadanie, inni grali w tenisa, jeszcze inni rozchodzili się po parku, głównie w stronę stawu, skąd dolatywał wrzask kąpiących się dzieci.

Pani Czabanowa i jej córka czekały jednak w jadalni. Wiedziały od szofera, że pan przyjechał z jeszcze jakimś panem i poszli na spacer. Pozatem przy stole nie było nikogo.

— Pozwólcie, że wam przedstawię mego przyjaciela i wspólnika, doktora Klemma, — zaprezentował Murka Czaban i nie czekając pytań, dodał: — Doktór też chciał kilka dni odpocząć, więc go zabrałem z Warszawy.

— Bardzo mi przyjemnie — podała Murkowi rękę pani Czabanowa, jej córka zaś zapytała:

— Czy pan jeździ konno? Może Bóg mi pana zesłał.

— Niestety — rozłożył ręce Murek. — Nie umiem.

— To rozpacz! Myślałam, że wreszcie znajdę partnera. Mam tu specjalnie wymówionego wierzchowca, ale sama nie lubię jeździć.

Tymczasem podano im śniadanie, a rozmowa nie kleiła się i dlatego, że obaj byli zmęczeni i śpiący. To też, gdy panie poszły do parku, a zarządzająca domem pani Walentyna kazała przygotować nowemu pensjonarjuszowi pokój, obaj natychmiast położyli się spać. Wstali już po obiedzie, poczem Czaban wyruszył na ryby w towarzystwie trzech pensjonarek, a Murek przyłączył się do jego pań i dwuch starszych panów, spacerujących po parku.

Panna Tunka Czabanówna, widocznie znudzona brakiem na miejscu młodszych mężczyzn, zajęła się Murkiem dość żywo. On zaś wolał z nią rozmawiać, niż z innymi. Dlatego nieco oddalili się od towarzystwa, a po pewnym czasie stracili je zupełnie z oczu. Panna Tunka jednak nie podobała się Murkowi, chociaż nie mógłby zaprzeczyć, że jest ładna. Napewno była znacznie inteligentniejsza od Arletki, a nawet od Niry Horzeńskiej. Nira mniej była wykształcona i węższe miała zainteresowania, natomiast miała w sobie coś pańskiego i dumnego, czego brakowało pannie Tunce. Pod tym względem nawet Arletka ją przewyższała. U tamtych w razie rozdrażnienia, można było się spodziewać gniewu, tutaj chyba łez. Tamte ktoś silny mógłby ujarzmić, lub zostać przez nie ujarzmionym. Tam trzeba było walki, tu chyba tylko namowy.

— To musi być bardzo monotonne — mówiła panna Tunka, — takie życie businessmana. Nie zazdroszczę ani panu, ani memu ojcu.

Murek zaoponował:

— Czyż życie pana Czabana, któremu pani przygląda się codzień, może być nazwane monotonnem? Raczej jest nieustannym ruchem...

— Właśnie nieustannym — przerwała, — a nawet burza, która trwa wiecznie, staje się monotonna i nudna.

— Jeżeli ktoś nie ma innych zainteresowań.

— Prawda. Pan, zdaje się, pozatem jest lekarzem?

— Bynajmniej. Jestem doktorem, ale nie medecyny. Doktorem filozofji.

Panna Tunka spojrzała nań z zaciekawieniem:

— Jakże pan łączy filozofję z interesami?

— Przeciwnie, dzielę je, dzielę swój czas między interesy i pracę naukową.

— A naukowo pracuje pan z zamiłowania?

— Oczywiście, proszę pani, tylko dlatego mogę część swego życia poświęcić nauce, że resztę poświęcam interesom.

— Jakaż dziedzina wiedzy pana zajmuje? Filozofja ścisła?

— Okultyzm — odpowiedział Murek i dostrzegł w oczach panny Tunki żywsze zainteresowanie.

Okazało się, że i ona nie była w tych sprawach zupełnym laikiem. Zajmowała się spirytyzmem i przeczytała kilka książek o hipnozie. Murek poczuł się nawet zakłopotany, gdy skolei przeszła na psychoanalizę i psychologję, domagając się od niego, by wypowiedział swoje zdanie o teorjach Freuda, Charcota, Kraft-Ebinga, Richeta i innych, o których z dawnej uniwersyteckiej lektury pozostało mu tylko mgliste wspomnienie. Zdołał jednak jako tako wybrnąć z sytuacji, gdyż panna Tunka widocznie nie miała egzaminatorskich zamiarów i wszystko brała za dobrą monetę.

Spędzili ze sobą całe popołudnie, a przy kolacji siedzieli obok siebie. Później, wraz z większością letników, obserwowali zaćmienie księżyca, źle zresztą widoczne, gdyż z okolicznych, wilgotnych łąk wstały opary. Stojąc za drzewem, Murek posłyszał urywek rozmowy dwuch grubych pań, który go ubawił:

— Widziała pani tego narzeczonego Czabanówny? Siedział przy niej przy stole, i wogóle odkąd przyjechał, ani na krok jej nie opuszcza.

— Cóż dziwnego, moja pani! Musi pilnować, by mu nikt tego z przed nosa nie sprzątnął.

— No, dziewczyna niebrzydka, ale znowu niema o co się tak rozbijać.

— Chyba pani kpi, droga pani, to przecie jedynaczka, a Czaban, głowę dam, ma dobrych kilka miljonów.

W pierwszej chwili Murek miał ochotę dopędzić obie damy i wyśmiać je porządnie, lecz nagle się zastanowił:

— Czy rzeczywiście Czaban nie zmierza do tego?

Myśl ta jednak była oczywistym nonsensem. Murek pomimo to długo nie mógł zasnąć tej nocy i różne kombinacje tłukły mu się po głowie.

Było jeszcze zupełnie ciemno, gdy Czaban wyciągnął go z łóżka. Starając się nie robić hałasu, wyszli z domu i skierowali się w stronę łąk. Zaraz za parkiem Murek wziął do ręki swoją różdżkę i nakazawszy Czabanowi milczenie, szedł naprzód, namyślając się, jaką w tej niepewnej naftowej sprawie przyjąć taktykę.

Wprawdzie ślady ropy w okolicy niezbicie świadczyły o istnieniu podziemnych źródeł naftowych, jednak nieraz zdarzało mu się słyszeć, że tylko w rzadkich wypadkach daje to stuprocentową pewność opłacalności eksploatacji. Zważywszy wszystko, nie leżało w interesie Murka wprowadzenie Czabana w błąd i doprowadzenie go do ruiny. Był pewien, że taki ryzykant, jak on, w każdej chwili był gotów rzucić się naoślep w podobne przedsięwzięcie, no, i najprawdopodobniej utopić cały majątek w tych bagnach.

Dlatego należało być ostrożnym i po pięciogodzinnem włóczeniu się w terenie, Murek oświadczył:

— Jestem pewien, że ropy tutaj znajdziemy poddostatkiem.

Czaban zdjął kapelusz i otarł spocone czoło.

— Chwała Bogu! Pan miał cały czas tak ponurą minę, że myślałem już jaknajgorzej.

— No, na radość jeszcze zawcześnie.

— Jakto?

Murek flegmatycznie owijał różdżkę.

— Popełniłem duży błąd, a właściwie to pańska wina, gdyby pan powiedział mi w Warszawie o co chodzi, zabrałbym swoją kulę, a bez niej nie wiem, na jakiej głębokości znajduje się ropa.

— Psiakrew — zaklął Czaban, — a w przybliżeniu nie może pan określić.

— Tu żadnego przybliżenia być nie może. Należy przypuścić najgorsze. Zresztą i tak już mamy wiele: możemy wyznaczyć granicę terenu naftowego. Nie wykluczam też, że po dłuższych badaniach, po lepszem wczuciu się w drgania różdżki zdołam dać ściślejsze określenie.

Czaban był rozczarowany, lecz musiał pogodzić się z koniecznością, Murek zaś od tego dnia codziennie na kilka godzin wymykał się z towarzystwa letników i Tunki, by włóczyć się po okolicy. Oczywiście podczas tych wycieczek nie wyjmował nawet swej różdżki i bynajmniej nie szukał samotności. Przeciwnie, zaczepiał kogo mógł, zwłaszcza starszych gospodarzy z okolicznych wsi, żydów z pobliskiego miasteczka. Był nawet

u proboszcza w sąsiedniej parafji i u nauczyciela szkoły powszechnej. Rozmawiając o tem i owem z miną dobrodusznego letnika, któremu nudzi się w koszołowskim dworze, mimochodem zawadzał o przykre zjawisko, że woda w okolicznych studniach pachnie naftą. Wypytywał też, czy władze nie zainteresowały się tą sprawą, władze albo kto inny?

Z zebranych wiadomości zdołał ustalić, że przed samą wojną zmarły dziedzic Koszołowa sprowadzał tu różnych uczonych, którzy brali próbki ziemi, kopali pod Bezwitkami wielkie doły i szukali nafty. Ci uczeni byli cudzoziemcami, po polsku wcale nie rozumieli i nie można było się z nimi dogadać. Cała okolica żyła wówczas w wielkiem podnieceniu, ale później wybuchła wojna, później hrabia umarł, a z nafty nic nie wyszło.

Wobec tego jedyną drogą dowiedzenia się czegoś pozytywnego było uzyskanie wiadomości o rezultatach owej przedwojennej ekspertyzy, a wiadomość taką mogła mieć tylko hrabina.

Hrabina, przygłucha już i kostyczna, naogół nie utrzymywała ze swymi letnikami żadnych stosunków, Murka jednak przyjęła dość łaskawie, a to dlatego, że przedstawił się jej, jako van Klemm i krewny Horzeńskich. I łaskawość jednak nic nie pomogła, gdyż baba pojęcia nie miała nietylko o nafcie, lecz wogóle o interesach swego nieboszczyka męża, który sam wszystko prowadził, nikomu nie ufał i nawet wszystkie swoje papiery trzymał pod kluczem. Szanując wolę zmarłego, hrabina i po śmierci męża nie pozwoliła nikomu z rodziny, dotknąć do jego biurka. Na dowód tego pokazała Murkowi klucz od gabinetu nieboszczyka, zapewniając, że od czasu śmierci, niczyja noga tam nie postała za wyjątkiem służby, która raz do roku przeprowadzała sprzątanie pod jej osobistym nadzorem.

Tejże nocy Murek wypróbował w gabinetowym zamku kilkanaście kluczów z innych drzwi i na szczęście dobrał odpowiedni. Ogromną niewygodą był brak elektrycznej latarki, plusem natomiast — wielka i godna uznania pedanterja nieboszczyka hrabiego. Dzięki niej właśnie w jednej z szuflad Murek znalazł opasłą teczkę, zawierającą wszystko czego poszukiwał.

Była to korespondencja z ekspertami geologami, protokuły badań, notatki, plany i t. p. Jedyną a niezmiernie przykrą rzeczą było to, że wszędzie posługiwano się językiem angielskim, którego Murek nie znał. Zdołał wszakże wywnioskować, że sprawa nie jest beznadziejna. Krzyżyki, strzałki i cyfry, któremi popstrzone były plany terenów, natchnęły go nadzieją.

Zapewnił Czabana, że rzeczy idą pomyślnie, i że musi pojechać do Warszawy, by poradzić się „swojej najwyższej instancji", szklanej kuli. W istocie chciał jaknajprędzej wyjechać, gdyż zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa trzymania w walizce teczki wykradzionej z biurka. Przed jego wyjazdem pani Czabanowa i Tunka prosiły go o przywiezienie z Warszawy różnych drobiazgów. Była ich cała lista. Czaban ze swej strony prosił go o wydanie kilku dyspozycyj w biurze Zarządu Dóbr Książąt Zasławskich, a panna Tunka odprowadziła go konno do samej stacji kolejowej.

W Warszawie Murek dowiedział się od Józefy, że pani przyjeżdżała dwa razy i prosiła, by pan jaknajprędzej po powrocie przybył do Urli. Na to jednak nie było czasu. Przedewszystkiem kupił słownik angielski i w pocie czoła zmarnował dwie godziny nad tłumaczeniem, zanim doszedł do przekonania, że sam nie poradzi. Wobec tego powycinał z papierów wszystkie nagłówki i wszystkie nazwy miejscowości oraz nazwiska i zaniósł korespondencję do biura tłumaczeń. Wieczorem wiedział już wszystko: nafta w okolicach Koszołowa istniała niewątpliwie i to według opinji geologów w wielkich ilościach, natomiast eksploatacja jej ich zdaniem nie mogła się kalkulować z wielu względów. Najważniejszym była głębokość wierceń, których należałoby dokonać. Pozatem konieczne odwodnienie terenu przedstawiało wielkie trudności i pochłonęłoby olbrzymie sumy. Nadto istniała niemal pewność natrafienia na obfite żyły wodne i na grubą warstwę skalistą.

Wszystko to Murek wziął pod rozwagę i postanowił odwieść Czabana od zamiaru kupowania terenów. Przerysował sobie mapki i wykresy warstwicowe, wysłał do Arletki krótki list z zawiadomieniem o wielkich interesach, które musi załatwić na prowincji, wziął ze sobą dwie zmiany bielizny i drugie ubranie i pojechał na dworzec.

Czabana w Koszołowie nie zastał. Okazało się, że wraz z żoną wybrał się on do Krakowa samochodem. Zato panna Tunka ucieszyła się tembardziej z przyjazdu Murka i z przy-

niesionych przezeń sprawunków. Szczególniej była wdzięczna za żurnale mód, o które wcale nie prosiła, a które Murek kupił w kiosku na dworcu w Warszawie.

— Pan jest bardzo miły — powiedziała i po chwili dodała: — Rzadko spotyka się mężczyzn, którzy w stosunku do kobiet nie chcą imponować swoją męskością, lecz umieją odczuć, czem im sprawią przyjemność.

Wogóle była dla Murka uprzejma i nie ukrywała swej życzliwości. Mógł nawet odnieść wrażenie, że chce mu okazać sympatję. Spędzili cały dzień we dwójkę, a że bez namysłu odmówiła kilku osobom, które ciągnęły ją do bridża, czy na łódkę, miał prawo stwierdzić, że panna Tunka wyróżniła go i nie zamierza tego ukrywać. Nie rozmawiali o rzeczach osobistych, lecz i tak gawędziło się z nią przyjemnie.

Rodzice panny Tunki przyjechali późnym wieczorem, lecz niestrudzony Czaban natychmiast przyszedł do pokoju Murka i wyciągnął go z łóżka. To, co usłyszał, nie ucieszyło go wcale. Zafrasował się nawet w pierwszej chwili i zamilkł, lecz chodząc po pokoju, nie przestawał zerkać ku mapkom, rozłożonym na stole. Wreszcie zawołał:

— Niech to wszyscy djabli porwą, ale jednak w tem musi być jakiś dobry interes. Wprost czuję tu forsę, czuję!

Murek wzruszył ramionami:

— Zapewne. Gdy się włoży, czy ja wiem, kilka miljonów, może kilkanaście, zysk musi być. Tylko, że u nas w Polsce takich kapitałów się nie znajdzie. Należałoby zainteresować odkryciem amerykańskich nafciarzy, albo angielskich. Niedaleko ich zresztą można znaleźć. Przecie do nich należy nasze zagłębie naftowe. Możnaby ich zainteresować, nie podając miejsca i ułożyć się tak, by w razie rozpoczęcia eksploatacji wypłacili pewną sumę, jako prowizję.

Czaban słuchał skrzywiony:

— Nie — potrząsnął głową, — to na nic. Groszowa sprawa. I przytem nie miałbym ich w ręku.

— To można osiągnąć tylko, będąc właścicielem terenów.

— Właśnie.

— A ryzyko naprawdę zbyt wielkie: a niech nie odkupią! Co wtedy? Co pan pocznie z temi błotami?

— No, pewno.

Podrapał się nerwowo po głowie, powiedział „Dobranoc" i wyszedł, lecz wrócił natychmiast:

— Dawaj pan te mapki — powiedział, — jeszcze pomyślę. Tylko powie mi pan, mistrzu, z ręką na sercu: czy to, co pan mówisz, jest stuprocentowo pewne?

Murek oburzył się:

— Głowę za to daję!

— Dobranoc.

— Dobranoc.

Nazajutrz zrana, służąca wraz ze śniadaniem, przyniosła Murkowi kartkę:

„Wyjeżdżam na trzy dni. Niech Pan do tego czasu nie opuszcza Koszołowa. Zadepeszuję. — Czaban".

Aczkolwiek zdziwiony Murek nie zmartwił się wcale. Przedewszystkiem było to ładnie ze strony Czabana, że wpadłszy widocznie na jakiś pomysł, nietylko nie chciał pozbyć się i „wykiwać" Murka, lecz najwidoczniej uważał ich umowę za obowiązującą nadal. Pozatem spędzenie jeszcze kilku dni w majątku, konwenjowało Murkowi i przez wzgląd na pannę Tunkę.

Tak, czy owak obróci się sprawa z naftą, spryciarz typu Czabana, zawsze będzie jeszcze bardzo bogaty, a jego córka (jedynaczka!) dostanie posag olbrzymi.

— Dlaczego nie miałbym ożenić się z nią? — myślał Murek. — Raz na zawsze zyskałbym spokój, plunąłbym na to idjotyczne wróżbiarstwo, żyłbym jak burżuj, bez trosk, bez kłopotów...

Myśl ta wydawała mu się tem możliwsza do zrealizowania, że narazie żadnych przeszkód nie widział. Czaban był doń najlepiej usposobiony, matka nie wiele tu miała do powiedzenia, zaś sama panna Tunka wywierała wrażenie istoty bezwolnej i z jej strony nie należało oczekiwać sprzeciwu, chociażby dlatego, że traktowała towarzystwo Murka z wyraźnem zadowoleniem.

— Kto wie, może oni sami mają takie projekty?...

Domysł ten umocnił się w Murku jeszcze bardziej po kilku rozmowach z panią Czabanową. Narzekała na męża, że jest pędziwiatrem, który przez jeden dzień z rodziną nie wysiedzi, że pochłonięty jest interesami, a i te interesy... Istne szaleństwo!

Wreszcie powiedziała:

— Pan, jako przyjaciel i wspólnik Sewerka, mógłby nam wielką, naprawdę wielką oddać przysługę. Widzę pański wpływ na niego.

— O cóż chodzi? — zainteresował się Murek.

— O Tunkę, o jej przyszłość.

Murek zaczerwienił się:

— Nie bardzo dobrze rozumiem, proszę szanownej pani.

— Widzi pan, dziewczyna już ma swoje lata. Powinnaby wyjść zamąż. I owszem, wciąż się zdarza taki, czy inny, przyzwoity kandydat. Ale pokręci się, pokręci i nie zdecyduje się na oświadczyny.

— To dziwne, proszę pani, przecie panna Tunka jest czarująca.

— Prawda?... Ale naokoło wszyscy opowiadają, że będzie miała porządny posag. Tymczasem Sewerek, gdy co do czego przyjdzie, nabiera wody do ust i ani mru-mru. Zamiast powiedzieć wyraźnie: — Dam córce tyle i tyle — milczy. Na niepewne zaś nikt nie pójdzie.

Murek zmarszczył brwi:

— Bardzo mi przykro, ale w danym wypadku muszę przyznać słuszność raczej małżonkowi szanownej pani.

— Jakto?

— Ja też nie wydałbym córki za człowieka, który tylko na posag patrzy.

Pani Czabanowa machnęła ręką:

— Mój panie, trzeba życiowo to brać, życiowo. Każdy musi myśleć o swojej przyszłości. Jakże uważać komu za złe, że dba o jutro. Miłość miłością, a chleb chlebem. Sam pan przecie jest rozumnym i wykształconym człowiekiem, niechże pan sam powie, ale tak z ręką na sercu?

— Zapewne. Jest w tem sporo racji.

— A widzi pan! Sewerek zaś, na psa urok, ma lekką rękę do interesów, ale niech mu raz i drugi noga się powinie, nie daj Boże, stracić gotów wszystko. I co wtedy z dziewczyną? Niechże mu pan przy sposobności przemówi do sumienia.

Murek obiecał. Narazie zaś nie tracił czasu, starając się pozyskać uczucia Tunki. Zaczęła go uczyć konnej jazdy i robili codzień wycieczki w okolicę, najczęściej do dość odległego Kumanieckiego lasu. Tam wypoczywali i na obiad wracali do Koszołowa. Podczas jednego z takich wypoczynków w lesie, próbowali wspiąć się na stromą górkę, podktórą uwiązali konie. Panna Tunka była wyjątkowo tego dnia ożywiona i pobiegła naprzód. Nagle potknęła się i krzyknęła, chwytając się oburącz za pień sosny.

— Co pani?

— Zdaje się, że zwichnęłam nogę — odpowiedziała, sycząc z bólu.

— Proszę objąć mię za szyję — zawołał i wziął ją na ręce.

Nie była ciężka i bez trudu zniósł ją ze wzgórza. Posadził opartą o drzewo i ostrożnie zabrał się do ściągania długiego buta. Dziewczyna zacisnęła zęby i bohatersko znosiła ból. Gdy rozsznurował cholewkę i ściągnął pończochę, zaczął delikatnie obmacywać kostkę.

— Niema mowy o zwichnięciu — oświadczył z ulgą — poprostu naciągnęła pani ścięgno. Boli bardzo?

— Już mniej — uśmiechnęła się.

— Odrobina masażu i będzie wszystko dobrze.

Zaczął rozcierać kostkę, stopę i łydkę, żartując, że wyrobi się na doświadczonego masażystę i będzie z tego żył. Panna Tunka miała niebrzydką nogę, ale stopy Arletki były bez porównania ładniejsze. Pomimo tej refleksji Murek uznał, że należy podkreślić swój stosunek do Tunki i dość niezręcznie pochylił się i pocałował ją w podbicie:

— Biedna nóżka — mruknął czerwieniąc się.

— Co pan wyprawia — upomniała go z odcieniem zgorszenia w tonie.

— Zwykły objaw współczucia. Czy sprawiłem pani przykrość?

— Pan jest zabawny. Proszę podać mi pończochę.

Z włożeniem pończochy poszło łatwo. Natomiast o wciągnięciu buta nie mogło być mowy. Kostka obrzękła i każda próba zgięcia wywoływała ból. Do domu było ponad sześć kilometrów. Murek zaproponował że pojedzie, by sprowadzić powóz, lecz panna orzekła, że byle znalazła się na siodle, da sobie radę.

— Oparcie w jednem strzemieniu mi wystarczy. Jakoś stępa dojedziemy.

Murek wziął ją na ręce, by wsadzić na konia. Jej twarz znalazła się tuż przy jego twarzy. Spokojne orzechowe oczy przyglądały mu się jakby z zaciekawieniem. Miała niezbyt zdrową cerę. Zbliska widział nierówności skóry i zbyt wyraźne pory w okolicy nosa.

— Nie jestem zbyt ciężka? — zapytała.

Zaśmiał się:

— Pani?... Mógłbym się bawić panią, jak piłką.

Zaczął ją huśtać na rękach coraz wyżej, aż z obawy, by jej nie opuścił, przywarła doń mocniej. Wówczas musnął ustami jej policzek i szyję. Odsunęła się zlekka, ale nic nie powiedziała.

— Wciąż pani sprawiam przykrości, — westchnął. Chciał usłyszeć coś, co mógłby zrozumieć, jako zaprzeczenie.

Gdy już siedzieli na koniach, zapytała:

— Poco właściwie nosi pan brodę?

— Nie lubi pani tego?

— Wydaje mi się zawsze, iż ludzie z zarostem używają go jako maski dla ukrycia swego wyrazu twarzy. A pozatem to chyba niewygodne.

— Oczywiście. To też ja noszę zarost dla umartwienia.

— Eee, żartuje pan.

— Wcale nie — zapewniał, robiąc poważną minę, — ślubowałem sobie, że nie zgolę tej szczeciny, aż dopiero w dniu ślubu.

— Wobec tego życzę panu jaknajprędszego wstąpienia w związki małżeńskie.

Już otwierał usta, by powiedzieć, że to od niej zależy, gdy pohamował się. Byłoby to przedwczesne. Natomiast pokiwał głową:

— Proszę pani, już straciłem na to wszelką nadzieję.

— Dlaczego?

— Gdzież taki mól książkowy, jak ja, taki niezgrabiasz w stosunku do kobiet, pochłonięty nauką i interesami, ma czas na wyszukanie sobie żony... Ani czasu, ani umiejętności.

— Przesadza pan.

— Nie. Dzisiejsze panny nie takich lubią mężczyzn.

— A cóż panu brakuje?

— Powodzenia.

— Bo pan o nie nie zabiega.

— Nie umiem.

— Nudny pan jest!

— Właśnie.

Jechali jakiś czas w milczeniu. Na skręcie ukazał się motocykl i Murek w obawie, by koń panny Tunki nie spłoszył się, chwycił go za cugle. Wałach jednak zachował się zupełnie spokojnie.

— Czy pan nie był żonaty? — odezwała się panna Tunka.

— Nie. Byłem tylko zaręczony.

Głos mu załamał się i tak zmienił, że spojrzała nań uważniej.

— I kochał ją pan?

— Tak.

— A ona?

— Była... była największą tragedją mego życia. Zniszczyła je, splugawiła, opluła, podeptała.

Zacisnął zęby i dodał:

— Nie wyobrażałem sobie, by jeden człowiek mógł drugiemu sprawić tyle krzywdy, taką podłością zapłacić za najpiękniejsze, za najgłębsze uczucia.

— A... ona żyje?

— Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Bodaj ją piekło pochłonęło!

— Pan nie umie przebaczać.

— Przebaczyć?... — zaśmiał się wściekle, już wcale nie panując nad sobą. — Czy pani rozumie, że są zbrodnie, których ani zapomnieć, ani przebaczyć nie można, niepodobna! Minęło kilka lat, a przysięgam pani, że jeszcze dzisiaj nie cofnąłbym się przed żadną, przed najokrutniejszą zemstą!

Wspomnienie Niry obudziło w nim całą gorycz, cały ból, całą świadomość krzywdy. Nie widział teraz Tunki, nie zdawał nawet sobie sprawy z tego, poco to mówi. Ale mówił. Rozpaliła się w nim nienawiść, ogarnęła piersi i mózg, drgała w krtani. Panna Tunka widziała jego nagle pobladłą twarz, jego drżące wargi i mściwe błyski w jego oczach. Nie przypuszczała nigdy, by ten spokojny, zrównoważony mężczyzna mógł zdobyć się na podobny wybuch. Słowa nasycone gniewem i pogardą padały gęstym gradem. Palce zaciskały się kurczowo. Gdy umilkł na chwilę, zapytała:

— Pan ją musiał bardzo kochać?...

Przetarł czoło, spojrzał na pytającą, dostrzegł w jej oczach jakby przestrach i opamiętał się. Popełnił głupstwo. Karygodne głupstwo. Przecie ta gęś będzie teraz bać się go jak furjata. Jakże mógł tak rozpuścić język! Co za głupota zionąć przekleństwami na kobietę wobec drugiej, którą się pragnie pozyskać. Choćby przez instynkt samozachowawczy choćby przez solidarność kobiecą, stanie ona po stronie tamtej, a jego uzna za brutala i chama.

— Postąpiłem jak kretyn — powtarzał sobie w myśli i ogarniała go złość na siebie.

Niepotrzebnie jednak robił sobie wyrzuty. Panny Tunki nie tylko bowiem nie zraził jego wybuch, lecz przeciwnie, zaciekawił i wzbudził sympatję. Nietylko nie poczuwała się do solidarności z ową kobietą, lecz wiedząc o niej znacznie mniej, byłaby gotowa potępić ją równie surowo. Nie różniła się pod tym, jak i pod wielu innemi względami od większości kobiet. Spodziewała się nawet usłyszeć, że jej towarzysz za krzywdy doznane od tamtej gotów jest mścić się na wszystkich innych kobietach. I to nie sprawiłoby jej przykrości. Miała najgorsze zdanie o kobietach. Natomiast niespodzianką dla niej był ten poważny mężczyzna, ukrywający romantyczną tragedję w duszy. Wdzięczna mu była za to, że jej się zwierzył, że temsamem wyróżnił ją, uznał za godną zaufania, za odmienną i lepszą od innych.

— Nie wiedziałam, że pan tak kochać potrafi — odezwała się cieplej niż zwykle.

On zaś już przyszedł do siebie i odpowiedział:

— Tylko tak, panno Tunko, tylko tak.

— Czy ja kiedy spotkam taką miłość? — westchnęła.

— Napewno.

— Nie zmarnowałabym jej, jak tamta. Ale niech pan o tem nie myśli. Minie jeszcze trochę czasu i zapomni pan. A napewno spotka pan inną, lepszą i będzie z nią szczęśliwy. Bo pan jest tego wart. Naprawdę! Pan jest dużo wart.

Chciał ją pocałować w rękę, lecz konie szły zadaleko od siebie, a nic nie powiedział, gdyż zaskoczyło go niespodziewane współczucie i wyraźna serdeczność w chwili, gdy oczekiwał raczej niechęci, czy chłodnych słów krytyki. Wiele też sobie obiecywał po dalszych rozmowach.

Zaszło jednak coś nieprzewidzianego, co pokrzyżowało mu wszystkie plany.

Ledwie wyjechali z alei, gdy spotkali idącą naprzeciw panią Czabanową w towarzystwie młodego oficera w ułańskim mundurze.

— Pan Jurek! — zawołała radośnie Tunka. — A pan skąd tutaj!

Oficer nie odpowiedział na ten okrzyk, gdyż w tej chwili pani Czabanowa dostrzegła nogę córki i jęknęła:

— Jezus, Marja! Co ci się stało? Złamałaś nogę?

— Co pani jest? — zaniepokoił się ułan.

— Drobiazg. Zdaje się ścięgno.

Pani Czabanowa załamała ręce w stronę Murka:

— Co pan z nią zrobił?

— Nic nie zrobiłem, proszę pani — hamując irytację, odpowiedział Murek, którego wytrąciła z równowagi obecność tego przystojnego oficera. — Poprostu panna Tunka potknęła się w lesie.

— W lesie!

— Nie widzę w tem nic groźnego.

— Biedactwo moje!

— Ależ nie rozczulaj się, mamo — wesoło mówiła Tunka — to naprawdę nic poważnego. Panie Jurku, panowie się nie znają: pan porucznik Szułowski, pan doktór Klemm.

Ułan z uśmiechem uścisnął dłoń Murka:

— Całe szczęście, że winowajcą jest lekarz — powiedział.

— Nie jestem ani lekarzem, ani winowajcą — sucho odpowiedział Murek. — Zbyt łatwo pan porucznik formułuje swoje opinje.

Oficer jednak nie miał widocznie zamiaru obrazić się, nie chcąc wszakże pozostać dłużnym, zawołał z humorem:

— Wobec tego wypowiem jeszcze jedną opinję: napewno nie jest pan też kawalerzystą.

— Wreszcie pan zgadł, panie Jurku, — zaśmiała się Tunka — ale to nie trudno było odgadnąć.

Murek skrzywił się, lecz zamilkł. Już teraz nie miał żadnych wątpliwości, że między tym Szułowskim a Czabanówną jest coś więcej, niż zwykła znajomość.

To też zaraz po obiedzie wycofał się z towarzystwa. Był zły, i dokuczały mu najrozmaitsze podejrzenia. Czyż wszystkie kobiety, wszystkie bez wyjątku muszą być takie nędzne, jak Nira, jak Karolka?... Jak Arletka?... Nie, Arletka to coś innego. Tam było nieszczęście. Ale ta?... Oczywiście ten przystojniaczek i elegancik jest kochankiem Tunki. Poto przecie przyjechał. A matka jej, głupia jak wszystkie matki, jeszcze mu nadskakuje. Nie jest wykluczone, że oficerek dybie też na posag, ale tymczasem nie marnuje okazji. Jest zwykłą świnią. Gdyby mu to powiedzieć, no, wówczas oburzyłby się i zażądał pewno pojedynku. Oto jest sekret ich rządów nad światem: bezczelność, tupet. Oni wszyscy z tak zwanych wyższych sfer brak etyki umieją pokrywać szlachetnem oburzeniem. A te puszczające się panny udawaniem cnoty.

Zaklął i złamał gałązkę klonu, zwisającą nad ławką. Tunka mu nigdy nie podobała się. Teraz jednak nabrał do niej wstrętu. Tak, stokroć, tysiąckroć wolał Arletkę.

Tu jednak zastanowił się: zawsze ją wolał i przecie zajął się Czabanówną, nie pod wpływem jakichkolwiek uczuć, czy pociągu fizycznego, czy szacunku, lecz jedynie i wyłącznie dla pieniędzy jej ojca.

Ta refleksja otrzeźwiła go szybko. Cóż go w gruncie rzeczy mogła obchodzić moralność tej dziewczyny! Niechże robi, co się jej podoba! Z tym oficerkiem, czy innym. Nie wynika stąd jednak bynajmniej, by miał rezygnować z otrzymania jej posagu. I pod tym względem obecność porucznika przy Tunce była niebezpieczna.

— Muszę go odsadzić — postanowił Murek i setki projektów zaczęły mu się snuć po głowie.

Ból w nodze minął pannie Tunce do wieczora o tyle, że mogła zejść na kolację. Szułowski siedział przy stole obok niej i początkowo spoglądał na Murka dość niechętnie, lecz widząc z jego sposobu zachowania się, że nie żywi urazy o ów przytyk kawaleryjski, traktował go z sympatją. Rozmowa była ogólna i wkrótce zeszła na tematy okultystyczne. Jedna z pań zaczęła atakować Murka, by opowiedział cokolwiek ze swych, niewątpliwie fascynujących doświadczeń. Jemu nie sprawiło to większej trudności, przytoczył kilka eksperymentów, znanych z książek, napomknął o spirytyzmie i chiromancji, gdy jednak niemal wszyscy zaczęli go molestować o urządzenie seansu, kategorycznie odmówił. Może dla laików byłoby to zabawą, on jednak zbyt dobrze zna możliwości fatalnych skutków jakie zdarzają się w następstwie takich seansów, pod postacią wstrząśnień nerwowych, by mógł się na podobne rzeczy zgodzić.

— Zresztą bawimy tu dla wypoczynku i nie trzeba go zakłócać — zakończył, — a i ja chcę odetchnąć od swojej normalnej pracy naukowej.

Natomiast chętnie zgodził się zbadać linje na dłoniach każdego, kto tego sobie życzy, życzyli zaś sobie prawie wszyscy. O większości z nich Murek już sporo wiedział, zarówno dzięki gadatliwości Czabanowej, jak i służby. To też raz po raz rozlegały się okrzyki zdumienia nad trafnością charakterystyki, nad prawdziwością szczegółów z przeszłości i t. p.

— Pan, doktorze, mógłby majątek zrobić na wróżbiarstwie — zachwycał się gruby pan Piaskowski, któremu Murek oświadczył, że wygra proces najdalej w ciągu roku, ale musi zmienić adwokata.

— Na swoje badania naukowe wydaję majątek — pobłażliwie zauważył Murek.

Gdy po kolacji towarzystwo rozeszło się do bridża, a Tunka, Szułowski i Murek zasiedli w trzcinowych fotelach, na jasno oświetlonym tarasie, oficer powiedział:

— Nie wierzę w chiromancję i w inne podobne rzeczy, ale niech doktór zajrzy i w moją łapę.

— Do tego wiara nie jest potrzebna. Służę.

Szułowski wyciągnął rękę. Murek ujął ją lekko i długo milczał, przyglądając się uważnie gładkiej, starannie wypielęgnowanej skórze, śladom po skrupulatnie epilowanych włosach na przegubie, wypolerowanym paznokciom i równym, jasnym linjom dłoni.

— Temu życie musi iść gładko — myślał. — Zamożny, szykowny, bardzo ładny, świetnie zbudowany. Ale muszę mu przecież coś istotnego, rzeczowego wywalić, by uwierzył.

Przecie po to tylko skierował przy stole rozmowę na okultyzm. Zresztą dość już miał doświadczenia, by wiedzieć, czem należy go wziąć i umyślnie milczał długo, by podniecić delikwenta.

— Nadzwyczajne — odezwał się wreszcie cichym, skupionym głosem. — Tysiące rąk badałem... tysiące... Ale takiego egzemplarza... hm..

Zgiął rękę i wpił poważny surowy wzrok w oczy oficera:

— Czy pan wie, kto miał tę oto linję, jaki człowiek?... Jedna jedyna zresztą, ze znanych chiromancji?

— Kto?...

— Napoleon Bonaparte. Jeszcze niewiem, czy u pana linja ta oznacza to samo. Powtarzam, iż widzę ją na żywej ręce pierwszy raz w życiu. Musiałbym sprawdzić. Uczeni nazwali tę linję łukiem genjuszu strategicznego.

Porucznik zaśmiał się niewyraźnie, lekko zażenowany.

— Co dalej? — niecierpliwie pochyliła się ku jego dłoni Tunka.

— Jest pan bardzo odważny i raz... dwa, tak, trzy razy wskutek tego był pan w nader niebezpiecznej sytuacji. Pozatem cechuje pana duża wrażliwość na piękno. W tych rzeczach ma pan subtelny smak. Kocha pan zwierzęta. Ludzie lubią pana. Znacznie bardziej, niż się panu zdaje. Ale, ma pan i wrogów. Zwłaszcza jeden... niemłody już mężczyzna, nienawidzi pana. Przez niego miał pan stosunkowo niedawno, dużo przykrości. Ale to człowiek nędzny.

— A... czy on zwycięży mnie? — jakimś nieswoim głosem, zapytał Szułowski.

— O, nie. Z całą pewnością nie. Proszę spojrzeć na ten krzyżyk, tu.

— Cóż to znaczy?

— Że pan zobaczy jego grób. Ale.. niezbyt prędko. Cóż jeszcze... Jest pan szlachetny, uczciwy, może zanadto dumny, ma pan nie błyskotliwy, — lecz głęboki umysł. Jest pan stuprocentowym dżentelmenem i był pan nim... bardzo mi przykro, nie zawsze. Ale, to są sprawy bardzo prywatne.

— Ja sobie pójdę — podniosła się Tunka.

— Nie, niech pani nie wstaje. Proszę doktora, proszę mówić — zaoponował porucznik. — Nikogo nie zamordowałem, ani okradłem.

— O, tak — kiwnął głową Murek, — to pewne, ale ciąży na panu wina może większa... Wyrządził pan wielką krzywdę kobiecie. Złamał jej pan życie. Było jeszcze kilka wypadków podobnych... Ale dajmy już temu spokój. Jednej rzeczy nie rozumiem... Hm... to dziwne. Wygląda to tak, że będzie pan żył długo, ale jakby... wbrew własnej woli. To oczywiście nonsens. O, tu linja życia odwraca się niemal pod prostym kątem od wszystkiego... od wszystkiego... co ważne i przyjemne. Doprawdy, to śmieszne, ale wygląda na... klasztor. A nie może być klasztorem... Ani więzieniem. Zdumiewające. Proszę, poruczniku, o prawą rękę, ona nam tę zagadkę wyjaśni.

Szułowski podał prawą. Murek pochylił się nad nią, poczem wyjął z kieszeni lupę, i wyraźnie drgnął. Jeszcze obejrzał dłoń lewą, przygryzł wargi i spojrzał badawczo w oczy oficerowi, który nie ukrywał już zdenerwowania:

— Proszę, cóż pan tam widzi — zapytał.

Lecz Murek, obejrzawszy jeszcze raz ręce Szułowskiego, zaśmiał się z widocznym przymusem:

— Ach nic! nic ważnego. Bardzo miły ma pan charakter, panie poruczniku. A życie szczęśliwe przed sobą. To wszystko. Tak, to wszystko... Piękny mamy wieczór. Prawda?... Ani cienia wiatru. Jakże nóżka, proszę pani, boli jeszcze?

Jego demonstracyjne zabiegi o skierowanie rozmowy na inne sprawy nie odniosły jednak skutku. Panna Tunka miała przygnębioną minę, oficer palił w milczeniu papierosy, zmuszając się do wtrącenia od czasu do czasu jakiegoś obojętnego zdania. Na szczęście nadeszła pani Czabanowa i jeszcze dwie panie.

Murek już wstał i życzył towarzystwu dobrej nocy, gdy wpadła pokojówka z oznajmieniem, że do pana doktora jest telefon, dzwoni Lwów. Pobiegł do kancelarji.

Telefonował Czaban. Bardzo śpieszył i nie mógł mówić obszerniej. Żądał, by Murek najbliższym pociągiem wyjechał do Lwowa.

— Będę pana czekał na dworcu. W wagonie niech pan mówi tylko po niemiecku. Na wszelki wypadek. To konieczne. Dowidzenia.

Pierwszy pociąg odchodził około trzeciej, do stacji nie było daleko. Murek miał czas zamówić konie, uregulować rachunek i bez gwałtu spakować walizkę. Kończył właśnie pakowanie, gdy do drzwi zapukał porucznik Szułowski.

— Musiałeś przyjść — z satysfakcją pomyślał Murek.

— Pan wyjeżdża?...

— Tak. Bardzo przykre wiadomości. Wie pan kto telefonował? — Murek zniżył głos — mój wspólnik, pan Czaban.

— Może chory?

— Nie. Gorzej. Hm — powiedziałbym porucznikowi, ale musi mi pan dać słowo, że nie wspomni o tem nikomu ani słówkiem. Biedne panie przeraziłyby się. Zwłaszcza szkoda mi panny Tunki. Taka miła dziewczyna. Takie nieszczęście. Jeżeli da mi pan słowo...

— Więc daję słowo.

— Otóż Czaban, zdaje się, wszystko stracił. Jadę ratować. Ale wygląda na to, że napróżno. Daj Boże uniknąć kompletnej ruiny! I ja przytem też dużo tracę. Nieszczęście.

Oficer nie zdawał się jednak zbytnio wstrząśnięty tą nowiną. Wyraził zdawkową nadzieję, iż może przecież jakoś się da rzecz załatwić bez katastrofy. Zajęty inną myślą, wciąż próbował nawiązać rozmowę do niedokończonej wróżby. Murek jednak udawał całkowicie zaabsorbowanego sprawą Czabana i umyślnie nie dostrzegał zabiegów oficera. Wreszcie Szułowski zapytał wprost.

— Panie doktorze, dlaczego pan nie powiedział mi wszystkiego z ręki?

— Ja?... Ale skądże! Wydaje się panu, drogi poruczniku.

— Nie, proszę pana. I ja bardzo pana proszę, doktorze, o szczerą prawdę — upierał się oficer.

Murek spojrzał nań z niepokojem:

— Kiedy rzeczywiście... Mogę się mylić, zapewniam pana, że w chiromancji zdarzają się pomyłki. A przytem pan taki nerwowy. Tak. Pan jest zanadto nerwowy. Powinien pan trzymać siebie w garści. I nie pić! Unikać alkoholu. Wszelkich podniet. Zarówno sztucznych, jak i naturalnych. Czy leczył się pan kiedy na nerwy?

— Nie.

— Nie? — zdziwił się Murek. — W każdym razie zrobiłby pan dobrze, spędzając co pewien czas dwa, trzy miesiące w jakimś cichym pensjonacie. W jakiemś, powiedzmy, sanatorjum, gdzie byłaby opieka lekarska. Ale to drobiazg. Nie należy tem przejmować się.

Szułowski usiadł i uśmiechnął się z wysiłkiem:

— Ja też nie przejmuję się. Chcę jednak wiedzieć prawdę.

— Ile pan ma lat?

— Dwadzieścia dziewięć.

— Pan jest jeszcze bardzo młody. A czy w rodzinie pańskiej nikt nie chorował?

— Owszem. Musieli przecież chorować.

— Ale na choroby nerwowe, albo syfilis?

Oficer zastanowił się.

— Doprawdy nie wiem. Zdaje się, że mój nieboszczyk stryj nie był zupełnie normalny. Uchodził za dziwaka. No i, w końcu zastrzelił się. Ale panie doktorze! Widzi pan przecie, że jestem spokojny i opanowany. Przytem nie sądzę, bym był tchórzem. Niechże mi pan uczciwie, po męsku powie, co zdaniem pańskiem mi grozi?

— Każdemu z nas różne rzeczy grożą — westchnął Murek. — Czy pan, ale proszę o szczerość, nie uprawiał za młodu pewnego brzydkiego nałogu?

— Owszem — zaczerwienił się oficer.

— I to pewnie nadmiernie?

— Nie wiem... Nie umiem tego określić.

— A uderzył się pan kiedy silnie w głowę.

— Spadłem raz na przeszkodzie z koniem. Mam jeszcze tu nad skronią bliznę. Czaszka jednak nie była naruszona.

— Nad skronią?... To nie jest dobrze... Widzi pan, drogi poruczniku, gdybym był pewien, że pan nie podda się złym myślom... Ale w takich sprawach autosugestja jest wysoce niebezpieczna...

— Więc co? — pobladł Szułowski — czeka mnie obłęd?

— Czeka, czeka! Poco zaraz czeka! Wszystkiego można uniknąć. Zabezpieczyć się. Psychjatrja stoi dziś na dobrym poziomie. Można zastosować kurację zapobiegawczą. A grunt nie przejmować się. Nie myśleć o tem. Proszę mi to obiecać i zwrócić się do specjalistów. Doprawdy robię sobie wyrzuty, że uległem pańskim pytaniom... doprawdy...

— A ja panu jestem wdzięczny, doktorze — wyciągnął rękę oficer. Dłoń miał zimną i mokrą. — Ja też u siebie zauważyłem pewne stany depresji, albo zbytniej wesołości. Pozatem sprawia mi trudność skupienie się na jakimś temacie. To przecież nie jest naturalne. A w gniewie czasami wręcz tracę świadomość tego, co robię. Dziękuję panu.

Zerwał się i wyszedł.

Murek długo nie mógł oderwać oczu od niedomkniętych drzwi. Z całą dokładnością zdawał sobie sprawę z tego, co zrobił. Nie ulegało wątpliwości, że trująca myśl jak ziarno rzucona na wrażliwe podłoże zacznie kiełkować i rozrastać się. A może ogarnąć bez reszty świadomość, umysł i nerwy. Już teraz ten młody kandydat do kieszeni papy Czabana nie będzie zdolny do niczego innego, jak do ustawicznej obserwacji samego siebie. Wywietrzeje mu z głowy i miłość i małżeństwo. Zresztą i Tunka będzie mogła zauważyć ten jego stan. A starzy nie wydadzą przecie córki za półwarjata... Jeżeli nie za zupełnie obłąkanego...

— Tak należy usuwać przeszkody — głośno powiedział Murek, lecz nie poznał własnego głosu.

W tym pokoju zrobiło się mu niewypowiedzianie przykro. Czemprędzej zamknął walizki i zbiegł do hallu. Konie już czekały. Gdy powóz wyjechał z alei i dźwięk kopyt na twardej szosie przeszedł w równy, jednostajny rytm, pomyślał sobie:

— Dużo dałbym za to, by tego człowieka więcej w życiu nie spotkać.

I myśl ta natrętnie wracała przez całą drogę. Uwolnił się od niej dopiero na dworcu we Lwowie pod gradem informacyj i instrukcyj Czabana, który po mistrzowsku przygotował wszystko.

Rola Murka miała tu polegać na udawaniu agenta nafciarzy niemieckich. Musiał stać się przynętą dla anglików z zagłębia borysławskiego i samą swoją obecnością i kręceniem się po mieście podekscytować ich do szybkiej decyzji.

O drugiej był w jednej z najdroższych restauracyj na obiedzie wraz z Czabanem i z dwoma adwokatami, o których całe miasto wiedziało, że są specjalistami od nafty. Przy stole z powagą przeglądał jakieś papiery i głośno kazał kelnerowi zatelefonować do swego hotelu, by mu zamówiono na piątą rozmowę z Berlinem. Wieczorem przyjechał jakiś tęgi jegomość o wyglądzie semickim, jak się okazało, sprowadzony z Warszawy przez Czabana i we trójkę afiszowali się po mieście.

Murek nie bardzo orjentował się w szczegółach machinacyj Czabana. Ogólny jednak zarys geszeftu był dlań dostatecznie jasny. Tembardziej, że po dwóch dniach Czaban wyjechał do Koszołowa, oczywiście poto, by załatwić sprawę terenów. Część miał kupić na własne nazwisko, część na nazwisko doktora Klemma, część zadatkować za gwarancję pierwszeństwa.

W cztery dni po jego wyjeździe Murek zaangażował i wysłał za nim kilku specjalistów miejscowych, wskazanych przez adwokatów, a mających ustalić położenie źródeł naftowych i kalkulację wierceń. Ich wyjazd nabrał wielkiego rozgłosu. W dziennikach ukazały się liczne wzmianki i artykuły o nowych bogatych terenach naftowych w Koszołowie pod Kielcami. W środowisku nafciarzy zapanował niebywały ruch. Hotele zaroiły się od cudzoziemców. Murka ustawicznie nagabywano, lecz on z miejsca zaprzeczał wszystkiemu, odżegnywał się od jakiejkolwiek styczności z koszołowską naftą i zapewniał, że przyjechał do Lwowa wyłącznie w celach turystycznych. Natomiast ów warszawski izraelita, tytułujący się dyrektorem, nie miał chwili odpoczynku. Konferował, targował się, układał. Z Koszołowa nadchodziły coraz pomyślniejsze wieści, których rezultatem był niemal jednoczesny wyjazd wszystkich cudzoziemskich nafciarzy do Kielc. Wreszcie i Murek otrzymał od Czabana wezwanie do przyjazdu.

W Koszołowie nie było już na szczęście porucznika Szułowskiego, panie zaś również Murek zastał na wylocie. Dwór i okolica roiły się od obcych ludzi. Ziemianie i chłopi okoliczni żyli jak w gorączce. Ceny ziemi w promieniu kilku, a nawet kilkunastu kilometrów podskoczyły w dwójnasób. W samej dolinie sprzedawano już ją na łokcie. Bagniste łąki i nieużytki stały się nagle bezcennym skarbem. Aferzyści z całej Polski, agenci zagraniczni, kupcy, przemysłowcy, bezrobotni inżynierowie, różni dostawcy i kombinatorzy — wszyscy musieli zobaczyć na własne oczy odkrytą Golkondę i własnemi nosami powąchać błotnistą wodę, by stwierdzić, że czuć ją naftą. Kancelarje adwokatów i rejentalne zawalone były robotą, w hotelach, hotelikach i zajazdach zabrakło wolnych łóżek.

W tem wszystkiem zaś, jak w ukropie, uwijał się Czaban.

Interes jednak nie szedł tak łatwo, jak przewidywał. Ostrożni kapitaliści zagraniczni nie ukrywali wprawdzie swego zainteresowania, jednak ograniczali się do sondowania warunków. Szły długie depesze do Paryża, Londynu i New Yorku, przyjeżdżali wciąż nowi „spece", komisje, uczeni.

Wreszcie pewnego dnia Czaban przyszedł do Murka po radę:

— Zajrzyj pan w swoją kulę, co robić?

— Już zaglądałem — odpowiedział Murek. — Nie czekać na decyzję nafciarzy, lecz pocichu, co się da, kawałkami sprzedawać. Bo tamci nie kupią. Cofną się.

— Pewien pan tego, a?

— Zupełnie.

— I ja tak sądzę. Nu, to niema co zwlekać.

Krajowych amatorów na zakup gruntów naftodajnych było dość, wielu dawniejszych właścicieli włosy sobie z głowy wyrywało, że dali się podejść i teraz byli gotowi odkupić swoje działki za podwójną, potrójną i jeszcze wyższą cenę. Również nie mieli pewności, bo Czaban sprytnie asekurował się na przyszłość, również widzieli ryzyko, jak i cudzoziemcy, ale mieli słabe nerwy. To też Czaban zaczął sprzedawać, nie śpiesząc się, zastrzegając ścisłą tajemnicę, tłumacząc się wobec nowonabywców brakiem potrzebnej na ewentualną eksploatację gotówki, a wobec poprzednich właścicieli swem miękkiem sercem. Samej hrabinie, właścicielce Koszołowa, Murek łaskawie odstąpił pięć morgów bagnistej łąki.

Wreszcie skonstatował, że zaczyna tu być zbyt ciasno i zawiadomił Czabana, że musi wracać do Warszawy. Czaban nie zatrzymywał go, tembardziej, że w stolicy miał kilka innych interesów, a nie wierzył w zdolności handlowe swego szwagra:

— Masz pan tu list do Żołnasiewicza — powiedział — z poleceniem, by radził się pana we wszystkiem. Najbardziej niepokoi mnie przewlekanie sprawy ugody z Bierkiewiczami. Musieli tam coś pokiełbasić. Decyduj pan, a mądrze. W razie potrzeby przyślę panu pełnomocnictwo, bo ja obecnie ruszyć się stąd na godzinę nie mogę. Aha, żona tam nic pieniędzy na życie nie ma. Niech jakoś się stara sama. Jeżeli wyciągniesz pan co od Bierkiewiczów, to można jej dać.

Nazajutrz rano Murek był już w Warszawie. Spodziewał się, że Arletka przywita go awanturą za jego milczenie. Wprawdzie ze Lwowa wysłał jej do Urli pięćset złotych, ale mogła mieć słuszną pretensję, że nie napisał ani jednego listu. Oczekiwała go jednak miła niespodzianka: ani słowa wymówki, ani cienia kwaśnej miny. Była uszczęśliwiona, że wrócił, radosna i śliczna. Jej złotawa opalenizna, świeża cera i humor, a nawet jakby tkliwość, sprawiły, że przez całą dobę nie ruszył się z domu. Zresztą i ten dom był taki miły, przytulny, zaciszny. W przedpokoju na ścianie rozwiesiła nowy kilim, w saloniku

zaś bufiaste, muślinowe firanki. Najbardziej rozczuliła go jednak pidżama, własnoręcznie przez nią uszyta.

O aferze naftowej nie opowiedział jej wszystkiego. Przemilczał przedewszystkiem obecność w Koszołowie Czabanówny i skłamał, że nie pisywał z braku czasu. Gdy wyraziła nadzieję, że interes przyniesie dużo pieniędzy, wręcz zaprzeczył:

— Dobrze będzie, jeżeli wyjdzie bez strat.

— W każdym razie cieszę się, że Czaban wciągnął cię do wielkich interesów, zobaczysz, dorobisz się miljonów!

Nie podzielał jej optymizmu, liczył jednak, że kilkadziesiąt tysięcy przypadnie nań z naftowej imprezy. Zataił zaś to przed Arletką z przyczyn, których sam jasno sobie nie uświadamiał. W każdym razie i bez podniet z jej strony, pragnął teraz bogactwa. Otarcie się o świat wielkich pieniędzy, o luksus, o ludzi dysponujących tysiącami na drobne zachcianki, zrobiło swoje. To też nie zamierzał wcale spełnić marzeń Arletki, to znaczy wycofać wszystko, co się da i wyjechać w zagraniczną podróż, by wszystko puścić. Przeciwnie, postanowił nadal trzymać się Czabana, przy którego szczęściu i talencie, spodziewał się dorobić wielkiego majątku. Nie zapomniał też bynajmniej o pannie Tunce i chociaż teraz, przy Arletce, po tak długiem rozstaniu, nijako mu było wobec własnego nastroju rozmyślać o małżeńskich zamiarach, jednak nie wyrzekł się ich ani na moment.

Wkrótce wszakże musiał zabrać się do interesów Czabana. Niektóre z nich znał już dawniej, w innych trzeba było rozejrzeć się szczegółowo. Pan Żołnasiewicz, jak się okazało, nie miał żadnych ambicyj władczych i wolał podporządkować się decyzjom Murka, niż brać na własną głowę jakąkolwiek odpowiedzialność. Dzięki temu, Murkowi udało się szybko wejść we wszystko. Gdy zaś Bierkiewiczowie zaproponowali mu przeoczenie pewnego terminu, co nie przynosiło doraźnej straty Czabanowi, a pozwalało im wygrać na czasie, a wydać się nie mogło w żadnym razie, wziął od nich za tę „uprzejmość" cztery tysiące złotych. Przez Bierkiewiczów poznał kilku panów, zawodowo zajmujących się mniej klarownemi interesami i pośrednictwem, a urzędujących po kawiarniach. Nie były to złe znajomości. Ostrożny z natury Murek trzymał się od nich na pewnym dystansie i unikał takich kombinacyj, które wyglądały zbyt ryzykownie. Przekonał się jednak wkrótce, że nie święci garnki lepią. Geszefty tu wprawdzie nie były wielkie, lecz zato szybkie i przynoszące niemal natychmiastowy proporcjonalnie wysoki zysk. Zaangażował w te sprawy nietylko swoje pieniądze, lecz i te, które wyciągał z przedsięwzięć Czabana. Najpoważniejszy dochód dawał skup niepewnych weksli i lichwiarskie pożyczki pod zastaw. Czasami prowizja za pośrednictwo przynosiła okrągłe sumki.

Odtąd Murek całe przedpołudnia spędzał w kawiarniach, wieczory u Czabana na Skolimowskiej, a resztę czasu w domu z Arletką.

Właściwie nie krępowała go zupełnie. Jednak, gdy jego wieczorna nieobecność w domu stała się regułą, wydawało mu się, że zaczyna posądzać go o zdradę. Dlatego od czasu do czasu zostawał wieczorami z nią, a świadomość, że u Czabanów jakiś młody człowiek może zabiegać o względy panny Tunki, psuła mu humor i nie bywał wtedy dla Arletki zbytnio serdeczny.

W istocie w willi Czabana bywało dużo młodzieży. Sporo panien, przeważnie koleżanek Tunki i jeszcze więcej panów tańczących, a przy sposobności oglądających się za posagiem, lub polujących na romans. Żołnasiewicz nazywał ich poprostu darmozjadami i usiłował podburzyć Murka przeciw wydatkom na kosztowne przyjęcia. On jednak wolał to, niż włóczenie się Tunki po znajomych. Dlatego nietylko nie próbował wpłynąć na panią Czabanową, by zredukowała kolacje i herbatki, lecz bez słowa sprzeciwu wręczał jej każdą sumę, jakiej na domowe wydatki zażądała.

Wkrótce też zarówno matka, jak córka, przyzwyczaiły się doń jako do opiekuna i prawie głowy domu. A że był znacznie ustępliwszy od Czabana, że znacznie więcej poświęcał im czasu, uwagi i zainteresowania, że nader chętnie wchodził we wszystkie sprawy domowe, osobiste, a nawet i tualetowe, z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień stawał się bliskim, swoim i niezastąpionym.

Gdy pod koniec sierpnia Czaban wpadł na jeden dzień do Warszawy, pomimo licznych kłopotów i zawodów, których przyniósł pełną głowę, był zachwycony nietylko prowadzonemi przez Murka interesami, ale i jego rządami na Skolimowskiej.

— Nu, — mówił — aleś mi pan osiodłał baby! Nareszcie jest tam trochę porządku. Wygrałem los na loterji poznawszy pana. Rzuć pan do licha swoje tajemnicze nauki. Szkoda czasu na to, by innym pomagać. Im więcej głupich na świecie, tem lepiej żyć mądremu.

Oczywiście, całą noc spędzili na pijatyce z jakiemiś dwiema mężatkami, upolowanemi przez Czabana w Kielcach. Wczesnym rankiem Czaban wyjechał, przyczem w bufecie kolejowym na pożegnanie wypili z Murkiem „brudzia".

Sprzedaż terenów szła opornie, ale Czaban miał nadzieję w ciągu miesiąca z tem skończyć. Zwłoka wynikła stąd, że jedna z kopalń małopolskich rozpoczęła próbne wiercenia i wszyscy czekali rezultatów.

Wprost z dworca pojechał Murek na Chłodną do garażów i warsztatów samochodowych, by ułożyć się co do ceny remontu auta Czabana. Wóz roztrząsł się na polnych drogach i wymagał poważniejszej reperacji. Stał już tutaj od wczoraj i przechodząc przez halę do kantorku Murek obejrzał motor, z którego zdjęto maskę. W tejże chwili, rzuciwszy okiem w stronę jakiegoś podwozia zauważył, że pracowało przy niem kilku rzemieślników z wielkim pośpiechem. Jeden z nich w uwalanej smarami granatowej kombinezie wysunął się właśnie spod ramy. Murek szybko się odwrócił.

Nie mógł się mylić. Ta sama twarz, blada, nalana tłuszczem i posiekana śladami ospy, te same przenikliwe niebieskie oczki i dwie nieomal białe nitki zamiast brwi na wypukłem czole. Tak, był to Majster, dawny współlokator od pani Koziołkowej z Solca, dawny wspólnik z napadu na Skolimowskiej.

— Jeżeli zdążył mnie dostrzec — pomyślał Murek — i jeżeli mnie poznał... Ładna historja.

Oczywiście nie poszedł już do kantorku. Zawrócił i wyszedł. Uspokoił się dopiero na ulicy. Doszedł do pierwszego rogu, przeczekał chwilę, a przekonawszy się, że nie jest śledzony, odetchnął. Doskonale wiedział, że Majster, gdyby go poznał, nie zostawiłby mu możności ucieczki. W warsztacie zaś nigdy przedtem nikt Murka nie widział i nie mógł Majstrowi dać żadnych informacyj. To też postanowił nie pokazywać się tam więcej, a umówić się o remont przez telefon.

Nie była to przesadna ostrożność. Gdyby Majster i Piekutowski wpadli na jego ślad, groziłoby to nieobliczalnemi następstwami. Przedewszystkiem zażądaliby odeń rozrachunku, a później zastrzeliliby go przy pierwszej okazji. Mogli też, dowiedziawszy się o jego dobrej sytuacji materjalnej, szantażować go groźbą denuncjacji. Wystarczyłby zwykły anonim do Urzędu Śledczego. Niechby tylko policja zbadała Czabana, już wyszłoby na jaw, że odzyskał swoją walizkę przez Murka.

— A tu byłby koniec.

Pozostawało jeszcze jedno wyjście: przyznać się Czabanowi do wszystkiego. Ostatecznie Murek obecnie bez trudu mógł go trzymać w szachu. Zbyt wiele miał w ręku przeciw niemu dowodów. Wystarczyłoby, by i Czabana wsadzono na kilka lat do paki. Ale i takie rozwiązanie nie uwalniało Murka od dawnych wspólników. Chyba zrezygnować ze wszystkiego, znowu zmienić nazwisko, uciec i pozacierać ślady. I to teraz, gdy wszystko układało się coraz lepiej, gdy coraz wyraźniej rysowały się perspektywy najpomyślniejsze.

Spotkanie w warsztacie samochodowym na kilka dni zniweczyło spokój Murka. Stopniowo jednak wracał do równowagi, a nawet zaczął przemyśliwać o zabezpieczeniu się na przyszłość przed podobnemi niespodziankami. Najpoważniej byłoby w jakiś sposób zapakować Piekutowskiego i Majstra do więzienia. Kłopot sprawiał tylko temat donosu. Nie chciał ryzykować oskarżając ich o napad na Skolimowskiej. Takie typki musiały jednak mieć na sumieniu wiele innych grzechów.

Dlatego należało o tej sprawie rozmówić się z Arletką, która niewątpliwie jeszcze z czasów swego pożycia z Czarnym Kazikiem wiedziała sporo. Pomysł ten przyszedł Murkowi do głowy w tydzień po bytności Czabana i zaczął tak go dręczyć, że nie mógł skupić uwagi na rozgrywce bridżowej. Panna Tunka, która właśnie z nim grała, zawołała zdumiona:

— Ależ pan mógł nie leżeć! Nadrabiał pan jeszcze dwie lewy! Co panu się stało?

— Nie wiem — bąknął. — Rzeczywiście źle się czuję. Trudno mi grać. Może pan Żołnasiewicz mnie zastąpi?...

Szybko pożegnał się i wyszedł. Sam nie umiał wytłumaczyć sobie swego pośpiechu, o tyle pozatem nieuzasadnionego, że Arletki mógł nie zastać w domu. Miała — jak to sobie już w drodze przypomniał — na ósmą pójść do kina. Płacąc szoferowi, spojrzał ku oknom: w saloniku paliło się światło. Już spokojnie wszedł po schodach, otworzył drzwi, przekręcił kontakt, zdjął palto i zawołał:

— Jesteś, Arletko?..

Nie było odpowiedzi. Wszedł do salonu i chciał się cofnąć, ale już było zapóźno: zobaczyli go. Piekutowski siedział tak blisko, iż mógł go dosięgnąć ręką. Przy stoliku, obok Arletki, stał Majster. Obaj trzymali prawe ręce w kieszeniach i Murek zrozumiał, że nim zdążyłby sięgnąć po rewolwer, już byłoby zapóźno. Arletka w palcie i w kapeluszu siedziała nieruchomo i wpatrywała się weń spod przymrużonych powiek.

— Dlaczego mnie nie ostrzegła, gdym wołał z przedpokoju? — pomyślał Murek — Może to ona ich sprowadziła?... Dowiedziała się o Czabanównie...

Wtem odezwał się Piekutowski:

— No, co, panie Murek, nie poznajesz pan starych znajomych?...

— Owszem — wykrztusił.

— No, i nie witasz pan nas?... Gotowiśmy pomyśleć, żeś pan niekontent z wizyty.

Powoli wyciągnął rękę:

— Serwus, panie Murek. Jak to przyjemnie dawnego znajomka spotkać.

Murek, po chwili wahania, podał mu rękę. Nieznacznie rozparł się przy tem nogami, obawiając się, iż Piekutowski zechce go pociągnąć, wywrócić i obezwładnić.

— I mnie przyjemnie — powiedział.

— No, to i klawo — łagodnie poklepał go po ramieniu Piekutowski — znaczy się, że wszyscy mamy swoją przyjemność. Ot, my w starej kompanji. Tylko Kazika brak. Ale to nic. On już tam, w niebie, te... chmurki pędza, che... che... A pana nie prosił, panie Murek, żeby coś na pożegnanie nam powiedzieć?... Nie wręczył panu testamentu?

— Nie rozumiem, o czem pan mówi — wzruszył ramionami Murek.

— Nie rozumie pan? Patrz-no, Majster, jaki niepojętny się zrobił! Ale wszystko jedno. A my byliśmy ciekawi. Szukaliśmy pana, panie Murek, bo przecież to pan ostatni na żywe oczy go widział, naszego przyjaciela. Szukaliśmy i znaleźliśmy. A pan nas pewno nie szukał, bo zajęcia dużo... Bogatym ludziom trudno, wiadomo, czas znaleźć. Ot, interesy, zabawy, remontu auta nowemu przyjacielowi dopilnować...

— Dość tego trajlowania — przerwał ostro Majster. — Pytam się, jak z nami będzie, panie Murek?

— Nie wiem, o co panom chodzi — zaczął Murek, lecz Majster syknął:

— Tylko bez pan! Widzisz go, drania! Przed kim tu będziesz frajera odstawiał!

— Sza! Sza! — zawołał Piekutowski. — Pomalu, pomalu!

— Oskarżacie mnie, że zabiłem Kazika! A ja go na oczy nie widziałem! Jakbym umiał zabijać, to i wówczas tego łysegobym ukatrupił! Przystałbym do was, jakbym umiał!

Murek powiedział to najszczerszym tonem, w przekonaniu, że mu uwierzą, lecz Piekutowski zwrócił się do Majstra:

— No, patrz! Nie słyszysz?.. Pan Murek ma miękkie serce, a ty do niego z mordą.

— Nie miękkie serce, ale nie potrafię i już.

— A forsy też nie potrafisz zabrać wspólnikom? — z uśmiechem zapytał Piekutowski.

— Żadnej forsy na oczy nie widziałem — uderzył się w piersi Murek.

Piekutowski znowu zwrócił się do Majstra:

— No, widzisz? Pan Murek nijakiej forsy nie brał. On nie taki, żeby wspólnikom nawalić. Szlachetna osoba, a ty do niej z pyskiem. On z honorem, ciężką pracą dorobił się takiego mieszkania, tę oto daną panienkę, kiedy po naszym przyjacielu jakby wdową została, przytulił, bródkę solidną zapuścił, szanowny obywatel jest, nie żaden kanciarz, co spólników oszukał, nie głupi gruczoł, nie swołocz, tylko gościnny gospodarz, któren sercem gości wita i napije się z nimi i pogada. Nieprawdaż, panie Murek?

— Źle mnie sądzicie — wzruszył ramionami Murek. — Ja mam wobec was czyste sumienie. Wiedziałem, że będziecie mnie podejrzewać i dlatego was nie szukałem. Ale baćsię, nie boję. Zechcecie uwierzycie, nie zechcecie, to rady na to nie mam. Ot i wszystko. A napić się możemy. Zaraz przyniosę.

Skierował się do drzwi, ale Majster krzyknął:

— Stój!

— Co myślisz, że ucieknę? — zatrzymał się Murek.

— Co myślę, to myślę. Niech ona idzie — wskazał głową Arletkę.

Dziewczyna bez słowa wstała i otworzyła drzwi do jadalnego pokoju.

— Ale, panieneczko — upominał ją Piekutowski — bez hałasu! Zrozumiano?

Spojrzała nań z pogardą i nie odpowiedziała. W saloniku zaległo milczenie. Wszyscy trzej nasłuchiwali, jak Arletka krzątała się w sąsiednim pokoju. Nawet Murek nie był pewien, czy nie przyjdzie jej ochota zrobienia alarmu. Oczywiście, napastnicy próbowaliby wówczas ucieczki, lecz nie ulegało wątpliwości, że przedtem zastrzeliliby Murka. Po kilku minutach Arletka zjawiła się jednak z tacą i przekąskami, przyniosła też butelkę wódki.

— Che, che — zaśmiał się Piekutowski — a wódeczka, panienko, bez zaprawki? Bo może niezdrowa?...

Arletka nalała kieliszek i wypiła do dna.

— W porządeczku — odrzekł Piekutowski — no, cyk, panowie!

Wypili w milczeniu jeszcze po dwa kieliszki, poczem Piekutowski niespodziewanie zapytał zupełnie innym tonem:

— No, więc masz pan, panie Murek, tę forsę tu?

— Przecież powiedziałem, że...

— Pomalu! Coś powiedział, to dla nas g...! Sprawa i rozprawa krótka. W gazetach stało, że było tam tego na trzysta tysięcy. Tak, czy nie?...

— Skądże ja... — zaczął Murek, lecz Piekutowski przerwał:

— Tak, czy nie? Do cholery, grzecznie pytam!

— Tak.

— Do tych pieniędzy było czterech wspólników. Z tych jeden wykitował, drugi okazał się łobuzem. Zostało tedy dwóch. Tak, czy nie?... Otóż, pytam się pana, panie Murek, czy pan oddasz nam te pieniądze?

— Kiedyż ja ich nie mam i nigdy nie miałem! — krzyknął Murek. — Zrozumiejcież, panowie, że choćbym nawet miał tamte papiery, to i tak nie ugryzłbym ich!

— A co nam do tego — wzruszył ramionami Piekutowski. — Nas to nic nie obchodzi. I o tem szkoda gadać. Pan chyba głupi nie jesteś, panie Murek, ani nas za frajerów nie masz. My nie jesteśmy ciekawi, ile panu Czaban zapłacił za zwrot i jaka między wami ugoda. Nas interesuje, czy pan oddasz, czy nie?

Murek załamał ręce:

— Ależ ludzie! Oddać można tylko to, co się wzięło! A ja nic nie wziąłem!

Majster rzucił się na krześle, a jego oczy błysnęły taką wścieklizną, że Piekutowski zawołał:

— Czekaj, Majster!

— Kiedy nerwy nie strzymają!

— Czekaj. Więc, panie Murek! Dobrze. Niech sobie będzie, jak pan mówisz. Zgoda. Ale my jesteśmy pomięszane, nam w głowie siedzi, że tak, czy owak, należy się nam od pana te trzysta tysięcy. Dasz, czy nie?

— Rzeczywiście, macie chyba bzika! Trzysta tysięcy! Ja w życiu takich pieniędzy nie widziałem! Skądże ja mogę dać! Proszę, rewidujcie, przetrząśnijcie całe mieszkanie! Jeżeli znajdziecie, zabierzcie. Zabierzcie i sprzedajcie wszystko! Oszaleliście! Trzysta tysięcy! Przecież to majątek.

— I pewno — przytaknął Piekutowski — ale już nie nasza sprawa. Albo dostaniem, albo nie. A tu już pan sam musisz odpowiedzieć.

— Panie Piekutowski — rzeczowo odezwała się Arletka — taka suma, to zupełna niemożliwość, ale jeżeliby on wam dał jakąś umówioną kwotę, na którąbyście się zgodzili, to coby miał z tego za pewność, że zostawicie go w spokoju?

— To dalsza sprawa — wymijająco odpowiedział Piekutowski.

— Niech najpierw forsę odda — dorzucił Majster — a później pogadamy.

Arletka zaśmiała się:

— No, to co? Myślicie, żeście na głupiego natrafili? To pocóż on ma starać się o pieniądze? Jak ma zginąć, to mu przecież wszystko jedno, czy zginie teraz, czy później. Pocóż ma wam pieniędzmi kieszenie napychać? Zastanówcie się sami!

— A ty zamknij gębę, ścierwo! — ryknął na nią Majster. — Z tobą też zrobi się porządek! Myślisz, że się wymigasz?!

— Nie myślę, chamie, nie myślę! Chcesz, to strzelaj!... Franek! Szkoda z nimi gadać! Za mądrzy są. Ale wiedzcie, że i tak stąd nie wyjdziecie! — cofnęła się pod ścianę i położyła rękę na dzwonku. — Spodziewaliśmy się was. Strzelajcie, ale bramę zastaniecie zamkniętą. To tak? Mamy wam wszystko oddać, a wy nam za to kulą w łeb? To takich głupich znaleźliście?... No, strzelajcie! Nie traćcie czasu!

Blada, z roziskrzonemi oczyma, wyglądała rzeczywiście, jak ktoś, kto zdecydował się na wszystko. Majster, który w pierwszej chwili sięgnął do kieszeni, zatrzymał się, Piekutowski zaś po dłuższej pauzie odezwał się pojednawczo:

— Kto mówi o strzelaniu?.... Majster! Siadaj! Napijem się jeszcze.

Nalał kieliszki, trącił się z Murkiem i roześmiał się:

— Juści, baba ma recht.

Arletka nie ruszyła się z miejsca, lecz zapytała spokojniej:

— Musicie wybrać, o co wam chodzi? O forsę, czy o nasze życie? I to wam jeszcze powiem, że takich pieniędzy nie mamy. A i wszystkiego, co mamy, też nie oddamy. Podzielić się możemy, ale po ludzku. Nie, to jazda! Śmierci się nie boimy.

— Ma baba recht! — z przekonaniem powtórzył Piekutowski. — Ja myślę, że człowiek z człowiekiem zawsze pogodzić się może. Co, Majster? A ileż dalibyście?

— Nie więcej, niż możemy.

— A ile możecie? — zdawał się godzić Piekutowski.

Murek chrząknął:

— W kieszeni, ani w domu, nie mam nic, albo prawie nic. Wszystko po ludziach, po interesach. Jakbyście panowie mieli trochę rozsądku, to ułożylibyśmy się tak: na spłaty. Co miesiąc, czy co dwa pewną sumę.

— Ty! Nie bądź za cwany! — zawołał Majster.

— Bo co?

— Bo zwiejesz i tyle cię będziem widzieć.

— Powiem szczerze: jeżelibym mógł, tobym zwiał, ale nie mogę. Tu moje życie. Śledziliście mnie, to wiecie sami. Mam różne sprawy, interesy. Wszystko pozaczynane, idzie nieźle. Jakże ja to rzucę i dokąd pójdę? Na dawną biedę?... Zastanówcie się panowie. A wy, przecie zawsze trzymacie mnie w ręku. Sami to rozumiecie. Wystarczyłoby wam zadzwonić do policji i powiedzieć, że żyję pod fałszywem nazwiskiem. Już reszty, oni sami doszukaliby się. Wam łatwo mnie zgubić, a ja wam nic zrobić nie mogę. Wy zawsze jesteście wygrani. A co wam przyjdzie z mojej śmierci, czy zguby?... Nic. A jak będę żył i zarabiał, to wam pewny dochód. No, nie?...

Majster i Piekutowski zamienili spojrzenia i nic nie powiedzieli.

— Trzymacie mnie zupełnie w ręku — ciągnął Murek — bo ja wam żadnej krzywdy zrobić nie mogę. Ot, i teraz. Przecie kiedy Arletka chciała nacisnąć dzwonek, obaj patrzyliście na nią. Ja stałem za wami styłu. Mogłem was bez trudu zastrzelić. Patrzcie, maszynę mam...

Wyciągnął z kieszeni rewolwer i schował spowrotem.

— Mogłem, czy nie mogłem?... Oczywiście, mogłem. Ale coby mi z tego przyszło?... Jakby policja wdała się, to ze mną koniec. A uciec, to już wolę więzienie, czy śmierć, niż dawną nędzę. Zresztą ja prawdę wam mówię, że nie nadaję się do mokrej roboty. Pan wpadłeś na mnie, panie Piekutowski, bo panu w głowie nie mieści się, że ktoś zabijać nie potrafi, ale ja właśnie jestem taki. Wolę płacić wam haracz, choć niesprawiedliwy, ale wolę. Zabijecie ją i mnie, ale co wam z tego przyjdzie? Zgubicie?.... Z tego też nic. Zastanówcie się.

Perswazje Murka odniosły jednak skutek. Wprawdzie ani on, ani Arletka nie łudzili się, że tamci z zemsty nie zrezygnują. Wygrywało się jednak na czasie. Po wielokrotnych pertraktacjach, podczas których raz po raz wybuchały burze, po wypiciu całego zapasu alkoholu, jaki znajdował się w domu, stanęło na tem, że nazajutrz Murek o ósmej wieczór wypłaci im dziesięć tysięcy i później co miesiąc będzie płacił po dwa. Narazie zabrali wszystko, co miał przy sobie i biżuterję Arletki, wychodząc zaś Piekutowski zastrzegł się:

— A uważajcie! Jakby Majstra, albo mnie aresztowali, z jakiegokolwiek powodu, to i wasz koniec!

— To zrozumiałe — odpowiedział Murek. — Tylko bądźcie sprawiedliwi! Bo jak was na jakiejś robocie złapią, a nie z donosu, to zacóż ja ma cierpieć?

— Nie bój się! Po cholerę nam robota i ryzyko. Póki będziesz spłacał, to i robota nam niepotrzebna. Tylko bez żartów, panie Murek! Bez żartów! — pogroził pięścią i wyszli.

Murek i Arletka długo stali w przedpokoju milcząc, wreszcie dziewczyna odezwała się:

— No, niema poco tracić czasu. Szkoda zostawiać te meble, ale co się da, trzeba zaraz spakować. Z dworca niebezpiecznie będzie jechać, ale wynajmiemy taksówkę do Żyrardowa i tam wsiądziemy do pociągu. Sprytnie ich zbajerowałeś.

Murek jednak potrząsnął głową:

— Mylisz się. Ja wcale nie mam zamiaru jechać.

— Jakto? — zdziwiła się.

— Mówiłem im prawdę. Wolę śmierć, jak dawne życie w nędzy.

— Chyba oszalałeś!

— Może.

— Ależ i tak dojdziemy do nędzy! Skąd ty dla nich weźmiesz tyle pieniędzy! I co ty myślisz, że nie skończą z nami? Jedyna rada uciekać.

— Nie chcę. Nie mogę.

— Dlaczego nie możesz? Pojedziemy do innego miasta. Tu daliśmy sobie radę i tam damy.

— Nie.

Chwyciła go za ramiona:

— Franek! Tyś chyba zwarjował! Więc co? Dasz się im doić?

— Nie wiem, nie wiem....

— Opamiętaj się!

Murek chwycił się za głowę i zaczął chodzić po pokoju:

— Bagno, bagno, bagno — powtarzał.

— Musimy jechać — przekonywała Arletka — spróbujemy wydostać się zagranicę. Zobaczysz, jeszcze wypłyniemy znowu.

Napróżno jednak starała się go przekonać. Murek nawet nie szukał kontrargumentów. Jakżeby mógł jej powiedzieć, że marzeniem jego jest nie mozolne i pełne niebezpieczeństw „dorabianie się", lecz zapewnienie sobie wygodnego i dostatniego bytu, że wiele już w tym kierunku przygotował, że jeszcze kilka miesięcy i ożeni się z Czabanówną. Nie, on ani chciał, ani mógł uciekać. Oczywiście nie miał zamiaru, ani przez moment nie myślał pogodzić się z szantażem i pokornie wypłacać dawnym wspólnikom kontrybucję. Wiedział doskonale, iż wyrwaliby zeń ostatni grosz, a później poczęstowaliby kulą. To też tylko chciał wygrać na czasie. Nie miał jeszcze pomysłu, w jaki sposób od nich się uwolni, ale pomysł taki musiał przyjść. Musiał.

Noc spędził Murek bezsennie, od rana zaś wyszedł na miasto w poszukiwaniu pieniędzy. Zebranie do ósmej dziesięciu tysięcy, było nielada sztuką. Część wydobył od swoich kawiarnianych znajomych, część z Zarządu Dóbr Zasławskich, część z różnych przedsiębiorstw Czabana. Resztę dopożyczył od Żołnasiewicza.

Gdy jednak miał już wszystko i uprzytomnił sobie, że tyle pieniędzy pójdzie na marne, postanowił targować się z tymi łotrami.

Spotkanie umówione było w małej kawiarence na Grzybowskiej i Murek stawił się punktualnie. Tamci już czekali. Zanim jednak zaczął przygotowane usprawiedliwienia, że tak dużej kwoty niepodobna było w jeden dzień wydostać, Piekutowski oświadczył:

— Twoje szczęście, żeś przyniósł forsę. Trafia się nam z Majstrem niezła fabryczka na Ceglanej. Jakby nam przepadła, no!... Tylko, że tej forsy mało. Te dziesięć tysięcy pójdą na zadatek. A jutro musimy dopłacić drugie dziesięć.

Nie pomogły żadne zaklęcia Murka. Śmieli się mu w nos z jego przysiąg.

— Jak nie możesz, no, to twoja sprawa. I tak lekkośmy ci popuścili. Szkoda każdego następnego słowa.

Umilkł. Widział teraz, że Arletka miała rację. Należało uciekać z temi pieniędzmi. Przecie wiedział, że drugich dziesięciu tysięcy nie wydobędzie! Z rozpaczą patrzał, jak paczki banknotów znikały w kieszeni Piekutowskiego.

Przemknęła mu przez głowę myśl, by natychmiast podnieść gwałt i sprowadzić policję.

— Przepadnę, ale i oni przepadną.

Jednak pohamował się. Nawet przyjął ich zaproszenie na wódkę. Ponieważ zaś kawiarenka nie miała koncesji, kelnerka przynosiła im angielki pod fartuchem. Posępna mina Murka wprawiała tamtych w dobry humor. Po czwartej angielce Majster zawołał:

— No, coś taki smutny, frajerze!

— Też byłbyś smutny. Skąd ja dla was tę forsę wydobędę?

— Weźmiesz od swego Czabana. Nie martw się.

— Niema go w Warszawie.

— No, to pożycz od swoich komunistów — zaśmiał się Piekutowski.

Murek nagle zakaszlał, by ukryć rumieniec, który wystąpił mu na policzki. Słowa Piekutowskiego uprzytomniły mu, że jego sytuacja nie jest jeszcze tak beznadziejna, jak sądził.

Nie rozpogodził się wprawdzie, lecz swobodniej już rozmawiał i pił chętniej.

— No, to stanę na głowie, ale postaram się — powiedział wreszcie. — Gdzie się spotkamy?

— Choćby tutaj.

— Zgoda. O której?

Chcieli wyznaczyć piątą, lecz Murek oburzył się.

— Ludzie! Miejcież sumienie! Nie zdążę. Najwcześniej o dziesiątej.

Zgodzili się.

— Tylko równe dziesięć i bez kantów! — przypomniał mu Piekutowski.

Murek z rezygnacją machnął ręką:

— Wiem, wiem.

Wprost z kawiarni pojechał do towarzysza Dyla, dawnego swego pomocnika z Wydziału Akcji Partji Komunistycznej. Wiedział, że Dyl nie przyjmie go serdecznie. Odsunięcie się Murka od roboty partyjnej nie było tam dobrze widziane. Przez dłuższy czas śledzono go nawet, by przekonać się, czy nie został konfidentem policji. Wówczas podsyłano mu różnych członków partyjnego wywiadu, którzy usiłowali sprowokować go do denuncjacyj. Za sprytny jednak był na taką grę i nie dał się złapać. Za każdym razem, gdy od któregoś z rzekomych malkontentów i zdrajców partyjnych słyszał narzekania, gdy sondowali jego opinje o organizacji, gdy zwierzali się mu z zamiarów „sypania", gdy udając naiwnych udzielali informacyj o zamiarach i planach partji, — za każdym razem Murek składał o tem w Egzekutywie wyczerpujące raporty, nie szczędząc słów oburzenia i domagając się kary dla zdrajców proletarjatu. Oczywiście, później spotykał nieraz owych „zdrajców", a sam fakt, iż żyli, potwierdzał słuszność jego ostrożności. Czujność ta kosztowała go sporo nerwów, w rezultacie jednak zapewniła towarzyszowi Garbatemu jeżeli nie zaufanie w kierownictwie partji, to przynajmniej patent lojalności.

Pomimo to towarzysz Dyl przyjął go ze zdziwieniem. Z kiepsko ukrywaną podejrzliwością słuchał jego rozczulań się nad dawną pracą w partji, wymijająco odpowiadał na zapytania, dotyczące różnych towarzyszów, uśmiechał się słuchając skarg na nerwy i westchnień na temat powrotu do działalności organizacyjnej.

Po długiej rozmowie Murek doszedł do przekonania, że nie dowie się odeń tego, o co mu jedynie chodziło: hasła dla którejś „piątki". Co miesiąc hasła te zmieniano, a komendant każdej piątki miał obowiązek wykonania każdego rozkazu przyniesionego mu przez bodaj nieznanego człowieka, który wymienił hasło. Rozkazy takie dotyczyły wielu spraw, najwięcej jednak wydawane były przez Egzekutywę, gdy trzeba było wykonać na kimś wyrok sądu partyjnego. Z reguły praktykowało się przytem przesyłanie hasła i rozkazu przez kogoś nieznanego komendantowi, co gwarantowało bezpieczeństwo władz organizacji nawet w wypadku „wsypania się" całej piątki.

Murek już zaczął żegnać się z Dylem, straciwszy wszelką nadzieję, gdy ten powiedział:

— Za jedno jestem wam wdzięczny, towarzyszu Garbaty.

— No? Za co?

— Za waszą opinję o Kuzyku. Dzielny chłop. I doskonały wykonawca. Pewno czytaliście, że go aresztowano przy likwidacji łamistrajków w fabryce „Niwex"? Pierwszorzędnie to przeprowadził. A pozatem wykręcił się doskonale. — Wiem, choć on nie w mojej dzielnicy.

— Czytałem — skłamał Murek — i domyśliłem się, żeście powierzyli mu piątkę.

— Bardzo serdecznie was wspominał — dodał Dyl.

— On może jeszcze wysoko zajść — kiwnął głową Murek.

— Eeee... to, to nie. Ale wykonawca wyborny.

— Tak człowiekowi smutno — westchnął Murek — bełcze się w życiu bez przydziału, bez racji. Dobre były czasy, gdy jeszcze nerwy miałem mocne. Czułem się wtedy pożytecznym i potrzebnym, a teraz... Ot, i wy towarzyszu Dyl, patrzycie na mnie z politowaniem... Głupie życie. Jednak po takiej pogawędce z wami, to tak, jak po orzeźwiającej kąpieli. Człowiek widzi, że jest jeszcze prawdziwe życie, energja i radość walki o wielką przyszłość... Dziękuję wam. Dziękuję i za to.

— Otrząśniecie się jeszcze — poklepał go po ramieniu Dyl i odprowadził do drzwi.

Znalazłszy się na ulicy, Murek zatarł ręce. Dowiedział się jednak dużo i przy odrobinie szczęścia mógł liczyć na pomyślne rozwiązanie swoich trudności.

Z najbliższego sklepiku zatelefonował do Kuzyka. Telefon odebrała Kuzykowa i powiedziała, że męża niema w domu.

Ucieszony wskoczył do taksówki i w dziesięć minut był już na Sosnowej.

Kobieta otworzyła mu drzwi i nie poznała w pierwszej chwili. Nie ukrywała jednak radości. Zwracając się doń na zmianę to na ty, to na pan, to na wy, kręciła się po pokoju, zdejmując palto i kapelusz. Właśnie wybierała się do ciotki na Mokotów, ale teraz mowy niema o wyjściu. Gdzie tak długo był? Czemu się nie pokazywał? Co porabiał?...

Murek śmiał się i robił do niej oko:

— Zaglądałem kilka razy — zapewniał — ale zawsze twój mąż był w domu. A jemu wolałem w oczy nie leźć. I tak nas posądzał. A ja teraz stale w Łodzi. Rzadko bywam w Warszawie.

— To szkoda — krygowała się.

— Pewno. Boś tak wypiękniała!..

— Gdzież tam...

— Ale jak jeszcze! Strasznie często wspominałem ciebie. W Łodzi niema takich kobiet! Niema.

Kuzykowa klasnęła w ręce:

— A możeś głodny!? Że też ja... No, musimy wypić, zaraz skoczę po flaszkę.

On jednak zaprotestował:

— Szkoda czasu. A nuż mąż nadejdzie?...

— Nie nadejdzie. Siedzi „Pod Szczupakiem" i chla. Przed zamknięciem knajpy nie przyjdzie.

Narzuciła chustkę na głowę i wybiegła. Murek nasłuchiwał chwilę, później czemprędzej otworzył komodę. W górnej szufladzie Kuzyk chował pieniądze, rachunki, broń i wogóle wszystko, co stanowiło dlań większą wartość.

Jeżeli miał zanotowane hasło, musiało być tutaj. Napróżno jednak Murek przetrząsnął od góry do dołu całą szufladę, napróżno przejrzał wszystkie kieszenie w starej marynarce, wiszącej za szafą. Ledwie zdążył usiąść na krześle pod oknem, gdy wróciła Kuzykowa.

Wydostała salceson, masło, zimny kotlet wieprzowy, zasłała stół białym obrusem. Sama jeść nie chciała, tylko piła z temperamentem i coraz bliżej przysuwała się do Murka. Pachniało od niej chlorkiem i potem, wyraźne zmarszczki otaczały usta, a zaczynająca więdnąć skóra na szyi przy każdym uśmiechu wyciągała się na żylastych ścięgnach.

Kuzykowej było pilno, a i Murek śpieszył się, chociaż z innych powodów. To też przy stole niewiele spędzili czasu. Uniknąć łóżka było niepodobna. Kobieta później rozgadała się.

Narzekała na nudy i monotonję życia, na to, że czeladnik Syrkowski myśli o ożenku z jedną kuchtą, co służyła u lekarza i uzbierała wielkie pieniądze, podobno dwa tysiące, na męża, który pije coraz więcej, że go z knajpy trudno wyciągnąć.

— A jakże w partji patrzą na to jego pijaństwo? — zapytał Murek.

— Im co? Dla nich on zawsze jest na zawołanie. Tylko dla mnie nie.

— Na zawołanie, jak na zawołanie, bo jakże to, szukają go po knajpach?

— Nie, gdzież tam! On się ukrywa przed nimi z tem chlaniem. Tylko, jak wzywają go, jak przyjdzie kto, to ja po niego lecę i sprowadzam. Nawet jak klient z obstalunkiem przyjdzie, to dla niego nieważne.

— A z partji ważne?

— Juści.

— A skąd ty wiesz, że dany facet jest z partyjnym interesem?

— Onże mi powiedział: Jak przyjdzie gość i powie, że chce ze mną się widzieć, to mam zapytać, w jakiej sprawie? A on dopiero musi umówione słowa wymówić. Jak wymówi, to znaczy swój i mam po mężа lecieć.

— A jakież to słowa? — obojętnie zapytał Murek.

— Różne. Co miesiąc inne. Ktoby je tam spamiętał.

— U nas w Łodzi, to komuniści mają hasło „Robotnicza siła w jedności". A u was?

— I spamiętać trudno — ziewnęła Kuzykowa — pierwej to było takie śmieszne, niby zapytanie, „Czy Michałek wyjechał do Ameryki?" A teraz ta jakoś o hiszpańcach. Ot, różnie.

— A jak o hiszpanach? — nalegał Murek.

— Coś taki ciekawy... Czekaj, czekaj... Aha! „W Hiszpanji rewolucja buduje nowy porządek".

Chcąc się przekonać, czy Kuzykowa dobrze powtórzyła hasło, Murek wrócił jeszcze kilkakrotnie do tego tematu. Upewnił się jednak dopiero wtedy, gdy pokazała mu te słowa wypisane na pudełku od gilz, w którem trzymała przybory do szycia.

Wróciwszy do domu, zastał Arletkę zaniepokojoną w najwyższym stopniu jego długą nieobecnością. Spodziewała się nieszczęścia, wiadomość zaś o nowych wymaganiach Piekutowskiego i Majstra wprawiła ją we wściekłość.

— Uciekać, mówiłam odrazu, uciekać! Czy ty naprawdę nie rozumiesz tego, że to jedyne wyjście?!

— Znalazłem lepsze — odpowiedział spokojnie Murek.

— No to chyba zabić ich obydwóch!

— Właśnie.

Arletka potrząsnęła głową:

— Nie dasz rady. To starzy praktycy w tych rzeczach.

— Wiem o tem — zgodził się — ale znalazłem takich, którzy to zrobią.

— Któż to taki?

— Bojowcy.

— Komuniści?

— Tak.

— Zechcą? Przez przyjaźń?... Czy za pieniądze?

Murek zaśmiał się:

— Bez pieniędzy i bez przyjaźni. Z rozkazu.

— Z twojego? — zdziwiła się.

— Nie. Z twojego.

Spojrzała nań niepewnie:

— Słuchaj, tyś pijany!

— Bynajmniej. Uważaj chwilkę, a zaraz wszystko zrozumiesz. W partji bojowcy podzieleni są na piątki. Po czterech i komendant. Panuje przytem ścisła konspiracja. Niema żadnych rozkazów na piśmie, ani telefonicznych, gdyż boją się podsłuchu. Cała robota robiona jest na gębę. Do komendanta piątki przychodzi ktoś przysłany z komitetu rejonowego, nawet najczęściej nieznany komendantowi i wydaje mu rozkaz: zrobić to a to. Kapujesz?

— Nie bardzo, bo skąd taki komendant ma wiedzieć, czy to prawdziwy rozkaz władz partyjnych?

— Otóż to! Żeby mógł wiedzieć, wprowadzone są hasła. Umówione hasła! Otóż, gdy przyjdziesz do towarzysza Kuzyka, powiesz mu hasło „W Hiszpanji rewolucja buduje nowy porządek" i wydasz mu polecenie, by w takiem a takiem miejscu o takiej a takiej godzinie zastrzelił takich a takich ludzi, towarzysz Kuzyk zastosuje się do tego z matematyczną ścisłością. Zbierze swoją piątkę, obsadzi dane miejsce i o wyznaczonej porze zrobi swoje.

— Ale tamci będą się bronić.

— Napewno.

— I mogą postrzelić twoich komunistów.

— Na zdrowie.

— Jakto?... Wtedy przecie dojdzie do wiadomości władz partyjnych, że to twoja robota?

— Nie dojdzie, bo nikt nie dowie się, że ja mam z tem coś wspólnego. Wszystko załatwisz ty, a ciebie nie znają.

Nazajutrz przed południem Arletka nacisnęła na głowę poplamiony granatowy beret, włożyła okulary, ubrała się w zniszczony płaszcz i stare pantofle i ruszyła na Sosnową.

Murek dokładnie i wyczerpująco poinformował ją o wszystkiem. Uradzili przytem, że w razie, gdyby Kuzyk, co było prawdopodobne, wyraził jakiekolwiek wątpliwości i chęć sprawdzenia rozkazu w komitecie Arletka odwoła się do autorytetu towarzysza Garbatego. Groziło to nader niebezpiecznemi konsekwencjami, jednakże największem niebezpieczeństwem było narazie pozostawienie przy życiu Piekutowskiego i Majstra.

Arletka bez trudu odszukała stolarnię Kuzyka i jego samego zajętego robotą przy warsztacie.

— Czy pan Kuzyk? — zapytała.

— Owszem. Czem mogę pani służyć?

— Mam do pana interes w cztery oczy.

Kuzyk wytarł ręce i wprowadził Arletkę do komórki za stolarnią.

— O co chodzi?

— Towarzyszu Kuzyk — poważnie zaczęła Arletka — przyniosłam dla was polecenie z komitetu.

— Z jakiego znowu komitetu?... I jaki ja dla pani towarzysz? — zdziwił się.

Wówczas popatrzyła mu prosto w oczy i wyrecytowała:

— W Hiszpanji rewolucja buduje nowy porządek.

Uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę:

— Z komunistycznem pozdrowieniem, towarzyszko. Siadajcie. O co chodzi?

Arletka w krótkich zwięzłych zdaniach wyłożyła mu sprawę. Dwaj nader niebezpieczni prowokatorzy zdołali wkręcić się do szeregów partji. Wiedzą bardzo dużo i trzeba ich wykończyć koniecznie dziś wieczorem. Za wszelką cenę. Pół godziny opóźnienia groziłoby wręcz katastrofą. Komitet rejonowy z towarzyszem Czułkowskim na czele postanowił tę nader odpowiedzialną robotę powierzyć najlepszej i najpewniejszej piątce towarzysza Kuzyka, wypróbowanej już przy brawurowej likwidacji łamistrajków.

Kuzyk zarumienił się, rad z pochwały. Arletka zaś zapytała:

— Znacie kawiarnię Majewskiej na Grzybowskiej?

— Znam. Zaraz za placem.

— Tak. Otóż o dziesiątej punktualnie. Będą tam ci dwaj. Zapamiętajcie sobie ich wygląd.

Podała szczegółowy rysopis, następnie upomniała go, by żadnemu z piątki do ostatniej chwili nie mówił o kogo chodzi, gdyż prowokatorzy mogliby być ostrzeżeni, a wówczas szereg najwybitniejszych kierowników partji z towarzyszem Kurmskim, Żeleziakiem, Piotrem i Szepsem na czele poszliby za kratę. Robota musi być wykonana szybko, błyskawicznie, gdyż tamci są w pogotowiu i mają broń.

Kuzyk pokręcił głową:

— Sprawa poważna. A jak okaże się, że komitet zbyt pośpiesznie wydał rozkaz egzekucji? Towarzysz Czułkowski w gorącej wodzie kąpany. Czy on ma wyrok?

— Naturalnie.

— I to tak bez przygotowania... Djabli nadali...

— Czyżbyście chcieli odmówić, towarzyszu? — ze zgrozą zapytała Arletka.

— Skądże. Ani mi się śni. Jak rozkaz, to rozkaz. Tylko, że i rysopis rysopisem, a pomylić się można. Żebym tak... Ej, trudno. Ale jak trzeba... Wiecie co, towarzyszko? Wezmę czapkę i skoczę do Czułkowskiego.

— Jak chcecie — zgodziła się Arletka i widząc przegraną postanowiła wszystko postawić na kartę — muszę jednak spełnić swoje i dokończyć wam instrukcji, bo towarzysz Czułkowski nie lubi powtarzać. Otóż przy rozprawie z tymi prowokami macie uważać, by

nie strzelać, póki będzie z nimi siedział jeden człowiek z brodą i w okularach. Raz, żeby go nie zranić przypadkowo, a powtóre, by miał czas bezpiecznie wycofać się nim nadejdzie policja. Jest to bardzo ważne, bo ten człowiek z brodą, pamiętajcie, z brodą! to jeden z wodzów Komunistycznej Partji Polski, prawa ręka sekretarza Egzekutywy. Możeście go kiedy spotykali dawniej, gdy był szefem Propagitu. Zresztą napewno słyszeliście o nim, towarzysz Garbaty.

— Garbaty? — ucieszył się Kuzyk. — Ależ towarzyszko! Ja go doskonale znam! Czy wiecie, że on kiedyś przez długi czas ukrywał się u mnie?... Tu, w tejże komórce! My z nim w przyjaźni!

— Tak? No, to winszuję wam, towarzyszu. Nie byle z kim się przyjaźnicie. — To wschodzące słońce polskiej rewolucji komunistycznej.

— Ba! To łeb! Tylko myślałem, że do Moskwy przedostał się, bo wspominał, że ma zamiar. A już od bardzo dawna go nie widziałem.

— Istotnie, był w Sowietach. Ale już wrócił. I powiedzcie sami, towarzyszu, taki człowiek nie waha się iść na wabia, by tylko tych prowoków wykończyć!

— Prawda, prawda. No, to niema co zwlekać. Więc powiedzcie, towarzyszko, jeszcze raz dokładnie, żebym czego nie pominął, jak ma być?

Arletka powtórzyła wszystko i w końcu dodała z pewną kokieterją:

— A uważajcie tam, towarzyszu Kuzyk, i na siebie. Szkoda byłoby takiego bojowca i takiego... chłopa. Jeszcze się spotkamy... jeżeli zechcecie.

Zaśmiał się zażenowany:

— Cobym nie miał chcieć.

— To byczo. A spiszcie się dobrze. I grunt: tajemnica!

— Zrobione!

Nie wracała jednak z lekkiem sercem. Wplątanie Murka w nowe tarapaty było koniecznością. Czy rozprawa z Piekutowskim i Majstrem uda się, czy nie, w każdym razie Kuzyk złoży w partji raport, i Murek może to przypłacić życiem. Komuniści nie żartują.

Murek jednak był zadowolony. Wysłuchał sprawozdania Arletki z uśmiechem i uspokoił ją:

— Tam wszystko zależeć będzie od władz partyjnych. Może jakoś się wykaraskam, a tu nie mam żadnej szansy. Byle tylko udało się z drugiem wyjściem na podwórze. Jeżeli Kuzyk nie obstawi tych drzwi, gotowi uciec.

Obiadu prawie nie jadł, później zaś położył się na kanapie i nie odzywał się do Arletki ani słowem, choć próbowała go rozruszać. Widocznie myślał o czemś intensywnie. Wieczorem wstał, zmienił ubranie i zabrał się do czyszczenia rewolweru.

— Trzymaj się, Franku — ścisnęła go za ramię Arletka.

Spojrzał na nią surowo:

— Lepiej się trzymam, niż ci się zdaje. No... idę. Jakbym nie wrócił... to nie przejmuj się zbytnio. Znajdzie się kto inny...

— Franku! Franku! Nie idź! Jeszcze czas. Uciekajmy!

— O nie, moja droga. Już się nie cofnę. Dowidzenia.

Pocałował ją prędko i nie oglądając się wyszedł. Dopiero na schodach uprzytomnił sobie, że usta jej drżały, a w oczach była taka dobra, taka głęboka czułość... Podniósł kołnierz palta i ruszył przed siebie.

Na Grzybowskiej, jak zwykle o tak późnej porze, ruch był mały. Tu i owdzie stały grupki przechodniów. Niepodobna było stwierdzić, czy która z nich nie należy do piątki Kuzyka. Kawiarenka Majewskiej składała się z dwóch pokoi. W pierwszym była lada, za którą urzędowała gospodyni. Tu też stało kilka stolików. Trzy z nich były obecnie zajęte. Przy jednym siedzieli Majster i Piekutowski, przy drugim trzej pijani tragarze z jedną z kelnerek. Przy trzecim dwaj robotnicy, popijający piwo i zajęci rozmową. Oparty o ladę stał wysoki, chudy mężczyzna w rozpiętej watowanej kurtce i jadł kanapkę z twarogiem.

— Tamci dwaj i ten muszą być z piątki — przemknęło przez głowę Murkowi — czwarty musi stać przed kawiarnią. Ale gdzie Kuzyk?... Może dopiero wejdzie?...

Murek przywitał się z Piekutowskim i z Majstrem. Podali sobie ręce w milczeniu. Usiadł tyłem do wyjścia i rzucił okiem do drugiego pokoju, skąd dochodziły również głosy.

— Coś pan taki blady, panie Murek — zagadnął go ironicznie Majster. — Masz pan jakie zmartwienie?

— Żebyś pan musiał tyle forsy wytrzasnąć, też byłbyś blady.

— Ale jest?

— Jest. Musi być, więc jest. Tylko bądźcie panowie ludźmi. Nie zabierajcie mi wszystkiego. Tę prośbę mam do was. — Mam całe dziesięć, jak obiecałem, ale z głodu zdechnę...

— Zaraz, zaraz — przerwał Piekutowski i zawołał: — Pani Majewska! Proszę tu kropelek. Trzy razy.

Kelnerka przyniosła wódkę, trzy angielki i dwa serdelki. Wypili, przekąsili, poczem Piekutowski zaczął mówić. Czego, jak czego, a tego by Murek miał odwoływać się do ich względności, nie przypuszczał. Jakże to? Okradł ich, oszukał, postąpił jak ostatnia świnia. Widać nie rozumie zupełnie, że za taką rzecz to i śmierci mało. I tak są dla niego za łagodni. Ale żeby wiedział, że oni lepsi od niego, to już niech tam...

— Jak Majster?... Zostawisz mu dwieście fajgli?

Majster spojrzał nań, jak na warjata:

— Za co?

— Pewno, że niema za co — przyznał Piekutowski — no, napijemy się jeszcze.

Kiwnął na kelnerkę i w tej chwili Murek podniósłszy wzrok zobaczył we framudze drzwi z sąsiedniego pokoju sylwetkę Kuzyka. Zegar nad bufetem wskazywał pięć po dziesiątej.

— To czas — zdecydował się Murek. Wychylił szklaneczkę z wódką, wytarł usta i zwrócił się do Piekutowskiego: — Nie wie pan, czy tędy wyjdę do ustępu?

— Co tak przyparło?

— Cały dzień latałem za pieniędzmi — usprawiedliwił się i wstał — Zaraz wrócę.

Całą siłą woli panował nad sobą, by nie przyśpieszyć kroku i nie obejrzeć się. W drugim pokoju przy stoliku tuż koło drzwi siedział Kuzyk. Nawet nie spojrzał na Murka, tylko nieznacznie poruszył dłonią, opartą na kolanie.

— Już — szepnął Murek i szedł przed siebie. Dwa większe towarzystwa siedziały tu mocno już podgazowane i hałaśliwe. Minął ich i zatrzymał się przy drzwiach. Nacisnął klamkę: były otwarte. Teraz obejrzał się i zamarł.

Zobaczył postać Kuzyka zasłaniającą przejście do sklepu jego szybki ruch ręki i błysk strzału. Jednocześnie odezwały się jeszcze dwa, trzy, może cztery rewolwery. Gwałtowny terkot strzałów przeszedł w kanonadę. Czyżby bronili się?... Krzyki, brzęk tłuczonego szkła, jęk, i rumor wywracanych stołów i krzeseł i huk wystrzałów. Trwało to może minutę, może tylko parę sekund, lecz Murek zdążył się opanować: wydobył rewolwer i wymierzył w szerokie plecy Kuzyka. Nacisnął cyngiel, raz, drugi, trzeci. Ktoś zgasił światło. Zanim jednak zgasło, zobaczył Kuzyka, padającego na wznak.

Skoczył do drzwi, przebiegł podwórze, bramę i już był na ulicy. Dygotały pod nim nogi, zęby szczękały. Dopiero przy rogu spostrzegł, że wciąż trzyma w ręku rewolwer. Przeraził się i schował go do kieszeni. Wskoczył do taksówki i kazał się wieść na Koszykową. Tu zapłacił. Doszedł do Marszałkowskiej i wsiadł do pierwszego tramwaju. Dojechawszy do placu Unji, znowu wziął taksówkę.

— Na... na Żoliborz — powiedział szoferowi.

Wszystko mu było jedno, dokąd jedzie. Po pierwsze, musiał zmylić ślady, po drugie, nie mógł znieść widoku ludzi. Musiał być sam, musiał ochłonąć. Wszystko w nim trzęsło się, dygotał każdy mięsień. I skupić myśli! Zapanować nad nerwami!... Zabił człowieka, zabił człowieka, bo musiał, bo to było konieczne dla własnego bezpieczeństwa. Kuzyk nie żyje, a nikt więcej nie wie tam nic ani o Murku, ani o Garbatym. Ani policja, ani komuniści nie dowiedzą się niczego. Zamknięte, i kamień w wodę. Jeżeli Kuzyk nie żyje! Jeżeli... Wprawdzie strzały były celne. Upadł. Ale może tylko jest ranny?... Jeżeli zabity, to nikt w tem zamieszaniu nie mógł zauważyć, od czyich kul. Tam przecie były istne jatki. Piekutowski i Majster napewno bronili się. Zbyt to wytrawni cwaniacy, by dali się zaskoczyć. Takim jedno mgnienie wystarczy, by zorjentować się w sytuacji. Oczywiście strzelali. Zatem Kuzyk mógł zginąć od ich kul i tak napewno zaraportują bojowcy z jego piątki władzom partyjnym. Jatki... Inni goście kawiarni też pewno zwiali, jak kto mógł.

Tego rodzaju ludzie wolą nie mieć styczności z policją. Śledztwo będzie nader zagmatwane.

Co mogą stwierdzić? Przedewszystkiem tożsamość Piekutowskiego i Majstra, bo ci figurują w kartotekach Urzędu Śledczego. Z zeznań gospodyni i kelnerek ustalą, że siedział z nimi mężczyzna z brodą i w okularach, a gdy odszedł od stolika, posypały się strzały. Jego strzelającego mogli widzieć tylko tamci pijani goście z drugiego pokoju. Ci zaś napewno uciekli w ślad za nim przez podwórze. Więc znajdą poszlaki, lecz dowodu żadnego.

Pozatem zidentyfikują zwłoki Kuzyka. Jeżeli nie podejrzewają go o komunizm, tedy wyrobią sobie pogląd, że była to zwykła burda pijacka. Oczywiście, stwierdzą, że w kawiarni był niedozwolony wyszynk alkoholu. Zatem popili się i doszło do strzelaniny. Jeżeli zaś policja polityczna miała już Kuzyka na oku, powstanie koncepcja samosądu partyjnego. Tak czy owak policji trudno będzie wpaść na ślad Murka. Już łatwiej komunistom. Kuzykowa wprawdzie nie zdradzi się, że w przeddzień towarzysz Garbaty był u niej, ale czeladnicy ze stolarni mogą naprowadzić wywiad partyjny na ślad Arletki. Stąd wszakże daleko do niebezpieczeństwa. Pozostaje niebezpieczeństwo konfrontacji z tymi bojowcami, którzy widzieli Murka w towarzystwie rzekomych prowokatorów. Kuzyk jednak nie miał prawa powiedzieć im, że ten mężczyzna z brodą jest towarzyszem Garbatym. I napewno nie powiedział wogóle nic. Zatem to, że Murek przysiadł się do tamtych, mogło być zupełnie przypadkowe. Poszlaki, lecz nic pewnego.

Całe to rozumowanie o własnem bezpieczeństwie opierał Murek jednak na szeregu hipotez. Byłyby uzasadnione, jeżeli Piekutowski, Majster i Kuzyk nie żyją. Jeżeli nie zdążyli przed śmiercią złożyć żadnych zeznań. Jeżeli przedtem Kuzyk nie wygadał się. Słowem, jeżeli cały plan się udał.

Byłoby jednak szaleństwem wracać do domu, czy bodaj szukać schronienia u Czabanów na Skolimowskiej, zanim wszystko się nie potwierdzi. Pozatem zwykłe przygodne spotkanie na ulicy któregokolwiek z piątki, pociągnęłoby za sobą cały łańcuch komplikacyj. Tak, czy owak, należało na dzień lub dwa, zginąć z horyzontu, no, i nie pokazywać się więcej z tą brodą.

Wysiadł na placu Wilsona, wstąpił do cukierni i zatelefonował do Arletki:

— Zdaje się, że wszystko będzie pomyślnie — powiedział krótko. — Gdy tylko będę mógł, przyjdę. Nie niepokój się.

Usiadł i kazał sobie podać szklankę kawy. Zgóry zapłacił, lecz pić nie mógł. Jakiś spazm zacisnął gardło. Po dłuższym odpoczynku, przeszedł do tualety. Na szczęście było tu lustro. Wyjął z kieszeni kawałek mydła, namydlił twarz, wydobył brzytwę i zaczął się golić. Po kwadransie był gotów. Podniósł, jak najwyżej, kołnierz palta, nasunął kapelusz na oczy i szybko przeszedł przez salę cukierni.

Na dworze zaczął siąpić deszcz. Nie zwracał na to uwagi i skręcił w pierwszą uliczkę. Myśli uparcie wracały do kawiarenki na Grzybowskiej. Niewiadomo dlaczego, utknął mu w pamięci ów ruch dłoni Kuzyka, opartej na kolanie. Biedny człowiek. Czy mógł przypuszczać, że od przyjaciela, któremu wyświadczył tyle dobrego, od gościa, którego karmił, pielęgnował w chorobie i ukrywał, spotka go śmierć, nędzna śmierć, na brudnej podłodze od kul w plecy. I dlaczego, za co? Czem sobie na to zasłużył?... Był zacnym członkiem społeczeństwa, ideowcem, narażającym dla dobra sprawy, w którą wierzył, wolność osobistą i życie, ryzykującym dla tej sprawy swój, bądź co bądź, dobrobyt i możność spokojnej egzystencji... I jakaż to sprawiedliwość rządzi światem?...

— On tam leży zabity, a ja, ja, łajdak, złodziej, morderca, oszust, skrytobójca najpodlejszy z podłych, ja żyję i będę żył dalej, będę się bogacił, będę się bawił... I piorun we mnie nie strzeli i ziemia się podemną nie rozstąpi. Ani ludzie mnie nie potępią, jeżeli potrafię zdobyć się na odrobinę sprytu... Więc gdzież jest sprawiedliwość?... Którędyż dosięgnie mnie kara?... Chmury nad głową bezsilnie sieją małe kropelki deszczu, zarówno na złych i dobrych, a sądy ludzkie stają bezradne wobec mocnych, wobec przebiegłych i bogatych, wobec zbrodniarzy perfidnych i bezwzględnych, idących do celu po trupach. Jakaż to sprawiedliwość, która nie może skarać najgorszych... na którą można zastawić sidła i pułapki, przed którą można się ogrodzić nietylko potęgą materjalną, lecz zwykłym

najnędzniejszym sprytem. Sprawiedliwość karze nie zbrodnię, lecz nieudolność zbrodniarza. Którędyż dosięgnie mnie?...

Z podniesionym kołnierzem, z pięściami wciśniętemi w kieszenie, włóczył się bez celu wśród wąskich, pustych uliczek. I wzbierało w nim pragnienie, niezrozumiałe dla niego samego oczekiwanie, pożądanie kary. Jeszcze chwila, a buchnie oślepiająca jasność i ostra klinga ognia przeszyje go od góry do dołu, przeniknie przezeń gwałtownym bólem śmierci. Jeszcze kilka kroków, a z za węgła błysną lufy rewolwerów i na rękach, na przegubach zamkną się twarde stalowe kajdanki!... Ileż doznałby ulgi!...

Ale spotykani przechodnie mijali go szybko i obojętnie a z nieba prószyły drobne nikłe kropelki, osiadające na twarzy wilgotnym pudrem, pokrywając wełnę kołnierza mikroskopijnemi kulkami wody.

— Którędyż dosięgnie mnie sprawiedliwość? — powtarzał z rozpaczliwym uporem.

I nagle opanowało go poczucie samotności. Chęć zwierzeń, potrzeba wyznania komuś całej prawdy o sobie. Przestraszenia kogoś tem całem plugastwem, które dźwiga w sobie... Kogoś, ktoby ze wstrętem i lękiem odsunął się od niego i temsamem przyświadczył jego nędzę i klęskę, która jest przecie zwycięstwem i siłą dla świata i dla życia, dla tych wszystkich ludzi z jego dzisiejszej rzeczywistości, dla Arletki, dla Czabana, dla kawiarnianych znajomych. U nich znalazłby albo podziw i uznanie, albo przyczajoną myśl o dyskontowaniu tych wiadomości. Dawniej... dawniej znał innych... Nieboszczyk Słowiński, stara babcia Horzeńska, bodaj nawet Niemirowicz, napewno koledzy z Uniwersytetu, Czyjak, Rudomino, Bajerski... A i jeszcze Mika Bożyńska. Mika Bożyńska, jasna i cicha dobroć. Tak różna od Niry i od całej swojej rodziny.

Obejrzał się. Nie znał tej dzielnicy zbyt dobrze, lecz zorjentował się, że ulica Skośna musi być gdzieś na prawo.

— Skośna 7 — przypomniał sobie — Czy mieszka tam jeszcze z tą przysadzistą Kosicką?

Wielka kamienica tu i ówdzie przeświecała jeszcze niezgaszonemi oknami. Było bardzo późno, lecz Murek nie cofnął się. Dozorca domu powiedział:

— Owszem mieszka. Piąte piętro. Czy zawieść pana windą?

— Nie, dziękuję. Wejdę po schodach.

Zdyszany zatrzymał się przed drzwiami i nacisnął dzwonek. Minęło kilka minut.

— Pewno śpią już — pomyślał i pomimo to zadzwonił raz jeszcze.

Po chwili usłyszał przestraszony głos.

— Kto tam?

— Tutaj Murek. Doktór Murek — odpowiedział.

Moment ciszy, i drzwi otworzyły się do ciemnego przedpokoju.

— Proszę, niech pan wejdzie. Ja coś na siebie narzucę — i nocne pantofle zaczłapały w ciemności.

Poomacku zdjął palto, wytarł chusteczką mokrą twarz. Nagle zapaliło się w sąsiednim pokoju światło i do przedpokoju zajrzała główka Miki:

— Proszę. Już spałam. Co za niespodzianka. Niech pan tu wejdzie, tylko proszę nie patrzeć na mnie. Wyglądam pewno, jak czupiradło.

Była w kusym czarnym szlafroku, pośpiesznie przyczesane włosy otaczały głowę gmatwaniną jasnych kosmyków. Zmieniła się bardzo. Nie postarzała. Wyglądała może młodziej niż dawniej, lecz zmizerniała, pod oczami znaczyły się wyraźnie niebieskawe cienie. I w uśmiechu był jakiś smutek. Tylko ręce miała te same, białe, dziwnie delikatne, niemal przezroczyste i chłodne, jak jakieś egzotyczne kwiaty.

— To warjactwo z mojej strony, że obudziłem panią — zaczął — i wogóle... Ale musiałem... Widzi pani, musiałem panią zobaczyć. Proszę się nie gniewać...

— Ależ ja się wcale nie gniewam. Niechże pan siada. Tyle czasu! Mój Boże. Może herbaty?...

— Cóż znowu. O tej porze...

— Niechże się pan napije. Zaraz przyrządzę. To chwileczkę potrwa. Na dworze deszcz? — pytała już z za drzwi, skąd dobiegały go pobrzękiwania filiżanek.

W mieszkanku też niewiele się zmieniło. Tylko na półce nad kaloryferem stała w wąskich srebrnych ramkach duża fotografja jakiegoś młodego człowieka o bujnych ciemnych włosach i impertynenckim, lecz pięknym profilu.

— Tyle czasu pana nie widziałam — mówiła Mika. — Spoczątku dochodziły choć wieści o panu. Tak się cieszyłam, że dobrze o panu mówią, że stał się pan wybitną osobistością w partji. Bałam się, by nie spotkało pana co przykrego, ale ja wiedziałam, że taki człowiek, jak pan, musi wkońcu wejść w życie i zająć swoje właściwe miejsce. Odkąd niema Marjetki, już i wiadomości o panu ustały.

— A gdzież jest panna Marjetka?

— Jakto? Nie wie pan?

— Nic nie słyszałem.

— Półtora roku temu podczas demonstracyj pierwszomajowych została aresztowana. Skazali ją na sześć lat więzienia.

— Sześć lat?!

— Tak. Ona była taka nierozsądna. Obraziła sąd podczas procesu. A i ja miałam tyle kłopotu. Rewizja za rewizją. Ciągali mnie na zeznania, omal też nie dostałam się do ciupy. To dziwne, że pan nic o tem nie wie. Skazano wtedy osiemnaście osób. Biedna Marjetka. Przewieźli ją teraz do innego więzienia i nawet odwiedzić jej nie mogę.

— To pani tu teraz sama mieszka, panno Miko.

— Sama. Ale czy to można nazwać mieszkaniem. Właściwie nocuję tylko. Przez cały dzień niema mnie w domu, a czasami i noce spędzam w szpitalu.

— W szpitalu?

— Och, bo pan nie wie. Skończyłam kurs pielęgniarski!

Przyniosła tacę z herbatą pachnącą, mocną i gorącą. Z upodobaniem śledził ruchy jej pięknych rąk. Czy też zapomniała już zupełnie o nim? Czy z dawnych uczuć nic nie zostało?...

Usadowiła się swobodnie obok niego.

— Teraz pracuję w szpitalu — mówiła — to jest o wiele przyjemniejsze niż biuro, czy laboratorjum. Właśnie jeden medyk zaprotegował mnie na kursy i później na praktykę. Dziś już jest lekarzem. Może pan słyszał: Doktór Lipczyński?...

— Czy to ten? — Murek wskazał ruchem głowy fotografję na półce.

— Ach nie, cóż znowu — zaśmiała się — Doktór Lipczyński jest żonaty i ma dwoje cudnych dzieci, cudnych! To świetny chirurg, chociaż młody. Możecie się poznać. On jest całkiem innych przekonań niż pan, ale się napewno polubicie. To też taki prawy człowiek i taki niezłomny charakter. Często bywam wzywana do jego chorych. Bo on ma też własną lecznicę. Czasami nawet pomagam przy lżejszych operacjach. Pozatem nasi lekarze mają do mnie zaufanie. Często polecają mnie prywatnym pacjentom. Nigdy nie znałam tak dobrze Warszawy, jak teraz. Bywają dni, że gonię z jednego końca miasta na drugi po pięć razy. Tu zastrzyk, tam bańki...

Pił chciwie herbatę i słuchał jej głosu. Gdy milkła, wtrącał nowe pytanie. Dziwny spokój i jakaś serdeczna ufność brzmiała w jej słowach. Opowiadała o chorych, o lekarzach, o nowych znajomych, jakichś dzieciach, o ślubie brata, który ożenił się przed rokiem z nauczycielką szkoły powszechnej, o rodzicach tej nauczycielki, znowu o swojej pracy, otem, że ją lubią, że odwiedzają i zapraszają do siebie, że stworzyła sobie nowy świat, w którym jest jej dobrze i swojsko.

— Więc i taki świat może istnieć? — zapytał.

— Jakto taki? — zdziwiła się.

— No... — zawahał się — piękny świat, gdzie człowiek człowiekowi nie rzuca się do gardła, gdzie jest przyjaźń i litość, i wszystkie inne tego rodzaju luksusy i świecidełka...

Wybuchnęła śmiechem:

— Nie wierzę w pański pesymizm, panie Franku! Pan nie może tak źle myśleć o ludziach.

— Dlaczego?

— Właśnie pan nie. Bo pan do mojego świata należy.

Zaczerwieniła się i dodała:

— Pan był zawsze dla mnie, jest jeszcze do dziś dnia, jakby sprawdzianem. Gdy kogoś nowego spotykam, porównuję go z panem. Gdy ktoś ugina się pod wpływem niepowodzeń, czy cierpień, staje mi przed oczyma całe piekło, które się przeciw panu sprzysięgło, a przez które pan przeszedł z nietkniętą i niezabrudzoną duszą. Za uczciwość zapłacono panu potwarzą, za prawość nędzą, za miłość, podłą zdradą. Odebrano panu wszystko, ale

nikt i nic nie mogło wydrzeć panu pańskiej własnej wartości. I przez jej pryzmat pan patrzy na życie. I dla tego samego nie może pan wierzyć w zło. Och, panie Franku, panie Franku. Gdybym była poganką, ustawiłabym tu, w kąciku, pański posążek i składałabym mu ofiary. Dziękczynne ofiary za to, co pan dla mnie zrobił. Za to, że myśl o panu zawsze mi była otuchą i pociechą, i drogowskazem, i wiarą. Pocóż pan chce zasłonić się cierpkiemi słowami, skoro wiem, że są tylko pańską obroną przedemną?... Nie trzeba, panie Franku, nie trzeba tak...

Nie patrzyła na niego i mówiła cicho, ledwo dosłyszalnie:

— Ja już nie chcę i dziś nie mam prawa narzucać panu siebie... Więc nie trzeba... Ale pan wie przecież, jak bardzo, jak głęboko pana kochałam. I ten... ten posążek jest wciąż moim skarbem, najcenniejszym skarbem. Nie trzeba go dotykać. Nic go zresztą dotknąć nie zdoła... Przecież każdemu człowiekowi wolno jest mieć starannie ukryty taki ołtarzyk... Myślę, że kiedyś, kiedy będę umierała... Ale, co tam... To tak wielka radość, że pan tu jest, że mogę z panem mówić, że przecież nie zapomniał pan zupełnie o mojem istnieniu. Dziękuję panu...

Murek zacisnął szczęki, lecz nie mógł się opanować. Wielkie łzy zaczęły spływać po jego twarzy, coraz prędzej i prędzej, aż wreszcie targnęło coś w piersiach, zaskowytało w krtani i wybuchnął ciężkim, bolesnym szlochem. Jakby ktoś pazurami rozdzierał płuca, jakby dławił za gardło...

— Co panu?... Co panu?... — słyszał jej głos i na kurczowo zaciśniętych rękach czuł dotyk jej rąk.

Wstał chwiejąc się i podszedł do okna. Zwolna uspokoił się i spróbował uśmiechnąć się do niej, chociaż mięśnie twarzy dygotały mu jeszcze spazmatycznie.

— Już przeszło... Histerja... Proszę mi darować... Przyłazi taki stary byk o północy... i takie rzeczy urządza... Nerwy... nerwy...

— Może weźmie pan kropli walerjanowych? — zerwała się.

— O nie, dziękuję. Chyba, że ma pani trochę wódki.

Mika zatroskała się. Nie, wódki nie ma, ale ma spirytus. Zmięsza go z malinowym sokiem, i będzie dobry.

Wypił chciwie i zaśmiał się:

— Już teraz, panno Miko, może mnie pani uważać też za uratowanego pacjenta.

— Bardzo chętnie. Więc przedewszystkiem ordynuję spokój. Proszę tu usiąść.

— Przestraszyłem panią?

— O nie — zaprzeczyła. — Ja dziesiątej części nie przeżyłam tego, co pan, a też mam słabe nerwy. Pan pewno zadużo pracuje, za wiele się naraża na niebezpieczeństwa. W tej waszej partji...

— Nie jestem już w partji — potrząsnął głową Murek.

— Jakto?

— Nie jestem komunistą. Szybko przekonałem się, niestety, zbyt szybko, że nic mi po nich, ani im po mnie.

— Toby się Marjetka zmartwiła — klasnęła w ręce Mika. — Ale ja się cieszę... Nie mogłam się przekonać do komunizmu. I nie pracuje pan już w warsztatach kolejowych?

— Od bardzo dawna.

— Ale powodzi się panu nieźle, prawda?

— Różnie o tem możnaby sądzić. Głodem nie przymieram, ale...

— Ale strona materjalna panu nie wystarcza — podchwyciła. — Mój Boże, jak ja pana znam. I właśnie dlatego jestem pewna, że dojdzie pan do realizacji swoich zamierzeń. Ale pan chyba pracuje nie w Warszawie? Musielibyśmy się przecież spotkać.

— Tak — potwierdził, ociągając się, — poza Warszawą.

— Daleko?

— Na... Polesiu.

— Na Polesiu? Cóż pan tam robi?

— Pracuję w dobrach książąt Zasławskich.

Nie wiedział, dlaczego skłamał. Wprost przez usta nie chciało mu przejść, że zajmuje się brudnemi interesami. Gdyby wymienił nazwisko Czabana, mogłaby się łatwo dowiedzieć, że jego geszefty nie cieszą się zbyt pochlebną opinją. A pozatem myślał w tej chwili, że przyszedł tu niepotrzebnie, że niewiadomo poco naraził się na to obejrzenie się wstecz,

które go tyle kosztowało, że wreszcie, za żadne skarby nie wróci tu więcej, i z Miką nigdy się nie zobaczy. Nie mógł jednak, było to ponad jego siły, wyznać tej ufnej, naiwnej panience, że jest łotrem, że nie zostało w nim z dawnego człowieka nic. Bo i pocóż jej to odbierać?...

Więc raz zacząwszy, kłamał dalej. Mówił, że ma posadę w administracji dóbr Zasławskich, że pracuje dużo, zarabia nieźle, że zrzadka przyjeżdża do Warszawy, że jest, jak zawsze, samotny, a teraz przyszedł ją odwiedzić, bo... bo chciał prosić o gościnę, gdyż zabrakło mu pieniędzy na hotel. Wobec tego jednak, że Mika mieszka sama, oczywiście, to nie wypada...

Przerwała mu zapewnieniami, że to są głupstwa:

— Widzi pan, panie Franku, już po piątej, a ja na siódmą muszę być w szpitalu...

— To ja pani całą noc zabrałem!

— Niech mi pan wierzy, że nie zamieniłabym jej na najmocniejszy sen.

— To tylko uprzejmość — zaczął, lecz go zburczała:

— Jak można, panie Franku! Czyż pan nie widzi, że jestem panu bardzo wdzięczna, że pan mnie sobie przypomniał, nie kogoś innego. Cóż znaczy jedna nieprzespana noc!

— Jak dla kogo. Dla mnie to drobiazg, ale pani źle wygląda.

— Zbrzydłam?

— Nie, ale jest pani przemęczona. Przypuszczam, że sama pani czuje to aż nazbyt dotkliwie.

Zrobiła zrozpaczoną minę:

— Co za pech! A ja miałam nadzieję oczarować pana swoim wyglądem! Nie, galanterji nie nauczy się pan nigdy. Jakże można młodej pannie mówić takie przykre rzeczy!

Usiłowała wszystko pokryć żartami, lecz Murek powiedział:

— Powinna pani odpocząć.

— Odpocząć? Ależ ja na to nie mam czasu.

— Czyż u was nie dają urlopów?

— Dają, naturalnie. Ale ja swój sprzedałam. Pan nie ma pojęcia, jaka ja jestem chciwa na pieniądze!

— Pani mało zarabia?

— Ja? Dużo, bardzo dużo. W ubiegłym miesiącu zarobiłam prawie czterysta złotych, oprócz pensji. Razem pięćset z górą! No, czy nie jestem dzielna? Niech pan sam powie!

Rzeczywiście zdziwił się. Ani wytarty szlafroczek, ani zniszczone pantofelki, ani skromniutkie paletko, pieczołowicie rozwieszone w przedpokoju na ramiączkach nie zdradzały takich zarobków. Przyszło mu na myśl, że ukrywa przed nim swą nędzę i dlatego zapytał podstępnie:

— Jak to dobrze mieć bogatych przyjaciół! Nie odmówi mi pani, panno Miko, kilkuset złotych pożyczki?

Mika zakłopotała się:

— Mój Boże!... Tak mi przykro. Proszę mi wierzyć, panie Franku, że gdybym tylko miała... Ale nie mam. Zaraz, zaraz... Mam trzydzieści pięć złotych — zerwała się po torebkę. — Do pierwszego niedaleko. Wystarczy mi dziesięć, nawet pięć... W razie czego pożyczę od kogoś z kolegów...

Zaczerwieniona podała mu kilka monet.

— Ależ ja żartowałem — pocałował ją w rękę. — Jutro dostanę pieniądze. Dziękuję, bardzo dziękuję.

— Nie, niech pan weźmie! Sprawi mi pan bardzo wielką przykrość odmową — upierała się.

Wreszcie udało mu się uspokoić ją zapewnieniem, że skorzysta z pożyczki w razie konieczności.

— A co pani robi z pieniędzmi? — zapytał wprost. — Zgrywa się pani na wyścigach?

— O, nie, skądże. Muszę komuś trochę pomagać. Pan wie, jak dzisiaj trudno wielu ludziom.

— Rodzinie?

— Nie. Mamusia nie żyje, a Krysia daje sobie radę. Wojtkowi zaś powodzi się jako tako.

— Więc pani bawi się w filantropję? Jakże? Sierotki, czy staruszki?

Zaśmiała się i zmieniła temat rozmowy. Potem zabrała się do przygotowania posłania dla Murka na tapczanie.

— Proszę się rozbierać i kłaść spać — zakomendrowała. — A ja muszę ubierać się. Mam w szpitalu jednego chorego, który bardzo się cieszy, gdy przyjdę trochę wcześniej. Po operacji biedak cierpi na bezsenność. Niech pan tu się czuje, jak u siebie w domu. W śpiżarni znajdzie pan mleko i jajka, a bułki i coś jeszcze przyślę przez dozorczynię. Bo ja będę mogła wrócić dopiero o dziewiątej wieczorem. Oczywiście zastanę pana?

— Tak sądzę. Ale od siódmej rano do dziewiątej wieczór! Kto widział tak pracować.

— No, mam przerwę na obiad. Między szpitalem i lecznicą.

— A obiad je pani w szpitalu?

— Nie, na mieście.

— Więc może spotkamy się i zjemy razem? — zaproponował.

Mika zmieszała się.

— Ach, nie... Widzi pan, ja nie będę sama.

— A, przepraszam, w takim razie...

Wahała się chwilę i wreszcie zdecydowała się:

— Bo ja... Ja jestem zaręczona. I właśnie z Tomkiem, z moim narzeczonym... Zawsze razem jemy obiad.

Murek mimowoli obejrzał się na fotografję:

— Bardzo przystojny i elegancki młody człowiek — zauważył konwencjonalnie.

— Muzyk. Wielki talent. Wszyscy znawcy przepowiadają mu piękną przyszłość.

— Pianista?

— Nie, skrzypek. Fenomenalny talent. Ach, pan go posłucha, to sam pan się przekona. Nie było jeszcze tak miękkiego, tak aksamitnego dotknięcia. A pozatem komponuje.

— No, to składam pani najlepsze życzenia...

— Dziękuję. Widzi pan... i ja znalazłam swój cel w życiu. Tomek, jak każdy wielki artysta, jest jak dziecko. Trzeba się nim opiekować, dbać o niego, pielęgnować...

— Nie wygląda na słabowitego — skonstatował Murek. — Chłop musi być zdrowy, jak byk.

— Dzięki Bogu. Tylko jego nerwy, jego nerwy! On jest taki wrażliwy. I nic dziwnego. Może to właśnie jest warunkiem artyzmu. Prawda?... Czasami kaprysi, jak pięcioletni chłopczyk. I taki niezaradny, niepraktyczny. No, wprost nie wiem, jak dałby sobie radę bezemnie. A jaka to byłaby szkoda, gdyby taki talent zmarnował się. I talent, i człowiek. Bo on w gruncie jest najzacniejszym, najszlachetniejszym chłopcem...

— W gruncie. A nie w gruncie?

— Wogóle — zapewniła. — Wogóle to wyjątkowy człowiek. I tak bardzo mnie kocha! Bardzo mnie kocha. Bardzo... Niech tylko skończy konserwatorjum. To najważniejsze. A jest troszeczkę leniwy — zaśmiała się. — Trzeba go czasami zapędzać do pracy.

— Ile on ma lat?

— Dwadzieścia siedem. Ale wygląda znacznie młodziej. Prawda?...

— Owszem... — przyznał Murek.

— Zaraz panu coś pokażę.

Wybiegła i przyniosła pudło ze skrzypcami. Otworzyła je z pietyzmem. Wewnątrz owinięte jedwabiem leżały skrzypce.

— To jego, Tomka. Bardzo drogie i stare skrzypce. Dostał je w spadku po stryju. To niespodzianka, którą dla niego przygotowałam, bo za tydzień są jego urodziny.

— Jakto? On nie wie, że dostał taki spadek?

— Ależ wie! Tylko on zastawił je u jednego żyda, a ja je wykupiłam! Nawet nie wiem, czy wytrzymam z tą niespodzianką do urodzin. Bo on teraz gra na takich sobie skrzypcach, które wcale nie mają dobrego tonu. I to go denerwuje. Jak pan myśli? Dać mu zaraz?

Murek wydął wargi:

— Jabym to zachował na... prezent ślubny.

— Co też pan mówi! — zaśmiała się. — Do tego jeszcze daleko.

— Dlaczego daleko?

— No, bo on musi skończyć konserwatorjum i jeszcze przynajmniej dwa razy pojechać do profesora Prohazki do Pragi czeskiej. Był u niego przez dwa miesiące ubiegłego

lata. Prohazka zachwycał się nim. Pobierzemy się, gdy Tomek skończy naukę i zacznie koncertować.

— A teraz czem zarabia?

— Teraz uczy się. Matka mu przysyła pieniądze, ale niedużo, bo sama jest niezamożna. Ale jaka to czarująca staruszka. Mieszka w Radomiu. Byłam tam u niej razem z Tomkiem przez trzy dni. Nie ma pan pojęcia, jaka była dla mnie serdeczna, że i dla rodzonej córki nie mogła być lepsza. Głównie się tak ucieszyła, że dzięki mnie Tomek wyrwał się spod wpływów pewnej kobiety, która doprowadziłaby go do zupełnego zatracenia talentu. Była obrzydliwą egoistką. Matka Tomka jeszcze mnie nie znała, a już do mnie napisała list. „Pani, drogie dziecko, uratowała mi syna"... Czarująca staruszka. To tak przyjemnie czuć się pożyteczną dla kogoś i nietylko dla kogoś, bo dla całej ludzkości! Talent Tomka to przecież własność ogółu. Musicie się poznać. Tyle mu o panu opowiadałam...

Nagle spojrzała na zegarek i poderwała się:

— Boże! Tak późno!

— Życzę miłej pracy — pożegnał ją.

— A ja miłego snu. Klucze zostawię w przedpokoju.

Słyszał jeszcze jej pluskanie się w łazience, lecz prędko zasnął. Obudził się popołudniu, wykąpał się i wyszedł na miasto. Przekąsił w pobliskiej mleczarni i zatelefonował do domu. Odetchnął z ulgą, gdy dowiedział się, że nikt nie przychodził. Zaniepokoił się tylko wiadomością o tem, że dzwonił kilka razy Czaban.

— Powiedziałam mu, żeś wyjechał na krótko, — mówiła Arletka. — Ale ja nie wiem, ani dokąd, ani poco, bo jestem służącą, a ty nigdy w domu się nie opowiadasz. Czytałeś gazety?

— Jeszcze nie. A co tam jest?

— To nie nadaje się do rozmów przez telefon.

— Masz rację — przyznał i zapowiedział, że po przeczytaniu pism, zorjentuje się w sytuacji i wtedy zadecyduje, kiedy przyjdzie.

Kupił wszystkie poranne dzienniki i wrócił do mieszkania Miki. Informacje pism były prawie jednobrzmiące. Pijacka awantura w kawiarence na Grzybowskiej, wywołana przez znanych i od dawna przez policję poszukiwanych bandytów, Piekutowskiego i Żebrowskiego, przezwiskiem „Majster". Pierwszy z nich został zabity na miejscu, drugi zmarł w karetce pogotowia. Pozatem lekko ranne są dwie osoby: Adolf Mirenko, złodziej kieszonkowy i szofer Cześniak. Natomiast ciężko ranny właściciel zakładu stolarskiego, Kuzyk, w stanie beznadziejnym został przewieziony do szpitala Przemienienia Pańskiego. Wzmianki dziennikarskie podawały również, iż przy zabitych bandytach znaleziono kilka tysięcy złotych, pochodzących zapewne z rabunku.

Murek zatroskał się poważnie. Jeżeli Kuzyk wyżyje, lub chociażby odzyska przytomność, na czas wystarczający dla złożenia zeznań, sytuacja stanie się wręcz groźna.

W pół godziny później wyszedł po pisma popołudniowe, nie zawierały one jednak żadnych nowych informacyj. Podawano tylko, że kawiarnia została przez policję opieczętowana, zaś dochodzenie utrudniają świadkowie zajścia, których zeznania są sprzeczne.

Uspokoił Murka nieco telefon do szpitala. Podając się za krewnego Kuzyka, dowiedział się, że ranny jeszcze nie odzyskał przytomności i że niema nadziei utrzymania go przy życiu.

W każdym razie rozsądek nakazywał nie wracać na Jasną ani też nie iść do Czabana, póki Kuzyk nie umrze. Jeszcze raz zadzwonił do Arletki, która na szczęście żadnych nowin nie miała, a o siódmej do szpitala, by usłyszeć, że Kuzyk jeszcze żyje.

Zdecydował się tedy skomunikować z Czabanem. Ostatecznie mógł mu przecież powiedzieć, że dzwoni skądś, spod miasta. Telefon odebrał Żołnasiewicz i zawołał radośnie:

— Jak to dobrze, że doktór już jest! Szwagier zaraz... Sewerku! Sewerku! Doktór Klemm!

Nie upłynęły dwie sekundy, a w słuchawce rozległ się głos Czabana:

— Serwus! Gdzie cię djabli noszą! Ja muszę z tobą natychmiast widzieć się!

— Co się stało? — przestraszył się Murek.

— Paskudna rzecz. Przyjeżdżaj zaraz! Ja tu głowę tracę.

— Ale, czy coś w związku ze mną??

— Djabli tam! Ze mną. Rozumiesz, te amerykańskie małpy chcą mnie do kryminału. Już tu w ambasadzie, i wogóle niebo i ziemię poruszyli.

— Ale za co?

— Za te działki. Czepiają się! Czy ty u siebie? To ja zaraz przyjadę.

— Ja jestem pod Pruszkowem — skłamał Murek i zapewnił Czabana, że przyjdzie, jak tylko będzie mógł. Narazie zaś radził mu porozumieć się z prezesem Bolińskim, który ma kolosalne stosunki i napewno zdoła pomóc przeciw Amerykanom.

— Ach, to dobry pomysł — przyznał Czaban. — Zaraz pojadę do Bolińskiego. Ale widzisz, oni starają się o zabezpieczenie swoich pretensji na moim majątku, a że mają wpływy w Banku Wschodnim, to zamrożą mi tam całą gotówkę. Tymczasem wpadła mi świetna kombinacja do głowy. Kolosalny interes: trzeba na to kupę forsy wynaleźć.

Z jego, dość bezładnych wyjaśnień, Murek zdołał zrozumieć, że chodzi o wybudowanie za Otwockiem luksusowego letniska, które „doprowadzi do ruiny wszystkie Konstanciny, Ciechocinki i Krynice". Do sprawy, zdaniem Czabana, należało przystąpić natychmiast, gdyż zbiegają się dwie pomyślne okazje: książę Zasławski, właściciel gruntów, chce je sprzedać, a grupa kapitalistów zagranicznych uzyskała koncesję na wielką elektrownię. Pozatem w powiecie da się przepchnąć uchwałę o dobudowanie dziesięciu kilometrów szosy.

— To pachnie miljonami, Klemm — raz po raz powtarzał Czaban.

Wkońcu Murek obiecał, że wczesnym rankiem będzie już na Skolimowskiej i sam odzyskał energję i optymizm. Zastanawiał się nawet, czy odrazu nie jechać do Czabana, lecz należało poczekać na jutrzejsze dzienniki. A pozatem zrana skomunikować się ze szpitalem. Zaopatrzył się tedy w różne prowjanty i wrócił do mieszkania Miki.

Jeszcze jej nie było. Z braku innego zajęcia, obejrzał akwarelowe obrazki na ścianach, później fotografję owego skrzypka, którą nawet wyjął z ramki. Na odwrocie był napis:

„Mojej Muzie, ukochanej Dziewczynce — Tomek Kański".

Podpis, znać wystudjowany, zrobiony był z rozmachem i zajmował połowę kartonu.

Zajrzał następnie do szafy, gdzie wisiało kilka sukienek i do bieliźniarki, w której panował wzorowy porządek i pachniało wodą kolońską. Biureczko też nie było zamknięte. Odsunął szufladę i z nudów zaczął oglądać jej zawartość. W szkatułce leżała paczka listów i kart pocztowych, kilka zasuszonych kwiatków, kilka, starannie złożonych, programów koncertowych, kawałek kalafonji i dwie uliczne fotografje. Na jednej facet był sam, na drugiej z Miką. Na dnie leżały związane wstążką listy, podpisane: Marja Kaszańska.

— Kaszańska? — zdziwił się Murek.

Z treści listów okazało się, że jest to matka Tomka, który efektownie skrócił sobie nazwisko na „Kański".

Nie podobało się to Murkowi i dlatego uważniej przeczytał jego listy. Były krótkie i pełne dziwacznych słów, spieszczeń, przekręceń, głupstw. „Ciumuciam Twoje buziałeczki", „Tęskniuszkam za pieszczocinkami", „Mam kuku w brzuszku po wczorajszem mniamniu", „Nie spatuchniałem przez całą nocusię, bo nie mam dudu na bimbanie". Pisał tylko o sobie, a owe niezrozumiałe „dudu" powtarzało się niemal w każdym liście. Wszystko wyjaśniły pocztówki. Te zawierały albo prośbę o „dudu", albo podziękowanie za „dudu".

Osobna paczuszka składała się z kilkunastu odcinków przekazów pocztowych. Mika wysyłała mu pieniądze do Pragi, a przedtem do Paryża. Nieduże kwoty, po sto, dwieście, lub trzysta złotych, przy jej zarobkach były jednak sumą.

— To takie dudu! — zaśmiał się Murek i z obrzydzeniem zamknął szufladę.

Odkrycie to zirytowało go w najwyższym stopniu. Myśl, że ten typek najbezczelniej w świecie wyzyskuje to biedactwo, że Mika zapracowuje się, by taki cymbał mógł włóczyć się zagranicą, że chodzi prawie obdarta, by on ubierał się szykownie, myśl ta wprost piekła Murka.

— A, bydlę! — powtarzał, chodząc po pokoju. — A bydlę!

I już zaczął układać sobie w głowie plan zdemaskowania i zdeptania tego kabotyna, nędznika, pasorzyta, wstrętnego samoluba, gdy nagle opamiętał się:

— A z jakiego tytułu mogę to zrobić?... Jakiem prawem ja mogę zajmować stanowisko moralisty?... Czyż nie jestem stokroć, tysiąckroć gorszy od niego?

Aż zdumiał się tem odkryciem. W pierwszej chwili doznał uczucia próżni. Jakby się znalazł zawieszony gdzieś w przestrzeni, gdzie niema nic konkretnego, coby wskazywało kierunek, miejsce, dół, górę. Przetarł czoło i zamyślił się: odruchowo, a więc szczerze i z głębi, z przeświadczenia potępił tego człowieka. Z przeświadczenia, czy z dawnego nałogu?... Czy wyzbywając się świadomie kryterjów etycznych w stosunku do samego siebie, zachował te same kryterja dla innych?... Dlaczego?... Sam wierzył, czuł i rozumiał, że trzeba być łajdakiem. Tem, co ludzie nazywają obłudnie kanalją, a czem każdy zostałby, gdyby starczyło mu nerwów i gdyby życie go do tego zmuszało. Więc dobrze. Należy to uporządkować: skoro dochodzi się do takiej konkluzji, skoro wciela się tę konkluzję we własne życie, jakaż powinna być reakcja na cudzą podłość?

Albo zawiść, albo uznanie. Oto, jeszcze jeden, który mądrze robi! Więc skąd obrzydzenie, skąd wstręt i oburzenie?

I dlaczego nie oburzał się, ani nie czuł wstrętu do Piekutowskiego, czy Majstra?... W danym wypadku Mika nie gra roli, bo tamci dwaj przecie grozili mu bezpośrednio, a do Miki nic nie czuł poza zwykłą sympatją.

Może stąd to wszystko, że ów Tomek wyzyskuje uczucia istoty słabszej?... A więc rodzaj rycerskości. Lecz i to nie. Bo on, Franciszek Murek, nie dalej jak wczoraj bez litości strzelał do człowieka, który go ratował. A teraz pragnie jego zgonu.

Stanął przed fotografją Kańskiego i powiedział głośno:

— A jednak pogardzam nim. Pogardzam, chociaż nie mam do tego prawa.

Naskutek jednak tych rozmyślań zrezygnował z zamierzonego „otwierania oczu" Mice. Gdy przyszła i zabrała się do przyrządzania kolacji, umyślnie zbył milczeniem jej wzmiankę o narzeczonym. Nie mógł jednak powstrzymać się, by nie okazać jej więcej serdeczności niż zazwyczaj. Zdawała się tem nawet być trochę zdziwiona.

Zwymyślała go za wiktuały, które kupił, i zmartwiła się, gdy jej powiedział, że otrzymał już pieniądze:

— Jak pan umie psuć mi wszystko! — zawołała.

— Psuć?

— No, tak. Proszę patrzeć — wyjęła z torebki banknot stuzłotowy — pożyczyłam to specjalnie dla pana. I tak się cieszyłam, że panu pomogę!

— Pani, panno Miko — powiedział wzruszony, — naprawdę warta jest wiele, bardzo wiele...

— Niech pan ze mnie nie kpi — zaczerwieniła się, lecz spojrzała mu w oczy i wyciągnęła doń ręce: — Dziękuję panu. Niech pan mi wierzy, że takie uznanie z pańskich ust znaczy dla mnie dużo więcej, niż...

Urwała, a Murek zapytał:

— Dlaczego czyjeś uznanie wogóle ma być ważne?

— Popierwsze nie czyjeś, lecz pańskie, a podrugie wiara we własną wartość jest konieczna do życia, jak powietrze. Sam mi to pan kiedyś powiedział.

— Kiedyś... tak... Kiedyś dużo się mówiło, kiedy wszystko wydawało się proste i jasne.

— Czy to znaczy, że pan zmienił zdanie?

— Nie to. Tylko... Wiara we własną wartość... Pojęcie wartości jest wielostronne i bardziej skomplikowane, niż się tego pragnie. Ale dajmy temu spokój. Późno już. Zabierajmy się do jedzenia. Pani cały dzień pracowała, a ja, próżniak, odbieram pani drugi kawałek nocy.

— Wcale nie czuję się zmęczona, ani śpiąca — upewniała go Mika.

Zjedli kolację gawędząc o niczem. O dziesiątej Murek wstał i powiedział:

— No, to na mnie czas.

— Jakto? Jedzie pan?

— Jutro rano. Ale przenocuję w hotelu.

— Za żadne skarby! — oburzyła się. — Przecież tu są dwa pokoje. I tu się pan prześpi. Co za sens marnować pieniądze!

— Ale jak to będzie wyglądało? My sami przez całą noc. Nawet bez przyzwoitki.

— Wcale nie będzie wyglądało, bo nikt tego nie widzi. A my będziemy mieli czyste sumienie.

Murek zaśmiał się:

— Pani tak, ale ja... może nie. Skąd pani może wiedzieć, jakie mam zamiary?

— O, panie Franku! Czy pamięta pan, jak mię pan straszył wtedy, gdyśmy się bliżej poznali? Wówczas nie bałam się, chociaż był pan obdarty i wyglądał na... włóczęgę, a teraz tembardziej jestem spokojna.

— Niesłusznie. Wówczas powierzchowność moja przypominała bandytę. Ale byłem porządnym człowiekiem. Czy jest pani pewna, że dzisiaj pod powierzchownością przyzwoitą nie kryje się łotr?

W jego głosie zabrzmiała jakaś dziwna nuta. Spojrzała nań zaskoczona i zaśmiała się:

— Jestem absolutnie pewna. Tak pewna, że... Widzi pan ten klucz? Nawet zostawię go po pańskiej stronie.

— Ryzykantka z pani. A cóż powiedziałby ten... pan Tomek, gdyby naprzykład zastał mnie tutaj?

— On? — skonsternowała się.

— Przecie jako narzeczony...

— Ach, zapewne. Ale Tomek nie przyjdzie.

Jednak musiało ją to zastanowić, gdyż po kilku minutach, gdy już przesłała pościel dla Murka na tapczanie, odezwała się znowu:

— Tomek musiałby mi uwierzyć.

— Gdyby zaś nie uwierzył?

— To świadczyłoby brzydko o jego charakterze.

— A dotychczas wszystko dobrze o nim świadczy?...

Wzruszyła ramionami:

— Każdy ma swoje zalety i wady.

— A powiedziała mu pani o tem, że tu jestem?

— Och, nie zamierzam robić z tego tajemnicy, ale narazie nie wspominałam mu o tem, Z innych zresztą powodów...

— Bo jest zazdrosny?

— Bo... zazdrosny bywa, nawet bardzo. Ale do pana... do pana ma szczególniejsze uprzedzenie.

Murek zdziwił się:

— Przecież mnie na oczy nie widział!

— Tak, ale ja... dość często mówiłam mu o panu. I Tomek ubrdał sobie — zaśmiała się, — że ja chcę go przerobić na obraz i podobieństwo pana.

Zarumieniła się i dodała pośpiesznie:

— A przydałyby mu się niektóre pańskie cechy.

Murek nic nie odpowiedział. Mika krzątała się jeszcze chwilę, poczem wyciągnęła doń rękę, życząc dobrej nocy. Wziął obie jej ręce i ucałował kilka razy w milczeniu. Jakąż miał ochotę przytulić ją do siebie, ale opamiętał się i powiedział:

— Nigdy pani nie zapomnę tej dobroci... Tej niezasłużonej, potwornie niesprawiedliwej dobroci. Dobranoc. Dobranoc.

— Dobranoc, panie Franku.

Został sam. Siedział długo, bezmyślnie patrząc przed siebie, jakby ogłuszony.

Gdy zrana obudził się, Miki nie było już w domu. Napisał krótką kartkę pożegnalną, jako tako sprzątnął po sobie i wyszedł. Zatelefonował do Arletki, która na szczęście żadnych nowin nie miała, i do szpitala, gdzie dowiedział się, że Kuzyk wciąż żyje:

— Wieczorem było pewne polepszenie, nawet odzyskał na krótko przytomność, ale teraz znowu gorzej — dodał dyżurny lekarz.

— Ach, więc złożył zeznania? — zapytał Murek.

— O tem już nic nie wiem, a zresztą takich informacyj nie udzielamy. Kto mówi?

Lecz Murek położył słuchawkę. Niebezpieczeństwo nie zmniejszyło się wcale. Jednak nie mógł ukrywać się dłużej. Bezczynne wyczekiwanie stawało się nieznośne, zresztą mogło trwać zbyt długo.

— A, niech się dzieje, co chce! — zdecydował się i, wsiadłszy w taksówkę, pojechał na Skolimowską.

Czaban, który właśnie się golił, wybiegł na jego spotkanie z namydloną twarzą. Panie, jeszcze w szlafrokach, siedziały przy śniadaniu. W pierwszej chwili nie poznały Murka, którego zmienił brak zarostu.

— Patrzcie, jaki to przystojny chłop! — rzekł Czaban.

Tegoż zdania była i jego żona. Natomiast panna Tunka ku zdziwieniu wszystkich orzekła:

— Mnie się pan Klemm teraz mniej podoba.

Ojciec ją zakrzyczał, gdy zaś Murek został z nią sam na sam, usłyszał komentarz nader pocieszający:

— Gdy ja prosiłam, by pan się ogolił, nic to nie pomagało. Widocznie inna miała lepsze argumenty.

— Nie było żadnej innej.

— Tak? Więc skądże ta nagła metamorfoza?

— Właśnie dla pani.

— Nie wierzę.

— Źle pani robi. Pozatem nie pamięta pani tego, co jej mówiłem wówczas w Koszołowie.

— Pamiętam doskonale. Utrzymywał pan, że ogoli brodę, gdy będzie się żenił.

— Tak.

— Zatem?... Żeni się pan? — spytała z rzeczywistą, lub też z doskonale robioną obojętnością.

— Jeżeli druga strona nie odrzuci moich planów... — zaczął dyplomatycznie.

Tunka zaśmiała się i chciała coś powiedzieć, lecz wpadł jej ojciec:

— Nu, chodź, doktor, — zawołał. — Mamy roboty do czorta i trochę.

Zamknęli się we dwoje w gabinecie. Czaban najpierw poinformował Murka o finalizacji spraw naftowych: o skardze o oszustwo, którą wnieśli dwaj nabywcy zagraniczni. Wprawdzie poczynił wszystkie możliwe kroki, by uniknąć aresztowania, jednakże wciąż nie jest pewien swej sytuacji. Z jego opowiadania wynikało, że istotnie nieco przeholował i wtrącenie się prokuratora jest bardzo możliwe.

— Wówczas w grę wchodzi kaucja. I djabli wiedzą co robić, bo nagwałt muszę jeszcze skądś wytrzasnąć ze sto tysięcy. Inaczej wszystko spali na panewce.

Murek spojrzał nań z niedowierzaniem:

— Chyba najważniejsze jest uniknięcie więzienia?

— Pewno, pewno — lekko przyznał Czaban. — Więzienie to nie rozkosz, ale ostatecznie nic tak bardzo strasznego. Ludzka rzecz. Grunt, że mi niczego udowodnić nie potrafią i będą musieli wypuścić. Więc poco mam wyrzekać się dla tych paru tygodni, czy miesięcy interesu, który przyniesie sto lat dochodów? Życie to gra, hazard! Chcąc wygrywać, trzeba być przygotowanym na straty. A ten jest mądry, kto sobie dobrze skalkuluje.

— Na czemże ten świetny interes polega? — zapytał Murek.

Czaban wyjął z biurka plikę map, planów i różnych papierów, poczem z właściwą sobie zwięzłością przedstawił Murkowi całe przedsięwzięcie, rzeczywiście kolosalne. Chodziło o stworzenie w niewielkiej odległości od Warszawy, w okolicy Otwocka, wielkiego uzdrowiska, urządzonego luksusowo, którego zadaniem byłoby odciągnięcie publiczności stołecznej od wyjazdów do Zakopanego, Krynicy, Ciechocinka, a pozatem stanie się modną miejscowością weekendową. W tym celu organizacja musiała pójść w dwóch kierunkach: leczniczym i rozrywkowym. Jeżeli wziąć pod uwagę zdrowotność samych terenów i istnienie na nich słabych wprawdzie, lecz dla reklamy wystarczających źródeł alkalicznych, było dla pierwszego kierunku podstawą cenną i pewną.

— Chorym można wszystko wmówić — twierdził Czaban — a jeżeli zdołamy pozyskać poparcie kilku modnych lekarzy, rzecz będzie wygrana.

Nie ograniczał się zresztą do tego. Śmiałość jego koncepcji nawet Murkowi wydała się nierealna. Zamierzał urządzić kąpiele morskie i wodę do nich sprowadzać w cysternach z Gdyni, projektował wybudowanie krytej plaży na wielką skalę, na której nawet w zimie mogliby opalać się kuracjusze pod olbrzymiemi lampami kwarcowemi. Dużą przestrzeń przeznaczał na reprezentacyjne tereny sportowe, narciarskie, hippiczne, golfowe i t. p. Dalej zamierzał wybudować sztuczne lodowisko, pływalnie, korty tenisowe a w przyszłości i betonową skocznię narciarską z elektrycznym dźwigiem.

Poza siłą atrakcyjną urządzeń sportowych, miało przyciągać tłumy wielkie kasyno z ruletą, najwspanialsze hotele i restauracje oraz wykwintny lunapark. Własna komunikacja autobusowa zapewniłaby szybki i wygodny dowóz gości.

— Wszystko będzie drogie, nawet bardzo drogie, ale dlatego właśnie zwabi tych, co mają pieniądze, to raz! Tych, co chcą udawać zamożność, to dwa! I tych, którzy za uciułane grosze z przebidowanego roku zechcą bodaj dwa tygodnie spędzić w luksusie, to trzy! Tego jeszcze w Polsce nie było! A?...

— To prawda — przyznał Murek — ale skąd na to wziąć pieniędzy?

— Mam kapitalistów zagranicznych, to raz! Żydów krajowych to dwa! Tereny książąt Zasławskich to trzy!

— Pięknie, ale co nam z tego przyjdzie? Cudze pieniądze, cudze tereny...

— Ale nasz projekt i nasza... koncesja na ruletę — zaśmiał się Czaban — a to jest warte więcej niż połowę! Kapujesz? Pozatem stworzymy spółkę akcyjną jedną, która będzie właścicielką całego szpasu, i drugą, która od tamtej wydzierżawi przedsiębiorstwo. Kapujesz?

Murek nie bardzo jednak kapował i Czaban musiał mu dokładnie wytłumaczyć, jakie korzyści da się osiągnąć z takiej kombinacji, ile da się pokręcić w dywidendach, ile w podatkach, ile w zabezpieczeniu się przed stratami.

Po kilku godzinach Murkowi aż kręciło się w głowie od szczegółów, cyfr, planów i kombinacyj. Z tem wszystkiem rzecz była jeszcze w stanie embrjonalnym i wymagała gruntownego i systematycznego opracowania.

— A widzisz, ja tego nie potrafię — zakończył Czaban. — Nie nadaję się do takich dłubanin. To wszystko musisz ty zrobić. Pluń na inne rzeczy, schowaj się na tydzień lub dwa i napisz memorjały, projekty, statuty, słowem to, co trzeba.

Zaraz po obiedzie wyjechali obaj samochodem za Otwock, by obejrzeć tereny. Nie wyglądały źle. Spore pagórki od biedy mogły wystarczyć narciarzom, piękny sosnowy las i malownicza rzeczułka robiły dobre wrażenie.

W drodze powrotnej Czaban wtajemniczył Murka w swój plan zdobycia terenów. Była to dość ryzykowna afera i niezbyt skomplikowana, a polegająca na wyłudzeniu od książąt Zasławskich niemal tysiąca hektarów ziemi. Właśnie Murek miał być nabywcą, oczywiście fikcyjnym. Czaban zapewniał, że Zasławscy są zbyt głupi, by dostrzec pułapkę, i że wszystko się uda.

Przy Brackiej Murek wysiadł, zabierając ze sobą całą tekę papierów i obiecał od jutra zabrać się do roboty. Z tem się pożegnali. Było już ciemno, gdy zachowując wszelkie ostrożności, Murek wrócił do domu. Rozczuliła go radość Arletki, ale i speszyła nieco.

— Ona zanadto jest do mnie przywiązana — pomyślał.

Dotychczas nie zastanawiał się nigdy nad nieuchronną koniecznością rozstania się z Arletką. Wiedział, że to musi nastąpić, że ani ona nie zechce pogodzić się z jego małżeństwem, ani Czabanówna nie zgodzi się na tolerowanie drugiej kobiety. Zdawał sobie sprawę i z tego, że jeżeli Arletka nie przystanie na dobrowolne rozejście się, sytuacja ułoży się fatalnie. Dlatego właśnie wolał odsuwać i odwlekać myślenie o decydującej rozmowie. I nie tylko dlatego. Napróżno bowiem starałby się ukryć przed sobą to, że i dla niego Arletka była czemś znacznie, niepomiernie cenniejszem, niż zwykły przelotny romans.

Jeżeli nie czuł się z nią zupełnie szczęśliwy, to tylko z tej przyczyny, że Arletka nietylko „trzymała go w ręku", że nietylko wiedziała o nim wszystko, co mogłoby go zniszczyć raz na zawsze, lecz że miała prawo i musiała uważać go za przestępcę, za człowieka, który popełnił wiele podłości, za istotę zdecydowanie upadłą. Sama obecność tej dziewczyny wciąż przypominała Murkowi, czem on jest obecnie i że niema dlań już powrotu. Ileż dałby za to, by nie ona była wspólniczką jego zbrodni, by nie łączyła ich, nie skuwała świadomość tego spólnictwa!

Może wówczas potrafiłby przyznać się przed samym sobą, że jednak ją kocha. Może wówczas nie wysilałby się na hamowanie swej serdeczności.

Nie z obawy też przed daniem Arletce do rąk nowych atutów przeciw sobie nie powiedział jej całej prawdy. Nie przyznał się, że strzelał do Kuzyka, gdyż za wszelką cenę pragnął nie obarczać się w jej oczach nową podłością. Gdy zaś sama zawołała:

— Skoroś tam był, należało go dobić! — Murek zmarszczył brwi i odpowiedział ponuro:

— Wiesz, że nie umiem zabijać.

A jednak zabił i wiadomość, że Kuzyk umarł wreszcie, napełniła go prawie radością.

— Nie żyje? — zapytała Arletka.

— Umarł.

— No, to możemy sobie powinszować — uśmiechnęła się.

Wówczas wpadł w gniew:

— Jak ty możesz! Jak możesz tak mówić! To jest nędzne, to jest łajdackie! Przecież to myśmy go wysłali na śmierć, przecież to dla nas...

Urwał, widząc jej zdumienie, i po pauzie dodał:

— A zresztą, na powinszowania zawcześnie. Jeżeli w szpitalu, podczas chwilowej przytomności Kuzyka, była jego żona, lub ktoś z partji, może się to źle skończyć.

— Niczego ci nie udowodnią. Trudno im zresztą przyjdzie poznać cię bez zarostu.

— Zapewne, ale już samo to, że się ogoliłem, wyda się podejrzane. U nich zaś nie trzeba komuś udowodnić winy, by go skazać.

— Więc co? — zmartwiła się. — Możebyśmy wyjechali na jakiś czas?

— Nie mogę. Mam robotę dla Czabana. Wystarczy, że nie będę się ludziom pokazywać.

Wystarczyło to jednak na krótko.

ROZDZIAŁ IV

Pierwszy śnieg spadł tego roku wcześnie, a wraz z nim nastały dość silne mrozy. Zajęty po uszy sprawą otwocką, Murek nie miał wprost czasu na wykupienie z przechowalni futra, i wychodząc w jesionce z domu, ucieszył się, że tuż przy bramie stoi taksówka. Obok wprawdzie przechadzał się jakiś mężczyzna, lecz nie wyglądał na pasażera. Gdy jednak zbliżył się do wozu, mężczyzna gościnnie otworzył mu drzwiczki i powiedział półgłosem:

— Pojedziemy razem, towarzyszu Garbaty.

Teraz dopiero Murek go poznał. Był to piekarz Stachoń, o przezwisku „Zimny", jeden z asów wywiadu partyjnego. Spotkali się kilka razy na posiedzeniach komitetu, jeszcze za czasów Murkowych początków w Propagicie.

— Jak się masz — wyciągnął doń rękę Murek, uśmiechając się przyjaźnie, chociaż nie miał najmniejszych wątpliwości, o co Zimnemu chodzi.

Na jakiekolwiek wykręty było zapóźno. Murek mógł wprawdzie wręcz odmówić Zimnemu, lecz okazałby przez to, że ma nieczyste sumienie.

— Mam z wami do pogadania — wyjaśnił Zimny, sadowiąc się obok Murka.

— Z przyjemnością. A o co chodzi? — naiwnie zapytał Murek.

— Nie będziem w taksówce gadać. Dość będzie czasu na miejscu.

— A nie zrobiłoby wam różnicy, żeby jutro?... Albo dziś wieczorem?... Bo widzicie, śpieszy mi się teraz.

— Nie, nie można — lakonicznie odpowiedział Zimny.

— A no, to trudno.

Jechali w milczeniu. Wreszcie samochód zatrzymał się przed niewielkim drewnianym domem, na ulicy Skierskiej. Wysiedli i Murek wszedł za Zimnym do pracowni szewskiej. W pierwszej izbie było bardzo ciasno. Pracowało tu pięciu czy sześciu młodych żydów, pod oknem terkotał na maszynie długobrody, siwy kamasznik. Do drugiej wchodziło się po kilku krzywych stopniach.

Przewidywania, a raczej obawy, nie zawiodły Murka. Pierwszą osobą, którą tu zobaczył, był ów barczysty robotnik z piątki Kuzyka, co pamiętnego wieczoru stał przy ladzie w kawiarni Majewskiej. Poza nim było tu jeszcze pięciu mężczyzn, zupełnie Murkowi nieznanych.

Zapanowała chwila ciszy. Czuł na sobie uważne, badawcze spojrzenia, lecz nie speszył się.

— O co chodzi, towarzysze? — zapytał swobodnie.

Wówczas mały i chudy brunet o krzywym nosie, wyciągnął doń rękę:

— Jak się macie, Garbaty. Musieliśmy was wezwać w jednej sprawie. Cóż się nie witacie? Przecie znacie tych towarzyszy?

Wskazał na wysokiego robotnika i na dwóch innych. Murek ze zdziwieniem zwrócił się ku nim.

— Konfrontacja! — przemknęło mu przez głowę i jednocześnie z radością stwierdził, że tamci nie poznają go wcale. W kawiarence było wtedy ciemnawo, Murek miał na sobie inne palto, no, i zarost.

— W życiu ich nie widziałem — zapewnił z przekonaniem.

— Ale oni was widzieli — perswazyjnie powiedział krzywonosy.

— Być może.

— Było. No, jakże, towarzysze? Poznajecie?... Towarzysz Garbaty zgolił wprawdzie wąsy i brodę, ale wy macie dobre oczy.

Tamci milczeli. Wreszcie jeden z nich rozłożył ręce:

— Jakby on, jakby nie on. Tamten był grubszy.

— I wyższy — dodał drugi.

Niespodziewanie Zimny zwrócił się do Murka:

— Pokażcie-no waszą spluwę. Macie ją przy sobie?

Na to oddawna był przygotowany. Stary swój Nagan zaraz pierwszego dnia schował za kaloryferem, w mieszkaniu Miki Bożyńskiej. Posiadanie broni, z której kule utkwiły w plecach Kuzyka, byłoby równoznaczne z wydaniem na siebie wyroku śmierci. Nieposiadanie żadnej, wywołałoby podejrzenie. To też wziął od Czabana jego browning i teraz podał go spokojnie Zimnemu ze słowami:

— Ostrożnie, nabity.

— A gdzie wasz Nagan?

— Jaki Nagan?

— No, przecie mieliście wydany z partji!

— Ba! Kiedy! Przed dwoma laty już meldowałem o jego stracie.

— Komu meldowaliście?

— Towarzyszowi Bigelsteinowi i samemu towarzyszowi Kurmskiemu. Przy rewizji w pociągu, musiałem wyrzucić przez okno.

— To łatwo sprawdzić, czyście meldowali! — groźnie zauważył Zimny.

— Pewno, że łatwo! — czupurnie zawołał Murek. — A wy mnie, towarzyszu, nie straszcie, bo nie wiadomo, kto z nas lepszy komunista, wy, czy ja. A podrugie, czego wogóle odemnie chcecie?! Co ja takiego zrobiłem, że mnie bierzecie na spytki?!

— Powoli, powoli! Nie podnoście głosu! Ja was od dawna miałem na oku.

— A ja was od jeszcze dawniej! — krzyknął Murek.

— Cicho, towarzysze! — wskoczył między nich krzywonosy. — Bez awantur!

— Więc, co to za szopka? — oburzał się Murek. — Macie co przeciw mnie? Uważacie mnie za prowokatora, za szpicla, za zdrajcę? To jazda, gadajcie. Co ja zrobiłem?

— To się pokaże — mruknął Zimny.

— Spokojnie, towarzyszu Garbaty — zaczął krzywonosy. — Samiście sobie winni, bo my wiemy, żeście szczery członek partji, ale dlaczegoście tak nagle ogolili brodę?

— Nie wolno mi?

— Wolno, ale wolno wam też odpowiedzieć, kiedy was poludzku pytają.

— Ogoliłem, bo kobiecie to nie podobało się. Wielka mi tajemnica! Ale i ja was poludzku pytam, o co mnie oskarżacie?

— O nic. Prowadzimy dochodzenie. Robimy to z rozkazu władz partyjnych, których i wy musicie słuchać, i my. Dlatego myślę, że zechcecie odpowiadać spokojnie na pytania. Nie?

— Pytajcie.

— Czy znaliście stolarza Kuzyka?

— Bardzo dobrze znałem. U niego kiedyś ukrywałem się. To dzielny człowiek i bardzo dla mnie życzliwy. Wiele mu zawdzięczam.

— A wiecie, że on nie żyje?

— Nie wiem. Czytałem w gazetach, że był ranny.

— A kiedyście go ostatni raz widzieli?

— Dokładnie nie pamiętam. Chyba ze dwa lata temu.

— A może teraz, niedawno?

— Nie. Dwa lata najmniej.

Krzywonosy umilkł, natomiast Zimny zapytał:
— A co was łączyło z Piekutowskim?
— Z jakim Piekutowskim? Nie znam żadnego Piekutowskiego.
— To już kłamiecie. Ludzie widywali was razem. Są na to świadkowie.
Murek wzruszył ramionami:
— To albo świadkowie kłamią, albo ja nie wiedziałem, że dany gość nazywa się Piekutowski. Wielu ludzi w partji nie znam po nazwisku, tylko z pseudonimu. Może i jego tak znałem. A jaki jest jego pseudonim?
— On nie był członkiem partji, tylko bandziorem i wy to doskonale wiecie!
Murek zaśmiał się ironicznie:
— No, towarzyszu Zimny! Tuście już przeholowali. Bo nikt, nawet największy mój wróg wam nie uwierzy, bym ja mógł mieć coś wspólnego z bandytami. Niektórzy towarzysze mają mi do zarzucenia, że zburżujałem. Może mają trochę słuszności, może to mój grzech, że po wielu latach nędzy zachciało mi się odrobiny złudzenia, że mam wygodę i dostatek. Ale żebym z bandytami! No! Rok cały ocierałem się o nich po domach noclegowych, z głodu zdychałem, a do nich nie przystałem. Tylko dokąd poszedłem? Do was! Do partji!... A teraz, kiedy mi się trochę poszczęściło, kiedy dość zarabiam na żarcie i mieszkanie, teraz miałbym z bandziorami mieć do czynienia? Opowiedzcie to komu innemu, to chyba głupi wam uwierzy.
Zapanowało milczenie, a Murek dodał:
— Ja nic nie mam do ukrywania. Sumienie moje jest czyste, a całe życie jak na dłoni. Dlaczego mi poprostu nie powiecie, o co mnie posądzacie?
— O nic was nie posądzamy — spokojnie odpowiedział krzywonosy. — Chodzi o wyświetlenie sprawy. Niestety, Kuzyk umarł i stąd trudności. Nie wiemy, dlaczego bez rozkazu zwołał swoją piątkę i urządził napad na dwóch bandytów. Ponieważ zaś trudno uwierzyć, by zrobił to naskutek osobistych porachunków...
— I ja w to nie uwierzę. Kuzyk był dobrym i karnym komunistą — wtrącił Murek.
— Właśnie. A szereg faktów wskazuje na to, że właśnie wy, towarzyszu Garbaty, możecie nam dopomóc w wykryciu prawdy.
— Jakież to fakty?
— Wyście byli w przeddzień owej strzelaniny u towarzysza Dyla?
— Byłem. Nie wiem, czy w przeddzień, ale byłem. Wstąpiłem doń wieczorkiem.
— I dowiedzieliście się od niego, że Kuzyk jest komendantem piątki?
— Nie przypominam sobie — po chwili zastanowienia się odpowiedział Murek.
— Aleście gadali o Kuzyku?
— Zapewne. Wogóle gadaliśmy o sprawach partyjnych. Aha, nawet Dyl dziękował mi za wydanie dobrej opinji o Kuzyku. Teraz przypominam to doskonale. Ale jakiż to może mieć związek z ową awanturą?...
— Czy nie byliście później u Kuzyka?
— Nie. Zresztą, towarzyszu, gdybym był tam, to ktoś przecie musiałby mnie widzieć. Ale zapewniam was, że na oczy Kuzyka nie widziałem.
— Możliwe — przyznał krzywonosy. — Jednak jak to wytłumaczyć, że Kuzyk w szpitalu powtórzył kilka razy: „To robota Garbatego"? To przecie nie może nic nie znaczyć?
— Tak twierdził?... — niedowierzająco zapytał Murek. — Ależ, towarzysze! On napewno wcale nie myślał o mnie, lecz o jakimś człowieku naprawdę garbatym! Garbatych na świecie jest dość.
— To prawda — przyznał krzywonosy — mogło być i tak.
Zdawał się być przekonany, lecz Zimny powiedział:
— Mogło być, lecz nie było. Kuzyk mówił o was.
— Niby dlaczego o mnie? — wyzywająco zawołał Murek.
— Bo wyście w tem ręce maczali — z uporem stwierdził Zimny.
— Ja?... No dobrze, tylko w jakim celu?
— Tego już nie wiem.
Murek wybuchnął śmiechem:
— Jesteście, jak dziecko, towarzyszu Zimny... Utrzymujecie, że byłem wplątany w tę sprawę, tylko nie macie na to ani dowodów, ani poszlak, ani jakiegokolwiek wytłumaczenia, bodaj najgłupszego wytłumaczenia, pocobym miał się wplątywać! Gdzież tu sens?...

Nawet obrazić się na was nie mogę za takie brednie. Miarkując z tego, co wiem o zajściu z gazet i od was, widzę, że Kuzyk rozprawiał się z jakimiś bandytami, czy też oni z nim. A co tu ja mam do roboty? Jeżeli komu na świecie dobrze życzyłem, to już napewno Kuzykowi, od którego doznałem więcej dobrego, niż od innych. I ja miałbym na niego bandytów naprowadzać? Stuknijcie się w głowę, towarzyszu Zimny!

— To gdzieście byli tego wieczoru?

— Gdzie miałem być? W pracy, u dyrektora Czabana. Zresztą gotów jestem pójść z wami do tej kawiarni. Przecież jeżeli tam chodziłem, to mnie poznają.

— Kawiarnia została zamknięta przez policję.

— No, to wszystko jedno. Łatwo odszukać właściciela, czy kelnera, czy innego djabła. Nie myślę chować się.

— Dziwne to jednak, żeście akurat zgolili brodę. Jeszcze u Dyla byliście z brodą i tak was przypiekło.

— Wcale nie przypiekło. Chcę się żenić, a kobiecie zarost się nie podobał. Dużo znacie takich kobiet, którym się podoba?

— A macie jaką swoją fotografję z tą brodą? — odezwał się krzywonosy.

— Nie mam. Sami wiecie, że należąc do partji lepiej nie fotografować się.

Krzywonosy mrugnął ku Zimnemu i obaj odeszli w kąt, gdzie przez chwilę szeptali ze sobą, poczem Zimny zwrócił się do Murka:

— Nie miejcie do nas żalu, towarzyszu Garbaty. Sami rozumiecie, że partja musi takie rzeczy dokładnie zbadać. Wasze nieszczęście, że niektóre okoliczności przemawiają przeciw wam. Inne znowuż świadczą za wami. Ale pewności jeszcze niema.

— Więc dlaczego traktujecie mnie, jak jakiego prowokatora, czy konfidenta policyjnego?

— Tak was nie traktujemy. To nieprawda.

— A któż to mówił, towarzyszu Zimny, że od dawna miał mnie na oku?

— Nie zaprzeczam. Kazałem dawniej was śledzić, bo dziwne było skąd macie nagle forsę. Nie dla mojej ciekawości, ale dla dobra partji to robiłem i chyba nie weźmiecie mi tego za złe. Przekonałem się, że nie macie kontaktu z policją i cieszyłem się z tego. Ale nie cieszyłem się, żeście się odsunęli od roboty rewolucyjnej i że zajmujecie się wróżbami, czyli procederem niegodnym uczciwego proletarjusza, ani tembardziej świadomego komunisty. I to wam w oczy zarzucę, jak i to, że przestajecie z burżujami. Kto raz zasmakuje w burżujskiem życiu, ten już dla nas stracony...

— Nie sądzę tak — przerwał Murek — niby to nie wiecie, jak żyje góra partji? Towarzysz Szeps i towarzysz Bigelsztajn, towarzysz Bazyluk i sam towarzysz Kurmski.

Twarz Zimnego spochmurniała:

— Co powiem, a czego nie powiem, to moja rzecz. I to nie należy do sprawy. Teraz chodzi o was. Otóż przyjmujemy do wiadomości, że zgadzacie się ułatwić nam zbadanie waszej prawdziwej czy fałszywej niewinności w tej sprawie. Sprawdzimy wasze alibi, zetkniemy was z tymi, którzy mogą coś wiedzieć, a tymczasem wy musicie znowu zapuścić zarost. I zastrzegam, że obowiązani jesteście stawić się na każde wezwanie. A jeżeli przyszłaby wam ochota... wyjechać, to pamiętajcie, że partja ma dłuższe ręce, niż wy nogi.

— Nie obawiajcie się za mnie. Sam żądam wyświetlenia prawdy — odpowiedział Murek — a i bez waszego upomnienia zawsze byłem, jestem i będę do dyspozycji władz partyjnych.

— No, to możecie iść. Nie zatrzymujemy.

— Dobrze, ale oddajcie mi rewolwer.

— Bierzcie — wskazał mu leżący na stole browning towarzysz Zimny.

Murek, nie śpiesząc się, sprawdził bezpiecznik, schował broń do kieszeni, kiwnął głową i wyszedł. W warsztacie nikt nań nawet oczu nie podniósł, na ulicy natomiast szofer stojący przy taksówce, nieznacznie zastąpił mu drogę i powiedział, nie obwijając w bawełnę:

— Nie mogę was puścić bez rozkazu. Zawróćcie i niech tu przyjdzie z wami Zimny.

Zimny jednak widocznie sam przypomniał sobie o wydanym szoferowi rozkazie, gdyż właśnie uchylił drzwi i skinął mu głową.

— To było aż tak źle — pomyślał Murek, odchodząc w stronę śródmieścia, i uprzytomnił sobie, że właśnie na Skierskiej przed dwoma laty jedna z piątek rozprawiła się

z dwoma prowokatorami. Niedaleko stąd znajdowały się wielkie zsypiska śmieci, w których nocami zakopać można było trupy bez obawy wykrycia ich przez policję.

Naprężone do ostateczności podczas przesłuchania nerwy Murka rozdygotały się nadobre. Szedł coraz szybciej, ostatnim wysiłkiem woli powstrzymując się, by nie obejrzeć się, lub nie zacząć biec.

Taki zawzięty człowiek, jak Zimny, nie pominie żadnego szczegółu, najmniejszego drobiazgu. Oczywiście, zainscenizuje konfrontację z Majewską, właścicielką kawiarni na Grzybowskej, z kelnerkami, jeżeli zaś zapuści brodę, tamte poznają go niechybnie. Pozatem zbadanie służby u Czabanów wykaże, że Murek w krytycznym czasie nie pokazał się tam przez trzy dni.

Teraz już naprawdę nie pozostawało chyba nic poza ucieczką. Partja ma długie ręce, to prawda. Nie tak wszakże długie, jak chwalił się Zimny. Murek sam znał kilka wypadków bezkarności tych, co partję zdradzili. Są przecie liczne kraje, w których bezpiecznie można się ukryć.

Zwolna uspokajał się, a im był spokojniejszy, tem silniej rosnął w nim protest przeciw ucieczce. Ostatecznie dochodzenie przeciągnie się, a partja ma sprawy ważniejsze. Murek wiedział, że na dwudziestego piątego listopada wyznaczony jest „dzień głodujących". Organizacja strajku i pochodów na ten dzień zaabsorbuje wszystkie siły partyjne. Zechcą wystąpić tem okazalej, że zupełnie nie udały się manifestacje 7-go i 8-go listopada w rocznicę rewolucji „październikowej". KPP musiała się zrehabilitować i zmobilizuje wszystko, by zaś utrudnić rządowi wezwanie pomocy wojska, tegoż dnia urządzi kilka aktów sabotażu w koszarach garnizonu warszawskiego. Był to tak zwany „plan B" znany Murkowi jeszcze z czasów jego szefostwa w Grupie Aktywnej, a odkładany z roku na rok. Oczywiście poleje się krew i to obficie. „Plan B" przewidywał do dwudziestu zabitych i do stu rannych, barykady i demolowania biur pośrednictwa pracy i funduszu bezrobocia. Oczywiście później przyjdą aresztowania, częściowa dezorganizacja, a w każdym razie osłabienie wszelkich funkcyj partyjnych.

Przez to zaś Murek zyskiwał na czasie.

Narazie postanowił w niczem nie zmieniać trybu życia. Wiedział, że jest śledzony. Zresztą przesiadywał od wczesnego ranka do późnej nocy z Czabanem i z przybyłymi z zagranicy kapitalistami. Rokowania szły dość opornie. Zato sprawa fikcyjnej sprzedaży terenów leśnych za Otwockiem przeprowadzona została gładko. Stary książę Zasławski zahypnotyzowany projektem rulety, zgodził się na wszystko. Jego siostra i przyrodni brat, półgłupi książę Zyzio, mieli do swego plenipotenta całkowite zaufanie, które uwalniało ich od uciążliwego obowiązku myślenia. To też w księgach hipotecznych dóbr Starnickich i Kosarzewa na miejscu nazwisk Zasławskich wpisano nazwisko doktora Klemma.

W dwa dni później umowa z kapitalistami została uzgodniona, statuty obu spółek akcyjnych parafowane i wszystko zdawało się układać znakomicie, gdy spadł nieprzewidziany, a raczej przewidziany od dawna cios: późnym wieczorem dyrektor Seweryn Czaban został aresztowany.

Murek dowiedział się o tem w niespełna kwadrans po fakcie. Obudził go przerażony telefon pani Czabanowej. Ubrał się natychmiast i pojechał na Skolimowską. Wszyscy byli na nogach, ponieważ zaś Czaban nigdy nie informował rodziny o swoich interesach, spodziewali się czegoś najgorszego. Tymczasem okazało się, że wszystko odbyło się tak, jak przewidywał Czaban, i Murek zaczął uspokajać panie zapewnieniami, że areszt długo nie potrwa, że jest wynikiem pewnej kombinacji, że Czabanowi nic nie grozi i że przedewszystkiem należy zachować rzecz w tajemnicy, gdyż dalszym interesom mogłoby zaszkodzić rozpowszechnienie wiadomości o tem niemiłem zajściu.

Gdy wreszcie Czabanowa przestała szlochać i spazmować, Murek zawołał służbę, by nakazać jej pod groźbę wydalenia, najściślejsze milczenie o aresztowaniu pana.

— Jeżeli zaś zachowacie tajemnicę, każde z was otrzyma miesięczną pensję, jako gratyfikację — zakończył. — A teraz możecie odejść. Gdyby ktokolwiek pytał, macie odpowiadać, że pan dyrektor wyjechał do Berlina.

Na prośbę pań pojechał następnie do Urzędu Śledczego, gdzie z zadowoleniem dowiedział się, że Czaban bynajmniej nie stracił głowy. Jak się okazało, skomunikował się

z jednym z wybitnych sądowników i uzyskał przezeń zapewnienie władz śledczych, że wiadomość o aresztowaniu nie dostanie się do prasy.

Przespał się kilka zaledwie godzin, gdyż rankiem znów musiał być na Skolimowskiej dla dokończenia pertraktacyj z delegatami Belgijskiego Towarzystwa Elektryfikacyjnego. Przezorny Czaban zostawił dlań oddawna przygotowane wszelkie plenipotencje, mógł więc działać nie tylko we własnem, lecz i w jego imieniu. Zresztą nieobecność Czabana i jego wyjazd do Berlina właśnie zdawały się skłaniać delegatów do przyspieszenia finalizacji umowy. Rozmowy szły gładko.

Tegoż przedpołudnia odbyła się pozatem decydująca konferencja w Banku Wschodnim i gdy Murek nazajutrz uzyskał pozwolenie na widzenie się z Czabanem, mógł mu zakomunikować nader pomyślne wiadomości. Wzamian dowiedział się, że sędzia śledczy ustalił wysokość kaucji na bardzo wysoką sumę stu tysięcy, czyli na kwotę, której w obecnym stanie spraw w żaden sposób nie można było wydobyć bez zachwiana własnej pozycji w nowem przedsiębiorstwie. Czaban zresztą nie bardzo się tem przejmował.

— Tak wielkiej kaucji żądają — mówił — pod naciskiem ambasady. Jednak będę się targował. Ostatecznie posiedzę parę tygodni, póki ty nie załatwisz tych rzeczy. Wtedy będziesz mógł wpisać kaucję na hipotece. Narazie musi być czysta, jak łza.

Natomiast w domu Czabana nie znikał ponury nastrój. Pani Helena nie wstawała z łóżka, gdyż poza migreną nękała ją myśl, że nie potrafi ludziom spojrzeć w oczy, Żołnasiewicz chodził struty, zaś panna Tunka zachowywała wymowne milczenie.

Gdy razu pewnego zostali we dwójkę, Murek wręcz ją zapytał:

— Dlaczego pani żywi do mnie urazę? Czy sądzi pani, że jej ojciec z mojej winy został aresztowany?

Wzruszyła ramionami:

— Bynajmniej. Skądże tu pańska wina?... Poprostu uświadomienie sobie, że się jest córką... aferzysty, nie sprawiło mi radości.

— Dlaczego zaraz aferzysty! — próbował oponować.

— Tak, aferzysty. Używam tego, nie innego wyrazu gdyż ten wydaje mi się najłagodniejszy z serji, którą należałoby tu zastosować.

Zmarszczył brwi:

— Łatwo jest być moralistką, gdy się jednocześnie, wybaczy pani, korzysta z owych afer. Gdy się luksusowo mieszka, gdy się posiada drogą biżuterję, futra, suknie gdy...

— Owszem — przerwała — przyznaję panu rację, Ale czyż to zmienia sens sprawy?

— O, zmienić bardzo łatwo, panno Tunko. Wystarczy wyrzec się tego wszystkiego, postarać się o posadkę i zarabiać sto kilkadziesiąt złotych miesięcznie. A jeżeli nie znajdzie się posadki, no to szlachetnie i uczciwie, z czystem sumieniem umrzeć z głodu.

— Wcale nie pretenduję do świecenia przykładem.

— A jednak pani surowo sądzi innych.

— I siebie, proszę pana, i siebie!

— Więc jednak nie chciałaby pani, by ojciec porzucił interesy i został urzędnikiem, lub poprostu bezrobotnym?

— Przyznaję, nie chciałabym. Ale czyż nie można i w interesach być uczciwym?... Zaraz, zaraz! Wiem, co mi pan odpowie. Że w dzisiejszych czasach, wśród dzisiejszych ludzi i tak dalej!... Być może. Nie znam się na tem i sądzę, że pan ma większe odemnie doświadczenie...

— I ja tak myślę — uśmiechnął się gorzko.

— Ale cóż ja na to poradzę — ciągnęła — że we mnie to wywołuje i wstręt, i zniechęcenie, i lekceważenie dla samej siebie. Że mi duszno w tej atmosferze! Mama powiada, że ze wstydu ludziom w oczy nie spojrzy. Ja zaś wiem, że potrafię spojrzeć tak samo odważnie, jak dawniej. Tylko dawniej wierzyłam, że mam do tego prawo, a dziś...

Umilkła i po chwili powiedziała:

— Czytałam kiedyś, że w New Yorku, czy też w Londynie istnieje klub, napozór niczem nie różniący się od innych. Zbierają się tam panowie wytwornie ubrani i przestrzegający rygorystycznie przepisów dobrego tonu. Jeden drugiego traktuje, jak nieskazitelnego dżentelmana, chociaż wszyscy bez wyjątku są przestępcami i każdy z nich o tem wie.

— I cóż dalej?

— Nic. Tylko tutaj w domu, w otoczeniu... rodzinnem, wśród przyjaciół mego ojca, czuję się tak, jak gdybym się znalazła w tamtym klubie.
— Dziękuję pani — zaśmiał się z przymusem.
— Nie chciałam pana obrazić.
— I nie obraziła mnie pani.
— Ale... Ale wolałabym, nawet trafiwszy do owego klubu, nie wiedzieć, że się w takim klubie znajduję. Dużo dałabym za to złudzenie.
Spojrzał na nią ironicznie:
— Ile?
— Jakto ile?
— Dużoby pani dała, więc ile?... Nie trzeba używać pustych słów, panno Tunko. Więc czego pani wyrzekłaby się za to? Do jakich ofiar byłaby pani skłonna?... Co?... Widzi pani! Każdemu łatwo rzucić na wiatr efektowne powiedzonko: dużo dałabym! Gdy jednak przyjdzie do dawania, okaże się, że owe „dużo" to zupełne „nic". Ja natomiast zbyt długo w takim klubie byłem naiwnym prostaczkiem. Aż mnie dżentelmeni ograbili, okradli i obdarli ze wszystkiego. I widzi pani, dlatego wolę być dzisiaj świadomym członkiem tego bractwa, niż jego ofiarą.
Panna Tunka spojrzała mu w oczy:
— A dobrze panu z tem?
— Co to znaczy, czy dobrze? — wybuchnął Murek. — Musi być dobrze. Pani stawia niedorzeczne pytania!
Zerwał się i ze złością odsunął krzesło, po chwili jednak opanował się:
— Przepraszam panią — bąknął — ale gdyby pani znała życie tak, jak pani ojciec, jak ja... Są rzeczy, nad któremi wogóle nie należy się zastanawiać. Nie wolno. Och, panno Tunko, panno Tunko! Nawet pani nie przypuszcza, ile goryczy wzburzyła pani we mnie.
Stanął przy oknie i umilkł.
— Nie zamierzałam sprawić panu przykrości — odezwała się.
— Ale jednak uważa mnie pani za... szuję. Mniejsza zresztą o epitet. Taki czy inny... To nie ma już znaczenia.
— Przecież sam pan twierdzi, że lepiej, że mądrzej, że trzeba wiedzieć w jakim się jest klubie.
— Tak, tak, ale...
— Ja zaś, niech pan mi wierzy, żadnych z tej świadomości nie wyciągam wniosków. Miał pan rację, że jestem taka, jak i reszta stowarzyszonych. Nie stać mnie na heroizm wyrzeczenia się, czy walki. Więc o cóż panu chodzi?... Pogodziłam się z tem wcześniej nim zrozumiałam, że się mogę z tem pogodzić.
Murek gryzł papierosa i milczał. Z przeraźliwą jasnością widział teraz, czem jest już nietylko dla siebie, lecz dla wszystkich, dla wszystkich ludzi, z którymi się styka. Ta dziewczyna uważa go za brudnego aferzystę, jej ojcu nigdy do głowy nie przyszło oczekiwać odeń jakiegoś sprzeciwu etycznego, zgóry miał go za człowieka bez skrupułów. Żołnasiewicz, pani Helena, tutejsi goście i znajomi, finansiści, z którymi prowadzi pertraktacje, urzędnicy i dygnitarze, u których załatwia sprawy formalne — każdy z nich domyśla się w nim szubrawstwa. A towarzysze partyjni? Podają wprawdzie rękę i nazywają towarzyszem, lecz i oni mają go przecie za łotra bez czci i wiary. Nawet Piekutowski i Majster uważali go za coś znacznie gorszego od siebie. A cóż mówić o Arletce! Arletka wie, lepiej niż inni, że jej kochanek jest kryminalistą.
Ileż razy musiał wobec każdego z nich hamować się przed bodaj retorycznem odwołaniem się do własnej godności, ile razy w porę przygryzał język, by nie wypowiedzieć o kimś potępiającego sądu. Każdy parsknąłby mu w oczy śmiechem, każdy jeżeli nie słowami, to wzrokiem zapytałby szyderczo:
— Jakież prawo masz ty do sądzenia innych?
Tak. Tunka umiała się pogodzić instynktownie, zanim nawet zrozumiała, że jest to dla niej możliwe. Arletka zapewne nie zastanawiała się nad tem wcale. A on?... Czyż nie czuje lepkiej cieczy dookoła siebie? Czy wytrzyma długo w tej atmosferze?... Czy nie zdusi go zaduch świadomości, jawności własnego upodlenia.
I to pogodzenie się wszystkich z tym stanem rzeczy!

Uczucie ohydy opanowało go tak silnie, że z trudem powstrzymał się od wypowiedzenia Tunce tego wszystkiego, od zapłacenia jej pogardą za to, że ona na czynną pogardę zdobyć się nie umiała.

Unikał też jej przez kilka dni, unikał Arletki, unikał jakichkolwiek rozmów, które mogłyby do reszty obezwładnić jego wolę i chęć działania. Na szczęście nawał pracy sprzyjał temu, a na rozmyślania mało zostawało czasu.

Wkrótce też przybyła nowa okoliczność. Pewnego ranka w mieszkaniu Murka zadzwonił telefon. Bez żadnych wstępów nieznany głos oznajmił:

— Macie, towarzyszu, stawić się pojutrze o piątej na ulicy Skierskiej.

I położono słuchawkę.

— To już koniec — szepnął do siebie Murek.

Tak, nie miał już sił ani ochoty do walki. Nadludzką czujnością, zawziętym trudem utrzymywał się tak długo na powierzchni grzęzawiska, które go oblepiało, wciągało, obezwładniało.

— Co ci jest, Franku? — ciepło zapytała Arletka — Jakaś zła wiadomość?

— Zła? — zaśmiał się — Nie, nie zła. Poprostu ostatnia.

— Nie rozumiem.

— Ach, poco masz rozumieć. Daj mi spokój.

Zamknął się na klucz w swoim pokoju i zaczął chodzić od ściany do ściany aż do zmęczenia. Gdy jednak usiadł, gdy mięśnie odprężyły się, nagle uświadomił sobie swoją bezczynność. Oto ginie i nic nie robi!

Zerwał się i powziął decyzję:

— Nie! Nie! Nie dam się.

Zostawało dwa dni czasu. Tak, jest sposób! Zdradzić. Zaraz pojechać do policji politycznej i sypnąć adresami, nazwiskami, podać plan rozruchów, przygotowanych przez komunistów na „dzień głodujących"... Zapełnią się więzienia, cała organizacja zostanie zachwiana i sparaliżowana na długie miesiące. Nie będą mieli czasu na dyscyplinarki partyjne i na sprawdzanie, na czem polegał udział towarzysza Garbatego w sprawie zajścia w kawiarence na Grzybowskiej.

Murek zatrzymał się przy drzwiach, ścisnął skronie. Musiał zastanowić się. Nie nad tem już, czy to zrobić, tylko nad tem jak. Powoli opanował się i spokojnie już wrócił do biurka. Wyciągnął Remingtona i zaczął pisać.

Krótki wstęp: obudził się w nim patrjotyzm i strach przed przelewem krwi bratniej. Dlatego denuncjuje. Dalej szedł opis instrukcji dla komitetów, opis regulaminu akcji, opis programu demonstracyj i całego „dnia głodujących". Znany sobie dawniejszy plan Murek uzupełnił zapowiedziami kilku zamachów bombowych na objekty rządowe. Następnie podał szczegółowo adresy zakonspirowanych lokalów partyjnych, drukarń, centrali propagitu, składów bibuły i t. d. Długa lista nazwisk i adresów działaczów komunistycznych od najwybitniejszych do szeregowych uzupełniła elaborat.

Jednak przezornie Murek nie wymienił pracowni szewca na Skierskiej ani towarzysza Zimnego, by uniknąć skierowania podejrzeń o denuncjację na siebie. Wiedział, że po ucichnięciu burzy partja nie zaniecha wysiłków, by dowiedzieć się, kto zadenuncjował. Posądzenie przedewszystkiem skierowałoby się przeciwko niemu, gdyby policja wpadła na ślad osób, badających sprawę śmierci Kuzyka.

Doniesienia Murek zakończył zaklęciami, by nie tracono ani godziny czasu, gdyż w obawie dekonspiracji główni przywódcy będą próbowali ukryć się, a plan w ostatniej chwili może być zmieniony.

Dla pewności, sporządzony w dwuch egzemplarzach, donos został natychmiast wysłany do Ministerstwa i do policji. Niezależnie od tego, Murek wieczorem zadzwonił do prywatnego mieszkania jednego z wyższych dygnitarzy i zapewnił go, że chociaż wiadomości przesłał anonimowo, gdyż obawia się zemsty komunistów, jednak są one prawdziwe i ścisłe. Wystarczy dla sprawdzenia przeprowadzić rewizję w którymkolwiek z podanych w anonimie lokalów, by przekonać się, że nie pisał dla czczej mistyfikacji. Dygnitarz nawet nie próbował namawiać Murka, by zgłosił się osobiście. Z tonu rozmowy Murek wywnioskował, że anonimowi uwierzono i że odpowiednie zarządzenia już są wydane.

Władze musiały poważnie brać pod uwagę nawet każde niepodpisane doniesienia. Pomimo oficjalnych zapewnień, że komuniści nie rozporządzają wśród mas żadnemi

wpływami, wiedziały, że jest inaczej, że wielka nędza, bezrobocie i brak jakichkolwiek pomyślnych perspektyw doprowadziły umysły biednej ludności do stanu zrozpaczenia, a zatem gotowości na wszystko. Pod rzekomo spokojną powierzchnią życia, gromadziły się potężne masy nienawiści, gniewu i pragnienia zemsty. Lada silniejszy wstrząs mógł spowodować straszny wybuch. I niepodobna było przewidzieć, czy licząca zaledwie kilka tysięcy partja komunistyczna w ciągu jednej godziny nie wzrośnie do olbrzymiej potęgi, wchłaniając wszystko, co daremnie od lat dopomina się o chleb i pracę.

Dlatego ludzie, stojący na straży ustroju i bezpieczeństwa, ludzie, których zadaniem było czuwanie nad spokojnym i zgodnym z przepisami policyjnemi wyglądem powierzchni życia publicznego, nie mogąc, nie umiejąc sięgnąć pod tę powierzchnię mądremi i sprawiedliwemi reformami gospodarczemi i społecznemi, tem usilniej sięgali tam zbrojnem ramieniem prawa.

Dzień następny minął w mieście spokojnie. Ale już wieczorem, Murek przechodząc koło komisarjatu policji, zobaczył oczekujące tam dwa auta ciężarowe. Umyślnie obszedł jeszcze inne komisarjaty. Wszędzie było to samo.

Na noc szykowano wielką obławę.

Oczywiście nie ulegało wątpliwości, że wywiad partyjny musiał dowiedzieć się w porę o tych przygotowaniach. Murek wiedział, że partja i w szeregach służby bezpieczeństwa ma swoich zwolenników, przyjaciół, informatorów. Jednak wiedział również, że dla uniknięcia paniki wśród członków partji, jej władze nie wydadzą żadnych ostrzeżeń, tembardziej, że nie spodziewają się przecie, by w rękach policji było tyle adresów i tyle nazwisk.

Zawsze, nietylko w przededniu wielkich wystąpień ulicznych, liczono się z możliwością rewizyj i aresztowań. Nie było przecie tygodnia, by policja nie wpadła na ślad tej, czy innej jaczejki, tej, czy innej drukarni, lub centrali kolportażu. Na takie straty partja była przygotowana. Rzadko się zaś zdarzało, by przybrały one szersze rozmiary, lub by objęły wyższe kondygnacje organizacji partyjnej.

Tym razem jednak K. P. P. poniosła prawdziwą klęskę.

Poranne dzienniki pisały: „Likwidacja centrali komunistycznej w Warszawie". I podawały: „...po kilkumiesięcznej obserwacji i drobiazgowych przygotowaniach, władze bezpieczeństwa przystąpiły ubiegłej nocy do ostatecznej likwidacji K. P. P."... Przeprowadzono masowe aresztowania. W więzieniach znalazło się ponad trzystu wywrotowców. Przeprowadzono czterdzieści rewizyj, których skutki stały się sensacją. Znaleziono dwa składy broni i granatów ręcznych, całe tonny bibuły agitacyjnej, sześć zakonspirowanych drukarń, radjostację i kasę. Ujawniono dokumenty szpiegowskie, stwierdzające niezbicie kontakt wywrotowców z funkcjonarjuszami przedstawicielstwa dyplomatycznego jednego z państw sąsiednich...

Pisma zamieściły nazwiska niektórych aresztowanych. Wśród nich było wiele nieznanych Murkowi, były jednak prawie wszystkie te, które on podał: Zaniewicz, Liber, Krótki, Posiadły, Bigelstein, Liczko, Piotr, Szeps, Barański, Dyl, Piszczałkowski, Machaj, Sułko... Jednych znał lepiej, pracował z nimi, niektórych z nich nawet cenił wysoko, niektórym winien był wdzięczność, innych znał z widzenia, ze słyszenia, lub poprostu z rejestru Propagitu, komitetów dzielnicowych, czy Grupy Aktywnej.

Prasa aż grzmiała od pochwał dla czujności i sprawności władz bezpieczeństwa. Czytając to, Murek uśmiechnął się ironicznie na myśl, że na „zasłużonych", „czujnych" i „sprawnych" posypią się pochwały, nagrody, awansy, ordery.

O wyznaczonej godzinie stawił się na ulicy Skierskiej, wiedząc, że nic nie ryzykuje. Przestraszony szewc, właściciel pracowni, oświadczył mu, że nikogo tu niema, że nikt nie czeka, że wogóle nikogo nie zna.

— To dziwne — powiedział Murek. — W każdym razie pamiętajcie, że przychodziłem. Nazywam się Garbaty. I gdyby...

Szewc zatknął uszy:

— Niech się pan odczepi! Co mnie może obchodzić! Ja jestem biedny, spokojny rzemieślnik! Idź pan stąd! Czy pan nie wiesz, co się dzieje?...

Tymczasem „działo się" rzeczywiście. Dzień po dniu nie ustawały aresztowania w Warszawie i na prowincji. Na podstawie materjałów zdobytych przy rewizjach, akcja policyjna zataczała coraz szersze kręgi. Dzień dwudziesty piąty listopada, „dzień głodujących" mi-

nął bez najmniejszych demonstracyj. W dzielnicach robotniczych panowała powszednia cisza, fabryki pracowały normalnie.

Tego właśnie dnia pertraktacje w Banku Wschodnim zostały przypieczętowane, a w Sądzie Okręgowym zarejestrowano dwie nowe spółki akcyjne: „Miasto-Ogród Medana" i „Polskie Towarzystwo Popierania Rozwoju i Eksploatacji Uzdrowisk S. A. ". W pierwszem Czaban z Murkiem mieli pięćdziesiąt jeden procent akcyj, w drugiem tylko dwadzieścia. Prezesem rady nadzorczej „Medany" został książę Zasławski, prezesem drugiej spółki, prezes Banku Wschodniego, Hinckel. Ale obie dyrekcje generalne zastrzeżone były dla Czabana i doktora Klemma.

W tydzień później, dyrektor generalny Medany, dr. Klemm, zaciągnął dzięki uprzejmości prezesa Banku Wschodniego, Hinckla, pożyczkę na rachunek przedsiębiorstwa w kwocie stu tysięcy, dzięki której to kwocie sędzia śledczy zwolnił z więzienia dyrektora generalnego Polskiego Towarzystwa P. R. i E. U., pana Seweryna Czabana, i nowa polska placówka ekonomiczna mogła wejść w stadjum forsownej organizacji.

Na terenach dawnych majątków książąt Zasławskich wrzała już praca. Setki ciężarówek i furmanek zwoziły materjał budowlany; pomimo niesprzyjającej pory roku przeprowadzono bocznicę kolejową. Zakładano fundamenty, wznoszono prowizoryczne składy, na wielką skalę rozpoczęto roboty ziemne. Czaban uznawał tylko amerykańskie tempo i nie liczył się z kosztami, twierdząc, że tylko śmiałość, brawura i szeroki gest opłaca się w interesach.

To też w terenie pracowali już sprowadzeni z Anglji fachowcy od planowania ogrodów i boisk, sprowadzeni z Włoch i z Francji architekci, holenderscy hydraulicy i polscy robotnicy.

— Na jesieni musi być wszystko zupełnie gotowe — powiedział sobie Czaban i każdy, kto obserwował tempo pracy, musiał wierzyć, że w niespełna dziesięć miesięcy Medana otworzy się gościnnie dla publiczności, Medana miasto-ogród, miasto-park, wyczarowany z piasków Eden, Eldorado, Golkonda, siódme niebo Mahometa, niezrównana Medana, super-hyper-arcy-luksusowa polska Floryda, Riwjera, Biarritz, Monte Carlo, Ostenda, Davos, St. Moritz, a przynajmniej nad-Konstancin, nad-Krynica, nad-Ciechocinek i nad-Zoppoty.

Murek, który nie był aż takim optymistą, musiał w duchu przyznać Czabanowi nietylko spryt, ale i wyjątkowe szczęście. Jeszcze w Medanie nie stanął ani jeden domek, a już prasa grzmiała bezpłatną reklamą, a już zgłaszały się setki ludzi, zabiegających o pracę, o dzierżawy, o działki, już przynosili wkłady i kaucje. Nie stopniały jeszcze śniegi, a już w ten sposób gotowy był sztab biur i służby, gdyż Czaban nie gardził kaucjami, które ziarnko do ziarnka, zebrały się w poważny kapitał.

Murek i Czaban codziennie jeździli do Medany i spędzali tam po kilka godzin w drewnianych barakach, gdzie prowizorycznie zainstalowano biuro. Gdy wracali pewnego dnia do Warszawy, Czaban powiedział:

— Nu, bracie, my z tobą dobraliśmy się w korcu maku, a?... Ani się spieramy, ani kłócimy, ani jeden drugiego nie chce wystrychnąć na dudka, czy podłożyć mu świnię. Że ty mi dobrze życzysz, to wiem, że ja ci jeszcze lepiej, ty wiesz. A?

— To jasne.

— Prawda? I jeżeli przypomnę ci teraz, że to ja cię namówiłem do tego, że ja cię wciągnąłem do interesów, że to dzięki mnie ty z biednego magika, czy to uczonego, zrobiłeś się bogaczem, to nie dlatego, byś mi dziękował. Ja tam podziękowania mam w nosie. Ale dlatego, byś wiedział, że jestem kontent z ciebie.

Murek wyciągnął rękę:

— Bardzo ci jestem wdzięczny. Tylko jedno zastrzeżenie: Nie jestem bogaczem. To, że na moje nazwisko zapisało się pakiet akcyj, to przecie fikcyjne. Akcje należą do ciebie.

Czaban klepnął go po ramieniu:

— Nie gadaj. Starczy na nas dwóch. Co twoje, to twoje. Pieniędzy nie wniosłeś, ale i praca nie pies. Tylko, widzisz, sęk w tem, że obaj my mamy cały interes w ręku tylko do tego czasu, póki będziemy trzymać ze sobą sztamę. Niech jeden z nas zechce zwąchać się z innymi akcjonarjuszami, to jest dla drugiego ferfał di klaczkies mit di gance pastrojkies.

— Zapewne — przyznał Murek. — To też nic nas niezmusi do zapomnienia o własnym, dobrze zrozumianym interesie.

— Ee, pamięć ludzka... Różnie z nią bywa, a z interesami też... Na świecie wszystko łatwo się zmienia, ale ja mam... Mam jeden projekt!

— Mianowicie?

Czaban nagle odwrócił się do niego:

— Przypatrz się mnie. Jak ci się podobam? A?

— Jakto? — zdumiał się Murek.

— Ujdę na teścia?... A?... Bo widzisz, rad byłbym wydać Tunkę za ciebie. Co możesz mieć przeciw niej?... Dziewczyna ładna, zdrowa, dobrze wychowana. A jeśli chodzi o takie rzeczy, to myślę, że porządniejsza od innych. Pilnować, nie pilnowałem, bom nie głupi, ale zdaje mi się, że dużo lepsza od innych. A i tobie chyba w oko wpadła. Żeń się z nią! Chcesz, a?

Murek poczerwieniał:

— Doprawdy, to wielki dowód twego zaufania... I jestem ci za to bardzo obowiązany. Ale nie wiem, czy panna Tunka.

— Bo co? Zawsze wyrażała się o tobie z uznaniem.

— Uznanie to jeszcze nie wszystko. A pozatem... Powiem ci szczerze, sam od dawna tego pragnę. Kilkakrotnie próbowałem w rozmowie z panną Tunką zbliżyć się do tego tematu. Odnosiłem jednak zawsze wrażenie, że... odpowiedziałaby odmownie.

— Zawracanie głowy! — zirytował się Czaban. — Lubi cię, a po ślubie pokochacie się. Oboje jesteście spokojni, rozsądni i nic nie przemawia przeciwko waszemu małżeństwu. Zresztą, zwróć się do niej poprostu. Cóż to, boisz się, a?

— Nie, nie boję się...

— Więc, siup! Bez ceregieli i bez straty czasu. Zżyliśmy się ze sobą i niema czego się krępować.

Ponieważ Czaban na nic czekać długo nie umiał, po kolacji zwrócił się do żony i do szwagra:

— Chodźcie ze mną do gabinetu. Doktór ma z Tunką do pogadania. Nie będziemy im przeszkadzać.

Czabanowa chciała coś powiedzieć, lecz tylko poruszyła ustami, obrzuciła pokój spłoszonem spojrzeniem i wyszła za mężem.

Zostali sami. Murek niezmiernie przykro odczuwał przymus narzuconej sytuacji. W wyrazie twarzy panny Tunki dostrzegał jakby ironiczny półuśmiech.

— Panno Tunko — zaczął wreszcie — zapewne domyśla się pani, dlaczego ojciec... Z jakim zamiarem...

— Owszem — skinęła głową.

— Widzi pani... Mnie jest niewypowiedzianie trudno zdobyć się na zwyczajne i od wieków powtarzane przez miljony mężczyzn zapytanie w podobnej sytuacji: Czy zechce pani zostać moją żoną?... Zdaję sobie sprawę z mego położenia. Nie tak dawno usłyszałem z pani ust, może słuszną, nawet napewno słuszną ocenę mojej etyki. Była to ocena zdecydowanie ujemna. Tedy właściwie... Skoro już zdobyłem się na śmiałość zwrócenia się obecnie do pani, powinienem właściwie zapytać: Czy pomimo to nie zgodzi się pani zostać moją żoną?...

Mówił, nie patrząc na nią, nie podnosząc wzroku z podłogi i napróżno usiłując nadać swemu głosowi miększe, cieplejsze brzmienie. Miał przecie pełną świadomość, że otrzyma jej zgodę. Napewno w taki, czy inny sposób została do tego przygotowana przez ojca. Pozatem sama była dość inteligentna, by od dawna zrozumieć, ku czemu zmierza troskliwość, opieka i zadomowienie się u nich wspólnika ojca. Nie bał się zatem odmowy. Gdyby zamierzała jego propozycję odrzucić, znalazłaby tysiąc sposobności, by go wcześniej na to przygotować.

Nie obawa tedy męczyła go w tej chwili, lecz przeświadczenie, że Tunka równie dobrze zna, widzi i rozumie jego pobudki, jego intencje, jego kalkulację, jak i on sam. Orjentował się przecie, że przy oświadczynach, chociażby mimochodem należało wspomnieć, jeżeli nie o miłości, to przynajmniej jakoś ogólnikowo o uczuciach. Bez obsłonek byłaby to już tylko transakcja, w której dla Tunki przypadała rola objektu, objektu gwarantującego jej ojcu wierność spólnika, a jej mężowi gruby posag.

— A jej? — zapytał siebie. — Może spokój i dostatek, no, i męża, dla którego zawsze pozostanie tak obojętna, jak i on dla niej.

W czem innem jednak było coś wstrętnego: w tem, że transakcję ona właśnie musiała przypłacić swojem ciałem. Nie przypuszczał, by jako mężczyzna był dla niej odrażający, ale przecie nie był też pożądany.

Mimowoli podniósł oczy. Nie mogła uchodzić za piękną ale niewątpliwie była dość ładna, by stać się pożądaną, by spotkać człowieka, który zapragnie jej pocałunków, dotyku jej rąk, przyspieszonego tętna jej serca. Tak, jak on kiedyś pragnął Niry, a teraz pragnie Arletki...

Było to głupie i śmieszne, lecz czułby się uszczęśliwiony, gdyby Tunka odrzuciła jego ofertę. Ona jednak po długim namyśle spojrzała mu poważnie w oczy i powiedziała:

— Spodziewałam się tego i zgadzam się. Ale chcę, by pan przedtem, zanim moją zgodę przyjmie do wiadomości, usłyszał dlaczego zgadzam się zostać pańską żoną.

— Słucham panią — bąknął zaskoczony jej tonem.

— Pan wie, że go nie kocham. Myli się pan jednak, sądząc, że o mojem postanowieniu zadecydowało życzenie ojca. Jestem do rodziców bardzo przywiązana, nie zdobyłabym się jednak na poświęcenie całego swego życia dla interesów ojca. Nie wiem, czy dla pana małżeństwo ze mną będzie tylko nowym interesem. Ja traktuję je trochę inaczej. Oczywiście, wychodząc za pana, czynię to z rozsądku. Ale nie należy rozsądku identyfikować z interesem. I chcę, by pan to zrozumiał.

Murek zrobił nieokreślony ruch ręką:

— Ależ, panno Tunko, jak mnie pani może posądzać, że dla mnie...

— O nic pana nie posądzam — przerwała — Wyjdę za pana, proszę pozwolić mi skończyć, z rozsądku. Bo przypuszczam, że z panem będzie mi dobrze. Nie oczekuję szczęścia. Wiem, że bez miłości szczęścia być nie może, a ja pana nigdy nie pokocham. Czy pan godzi się z tem?

— Oczywiście... Chociaż zostanie mi nadzieja, że z czasem — zaczął obłudnie.

— Nie, panie. Widzi pan, chcąc go uchronić od złudzeń i rozczarowań, muszę wyznać prawdę: kochałam, a może... i dotychczas kocham kogoś innego. Sądzę, że takie uczucia zjawiają się raz w życiu i nie powtarzają się nigdy. Ale to moja całkiem osobista sprawa, z którą nie zetknie się pan wcale w naszem pożyciu małżeńskiem. Człowieka tego niema i już przez to, już chociażby przez to, ma pan pewność, że harmonja naszego, tak zwanego ogniska domowego nie zostanie zakłócona.

Ponieważ zrobiła pauzę, przez grzeczność zapytał:

— On nie żyje?

— Tak, jakby nie żył — odpowiedziała po chwili wahania i zadrżały jej usta — Jest chory... Jest obłąkany. Niestety, beznadziejnie.

Odwróciła się i dodała:

— Proszę mi darować to „niestety". Ale pan jest dość wyrozumiały i dość mnie pan zna, by wiedzieć, że w przeciwnym razie mogłabym wyjść tylko za tamtego. Przypuszczam zresztą, że domyśla się pan, o kim mówię.

— Tak, proszę pani.

— Lecz wracajmy do życia — powiedziała niecierpliwie — Otóż stoję na stanowisku, że zmuszona przez los do rezygnacyj ze szczęścia, mam prawo trzeźwo rozważyć czego od życia oczekuję. A rozsądek wskazał mi pana. Jest pan sam niewolnikiem rozsądku, jest pan człowiekiem kulturalnym, wykształconym, pozatem względy materjalne przemawiają za panem, a nadto lubię pana, chociaż widzę wiele jego wad. To mi wystarcza.

— Dziękuję pani przynajmniej za... pobłażliwość.

— Jeszcze nie skończyłam. I proszę mnie wysłuchać, bo moja zgoda uwarunkowana jest pewną klauzulą, a nie wiem, czy nie będzie ona dla pana nie do przyjęcia. Ponieważ zaś ja od tej klauzuli odstąpić nie mogę, wszystko zależy od niej.

— Jakaż to klauzula? — zapytał szczerze zdziwiony.

— Widzi pan — odpowiedziała z namysłem — uważam, że żadne z nas nie ma nietylko prawa, ale nawet i potrzeby wtrącania się do przeszłości drugiej strony. Dla uspokojenia pana, dodam, że ja osobiście nie miałam żadnej przeszłości, przynajmniej zaś takiej, którąby mogła wywołać niezadowolenie przyszłego męża. Może to nie jest istotne, może pan nie przywiązuje do tego żadnego znaczenia, ale poprostu stwierdzam fakt. Oczywiście wiem, że pan zgodnie zresztą z uznanemi przywilejami mężczyzny, przeżył nie jeden

romans. I to mnie nie obchodzi wcale. Natomiast ze względów poprostu ambicjonalnych — i to jest mój warunek — żądam, by zerwał pan ze swoją obecną kochanką.

Murek zmieszał się:

— Jakto? O kim pani mówi?...

— Ach, nie wiem, jak się ona nazywa. Wiem natomiast, że łączy pana z nią stosunek... trwały. O, proszę nie myśleć, że szpiegowałam pana. Na to nie trzeba być detektywem. Wystarczy zwykła, całkiem przeciętna spostrzegawczość kobieca. Szereg drobiazgów niedostrzegalnych napozór, dla nas, kobiet ma swoją wymowę. Zresztą ona ostrzegała mnie o swojem istnieniu. Ostrzegała systematycznie i stale.

Tunka uśmiechnęła się, widząc błysk gniewu w jego oczach.

— Jakto? — zapytał. — Pisała do pani? Czy telefonowała?

— O nie! Kobiety mają znacznie skuteczniejsze i bardziej przekonywujące od słów sposoby przekonania współzawodniczek o tem, że dany mężczyzna należy do nich. Wystarczy świeży zapach tych samych perfum na każdem ubraniu, ślad szminki do warg na ustach, ślad pudru na ramieniu. Pozatem telefonowałam kilka razy do pana i zawsze poznawałam jej ładny i młody głos.

— To zapewne służąca — wtrącił Murek.

— O, nie. Takim tonem może mówić tylko kobieta, która czuje się panią w danym domu. Może być zresztą jednocześnie i służącą, chociaż w tym wypadku napewno jest inaczej. Nie śledziłam pana, proszę mi wierzyć, ale wystarczyło obserwować pański tryb życia, by dojść do przekonania, że ma pan przyjaciółkę u siebie w domu, że jest pan do niej przynajmniej przywiązany, że trwa to od dawna, a zatem zbyt jest podobne do małżeństwa, bym ja chciała, mogła, bym potrafiła z tem się pogodzić. Nie żądam od pana natychmiastowej odpowiedzi. Niech się pan zastanowi. Być może — mówię to bez cienia zarozumiałości — że tamta przedstawia dla pana zbyt wielką wartość, by miał pan wyrzekać się jej dla mnie. Ale nie odstąpię od tego. A pan wie, że umiem być stanowcza. Proszę mnie zrozumieć: nie wymagam od pana wierności małżeńskiej. Wiem, że mój ojciec zdradza matkę. Ale jego dom jest tutaj. Tamto zaś jest dlań czemś nieważnem i ubocznem. Mama nie umie z tem się pogodzić. Ja na jej miejscu pogodziłabym się łatwo. Natomiast nie pogodziłabym się z tem, by mój dom dla mego męża był czemś nieważnem i ubocznem.

Murek ucałował jej ręce:

— Ależ ma pani zupełną słuszność i zapewniam panią, że jej obawy są zupełnie nieuzasadnione, gdyż...

— Proszę pana! — przerwała. — Niechże pan oszczędzi mi rozmowy na ten temat. Przykroby mi było usłyszeć od pana... wykręty. Zresztą, to już teraz pańska sprawa. Gdy pan zakomunikuje mi, że powziął taką, czy odmienną decyzję, wtedy...

— Panno Tunko! Ależ ja już powziąłem decyzję. Z chwilą, gdy prosiłem panią o rękę! Przecież to całkiem zrozumiałe.

— A czy... jest i równie... pewne?

— Daję pani słowo honoru.

Przymknęła oczy i nic nie odpowiedziała. Milczenie zaś jej było tak wymowne, że jemu krew uderzyła do twarzy.

— Wiem — powiedział — że moje słowo nie przedstawia dla pani zbyt dużej wartości, a o moim honorze ma pani, słusznie, nienajlepszą opinję. Jakże jednak mam zapewnić panią, że dotrzymam zobowiązania?

Jego wzburzony głos przywołał ją do porządku:

— Myli się pan. Wcale nie chciałam tego powiedzieć.

— Ale to pani pomyślała, gdy wystąpiłem z mojem słowem honoru. Zapewne. W moich ustach ma to wyłącznie wartość zwrotu retorycznego. Dawny nałóg. Proszę mi wybaczyć.

I nie mógł się powstrzymać, by nie dodać:

— Trzeba się nauczyć wybaczać nadużywanie języka ludzi wzniosłych i szlachetnych nawet najnędzniejszemu człowiekowi z chwilą, gdy się wychodzi za mąż.

Nienawidził jej w tym momencie i niemal pragnął, by wyczytała tę nienawiść z jego oczu. Ona jednak odezwała się pojednawczo:

— Jestem jeszcze zbyt młoda i wielu rzeczy pożytecznych od pana się jeszcze nauczę. Proszę nie mieć do mnie żalu.

Wyciągnęła doń ręce, jakby chcąc tą serdecznością wynagrodzić mu dotkliwą przykrość. Pocałował końce jej palców i zdobył się nawet na uśmiech.

— W każdym razie — powiedział, — niech pani postara się uwierzyć w uczciwość moich intencyj w stosunku do pani.

— Wierzę — odpowiedziała.

Weszli potem do gabinetu, gdzie spotkały ich zaciekawione i niespokojne spojrzenia. Tunka wsunęła Murkowi rękę pod ramię i zakomunikowała z pogodnym uśmiechem:

— Możecie nam złożyć życzenia. Doktór Klemm prosił mnie, bym została jego żoną, i właśnie zaręczyliśmy się...

— To lubię! — zawołał Czaban i zaczął potrząsać ręce Murka i zamaszyście z nim się całować.

Pani Czabanowa ze łzami w oczach objęła córkę. Żołnasiewicz z polecenia Czabana pobiegł po szampan i kieliszki. Wszyscy pragnęli udawać wesołość, lecz nikomu się to nie udawało. Wreszcie Czaban wpadł na pomysł:

— Baby! Przebierajcie się, pojedziemy szaleć.

Pani Helena próbowała oponować, bardziej z przyzwyczajenia, niż z przekonania, że opozycja ta na coś się przyda. Około północy całe towarzystwo zajęło lożę w jednym z nocnych dancingów. Gwar, tłok, hałaśliwa muzyka i wciąż napełniane kieliszki, zrobiły swoje. Nastrój poprawił się. Tylko Murek wciąż siedział milczący i uśmiechał się z przymusem

— Zatańczymy? — zwróciła się doń Tunka.

Gdy znaleźli się w środku sali, powiedziała serdecznie:

— Niech pan wierzy, że zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, wszystko, co potrafię, by panu nie było ze mną źle.

— Dziękuję — odpowiedział. — Nie zasługuję na dobroć... A pozatem to, czy człowiekowi na świecie jest źle, czy dobrze, zależy tylko od tego, co ma w sobie.

— Sądzę, że każdy ma zło i dobro, a od jego woli zależy, co w sobie spotęguje, a co zagłuszy.

— Nie, — zaprzeczył. — Tylko zło może w człowieku rozrosnąć się, jak jadowity nowotwór. Dobro jest wobec życia bezsilne.

— Nieprawda — zaprotestowała. — Zbyt wiele znamy przykładów, że zwyciężało. Weźmy chociażby męczeńską śmierć pierwszych chrześcijan. Czyż nie była zwycięstwem?

— Zwycięstwem w niebie! Na ziemi była śmiercią, czyli klęską.

— Nie dla nich, gdyż wierzyli w nowe istnienie.

— Od tej chwili będę szczęśliwa, powiedziała owca, gdy wilk ją dusił — zaśmiał się Murek.

— A jednak — upierała się Tunka — owca ta była naprawdę szczęśliwa. Napewno szczęśliwsza od wilka, jeżeli wilk był przeświadczony, że żyje złem, jeżeli obżerając się owczem mięsem, pomimo to wiedział, że będzie czuł wieczny głód, że nie zazna ani spokoju, ani radości.

— Wilkowi temu dałbym jedną radę, — po pauzie zaczął Murek.

— Jakaż to rada?

— Niech uwierzy. Niech uwierzy w swoje wilcze posłannictwo! Niech przekona samego siebie, że to szczęście być wilkiem. Niech nauczy się rozkoszować żywem mięsem owiec. Niech nauczy się pragnąć zła dla samego zła!...

Orkiestra przestała grać. Wracali do stolika.

— A czy można się tego nauczyć? — zapytała Tunka.

Spojrzał na nią i odpowiedział cicho:

— Nie wiem.

I po chwili dodał pospiesznie:

— Jeszcze nie wiem, ale wiem, że trzeba!

Przy stoliku pił dużo. Umyślnie. Gdy żegnał Czabanów, wsiadających do auta, był półprzytomny. Długo włóczył się pustemi ulicami, bez celu, byle tylko opóźnić powrót do domu. Przez stężały i głuchy mózg, zamulony mętnym osadem urywków myśli, wciąż jednak przebijała się ostra i jaskrawa świadomość popełnionej zdrady wobec Arletki.

— Powiem jej… Musi zrozumieć… — mruczał do siebie i wiedział, że kłamie, że nie zdobędzie się na tyle odwagi, na tyle bezczelności.

I wiedział jeszcze rzecz drugą: że się jej boi. Nie dlatego, że ona nie cofnie się przed niczem. Z zimną krwią zabiła przecie Czarnego Kazika, którego nienawidziła. A tutaj tembardziej nie drgnie jej ręka, gdyż kocha, gdyż wierzy w swoje prawo do człowieka, którego uważa za najbliższą sobie istotę na ziemi. Nie bał się nawet jej okrucieństwa, lecz ogarniało go przerażenie na myśl, że zobaczy wtedy wyraz jej oczu.

Czemże będzie mógł jej odpowiedzieć? Jakiemi argumentami, jakiem usprawiedliwieniem się, bodaj jakiem kłamstwem?… Nic nie znajdzie na swoją obronę. Absolutnie nic.

Nawet nie będzie mógł powiedzieć, że zmieniły się jego uczucia, bo tego skłamać nie potrafi. Od dawna przecie napróżno pracuje nad wyrugowaniem jej ze swych myśli, ze swych nerwów, ze swych uczuć. Napróżno.

— Nie, nie mogę, nie mogę — powtarzał, by po chwili ocknąć się znowu i uprzytomnić sobie jej własne słowa, te słowa, któremi ona sama wskazała mu nową drogę:

— Trzeba żyć dla siebie. Bez skrupułów, bez zastanawiania się, czyim kosztem się żyje. Plunąć na wszystko. Brać, brać, co się da. Trzeba umieć krzywdzić…

To racja. Czyż warto było zaczynać nowe życie, jeżeli nie zostawiło się całego bagażu skrupułów na progu! Wilk musi uwierzyć w swoje wilcze posłannictwo.

— I ja wierzę, wierzę, wierzę — powtarzał głośno.

Pogasły już latarnie uliczne. Nad Pragą zaróżowiło się niebo. Murek wszedł po schodach, otworzył drzwi i starał się zachowywać jaknajciszej, by nie obudzić Arletki. Jednak posłyszała jego kroki i zawołała:

— Franku!

W jej pokoju, jak zawsze, okno było odsłonięte. Leżała zaspana jeszcze i uśmiechając się, wyciągnęła doń ręce:

— O, jaki ukiziany mój Franeczek, jaki zmęczony — mówiła pieszczotliwie. Chodź, biedaku, muszę cię uściskać.

Nigdy nie robiła mu najmniejszych wyrzutów, gdy wracał późno. Witała go zawsze uśmiechem i pocałunkami, a jej ciepłe ze snu ramiona oplatały się łagodnie i kojąco koło szyi, jej gorące usta dotykały spieczonych i opierzchłych od alkoholu warg.

Tylko w półprzymkniętych oczach zawsze czaiło się uważne, pytające spojrzenie, które zwolna roztapiało się w uśmiechu.

— No, rozbieraj się — mówiła — a ja ci przygotuję kąpiel.

Wyskakiwała z łóżka w swojej długiej koszulce, z pod której widać było tylko jej różowe pięty i po chwili z łazienki dolatywał już szum wody. Wiedział, że gdy tam wejdzie, zastanie ją w wannie: to była stała jej „niespodzianka", którą komentowała niezmiennym meldunkiem:

— Wanna z rybką dla jaśnie pana gotowa!

Zresztą rybka o takiej porze nie była wymagająca. Kilka przytuleń się, kilka pluśnięć i już owinięta w płaszcz kąpielowy, żegnała go upomnieniem:

— A nie zaśnij w wannie!

W tym domu, w tem powietrzu było tak pełno jej ciepła, jej radości, jej miłości, a gdy trzeba — jej siły i woli i pomocy. Oboje, jak para zdziczałych zwierząt, ustawicznie szczutych, zawzięcie odgryzających się życiu, uwikłanych w pętle sieci, zagonionych, tu, obok siebie, czuli się ludźmi, tu, ogrzewając się własnem ciałem, oddychali spokojnie i bezpiecznie.

I wszystko to zniszczyć?… Zniweczyć?… I jak? Jak? Wzdrygał się, ile razy rozsądek, ile razy trzeźwy rachunek przyciskał go tem pytaniem.

Wiedział, dlaczego tak postąpi. Dlaczego wypełni swoje wilcze posłannictwo. Bo musi zdobyć potęgę, bo musi osiągnąć spokój i bezpieczeństwo, bo postanowił wyzwolić się z matni. Bo za cenę niezliczonych łajdactw musi kupić sobie imię i życie porządnego człowieka, to imię i życie, które mu świat wydarł.

Dlaczego tak postąpi… Ależ byłoby szaleństwem zatrzymać się w pół drogi, byłoby nędznem tchórzostwem ugrzęznąć w jakichkolwiek uczuciach, które wcześniej, czy później muszą doprowadzić do katastrofy. Jeżeliby nawet wyrzekł się Czabanówny i jej posagu, jeżeli pozostałby z Arletką, spokoju nie zaznałby nigdy. Już teraz dręczyła go

świadomość, że jest zupełnie zależny od tej dziewczyny, że może ona jednem słowem zdruzgotać jego egzystencję, zepchnąć go w przepaść, równie bezwzględnie i bezlitośnie, jak zepchnęła tamtego A chociażby Murek został z nią i był dla niej. Któż może mu zaręczyć, że jej uczucia się nie zmienią, że ona nie znudzi sobie pożycia z jednym i nie zapragnie odmiany? Więc musiałby jeszcze czuwać nad jej miłością, zabiegać o nią, łasić się i żyć w ustawicznym strachu, by nie przestała go kochać, bo koniec jej miłości, to koniec jego wszystkich nadziei, to więzienie i zguba.

I jakież może być szczęście dwojga ludzi, gdy jedno z nich jest nieustającą groźbą dla drugiego?

Trzeba, koniecznie trzeba wyzwolić się. Nie chciał tylko myśleć nad tem: jak?... Gdzieś pod czaszką wprawdzie wylęgła się czarna myśl: natarczywie, wytrwale, pocichu powtarzała: zabić... Ale Murek ze wstrętem wypierał się tej myśli. Wiedział, że do tego nie jest zdolny, że wolałby sobie w łeb palnąć.

Minęły znowu dwa dni, a Murek wciąż odkładał decyzję.

— Gdybym mógł złapać trochę oddechu, gdybym mógł wyjechać i nie widzieć ich wszystkich, ani Arletki, ani Czabanów... Zapomnieć o nich i zapomnieć o sobie...

Pragnienie to stawało się coraz silniejsze. Niestety, niepodobna było nawet marzyć o wyjeździe. Miasto-ogród Medana rosło szybko, jak wiosenne pędy drzew i wymagało moc pracy. Na szczęście Czaban wyprawił żonę i Tunkę do Paryża, gdzie miała być zakupiona wyprawa. W ten sposób Murek od czasu do czasu miewał wieczory wolne. I wtedy właśnie przyszło mu na myśl odwiedzić Mikę Bożyńską, w której mieszkanku na Żoliborzu było tak inaczej, może dlatego, że i sam czuł się tam innym.

Przykrą niespodzianką było to, że zaraz za pierwszym razem, zastał gości. Był doktór Lipczyński z żoną, ich kuzynka, panna Nawieyska, młody inżynier Minasowicz, profesor gimnazjalny Sudra z siostrą skautką i narzeczony Miki Tomasz Kański.

Właściwie mówiąc, tylko spotkanie tu tego faceta sprawiło Murkowi przykrość. Przyjęto go z dyskretną, ale przecież wyraźną życzliwością. Murek łatwo się domyślił, że panna Mika musiała każdemu z nich naopowiadać tyle cudów o nim, w ile sama wierzyła.

Kański grał na skrzypcach. Grał rzeczywiście pięknie, zdawał się nie widzieć audytorjum, a gdy skończył, był naprawdę wzruszony. Nie szczędzono mu powinszowań, a Mika, raz po raz spoglądając na Murka, czekała i jego aprobaty. On zaś nie odmówił jej tej drobnej przyjemności, co mógł zrobić tem szczerzej, że i w obejściu Kański sprawił raczej dodatnie wrażenie, w każdym razie lepsze, niż to, jakie Murek sobie wyrobił dawniej. Jednak różnił się niezbyt dla siebie korzystnie od reszty gości. Inżynier Minasowicz dyskutował właśnie z Sudrą na temat wychowania fizycznego młodzieży, twierdząc, że nie trzeba się bać oklepanych frazesów i że „mens sana in corpore sano" ma więcej racji, niżby się zdawało. Profesor był odmiennego zdania. Wkrótce wciągnięto do rozmowy doktora Lipczyńskiego i jego żonę. Dyskusja przeniosła się na szersze zagadnienia: celowości istnienia, postępu duchowego i zadań kultury.

Przy herbacie prym w rozmowie wzięły panie i — jak zwykle w takich wypadkach — dyskusja z abstrakcyj przeszła do praktycznych dotykalnych spraw, stąd zaś do rzeczy osobistych. Ludzie ci znali się widocznie doskonale i mieli wielu wspólnych znajomych, gdyż materjału do ploteczek, bynajmniej jednak nie złośliwych, nie brakowało. Rostrząsano, dlaczego się niepowodzi temu, jak trzeba przemówić do rozsądku tamtemu, skąd są nieporozumienia wśród dawnych przyjaciół, gdzie możnaby znaleźć posadę dla bezrobotnego kolegi.

Przez cały wieczór Murek czuł się wśród nich nieco skrępowany, lecz nie żałował już, że tu przyszedł.

— Nie znudził się pan? — zapytała go Mika, gdy znaleźli się nauboczu — Prawda, jacy to mili ludzie?

— Niezwykle przyjemnie spędziłem wieczór i bardzo jestem pani wdzięczny, panno Miko — odpowiedział szczerze.

Wyszedł razem z doktorostwem Lipczyńskimi i z Kańskim, Kański jednak pożegnał się z nimi już na placu Wilsona i wsiadł do tramwaju, twierdząc, że na pieszy spacer do miasta nie ma czasu.

— Dziwny człowiek — powiedziała po jego odejściu panna Nawieyska.

— Artysta — tonem usprawiedliwienia odpowiedział Lipczyński.

— Może... Jednak obawiam się, że Mika nie zrobiła dobrego wyboru.

— Moja droga — uśmiechnął się do niej doktór, — oni jeszcze nie są po ślubie.

— I mam wrażenie, że nigdy nie będą — dodała jego żona.

— I tem lepiej dla niej — zakonkludowała ich kuzynka i zwróciła się do Murka: — Ale pan gotów nas posądzić o brzydką obmowę.

— O nie, przeciwnie — odpowiedział, — w zupełności podzielam zdanie pań.

— Doktór Murek — wyjaśnił Lipczyński — jest dawnym przyjacielem panny Miki i życzy jej napewno tak dobrze, jak i my. Co więcej, jeżeli podziela nasz pogląd na tę sprawę, myślę, że on bardziej od nas powołany jest do pomówienia z panną Miką o tym młodym skrzypku.

Murek wzruszył ramionami.

— Trzymam się zasady niewtrącania się do cudzych spraw.

— Czyżby pan mówił szczerze? — zdziwił się chirurg.

— Najzupełniej szczerze. Dlaczego pan wątpi?

— Bo nie pasuje mi to do moich wyobrażeń o panu.

— Widocznie wyobrażenia były mylne.

Lipczyński potrząsnął głową:

— Niemożliwe! Jakto? Pan i egoizm? Pan i słabość charakteru? Pan i obawa przed drobnemi przykrościami, za których cenę można uratować istotę ludzką od fatalnego błędu?... Nie, proszę pana. Zasada niewtrącania się do cudzych spraw to zasada nie pańska. To tak, jakbym miał zasadę niemoczenia ubrania i dlatego nie chciałbym ratować tonącego.

Wziął Murka pod ramię:

— No, niech się pan przyzna, że był to tylko lapsus!

— Przyznaję, ale w danym wypadku...

— Co w danym?

— Sam pan zauważył, że do niczego tam nie dojdzie. Zresztą nie uważam wcale, by panna Mika była aż tak bardzo zaślepiona. Pozatem wtrącanie się, narzucanie się z radami, gdzie się nie zna i nie można znać dokładnie spraw między dwojgiem ludzi, to niebezpieczeństwo poważnego błędu.

Pani Lipczyńska zaśmiała się:

— Niech pan nie zapomina, że mój mąż jest chirurgiem i woli pośpieszyć się z djagnozą, niż wyrzec się operacji.

— Sama wiesz, że to nieprawda! — oburzył się.

— Zbyt jesteś tego pewien — przekomarzała się.

— A jak było z tą twoją ochronką? Kto radził czekać z decyzją, a kto palił się do natychmiastowego rozstrzygnięcia?

— To zupełnie inna rzecz.

— Wcale nie inna. Niech doktór Murek bezstronnie osądzi.

I zaczął opowiadać o jakiejś ochronce, gdzie jego żona była opiekunką, a gdzie między personelem wytworzyły się wrogie stosunki. Po ochronce przyszła kolej na lecznicę, w której było całkiem inaczej. Znowu wrócili do Miki, spierali się trochę o Beethovena w interpretacji Kańskiego, później o piątkowy koncert w Filharmonji, wreszcie wypytywali Murka o stosunki socjalne na Polesiu, co musiał oczywiście zbyć ogólnikami.

Pożegnali się na Placu Teatralnym, przyczem państwo Lipczyńscy serdecznie zapraszali Murka, by jak najczęściej ich odwiedzał.

— Mamy swoje dość liczne kółko przyjaciół i spotykamy się kolejno we wszystkich domach — mówiła pani Lipczyńska, — proszę mi wierzyć, że wszędzie będą panu radzi. Ile razy przyjedzie pan do Warszawy, w każdym wypadku proszę nie zapominać o nas.

Murek obiecał, lecz zapowiedział, że nie przewiduje w bliskim czasie swego ponownego przyjazdu.

Nie minął jednak tydzień, a wracając któregoś dnia od Czabanów, spotkał inżyniera Minasowicza. Na nic nie zdały się wykręty i musiał z nim pójść do Lipczyńskich. Zresztą nie bronił się zbytnio. Atmosfera, w której żyli ci ludzie ciągnęła go zbyt silnie, a serdeczność, ta dziwna bezinteresowna serdeczność, z jaką go przyjmowali, dawała jego nerwom zupełne odprężenie.

Dom Lipczyńskich był skromny, lecz miły. Największą jego ozdobą, więcej, bo jego treścią, było dwoje dzieci: pięcioletni chłopak i siedmioletnia dziewczynka. On czupurny i wojowniczy, ona nieprawdopodobnie wesoła, ciekawa wszystkiego, przytulna i ufna. Pełno ich było we wszystkich pokojach. Murek starał się brać udział w rozmowie starszych, lecz wciąż wodził oczyma za dziećmi i nasłuchiwał ich głosików, a wkońcu dyskretnie wycofał się do jadalni, gdzie pod stołem wznosił się hangar lotniczy, z którego prawdziwe aeroplany wyruszały na poszukiwanie porwanej przez murzynów królewny. Nie trzeba dodawać, że porywacze ukrywali ją w niedostępnej dżungli między piecem i kredensem.

Po kilku próbach, w których Murek nie wykazał szczególniejszej pojętności, wreszcie potrafił wejść w podwójną rolę: armji murzyńskiej i stada tygrysów. Wiedział, kiedy ma być rozproszony i wycięty w pień, a kiedy upolowany i obdarty ze skóry, czyli z marynarki, w którą następnie zwycięski lotnik zawijał odzyskaną królewnę i uprowadzał do hangaru. Ostatnim wysiłkiem sprzysiężonych złych potęg było oblężenie hangaru przez „hipotama". Polegało na tem, że Murek rycząc groźnie, musiał na czworakach włazić pod stół, poczem przeszyty armatnią kulą, spełniającą w innych okolicznościach zadanie piłki tenisowej, wywracał się jak długi, a zwycięzca siadłszy okrakiem na pokonanym „hipotamie", otrębywał swój triumf donośnym dźwiękiem zwiniętego w rurkę tygodnika ilustrowanego.

Właśnie w takiej pozycji zastała Murka panna Mika, która nadeszła w samą porę, by pomóc w zbieraniu papierów, co wypadły z kieszeni marynarki. Zatroszczył się o nie i hipopotam, były to bowiem nader ważne dokumenty, weksle i kontrakty.

Po wielkim raidzie motocyklowym, w którym już we czwórkę wzięli udział, dzieci musiały, niestety, iść spać. Chłopak przyjął decyzję matki pomęsku i wyciągnął do Murka rękę:

— Czołem — powiedział. — Jutro niech pan koniecznie przyjdzie. Będziemy sadzić kwiaty w ogródku. To będzie zabawa!

Dziewczynka natomiast trochę grymasiła, zapewniała, że zegarek się śpieszy, że zawcześnie na spanie i że musi panu pokazać swoje lalki. Ustąpiła dopiero wobec zapewnienia Murka, że prędko zobaczą się znowu. Wtedy skinęła główką i wyciągnęła do Murka buzię do pocałunku.

— Czy można? — zapytał wzruszonym głosem, a gdy pani Lipczyńska uśmiechnęła się, podniósł małą i przytulił.

Chciał jej coś powiedzieć, chciał zapytać, czy lubi go chociaż odrobinę, lecz zaschło mu w gardle i nie mógł wydobyć z siebie ani jednego słowa.

Wreszcie postawił ją ostrożnie na ziemi i patrzył, jak biegnie, przebierając cieniutkiemi nóżkami do dziecinnego pokoju.

— Zmęczyły pana te bąki? — odezwała się Mika, ale on nie dosłyszał, nie wiedział, że doń mówią. Zza zamkniętych drzwi dolatywały piskliwe głosiki.

— Zmęczyły pana? — powtórzyła Mika.

— Ach, nie, nie — zaprzeczył i dodał: — Jacy to szczęśliwi ludzie.

— Warci są tego oboje — odpowiedziała.

W salonie rozmawiano o Medanie. Jakiś starszy pan z oburzeniem mówił o propagandzie Medany i twierdził, że rzecz pachnie łajdactwem, gdyż żaden dziennik nie chce przyjąć artykułów o problematyczności, a raczej o leczniczej bezwartościowości tamtejszych źródeł rzekomo alkalicznych. Inny młody lekarz wspomniał o memorjale, złożonym w tej sprawie przez grono lekarzy w ministerstwie. Murek wiedział już o tem. Więcej, bo ów memorjał miał właśnie w kieszeni. Czaban w porę został uprzedzony o akcji wrogów Medany. Właśnie dziś rano zdołał sparaliżować ją w zarodku.

— Patrz — zawołał, podając Murkowi memorjał — co za świnie! Dowiedzieli się dranie, że rozmaitym lepszym porobiliśmy korzystne propozycje i chcą wydusić dla siebie łapówki. Sto kilkanaście podpisów! Oczywiście, większość z nich to bydło, ale niektórych prowodyrów trzeba będzie wybrać i jakoś ugłaskać. Myślę, że po pięćset, po tysiąc złotych wystarczy, by zatknąć im gęby.

Tegoż zdania był i Murek. Teraz jednak, gdy okazało się, że jednym z autorów i inicjatorów całej akcji jest dr. Lipczyński i jego bliżsi koledzy, zrozumiał, że pieniądze nic

tu nie pomogą. Poskutkowałoby jedynie udowodnienie im, że tereny nowego uzdrowiska przedstawiają wartość kuracyjną, — i to jednak było beznadziejne, gdyż oni niestety świetnie orjentowali się we wszystkiem i wiedzieli, że rzecz polega na rulecie.

Na szczęście nikomu z obecnych nie mogło nawet przyjść do głowy, by dr. Murek miał coś wspólnego z Medaną. Nie wymieniono nawet ani razu jego fałszywego nazwiska, podczas gdy nazwisko Czabana powtarzano często. Zresztą wkrótce rozmowa przeszła na inne tematy, po kolacji zaś Mika zaczęła się żegnać, a Murek podjął się ją odprowadzić.

— Przyjdzie pan, panie Franku, jutro do Lipczyńskich sadzić kwiaty? — zapytała, gdy znaleźli się na ulicy.

— O nie! Nie!

— Dlaczego? Przecie nie zaprzeczy pan, że oczarowały pana te dzieci?

— Nie zaprzeczę.

— Więc?

— Boję się ich — odpowiedział ponuro.

— Nie rozumiem pana.

Niecierpliwie machnął ręką:

— Ach, mówię głupstwa. Nie warto zwracać na to uwagi.

— Byłam doprawdy rozczulona. Pan ma złote serce. Tylko tak dobry człowiek może tak kochać dzieci.

— Bajki.

— Wcale nie bajki. Człowiek zły będzie unikał dzieci, będzie unikał zetknięcia się z czystością i świeżością.

Wzruszył ramionami:

— Przeciwnie. Tylko brudny szuka czystej i świeżej wody. Czystemu ona nie jest potrzebna… Ale nie mówmy o tem. Gdzież jest pani narzeczony? Dlaczego nie przyszedł.

— On wogóle rzadko bywa u moich znajomych — nagle spoważniała Mika — a dziś miał przyjęcie u dyrektora Opery. To jest ważne dla jego karjery.

— Czyż on nie więcej myśli o tej karjerze, niż o pani?

— A czy mogę mu z tego zrobić zarzut? — odpowiedziała pytaniem.

— Zarzutu nie. Zapewne. Jednak…

— Co jednak?

— Nie zachwycam się tym młodym człowiekiem.

— Uprzedzenie — odpowiedziała bez przekonania. — Tomek nie umie sobie zjednywać ludzi. Nie dba o to.

— A czemże zjednał panią? — zapytał z naciskiem.

Mika uśmiechnęła się melancholijnie.

— Czy to nie dziwniejsze, że ja go zjednałam? Czemże jestem wogóle?… Zwykłą przeciętną dziewczyną, ani specjalnie ładną, ani inteligentną…

— No wie pani — zirytował się.

— Pozatem jestem biedna.

— A jednak on nie wart jednego spojrzenia pani. Chce pani, bym powiedział szczerze, co myślę?

— Nie, nie! — przestraszyła się. — Nie trzeba. Zresztą już musimy pożegnać się. Mój tramwaj. Niech pan koniecznie wstąpi do mnie, gdy pan będzie znowu w Warszawie.

— Poco? — chciał odpowiedzieć niegrzecznie, lecz spotkał jej smutny wzrok i bąknął tylko, że nie prędko uda mu się wpaść do Warszawy.

I naprawdę obiecywał sobie unikanie zarówno Miki, jak i całego jej towarzystwa.

— Niepotrzebnie człowiek rozkleja się i wytrąca się z równowagi — myślał wracając do domu.

A właśnie teraz bardziej, niż kiedykolwiek musiał trzymać się w cuglach. W kieszeni miał list z Paryża od Tunki. Pisała krótko, oznajmiając, że swój powrót odkłada do dnia, w którym otrzyma odeń wiadomość, iż postawiony przez nią warunek został dopełniony. List adresowany był na Jasną i skóra ścierpła na Murku na myśl, że Arletka mogła przecież otworzyć kopertę. Na szczęście nie przeczuła widocznie, co list zawiera.

Tem niemniej przynagliło to Murka. Należało działać. Uświadomiwszy sobie ostatecznie, że nie zdobędzie się na zabójstwo, zaczął gorączkowo szukać sposobu. Pozostawały tylko dwa wyjścia: albo prosić ją o rozstanie, albo rozstanie przeprowadzić podstępem.

Pierwsze, niestety, było zupełnie nierealne. Drugie bardzo trudne. Najprościej byłoby namówić ją do wyjazdu zagranicę, gdzieś daleko, naprzykład do Ameryki. Pojechać z nią razem i zgubić po drodze. Jeżeli zostawiłby ją bez pieniędzy, nie wcześniej mogłaby wrócić, niż je zdobędzie. Cóż jednak z tego, skoro wróciłaby niewątpliwie.

Zatem należało znaleźć sposób uniemożliwienia jej powrotu.

Tu znowu zjawiły się różne pomysły. Gdyby naprzykład tamtejsza policja otrzymała doniesienie... I w jej bagażu znalazła konkretne potwierdzenie denuncjacji... Kilka lat więzienia...

— Nie... nie — reflektował się.

Po tygodniu tej szarpaniny wewnętrznej i odkładaniu decyzji z dnia na dzień, przyszedł nowy doping rzeczywistości. Po pewnej konferencji Czaban przytrzymał Murka za łokieć:

— Słuchajno — zapytał — co to znaczy, co Tunka mi pisze, żebym zwrócił się do ciebie, jeżelim ciekaw, kiedy one wracają?

— Ach, nie wiem — zmieszał się — widocznie zbyt słabo upominam się o powrót pań. Dziś jeszcze napiszę.

Wykręt ten zadowolił Czabana. Murek jednak tegoż wieczora oświadczył Arletce, że wyjeżdża w interesach na dwa dni. Do zapakowanego przez nią neseseru włożył przy niej jej fotografję.

— Nie chcę rozstawać się z tobą — powiedział po judaszowsku i niemal przemocą uwolnił się z jej objęć, gdy dziękowała mu za to.

Bezsenną noc spędził w wagonie. Zrana już był na miejscu. Wziął z przed dworca dorożkę, kazał się zawieźć na Rybną pod dwudziesty szósty. Ulice były jeszcze puste. Z dziwnie cierpką nienawiścią rozglądał się dokoła. Oto mijają ulicę Parkową, gdzie mieszkał u pani Rzepeckiej, oto Magistrat, w którym pracował, oto trafika kulawego Kopelowicza...

— Każdy cykl nieszczęść w mojem życiu zaczyna się od tego miasta, od tego ohydnego miasta — skonstatował z jakimś niemal przesądnym strachem.

Pomimo to nie kazał zawrócić. Dorożka zatrzymała się przed niedużą, lecz ładną kamienicą. Na balkonie pierwszego piętra widniał biało-czerwony szyld: „Polskie Zjednoczenie Emigracyjne".

O piętro wyżej mieszkał pan Leon Stawski. Murek zastał go jeszcze nieubranego. W brudnej różowej pidżamie Stawski siedział przy stole i kończył śniadanie. Zjawienie się Murka zaniepokoiło go bardzo. Prędko dopił kawę i gdy tylko znaleźli się sami w gabinecie, zapytał niecierpliwie:

— O co chodzi, towarzyszu?

— Nie przyjechałem do was jako wysłannik partji — zaczął Murek — wogóle z partją w ostatnich czasach nie mam kontaktu.

— Dlaczego? — nieufnie spojrzał nań Stawski.

— Wziąłem narazie do serca pańskie mądre rady: dorabiam się.

— Forsy?

— Tak.

— No, to brawo. Winszuję panu, panie Murek. Ja się znam na ludziach.

— Niestety, ja na sobie poznałem się zbyt późno.

— Lepiej późno, niż nigdy. Papierosika? — Stawski podał mu pudełko. — Zatem domyślam się, że chodzi o interes.

— I tak i nie. I interes i inne rzeczy. Widzi pan, kiedyś byłem tak głupi, że nie przyjąłem pańskiej propozycji w sprawie tej kombinacji emigracyjnej... A dzisiaj... dziś właśnie chodzi mi o pańską pomoc w tej dziedzinie.

— O!?

— Jakże, idzie biznes?

— Narzekać nie można — uśmiechnął się Stawski, przysuwając swoje krzesło, zapytał z nieukrywanem zaciekawieniem — więc o co chodzi?

Murek wstał, otworzył swój neseser i w milczeniu podał mu fotografję Arletki. Stawski spojrzał, zerknął na Murka, znowu przyjrzał się fotografji i rzekł:

— Pierwsza klasa.

— Jest inteligentna, mówi po francusku, tańczy doskonale — wyrecytował Murek i czuł, że krew ucieka mu z twarzy.

— No? — świdrował go wzrokiem Stawski.
Murek przetarł czoło i nie patrząc nań, powiedział:
— Muszę pozbyć się tej dziewczyny. Jeżeli dałoby się to zrobić, by wyjechała daleko, zagranicę, powiedzmy do Południowej Ameryki...
— Dlaczego ma się nie dać?
— Bo... bo, widzi pan, ona nie zechce. To musi być przeprowadzone wbrew jej woli.
— Trochę gorzej, ale gdybyśmy nasze interesy emigracyjne przeprowadzali tylko wtedy, gdy nasz towar się na to dobrowolnie godzi, to byśmy już zbankrutowali — zaśmiał się Stawski.
— Zapewne — przyznał Murek — ale co innego zwykła wiejska dziewucha, głupia i naiwna, a co innego ta. Pan nie ma pojęcia ile w niej sprytu! Zgóry ostrzegam: niebezpieczne ryzyko.
— Bez ryzyka niema forsy. Więc ona nie zechce jechać?
— Nie zechce.
— Cóż, do cholery, czy taka przywiązana do ojczyzny?!
— Przywiązana do mnie — ponuro odpowiedział Murek — a w dodatku... za dużo o mnie wie.
— To źle.
— Właśnie.
— Ale niema takiego „źle", skąd nie byłoby widać chociaż rąbeczka „dobrze". Pogadajmy. Skoro ona dużo wie o panu, to ona wie też, że pan jest komunistą?
— Wie.
— Tedy łatwo może zrozumieć, że grozi panu ciupa. A zatem zrozumie też, że może pan być zmuszony do ucieczki. Prawda?
— Prawda.
— Więc pakujcie manatki i jazda. Choćby do Argentyny. Najlepiej do Argentyny, bo tam cała nasza centrala. A tam już ulokujesz ją pan bezpiecznie i możesz wracać. W tem nic skomplikowanego. Takich szpasów robi się mało tysiąc na rok. Jeszcze na powrotną drogę pan na tem zarobi i na miesiąc wygodnego życia.
Murek potrząsnął głową:
— Ja nie mogę wyjechać.
— Dlaczego?
— Interesy. Właśnie poto zwracam się do pana, byście coś poradzili.
Stawski podrapał się po ramieniu...
— Mogę ją wysłać z transportem. Ale to ryzyko za wielkie, jeżeli ona sprytna. Za wielkie. Gotowa przewąchać pismo nosem, narobi rabanu w drodze. Ale czekajcie... Hm... Co głowa, to rozum. Zawołam mego wspólnika. On ma takie doświadczenie, że mógłby samego mnie sprzedać na żywy towar!
Zaśmiał się i, otworzywszy drzwi, krzyknął:
— Sztyfel. Chodź no tu!
Po chwili do gabinetu wszedł krępy, barczysty żyd w pilśniowym kapeluszu, zsuniętym na tył głowy. Na Murka prawie nie zwracał uwagi i flegmatycznie dłubiąc w zębach paznokciem małego palca słuchał objaśnień Stawskiego. Ponieważ mówili w żargonie, Murek niewiele zrozumiał. Jednak widocznie i Sztyflowi nie wystarczył referat wspólnika, gdyż skolei Murek musiał mu obszernie i szczegółowo rzecz wyłożyć.
W trakcie tego nadszedł jeszcze jeden specjalista „emigracyjny", wysoki, młody, bardzo przystojny blondyn. Okazało się, że jest on profesjonalnym narzeczonym i mistrzem w tym fachu. Wszyscy trzej namiętnie zaczęli dyskutować. Raz po raz to jeden, to drugi brał do rąk fotografję Arletki i tem zawzięciej zabierał się do przekonywania innych, że sprawę należy załatwić.
Tymczasem z dołu, z biura przybiegł chłopak z oznajmieniem, że są interesanci. Z konieczności musieli rozmowę przerwać i Stawski poprosił Murka, by przyszedł po siódmej.
Spędziwszy kilka godzin na spacerze po mieście i na obiedzie w restauracji, Murek wrócił na umówioną godzinę.
Okazało się, że wspólnicy już doszli do porozumienia i znaleźli możliwe wyjście z sytuacji. Rzecz krótko i lapidarnie wyłożył Stawski:

— Powiesz pan jej, że wam obojgu grozi aresztowanie i że musicie wiać. Tylko dla bezpieczeństwa nie razem. Razem odrazuby was nakryli. Więc pan uciekasz przez Niemcy i Francję, a ona przez Gdańsk. Ona w Gdańsku wsiądzie na okręt z Heniem — wskazał na blondyna, — a pan na ten sam okręt będzie miał wsiąść w Hawrze. Otóż w Hawrze Heniek wyjdzie niby po pana na ląd i wróci z listem od pana w kieszeni. W liście tym pan napiszesz, że aresztowali pana w Berlinie, w drodze i że przez przekupionego dozorcę pan ten list wysyłasz, że błagasz pan ją, by jechała spokojnie z Heńkiem do Argentyny i zdała się na jego opiekę, bo to pański przyjaciel. A pan masz nadzieję, za tydzień czy dwa wykręcić się i najbliższym okrętem przyjechać do Buenos Aires. List ten będzie naprawdę wysłany z Berlina, my już to urządzimy. I dziewczyna nie może mieć żadnych wątpliwości, ani podejrzewać żadnej machlojki. Pańskie aresztowanie w Niemczech wyda się jej też zupełnie prawdopodobne, bo po pierwsze mogą być za wami listy gończe, a po drugie, kto jedzie za fałszywym paszportem, ten zawsze narażony jest na takie drobne nieprzyjemności. Jasne?

— Dotychczas tak. Ale co dalej? — zapytał Murek.

— A co ma być dalej?

— No, po pewnym czasie, gdy nie doczeka się mnie, ona przecie postanowi wrócić.

Stawski spojrzał na Sztyfla, Sztyfel na Heńka, i wszyscy trzej wybuchnęli śmiechem.

— Zechce wrócić? Oj, czemu nie miałaby zechcieć! Tylko, że każda chce, a jakoś żadna nie wróciła! Tam już z naszych rączek trudno się wyrwać. Nie trudno, ale niemożliwe! Już o to niech pana głowa nie boli.

Murek spojrzał na nich z przerażeniem. Dopiero teraz z całą jaskrawością zrozumiał, na jaki los skazuje Arletkę, w jakie wyda ją ręce.

— Co pan tak posmutniał, panie Murek? — zagadnął go po chwili Stawski.

— Bo... bo — opamiętał się — bo dla mnie i to nie rozwiązuje kwestji.

— Jakto nie rozwiązuje?

— A no, przypuśćmy nawet, że dziewczyna rzeczywiście nie potrafi się wydobyć z waszych rąk. Ale z chwilą, gdy przekona się, komu ją wydałem i na jakie życie. Któż jej zabroni wysłać do Polski, do polskiej policji list z doniesieniem?

Sztyfel machnął ręką:

— Najsampierw, to list wysłać też niełatwo jej przyjdzie, a pozatem można zrobić i tak, by ona pana wogóle nie podejrzewała.

— W jaki sposób?

— W prosty. Ten sam Heniek po przyjeździe do Argentyny może zacząć przed nią wyśmiewać się z pana, że niby znaleźliśmy, za przeproszeniem, durnia, żeśmy sami pana w Berlinie zadenuncjowali, by uwolnić się od pana, żeśmy forsę panu zabrali.

— A ona uwierzy?

— Nie bój się pan. Jak pozna, z kim ma do czynienia, to we wszystko najgorsze uwierzy.

Stawski klepnął Murka po ramieniu:

— Możesz pan być spokojny. Już ja to panu po przyjacielsku załatwię. Pan wiedziałeś do kogo się zwrócić. Szczęściarz pan jesteś!

Murek siedział i posępnie patrzył na ich zadowolone uśmiechy.

— I cóż wy z nią zrobicie w tej Argentynie? — zapytał wreszcie.

— Za mniszkę jej nie zrobimy — wybuchnął śmiechem Heniek.

— Bez żartów! — skrzywił się Murek.

— Nikt nie żartuje — łagodząco wtrącił się Sztyfel. — To pan chyba żartuje, bo czyż pan nie wie, poco wywozi się towar?... Tam w Argentynie społeczeństwo jest bardzo moralne. Tamtejszym kobietom nie wolno wieczorem z domu wychodzić. Mężczyźni tamtejsi nie dopuściliby do takiej hańby. Ale oni sami wychodzą. I lubią gdzieś wstąpić, by się zabawić swobodnie. To im potrzeba dużo obcych kobiet, żeby nie obrażać surowych obyczajów. Dlatego nasz interes tam kwitnie. A i dziewczętom powodzi się nieźle. Żyją w wygodzie, niczego im nie brak. A już ta — wskazał na fotografję, — jeżeli tańczy i śpiewa, jeżeli zna obce języki, to napewno narzekać nie będzie. Tyle, że jej nie puszczą.

— Ba, a jeżeli uda się jej uciec i zawiadomić miejscową policję?

— To policja odprowadzi ją spowrotem.

— Dlaczego?

— Bo każda dziewczyna tyle jest winna pieniędzy za mieszkanie i utrzymanie, że nigdy się nie wykupi z zakładu. Są zresztą i inne sposoby, bardzo wiele sposobów...

— No, dobrze — zdecydował się Murek. — Kiedy to można będzie przeprowadzić? Zależy mi na pośpiechu.

Trzej wspólnicy zaczęli szwargotać i wkońcu oświadczyli, że nie wcześniej niż za miesiąc. Po dłuższych pertraktacjach ustalono ścisłą datę, ułożono szczegółowy plan działania i uzgodniono koszty, niezbyt zresztą wysokie, które Murek zobowiązał się pokryć w dniu wyjazdu Arletki.

Następnie podali sobie ręce na znak przybicia umowy, wypili po kieliszku wódki i Murek pożegnał się. Miał przed sobą perspektywę spędzenia nocy w poczekalni na dworcu, wolał to jednak, niż przyjęcie noclegu u nich.

Nazajutrz, nim dojechał do Warszawy, już postanowił wszystko odwołać. Czuł do siebie niewypowiedziany wstręt, był gotów wyrzec się całego planu, wyrzec się nawet Czabanówny, o której myślał z nienawiścią, plunąć na jej miljony i zostać z Arletką, bez względu na takie czy inne konsekwencje. Prawie wierzył, że tak postąpi w chwili, gdy witał się z Arletką. Czułością zaś i serdecznością starał się wynagrodzić jej krzywdę, o której nawet nie wiedziała, a której omal jej nie wyrządził.

Każdego ranka budził się z postanowieniem pojechania na telegraf i wysłania do Stawskiego depeszy, anulującej umowę. Ułożył już sobie nawet tekst tej depeszy.

Tak się wszakże program dnia wypełniał różnorodnemi zajęciami, że mijał tydzień za tygodniem, a na wysłanie depeszy nie było czasu. Spoczątku robił sobie wyrzuty za tę opieszałość, potem irytował się na natręctwo swych wyrzutów, mącących mu jasność myśli w tysiącznych, a ważnych sprawach. Wreszcie nauczył się przeskakiwać nad dokuczliwem przypomnieniem, a poszło mu to tem łatwiej, że dosłownie był pochłonięty pracą.

Na terenach Medany wrzało od robót. Wspaniałe willowe miasto wyrastało z piasków w rekordowem tempie. Niektóre partje wykańczano na trzy zmiany. Gorączkowy pośpiech ogarnął wszystkich. Za przedterminowe roboty wypłacano poszczególnym pracownikom i przedsiębiorcom sute premje. Elektrownia ruszyła zanim jej gmach otynkowano. Wielki pałac kasyna osuszano sztucznie ekshaustorami, w pałacu Zarządu, gdzie przygotowano mieszkania dla dyrektorostwa Czabanów, zakładano już armaturę i wiórkowano posadzki.

Jednocześnie zgromadzenie akcjonarjuszów uchwaliło nową emisję i akcje zostały rozchwytane. Dwa nowe banki otworzyły poważne kredyty śmiałemu przedsiębiorstwu. W zagranicznych pismach ilustrowanych pojawiły się artykuły reklamujące. Dwa międzynarodowe towarzystwa turystyczne przyjęły wzamian za pakiet akcyj Medany zobowiązanie szerokiej propagandy nowego polskiego uzdrowiska „najnowocześniejszego i najbardziej luksusowego w Europie".

Czaban zdołał przekonać władze wojskowe, że w interesie obrony państwa leży urządzenie pod Medaną niewielkiego lotniska, w związku z czem bataljon saperów przystąpił do niwelacji wyznaczonego terenu.

Długie pociągi towarowe zwoziły granit z Wołynia, marmury z Kieleckiego, drzewo z Wileńszczyzny, żelazo i stal ze Śląska, cement i szkło, węgiel i żwir, tysiące skrzyń, pak, maszyn.

W oczach rosła Medana.

— Patrz — mówił Murkowi Czaban. — Patrz! To nietylko miljony rosną! To i my rośniemy! Czyż nie warto żyć, gdy się widzi, że się nie jest byle idjotą! Że się ma coś na tym świecie do zrobienia i że się umie to zrobić?

I rzeczywiście w atmosferze tej olbrzymiej wytężonej pracy, w powszechnem podnieceniu, w zbiorowym wysiłku był mocny, zaraźliwy entuzjazm, który ogarniał wszystkich i nie mógł ominąć Murka. Medana działała hypnotycznie, zasłaniała sobą wszystko, koncentrowała na sobie wszystkie myśli i wszystkie zainteresowania każdego, kto w luźny bodaj sposób wiązał swoje sprawy ze sprawami gigantycznego przedsiębiorstwa.

Opowiadając Arletce o Medanie, Murek mimowolnie wpadał w zapał, aż mu kiedyś powiedziała:

— Tak się tem przejmujesz, jakbyś nie był tam płatnym prokurentem, lecz conajmniej współwłaścicielem.

Na szczęście mówiła to żartem i nie posunęła swej ciekawości do przeprowadzenia wywiadu. Murek ukrywał przed nią starannie swoją istotną pozycję w Medanie, a ona nie interesowała się tem wcale. Miała nareszcie spokój, beztroskie życie, miała dużo pieniędzy i dom, który lubiła, całe też dnie spędzała na strojeniu się, na upiększaniu mieszkania i siebie, na przesiadywaniu w kawiarniach i w kinach. Od lat marzyła o takiem wytchnieniu i o takim dostatku, to też zanurzyła się teraz w tem spokojnem życiu i zdawała się nie pamiętać swego dawnego koczowniczego, drapieżnego i wiecznie czujnego bytowania.

Dlatego, jak grom z jasnego nieba, spadła na nią wiadomość o grożącej katastrofie.

Późnym wieczorem zadzwonił telefon. Murek podniósł słuchawkę. Z jego słów nie mogła wywnioskować z kim rozmawia i o czem. Powiedział kilka razy „tak", kilka razy „nie", później z naciskiem zapewniał, że „nastąpiły zmiany", wreszcie umówił się z kimś na jutrzejszy ranek. Arletka nie zwróciłaby na ten telefon żadnej uwagi. Podobnych miał wiele. Lecz, gdy odwrócił się do niej, był blady, jak trup.

— Franku! Co ci jest? — zawołała przestraszona.

— Nic — odpowiedział przez zęby.

— Otrzymałeś jakąś złą wiadomość?

Nie chciał o tem mówić, lecz pod naciskiem jej pytań, wybuchnął wreszcie:

— Bardzo złą!

— Więc nie ukrywaj tego przedemną! Czaban zbankrutował?

— Ach, nie! Co mi tam Czaban!

— Więc komuniści znowu?... Czy coś z policją?

Po dłuższej pauzie wydobył z siebie:

— Jedno i drugie.

— Jakto?

— Nie męcz mnie, Arletko! — krzyknął nagle z rozpaczą. — Daj mi się zastanowić!

— Zastanowimy się razem — nalegała. — Powiedz tylko, co się stało?

— Ach! Co się stało, co się stało! Stało się to, iż wszystko skończone! Komuniści wykryli wszystko i postanowili wydać nas policji...

— Nas

— Nas, bo i ciebie. Wyszpiegowali, żeś to ty zanosiła Kuzykowi fałszywy rozkaz partyjny!...

Spojrzał na nią. Zmieniła się w oczach: twarz jej ściągnęła się, zacięte usta i zwężone powieki nadały jej wygląd skupiony i drapieżny.

Nagle odezwała się zimnym, stanowczym głosem:

— Nie traćmy czasu. Czy sądzisz, że jest ktoś pod bramą?

— Skądże mogę wiedzieć?

— Więc ubieraj się. Gdzie twój drugi rewolwer?... Niema poco zwlekać. Musimy natychmiast wyjechać z Warszawy.

— Dokąd?

— Wszystko jedno dokąd. W stronę jakiejś granicy.

Murek zaczął ją uspokajać: wprawdzie jest niebezpieczeństwo, ale nie grozi ono natychmiast. Może jeszcze da się jakoś zażegnać... Arletka jednak była zdania, że szkoda nerwów i wysiłków. Lepiej raz z tem skończyć, wyjechać, zatrzeć za sobą ślady i mieć spokój. Wielu perswazyj musiał użył, zanim zgodziła się zaczekać na wyświetlenie sytuacji.

W nocy przyszła do pokoju Murka i stwierdziwszy, że on nie śpi, rozczuliła się:

— Mój ty biedaku! Cały dzień pracuje, jak koń, a i w nocy zasnąć nie może! Nie przejmuj się, Franeczku!

— Ale czemu ty nie śpisz?

— Przyszła mi pewna myśl do głowy — przysiadła na brzegu łóżka. — Czy nie dałoby się tak zrobić, że całą winę ja wezmę na siebie. Zeznam, że ty nie wiedziałeś o niczem. Skazać mnie mogą na ile?... Za to, że na bandytów naprowadziłam komunistów... To dla władz państwowych w gruncie rzeczy obojętne, a nawet korzystne. Powiem, że miałam na pieńku z Piekutowskim. Niech dostanę za to dwa lata więzienia. Dwa lata, to nie wieczność.

— Zwarjowałaś! — wybuchnął Murek. — Po pierwsze, to jest niemożliwe, a po drugie, co za pomysł! Idź spać i daj mi spokój!

Był naprawdę wściekły. Oto w chwili, gdy dochodził do decyzji wykonania planu Stawskiego, w chwili, gdy uprzytomnił sobie, że sama Arletka popycha go ku tej decyzji swojem domaganiem się ucieczki zagranicę, zjawia się nagle i chce poświęcić się dla niego, iść zamiast niego do więzienia!...

Na zegarze w jadalni biła czwarta, gdy zasnął. Przemogło zmęczenie, a może uspokoił się, powziąwszy postanowienie:

— Zerwę z Czabanówną, tych łatwo odprawię z niczem i będzie wszystko postaremu. Gorzej, czy lepiej, wszystko jedno.

Na umówioną godzinę stawił się w hoteliku na Marszałkowskiej, gdzie zastał obu przybyłych do Warszawy wspólników Stawskiego. Henio jeszcze wylegiwał się w łóżku, Sztyfel już ubrany czytał gazetę.

Przywitał się z nimi i zaczął odrazu:

— Muszę panom zakomunikować, że z tej sprawy nic nie będzie. W mojem położeniu zaszły zmiany. To raz, a dwa, że wogóle nie mogę do takiego świństwa ręki przyłożyć. Niech się dzieje co chce.

Sztyfel zaśmiał się łagodnie:

— Pan sobie z nas kpi.

— Nie, mówię poważnie. Rozmyśliłem się.

Heniek podskoczył na łóżku.

— Już zapóźno na rozmyślenie się! Pan mi wczoraj o tem powiedział przez telefon, ale ja nie wziąłem pod uwagę. Czy pan jest dziecko, czy co? To tak załatwia się interesy?...

— Sza! — przerwał mu Sztyfel. — Poco się irytować, kiedy pan sobie żartuje...

— Nie żartuję — zawołał Murek.

— Ale zaraz się okaże, że to żarty. Niech pan patrzy!

Wyjął z kieszeni plikę dokumentów i zaczął je rozkładać przed Murkiem:

— Oto paszport emigracyjny z fotografją tej dziewczyny, nie fałszywy. Prawdziwy! Tylko na zmyślone nazwisko. Oto bilet okrętowy do Buenos Aires! Oto świadectwo uzyskania pracy, wystawione przez władze argentyńskie, oto bilet okrętowy dla Heńka... I co pan myśli, że to nic nie kosztuje? To grube pieniądze kosztuje! Ja jestem poważny kupiec. Moje słowo jeszcze więcej kosztuje, niż pieniądze. Na tę dziwkę ja już mam umowę z inną branżą. I prędzej mi tu włosy na dłoni wyrosną, niż będę gadał o jakiemkolwiek rozmyśleniu. Szkoda każde następne słowo.

Murek kiwnął głową:

— Przyznaję, żeście mieli wydatki i gotów jestem to zwrócić.

— Ale my nie potrzebujemy zwrotu! — wrzasnął Heniek. — My potrzebujemy towar!

— A „towaru" nie dostaniecie! — Murek uderzył pięścią w stół.

— Sza! — wyciągnął ręce Sztyfel. — Sza! Spokojnie. Cicho, Heniek! Pogadamy z panem uczciwie: dlaczego pan nie chce dotrzymać umowy?

— Bo nie stać mnie na takie łajdactwo! Rozumiecie?

— A przedtem było pana stać?

— To już moja sprawa.

— Pan jej się boisz i żałujesz ją. To jest pańska sprawa. A reszta należy do nas.

— Więc mówcie ile chcecie? Zapłacę...

Sztyfel zaśmiał się:

— I poco pan to chce robić? Panie, jak pan raz doszedł do przekonania, że ona panu zawadza, to dojdzie pan do tego samego przekonania jeszcze sto, jeszcze tysiąc razy. Pan sobie zatrujesz życie i za to teraz chcesz pan grube pieniądze płacić? Gdzież tu kalkulacja? Ja się pana pytam, czy pan jesteś mądry człowiek, rozsądny człowiek, czy zakochany szmondak, co własną głową w biedę lezie i jeszcze za to płaci?... Przykro panu?... To będzie przykro przez jakiś czas, a później przejdzie. Zastanów się pan. Ja panu dobrze życzę. I to panu powiem: jak pan będziesz kiedy miał drugą taką dziewczynę, czy trzecią, to ja zawsze gotów będę z panem robić interes. A to mówi panu nie byle kto, tylko ja, Sztyfel. A możesz pan kogokolwiek z naszej branży zapytać, czy Sztyfel kiedy gada na wiatr. U mnie słowo powiedziane, to święta rzecz. I dlatego ludzie mi wierzą i dlatego mnie szanują. I co pan myślisz, że ja przez całe lata, wyrabiając swoje kupieckie nazwisko,

wyrabiając swoją markę, teraz dla jednej dziewczyny, nie dotrzymam umowy na dostawę? Pan się mylisz, proszę pana! Ja tego nie dopuszczę. Sztyfel tego nie dopuści! Bo to byłaby moja krzywda, bo to byłaby i pańska krzywda! Czy pan sądzisz, iż będzie panu z tą dziewczyną dobrze? Już jest źle. A jak będzie, gdy ja przyjdę do niej i powiem, coś pan chciał z nią zrobić! A ja jej powiem. I nie tylko świadków będę na to miał, ale i dowody. Ona chyba wie, komu dała tamtą fotografję, ona chyba nie będzie taka gęś, żeby mi nie uwierzyć. I po co panu to wszystko?... Poco? Zrobiliśmy interes, przybiliśmy ugodę. Sprawa załatwiona. Oto i wszystko. Okręt za dwa dni odpływa z Gdańska. I albo ta panienka na nim pojedzie, albo zostanie tu. Tylko wtedy ja nie chciałbym być w pańskiej skórze. A niechby nawet ona darowała panu, że pan ją chciał oszukać i sprzedać, to ja panu nie daruję swego. Jeżeli pan myślisz, że dla tej dziewczyny opłaca się panu robić tyle przykrości i sobie i nam, to pan jesteś naiwny. Jeżeli zdaje się panu, że dla kobiet dom publiczny to taka straszna rzecz, to się pan mylisz. One bardzo łatwo z tem się godzą. Na początku mojej pracy w tej branży, sam się dziwiłem. Jak która później i może wrócić do innego życia, to jej się nie chce. Nie wierzysz pan mnie, to zapytaj pan każdą z takich, albo te paniusie, co się zajmują nawracaniem upadłych dziewcząt. Niech one powiedzą. Kobieta nie ma duszy. Tylko dla głupiego ona jest utrapieniem. Dla mądrego ona rozrywka, a dla jeszcze mądrzejszego — towar.

Murek słuchał w milczeniu. Spokojny cynizm tego człowieka wywoływał w nim protest odruchowy i jednocześnie działał nań hamująco. Czuł się tak, jak kiedyś, gdy wyrzucał z kubłów cuchnące odpadki do wielkich śmietników... Przypomniał sobie Nirę i Karolkę. Cóż je zmuszało do prostytucji?... Nic. Dobrowolnie, z własnego upodobania poszły tą drogą...

— No, więc jak z nami będzie? — zapytał Sztylel.

— Co znaczy, jak będzie! — zawołał porywczo blondyn. — Interes jest ubity i musi być załatwiony! Bo inaczej, to zobaczymy!

— Co zobaczymy? — zimno spojrzał nań Murek. — Tylko bez gróźb, bo na groźby to my tu mamy policję.

— Policję? — zaśmiał się Sztyfel. — Policja jest tak dobrze na nas, jak i na pana. Pan o nas wiesz dużo, ale i my o panu dosyć. Więc policją pan nas nie strasz. Tacy ludzie jak my z panem, musimy nasze sprawy załatwiać bez policji. Bądź pan rozsądny.

Murek wstał:

— Zatem trudno, zgadzam się — powiedział cicho.

— Ale bez kawałów! — zastrzegł się Heniek.

— Kiedy ona ma jechać? — zapytał Sztyfla Murek, udając, że nie słyszy okrzyku tamtego.

— Za dwa dni. Niech pan ją przygotuje. Pozatem, proszę napisać ten list, co ma być z Berlina wysłany, bo dziś wyjeżdża do Niemiec jeden z naszych ludzi i on go zabierze. Najlepiej niech pan zaraz usiądzie i napisze.

— Dobrze — zgodził się Murek.

Po kwadransie list był gotów. Sztyfel i Heniek przeczytali go i uznali za dobry.

— Jutro wstąpi pan do nas — powiedział Sztyfel — i umówimy się na spotkanie z tą dziewczyną.

Murek nie wrócił do domu. Pojechał na Skolimowską i stamtąd zadzwonił do Arletki.

— Sytuacja jest nadal groźna — powiedział jej — ale jeszcze spróbuję różnych sposobów. Dziś nic stać się nie może, bo główna osoba, która w tem zadecyduje, jest poza Warszawą. W każdym razie mamy dzień wytchnienia.

Zaczęła dopytywać się o szczegóły, lecz tylko ją ofuknął:

— Chyba rozumiesz, że nie nadaje się to do rozmowy telefonicznej.

Przez cały dzień zajęty był sprawami Medany. Wrócił dopiero późnym wieczorem, a wyglądał na tak zmęczonego, był tak mizerny i zdenerwowany, że Arletka sama namówiła go, by zaraz położył się spać. Zato nazajutrz obudziła go wcześniej i z uwagą wysłuchała sprawozdania o sytuacji.

Murek przedstawił jej rzecz spokojnie. Wyjaśnił, że wywiad komunistyczny zdołał wszystko wyśledzić, że w Centralnym Komitecie Wykonawczym dziś zapadnie wyrok, odkładany tylko dlatego, że prezes nie przyjechał z Kielc. Wyrok wszakże jest zgóry przesądzony: oboje zostaną zadenuncjowani w policji, co grozi im długoletniem więzieniem.

Przez swoich przyjaciół Murek próbował wpłynąć na złagodzenie wyroku, lub uzyskać zwłokę. Skutek jednak tych zabiegów okazał się wręcz przeciwny. Mianowicie, władze partyjne, dowiedziawszy się, że Murek jest poinformowany o ich zamierzeniu, nakazały śledzić zarówno ją, jak i jego i w wypadku, gdyby próbowali uciec, przyśpieszyć donos.

— A mówiłam ci — z wyrzutem zawołała Arletka — mówiłam, że nie wolno nam tracić czasu! A ty nic nie robisz!

— Przeciwnie. Nie zmarnowałem ani godziny.

— Wciąż łudzisz się, że oni okażą się wspaniałomyślni?

— Wcale nie łudzę się i dlatego zrobiłem już przygotowania do ucieczki. Dziś jeszcze będziemy mieli doskonałe podrobione paszporty zagraniczne z prawdziwemi wizami, a jutro znajdziemy się już na pokładzie okrętu, odpływającego do Argentyny.

— Do Argentyny?

— Tak. To było najłatwiejsze i najmądrzejsze. W Europie, jak nie policja, to komuniści napewno znaleźliby nas wcześniej, czy później. A tam mamy zapewnione bezpieczeństwo. I utrzymanie na czas, póki nie uda się zarobić. Przekazałem dzisiaj do Buenos Aires czternaście tysięcy złotych przez Bank Wschodni. Każde z nas weźmie ze sobą od wypadku jeszcze po kilkaset dolarów. To wszystko, co udało mi się wziąć z kasy Czabana. Będzie tu on nas też przeklinał. Grunt znaleźć się w Gdańsku i na pokładzie. Tylko ci ludzie, którzy mają ułatwić nam wyjazd, dotychczas nie chcą się zgodzić na to, byśmy oboje razem do Gdańska jechali. Twierdzą że to zbyt wielkie ryzyko.

— Cóż to za ludzie?

— Ach, moi starzy znajomi. Zupełnie pewni ludzie. Umieją te rzeczy robić, bo zawodowo zajmują się przemytem. Mam do nich całkowite zaufanie. Nie jednego już przeszwarcowali zagranicę.

— A dlaczego oni nie chcą, byśmy jechali razem?

— Bo w razie listów gończych będzie rzucać się w oczy taka poszukiwana para. Zatem oni radzą, byś ty jechała do Hamburga, lub do Hawru, gdzie okręt zatrzymuje się i stamtąd wsiadła na pokład, a mnie chcą zabrać odrazu do Gdańska, albo też odwrotnie. Zapewniają, że tylko w razie ścisłego zastosowania się do ich rad, gwarantują bezpieczeństwo. Ale... ale ja wolę raczej zaryzykować, niż rozstać się z tobą.

— Toś niemądry — oburzyła się. — Kilka dni rozstania, przecież to głupstwo!

— Ale niepokoiłbym się o ciebie.

— Jesteś dziecinny. Oni mają rację.

— Zapewne...

— Ale i tak, pojedyńczo będziemy śledzeni.

— To już ich sprawa. To są spryciarze. Tak wszystko zorganizują, że przewiozą i ciebie i mnie bezpiecznie. Ich własny interes w tem.

— Ale nie byłeś tak naiwny, by im zapłacić zgóry? — zaniepokoiła się.

— Skądże! Zapłacę im na miejscu. Dałem narazie pieniądze tylko na paszporty, wizy i na bilety okrętowe.

— To lubię — zawołała. — Wiesz, że nawet nie przypuszczałam, żeś ty już o wszystkiem pomyślał. Dzielny z ciebie chłop. Nie zginiemy, zobaczysz, w Argentynie, czy gdziekolwiek, wszędzie sobie damy radę. Więc mam się pakować?

— Tak, ale weź tylko lepsze rzeczy. Nie trzeba na siebie zwracać uwagi nadmiarem bagażu. Wychodzę teraz na miasto i niedługo zadzwonię po ciebie. Spotkamy się z nimi i obgadamy wszystko razem.

— Doskonale. A ja zabiorę się do pakowania.

W godzinę później zadzwonił telefon i Arletka wyszła do pobliskiej cukierni. W kącie siedział Murek z dwoma mężczyznami, z których młodszy, wcale przystojny blondyn, przywitał ją komplementem:

— Trudno mi będzie panią przeszwarcować. Taka piękna kobieta zwraca powszechną uwagę.

Po krótkiej naradzie ustalono wspólnie plan wyjazdu. Za radą przemytników, Murek miał jechać ze starszym z nich przez Berlin i Hawr, Arletka zaś przez Gdańsk z przystojnym blondynem, przyczem miała występować jako jego żona. Zgodziła się na to pod warunkiem, że na okręcie zainstalują się w osobnych kabinach.

Walizki Arletki miał zabrać Heniek jeszcze wieczorem, a wczesnym rankiem zajechać po nią taksówką. W dwie godziny po odjeździe pociągu gdańskiego, Murek miał odjechać berlińskim.

Przez cały czas tej rozmowy i później do wieczora, Murek drżał na myśl, że Arletka zacznie go podejrzewać o fałszywą grę. Wielką miłością starał się też uśpić jej obawy, jeżeli jakiekolwiek mogły się zrodzić w jej umyśle. Na szczęście, ona przyjmowała wszystko z najlepszą wiarą. Gdy zjawił się Heniek po rzeczy i pokazał jej paszport i kartę okrętową, uspokoiła się zupełnie:

— Ten Heniek — powiedziała po jego wyjściu — to rzeczywiście drań kuty na cztery nogi. Jestem pewna, że dojadę z nim pomyślnie.

Przez całą noc nie spali. Najpierw pakowali walizki Murka, później snuli projekty nowego życia za oceanem. Raz po raz wyglądali przez okno, by stwierdzić, że pod domem kręcą się naprawdę jakieś podejrzane typy.

O siódmej, z punktualnością zegarka, zjawił się Heniek, który ze złośliwym uśmiechem przyglądał się pożegnaniu i łzom, które szkliły się w oczach Murka.

W kwadrans potem, w mieszkaniu zaległa cisza.

Murek długo stał nieruchomo na progu przedpokoju, wreszcie zasłonił twarz rękami i zaczął szlochać. Raz po raz zrywał się, spoglądał na zegarek: Jeszcze czas! Jeszcze pociąg nie odszedł!... Biegł do drzwi, zawracał, jak oszalały, biegał po pustych pokojach, upadł na kolana przed łóżkiem Arletki i w łkaniu bił głową w podłogę, aż do otumanienia.

— Moja jedyna, moje najdroższe biedactwo... — jęczał, aż jęk przechodził w jakieś zduszone wycie.

Zdawał sobie sprawę z ogromu swojej rozpaczy i jednocześnie widział z ohydną jaskrawością samego siebie, grającego tę komedję przed własnem sumieniem, komedję, bo przecie mógł jeszcze ją ratować, mógł ją wykupić bodaj za wszystko, co posiadał! Ale jeżeli była to komedja, czemuż tak realnie, tak piekielnie się męczył?... Czemu krew zalewała mu mózg, czemu w piersiach darło pazurami, że każdy oddech przenikał płuca rozpierającym kurczowym bólem?... Gdzie fałsz i obłuda, a gdzie prawda?...

Podniósł się i zataczając się, podszedł do okna. Coś mu mówiło, że los, wielki los, pokrzyżuje wszystkie plany, że oto Arletka wróci... Jakżeby gorąco tego pragnął i jak bał się tego.

Zegar wydzwonił ósmą, później dziewiątą. Pociąg już pędzi gdzieś daleko ku Gdańskowi.

— Dlaczego los zostawia mi zawsze decyzję? — myślał z przerażeniem. — Dlaczego nie wtrąci się, nie pogruchocze moich planów, dlaczego cała odpowiedzialność ma spadać na mnie?...

Wyjął z kredensu butelkę wódki.

— Upiję się — postanowił. — To mi sprawi ulgę.

Lecz alkohol podniecił tylko jego wyobraźnię. Dopiero po dłuższym czasie trucizna zaczęła działać zbawczo, mącąc myśli, wykrzywiając obraz rzeczywistości, zmieniając ciężar i sens zdarzeń, stępiając zdolność rozpoznawania własnych odczuć i sprowadzając wreszcie duszny zapad ołowianego snu.

Obudził się po kilkunastu godzinach, dziwnie ociężały i zobojętniały na wszystko. Gdyby teraz dowiedział się, że plan wywiezienia Arletki nie udał się, gdyby nawet ona sama zjawiła się przed nim z żądaniem zadośćuczynienia i zdania rachunków, nie wysiliłby się na jedno słowo obrony. Gdyby aresztowano go, przyjąłby to z apatją. Przestała go obchodzić i Medana, i Czaban, i własna przyszłość, a stwierdzenie tego wydało mu się rzeczą naturalną i już trwałą, już niezmienną.

Życie jednak nie wyrzekało się swoich praw. Raz, drugi i trzeci odezwał się telefon. Przynieśli wykazy z banku, o dziesiątej przyszedł Żołnasiewicz po podpisy, a w godzinę po nim Czaban z awanturą, że przegapili wczoraj termin odnowienia umowy na dostawę nabiału.

Trzeba było zaraz jechać do biura. Sprawy bieżące też wymagały ustawicznej kontroli i stopniowo budziły w Murku uwagę, zainteresowanie, aż pochłonęły go całkiem.

W trzy dni później, gdy odbywał konferencję z kierownikami poszczególnych działów leczniczych Medany, sekretarka podała depeszę:

„Odpływamy z Hawru — wszystko w porządku — Heniek".

Złożył szary arkusik w kilkoro, rozerwał uważnie na drobne kawałeczki i wsypał do kosza.

ROZDZIAŁ V

W drugiej połowie czerwca Murek zlikwidował swoje mieszkanie na Jasnej i przeniósł się na Skolimowską. Po urządzeniu się Czabanów w Medanie, ich warszawska willa została wykorzystana na biuro obu spółek akcyjnych, pierwsze zaś piętro zajął Murek.

Z wielu powodów jego ślub z Tunką odłożono do jesieni. Wchodziły tu w grę wewnętrzne sprawy Medany i Czabanowi zależało na ukryciu przed innymi spólnikami swej ściślejszej spółki z doktorem Klemmem. Pozatem ślub miał być bardzo wystawny i uroczysty, przed otwarciem zaś uzdrowiska nikt nie miał czasu. Zresztą kaplica miejscowa nie była jeszcze wykończona, a tam właśnie postanowiono wziąć ślub.

Tunka wróciła z zagranicy nietylko z gotową wyprawą, lecz z tęsknotą do małżeństwa. Nie ukrywała tego przed narzeczonym.

— Wielką, naprawdę wielką radość — mówiła mu — sprawił mi pański list z zawiadomieniem, że mam poco wracać.

— Mnie możność wysłania tego listu cieszyła jeszcze bardziej — odpowiedział uprzejmie.

Nie umiał, wprost nie umiał zdobyć się w stosunku do niej na nic więcej, jak tylko na uprzejmość, na poprawność, na oficjalną narzeczeńską serdeczność. Walczył z tem, usiłował siebie przekonać do Tunki. Przecie naprawdę nic jej nie mógł zarzucić. Niewątpliwie była inteligentniejsza od innych, okazywała mu wiele sympatji, umiała ocenić jego pracę, dostatecznie interesowała się wynikami tej pracy, a pozatem mogła zaliczać się do conajmniej przystojnych, jeżeli nawet nie była ładna.

Dzieliło ich coś, czego nie umiał nazwać. Może nawet nie podłość popełniona przezeń w stosunku do Arletki, może nawet nie wyrachowanie, z którego zrodził się projekt tego małżeństwa. Raczej to, że Tunka wiedziała o tem wyrachowaniu, że je oportunistycznie zaakceptowała, a może to, że wobec niej nigdy nie ośmieli się zająć stanowiska moralnego, że naraziłby się na śmieszność bodaj wymieniając takie słowa, jak uczciwość, etyka, honor.

Ojciec Tunki miał przynajmniej dar humoru. Usłyszawszy z ust spólnika i przyszłego zięcia podobne terminy, przymykał jedno oko i zbywał to żartem. Sam miał usposobienie, którego Murek musiał mu w tych warunkach zazdrościć: poprostu omijał zagadnienia etyczne bez żadnej trudności. Nie istniały dla niego. W najbardziej krytycznych sytuacjach, gdy zależało mu niezmiernie na wzbudzeniu w kimś zaufania, nie odwoływał się nigdy do imponderabiliów. Tam, gdzie Murek sadził się na żonglowanie honorem kupieckim, uczciwością, czy godnością osobistą, Czaban ograniczał się do argumentów realnych, materjalnych, kalkulacyjnych, a tamto nazywał „zawracaniem głowy".

Jego córka natomiast — przynajmniej Murek zawsze takie odnosił wrażenie — w każdej sprawie zdawała się zastanawiać przedewszystkiem nad owemi imponderabiliami. W jej okrężnych pytaniach, nawet w jej milczeniu ukrywała się jakby nagana i jednocześnie dziwne zadowolenie. Zdawała się mówić:

— Aha! Oto nowe łajdactwo!

Od przeniesienia się na Skolimowską, Murek widywał Tunkę po kilka razy dziennie. Obiady i kolacje jadał u Czabanów, a tylko na noc jeździł do Warszawy. Wyrwanie się z towarzystwa narzeczonej sprawiało mu prawdziwą ulgę. Bo i jeszcze jeden czynnik odgrywał tu rolę. Nienawidził tego jej pogotowia do krytyki, dręczyła go wieczna ekwilibrystyka udawanych uczuć, a jednocześnie czuł do tej panny jakiś dziwaczny i skomplikowany pociąg fizyczny.

Gdy pewnego dnia uświadomił to sobie, ogarnęło go zdumienie. Nastąpiło to w banalnych okolicznościach. Czaban chciał sfotografować córkę, która właśnie opalała się na tarasie, i wpadł na pomysł, by narzeczony wziął ją na ręce. Murkowi nie wypadało oponować. Tunka miała na sobie tylko kostjum kąpielowy i gdy ją podniósł, dotykając rękami do nagiej skóry, dostrzegł, że się zarumieniła i że w jej oczach błysnął ognik podniecenia.

Nie zrobił żadnego zbędnego ruchu, chociaż przytuliła się doń bardziej, niż to było potrzebne, lecz zdał sobie sprawę z tego, że obliczył w myśli, ile tygodni ich dzieli od ślubu i że pożąda jej ciała, które będzie miał prawo zgnieść w ramionach, nasycić się niem

brutalnie, jak ciałem pierwszej lepszej prostytutki, zemścić się na niem doprowadzeniem go do roli przedmiotu, narzędzia... Do którego czuje się pociąg i nienawiść, którego się pragnie i którem się gardzi.

W nocy, gdy rozmyślał o tem, doszedł do wniosku, że cała rzecz wynikła poprostu z jego abstynencji. Od czasu wyjazdu Arletki nie zetknął się z żadną kobietą. Wydalił nawet z miejsca jedną ze stenotypistek za to, że próbowała go kokietować. Ile razy Czaban wyciągał go na nocne knajpy, siedział przy stoliku obojętny na zaloty fortancerek, gdy zaś która z nich narzucała się mu zbyt natrętnie, bywał wręcz opryskliwy.

— Dużo mężczyzn widziałem — powiedział raz Czaban przy obiedzie — ale ty masz, Tunko, wyjątkowe szczęście. Twój narzeczony nawet patrzeć nie chce na kobiety. Wierny, jak ten... no, jakże mu tam?... Fenomen, powiadam ci. No, bracie, — zwrócił się do Murka — powiem ci, że to zła polityka. Kobiety trzeba zdradzać, bo jeżeli ty ich nie będziesz, to one ciebie!

Pani Czabanowa oburzyła się. Murek coś bąknął odniechcenia, lecz Tunce sprawiło to widoczną przyjemność. Wieczorem powiedziała Murkowi:

— Dziękuję panu, a pan wie za co?

— Nie wiem.

— Za to, że pan jest... dla mnie dobry.

— Ach! — machnął ręką. — Skąd to można wiedzieć? U ludzi mego typu bywa często dość obłudy i dość sprytu, by oszukiwać i na tym terenie.

— I poco pan tak mówi! — spojrzała nań z wyrzutem.

Opamiętał się, przeprosił ją i dodał:

— Proszę mi nie przypisywać zasług większych, niż mam. Poprostu taka moja natura.

Wrócił jednak do domu w najgorszym nastroju i nie mógł wytrzymać w czterech ścianach. Była jeszcze stosunkowo wczesna godzina. Wyszedł na ulicę z zamiarem wstąpienia do kina. W najbliższem wyświetlano film z Shirley Temple, małą dziewczynką. Jej jasna buzia uśmiechała się z licznych fotografji wystawionych w witrynie. Nie była wcale podobna do córeczki państwa Lipczyńskich, lecz ogarnęła go tęsknota do niej i do jej czupurnego braciszka. Przyśpieszył kroku i po kilku minutach dzwonił już do drzwi doktorostwa. Spotkał go jednak zawód: zastał tylko Lipczyńskiego. Pani wraz z dziećmi bawiła na letniem mieszaniu pod Mszczonowem.

Chirurg wszakże ucieszył się ze zjawienia się Murka i ani myślał go puścić. Zajęty był właśnie przygrzewaniem swojej kolacji i orzekł, że zjedzą ją wspólnie. Wieczór był ciepły i po posiłku zasiedli w ogródku, gdzie spędzili czas do północy na miłej rozmowie, miłej tembardziej, że mówił właściwie tylko Lipczyński i to mówił o sobie, o żonie i dzieciach, opowiadał mnóstwo zabawnych i rozczulających drobiazgów z codziennego życia, rzeczy nieważnych i tylko jego samego obchodzących przez swoją bliskość. W pewnej chwili spostrzegł się:

— Ależ ja pana nudzę, panie Franciszku!

— Nie, nie — zaprzeczył gorąco Murek. — To jest takie piękne... Niech pan mówi...

Lekarz zamyślił się i po dłuższej pauzie zapytał:

— Czemu pan się nie żeni?...

— Różne na to złożyły się okoliczności — wymijająco odpowiedział Murek.

— Będę trochę niedyskretny, proszę mi wybaczyć, ale znam sporo szczegółów z pańskiego osobistego życia. Bardzo przykre, ale cóż? Wiecznie tego pamiętać nie trzeba. Przecież już ładnych kilka lat minęło od owych pańskich rozczarowań. A nie trzeba być psychologiem, by widzieć, jak dalece dojrzał pan do małżeństwa, jak pragnie pan domu i dzieci. To zrozumiałe i słuszne. Nie wolno z tem walczyć. Raz zdecydować się i buch kasztan do wody! Mój Boże! Ileż to dobrych i uczciwych dziewcząt jest na świecie. Wybór ogromny, a nie uwierzę, by pan już którejś nie miał na oku!

— Zapewne — bąknął Murek i wstał. — Już późno. Zasiedziałem się u pana. Czas na mnie.

Lipczyński wyciągnął doń rękę:

— Ale nie ma pan do mnie urazy za to wścibstwo?

— Skądże, najmniejszej.

— No, to chwała Bogu. Naprawdę życzę panu jak najlepiej.

— O tem nie wątpię — zapewnił Murek.

— A zechce pan dać mi dowód, że tak jest naprawdę?
— O, aż dowód? — z rezerwą zaśmiał się Murek.
— Tak. Niech pan jutro znowu mnie odwiedzi.
— Nie wiem, czy nie będę zmuszony…
— Niech pan nie będzie do niczego zmuszony — przerwał serdecznie Lipczyński.
Uścisnęli sobie ręce. Murek obiecał wpaść doń jutro o siódmej.
Nazajutrz dotrzymał słowa. W towarzystwie tego człowieka wypoczywały mu nerwy. Tym razem rozmowa zawadziła o Mikę, o jej narzeczeństwo i już przez cały prawie wieczór o niczem innem nie mówili. W rezultacie na przyszłe spotkanie umówili się u Miki, którą Lipczyński miał uprzedzić w szpitalu.
— Wybierzemy się we trójkę na przechadzkę, albo do jakiego ogrodu na muzyczkę i filiżankę kawy — zapowiedział.
Od tego dnia Murek zaczął coraz wcześniej wyjeżdżać od Czabanów. Wymawiał się od kolacji sennością lub pilnemi sprawami, które czekają go w Warszawie, i żegnał się. Po dniu wyczerpującej pracy i paru godzinach spędzonych w drażniącym nastroju jaki ogarniał go zawsze w obecności Tunki, wieczory z Lipczyńskim, z Miką i z Minasowiczem dawały spokój, wytchnienie.
Wkrótce jednak Lipczyński wyjechał na urlop, Minasowicz wybrał się kajakiem z wycieczką klubu wioślarskiego wdół Wisły. Została Mika, osamotniona tembardziej, że jej Tomek przebywał znowu u swego profesora w Czechosłowacji.
W rozmowach z Murkiem, wyraźnie unikała jakiejkolwiek wzmianki o narzeczonym, na pytania zaś odpowiadała wymijająco. Niesposób było nie zauważyć, iż stawała się wówczas smutna i uśmiechem usiłowała pokryć troskę, która ją gnębiła. Wogóle od niejakiego czasu zmizerniała i stała się bardziej nerwowa. Poza niepokojem o przyszłość, jak można było sądzić, działały tu i kłopoty materjalne. Doszedłszy do takiego wniosku, Murek powiedział jej kiedyś:
— Odłożyłem sobie z pensji kilkaset złotych, z któremi nie wiem, co zrobić. Przy sobie nosić nie chcę, a w mieszkaniu wolę nie zostawiać. Najchętniej pożyczyłbym je komuś pewnemu.
— Może komuś z kolegów biurowych — zauważyła.
Powiedział jej, że pracuje, jako urzędnik, obecnie w zarządzie dóbr książąt Zasławskich w Warszawie, a żeby się zabezpieczyć od wykrycia tego kłamstwa, prosił, by go tam nie szukano, nawet telefonem, gdyż zwierzchność źle patrzy na podobne rzeczy. Ani Lipczyński, ani Mika zresztą nie wątpili, że tak jest rzeczywiście. Słyszeli dużo o Czabanie, w związku z Medaną mieli o nim najgorszą opinję. Dlatego też mógł teraz skrzywić się na radę Miki:
— Gdy dojdzie do szefa, że odłożyłem trochę grosza, gotów obniżyć mi pensję. Wie pani co, panno Miko? Niech pani weźmie tę gotówkę. Pani się przyda, a mnie wyświadczy pani grzeczność.
Po długich namowach, zdołał ją wreszcie przekonać. Tak drobna sumka była dlań teraz drobiazgiem, natomiast odczuł wielką radość, gdy przyznała się, że dla niej to nawet zbawienie.
Był u Miki niemal codziennym gościem, ponieważ zaś jadał u niej kolacje, pod pozorem ponoszenia części kosztów, zjawiał się zawsze z paczką wiktuałów. Codzień oburzała się nań zato, lecz Murek był uparty. Czasami z wiktuałami przynosił jakiś nieduży prezent, a gdy nie chciała tego przyjmować, mówił:
— Jestem samotny. Niechże mi pani pozwoli mieć złudzenie, że jest na świecie ktoś bliski, komu mam prawo ofiarować jakiś drobiazg. To przecie jedyna moja przyjemność.
Pod koniec sierpnia musiał w interesach wyjechać na kilka dni do Gdańska, gdzie kupił dla Miki drogi i bardzo ładny tweed na kostjum. Gdy po powrocie do Warszawy, szedł wieczorem na Żolibórz, miał sporo obawy, czy Mika nie obrazi się nań za ten podarek. Schował też paczkę za siebie, gdy otworzyła mu drzwi spodziewając się, że powita go wesołym okrzykiem. Mika jednak otworzyła szeroko oczy i zbladła:
— A, to pan, panie Franciszku, przyjechał pan, panie Franciszku.
Zwykle nazywała go panem Frankiem. Ta zmiana i wygląd Miki zdziwiły Murka.
— Czy — zapytał — pani jest sama?… Może pan Kański?…
— Nie, nie — zaprzeczyła żywo. — Niech pan wejdzie.

Jej podniecenie nie zmniejszało się. Murek uśmiechnął się:

— Udało mi się kupić niebrzydki materjał w Gdańsku. Może przyda się pani. Uprzedzam, że kupowałem dla siebie, właściwie dla siebie. Krawiec jednak orzekł, że damski... Cóż z nim pocznę... Oto jest...

Podał jej paczkę, lecz Mika nawet nie zaprotestowała. Była tak czemś zajęta, że zdawała się nie rozumieć, co do niej mówił.

— Czy się stało coś złego? — zapytał już zaniepokojony.

— Nie... Bynajmniej... Tylko jest ktoś... Czeka na pana i pan musi zobaczyć się... Rozmówić... Może zawiele od pana żądam, ale... Odwołuję się do pańskiej dobroci, do miłosierdzia...

— O kim pani mówi?

— Jest tu... Nira.

— Kto? — prawie krzyknął.

— Nira Horzeńska. Przyjechała przedwczoraj...

Murek gwałtownie cofnął się do drzwi, lecz Mika wzięła go za rękę.

— Panie Franciszku! Błagam pana, niech pan nie odchodzi!

— Ja nie mam nic do powiedzenia tej... tej... pani — powiedział ochrypłym głosem.

— Panie Franciszku!

— Nie chcę jej widzieć, nie mogę! Jeżeli...

Już nacisnął klamkę, gdy drzwi od sypialni otworzyły się i weszła Nira. Umilkł i znieruchomiał. Wrażenie było zbyt silne. Stała tuż przed nim, wysoka i smukła, szczuplejsza, niż dawniej i piękniejsza, niż dawniej. W czarnej, prostej sukience z białym kołnierzykiem, bardzo blada... Włosy przyczesane gładko, jakiś kamienny spokój w twarzy i ta czarna sukienka, nadawały jej wygląd klasztorny. Gdyby nie silny zapach perfum, który bił od niej, sprawiałaby wrażenie właśnie zakonnicy.

— Proszę nie odchodzić — odezwała się cicho. — Z drugiego końca świata przyjechałam tylko po to, by ciebie... by pana zobaczyć.

— Niepotrzebnie pani to zrobiła! — wybuchnął. — My już sobie nic do powiedzenia nie mamy!

— Panie Franciszku! — wyciągnęła doń ręce Mika.

— Ty mi nie masz nic do powiedzenia — zbliżyła się doń Nira — ale miej trochę, odrobinę... litości. Ja ci, Franku, muszę wiele powiedzieć i tylko po to wróciłam.

— Jak zbrodniarz którego ciągnie na miejsce zbrodni! — zawołał pogardliwie.

— Tak! — przyznała. — Masz słuszność, Franku...

— Jak pani śmie nazywać mnie po imieniu! — krzyknął. — Jakiem prawem! Czy pani nie rozumie, że to bezczelność?...

— Rozumiem i przepraszam. Jeżeli tak pana nazwałam, stało się to mimowoli. Od wielu już miesięcy tak pana nazywałam w myśli. Przyzwyczaiłam się...

— A czy wie pani, jak ja przyzwyczaiłem się w myśli nazywać panią? — przerwał.

Przygryzła wargi i przymknęła powieki. Cierpienie wyraźnie odbiło się na jej twarzy. Murek jednak wyrzucił z siebie z pasją:

— Ladacznicą! Dziewką uliczną! Złodziejką! Suką!

— Boże, Boże! — jęknęła Mika.

Jedno po drugiem, z jego wykrzywionych ust padały słowa, wściekłe, okrutne, smagające, jak uderzenie kańczuga. Wreszcie wyrazy zaczęły się zlewać w jakiś nieartykułowany charkot i tylko pięści wniesione nad głową i wytrzeszczone nieprzytomnie oczy, miotały dalej jeszcze straszliwsze, jeszcze boleśniejsze obelgi.

Nira stała oparta o ścianę bez kropli krwi w twarzy, z rękami opuszczonemi, bez ruchu, jakby poddając się dobrowolnie temu biczowaniu.

Murek zatoczył się, opadł na krzesło, i oddychał spazmatycznie, jak człowiek, który się dusi.

Przerażona Mika trzęsła się i dygotała, poruszając bezgłośnie wargami. Długo nie mogła oprzytomnieć. Nagle porwała kapelusz i torebkę ze stolika, i mówiąc coś, czego ani Murek, ani Nira nie zrozumieli, wybiegła na schody.

Trzask zamykających się za nią drzwi, otrzeźwił Murka. Słaniając się, wstał i sięgnął po kapelusz.

— Zostań — szepnęła.

— Poco?
— Wysłuchaj mnie.
— Poco? — powtórzył.
— Nie oczekuję od ciebie przebaczenia. Niczem nie zasłużyłam na nie.
— Więc czego pani chce?
— Nie wiem. Nie rozumiem samej siebie. Skądże mogę wiedzieć, czego chcę? Może poprostu... spowiedzi, ale nie! Chcę ci powiedzieć, że dzisiaj wiem, że postąpiłam głupio i podle. Coś mnie zmuszało, by przyjść z tem do ciebie. Do ciebie, jedynego na całym świecie, wobec którego mam ten koszmarny dług. Zasypałeś mnie obelgami. A ja ci mówię, że ich pragnęłam, że nie zaznałabym spokoju, gdybym ich nie usłyszała...
— Pewno inni ludzie też ci ich nie żałowali — zaśmiał się pogardliwie.
— Inni?... Może. Ja musiałam je usłyszeć od ciebie. I jeżeli proszę cię o łaskę, jeżeli proszę, byś był wspaniałomyślny i został, to nie dlatego, że mam nadzieję dostać jałmużnę pobłażliwości, czy litości. Nawet nie marzyłam o tem. Zdawałam sobie sprawę, że obudzę w tobie tylko wstręt. I dobrze. Inaczej być nie mogło. Ale pomimo wszystko, pozwól mi mówić!
— Słucham — odpowiedział krótko.
Nira uchyliła drzwi do pokoju:
— Wejdźmy tam. Tak trudno mi stać.
Wzruszył ramionami, lecz wszedł za nią. Usiadła naprzeciw niego i po dłuższem milczeniu, powiedziała:
— Byłam nietylko zła, nietylko nikczemna, nietylko brudna: byłam szalona. Bo moje życie nauczyło mnie, że zło, i brud, i nikczemność są szaleństwem. Obłędem! Pragnęłam się nasycić, upoić się życiem, a życie rozumiałam tak, jak żarłoczne zwierzę. Nie wiedziałam, że mogę zapragnąć kiedyś powrotu, że w przeszłości znajdę coś, bodaj jedno źdźbło, za którem zatęsknię. To było obłąkanie!
Uśmiechnęła się smutno:
— Jak to trudno wypowiedzieć! Przez tyle nocy, przez tyle nocy układałam sobie to, co ci mówię teraz. I czasami nawet zaczynałam wierzyć w rozgrzeszenie. O, nie z twoich ust. W rozgrzeszenie, które zapisze się dla mnie gdzieś nad naszemi głowami, wysokie i niewidzialne, ale tak potężne, że opłynie mnie ze wszystkich stron, jak kojące, chłodne i czyste powietrze... Nie wiem, czy to jest zuchwalstwo, czy tylko błaganie istoty bardzo słabej i bardzo nieszczęśliwej...
Głos jej zadrżał:
— Powiedz mi, czy ty nie wiesz? Czy nie wiesz nic o tem, że gdzieś przecie musi trwać jakaś niepojęta, a przecież odczuwalna sprawiedliwość?...
— Nie wiem i nie chcę wiedzieć — odpowiedział gniewnie.
Lecz Nira zdawała się nie słyszeć jego słów i zaczęła znowu:
— Żyłam, jak chciałam. Osiągnęłam wszystko. Sprzedawałam siebie i kupowałam sobie innych. Rzucałam pieniądze garściami, byłam żoną człowieka, który miał tytuł książęcy, i był krewnym królów. Byłam kochanką bandyty, który zginął na stryczku. Zbierałam hołdy, należne wielkiej damie, i kopnięcia, należne ulicznicy. Nosiłam brylanty i łachmany. Moje fotografje znajdowały się w wytwornych tygodnikach i w albumach kryminalnych. Byłam znana, podziwiana, pożądana i uwielbiana. I dziś jeszcze jestem piękna, i dziś jeszcze świat, jak dawniej, stoi przedemną otworem!...
Wyprostowała się i podniosła głowę:
— Patrz na mnie! Czy mówię nieprawdę? Czy się mylę? Czy przeceniam siebie?... A jednak... Nie chcę już niczego. Doszłam do końca, do granicy, do jakiejś ściany, za którą jest już tylko pustka. Doszłam po to, by zobaczyć w niej, jak w lustrze, moją przeszłość. Tę samą przeszłość, z której drwiłam na początku drogi. Tę przeszłość, którąś ty mi chciał narzucić. To skromne urzędnicze mieszkanko, te mieszczańskie drobne sprawy, to jałowe życie w prowincjonalnem mieście, pokorna wędrówka do poczciwej starości...
Dostrzegła grymas uśmiechu na jego twarzy i zawołała:
— Ach, nie, Franku! Nie! Nie możesz wiedzieć, jak wielka, jak rozpaczliwa tęsknota ogarnęła mnie za tem wszystkiem! Jak piękna wydała mi się ta utracona, wzgardzona, podeptana przeszłość!... Zmarnowałam ją, niedoceniałam jej wartości, nie rozumiałam, że tylko w niej może być szczęście. O, nie dlatego, że życie to miało być mieszczańskie

i ubogie, ale że miałoby wciąż narastającą treść, a tem samem sens i prawo trwania, podczas gdy droga, którą ja wybrałam, prowadzi w kółko wokół prawdziwie ludzkich spraw, nie stykając się z niemi nigdy. Na mojej drodze nic się nie zmienia, a wszystkie etapy są do siebie podobne. I obojętne, gdzie się zatrzymać, gdzie umrzeć. Teraz to rozumiem. Teraz wiem, że takiego życia nikt pragnąć nie może, że poznawszy jego śmiertelną jednostajność, w której dni i zdarzenia nie wyrastają jedne z drugich, lecz są w gruncie rzeczy powtarzaniem siebie samych, oderwanych i pustych, musi zatęsknić do tego, przed czem się uciekło. Tak, uciekłam od szarzyzny, uciekłam do świata, który nęcił mię jaskrawemi barwami, niczem tapeta, upstrzona tysiącem kolorowych papug, tysiącem powtórzeń tej samej papugi... I powiedz, czy już niema dla mnie powrotu?... Czy muszę do śmierci żyć w tej pustce?... Czy powinnam być tak nielitościwie karana za zwykłą omyłkę, za głupotę, za obłęd?...

Jej głos przeszedł w jakiś przejmujący szept:

— Czy na zawsze ma być zamknięte dla mnie to, czego nie doceniłam, czy to jest sprawiedliwe odepchnąć mnie brutalnie od brzegu, gdy wołam o ratunek?... Czy nie wolno ci wyciągnąć do mnie ręki, nie dlatego, że na to zasłużyłam, ale dlatego, że ginę!?

Murek zaśmiał się:

— I dlaczegoż to ja, dlaczego właśnie ja mam panią ratować?

— Bo tylko ty możesz.

— Mogę? Pani przecenia moje siły. Nie potrafiłbym się nigdy zdobyć, nigdy, nawet za dawnych czasów, by litować się nad kimś, kto wyrządził mi największą krzywdę. To jedno, a pozatem pani zdaje się nie zastanawiać nad tem, że nic nas już łączyć nie może...

— Jednak... jednak kochał mnie pan kiedyś...

— Panią?... Nie. Kochałem kogoś, kim pani nigdy nie była, kochałem moje wyobrażenia o pani.

— Dziś jestem stokroć bliższa tego wyobrażenia, niż wtedy.

— Po wytarciu kilku setek cudzych łóżek.

— Lubuje się pan w tej pogardzie i w tych obelgach. Jestem wobec nich bezsilna...

— No, i chyba do nich przyzwyczajona?...

— Niech się pan nie znęca nademną. Jestem zbyt nieszczęśliwa, by próbować bronić się...

— Tegoby jeszcze brakowało. Byłoby to już szczytem bezczelności!

— Czyż nie dość jeszcze jestem pokorna?

— Pani? Piękna pokora! Już samo zjawienie się pani tutaj to bezczelność! Trzeba mieć miedziane czoło, by przyjść do mnie i spodziewać się mego przebaczenia, po tem wszystkiem, co mi pani wyrządziła!

— Wiem, wiem! Mika opowiedziała mi. Dopiero wtedy mogłam pojąć, jak podle postąpiłam. Wiem, w jakiej pan żył nędzy, że tułał się po domach noclegowych i głodował, że został pan komunistą, że cierpiał pan z mego powodu bardzo. Panie Franku! Franku! Ja lepiej, niż myślisz, czuję tę przepaść między nami. Czuję, że jestem wobec ciebie nędznym plugawym robakiem. Podczas gdy ja dla błyskotek, dla użycia nie zawahałam się zanurzyć się w bagnie, tyś pozostał w najtrudniejszych warunkach niezłomny, szlachetny i uczciwy...

Murek zerwał się z krzesła, lecz Nira zawołała:

— O nie, pozwól mi mówić, pozwól skończyć, bo widzisz, właśnie to, że ty jesteś taki, właśnie to ośmieliło mnie, mnie która cię tak strasznie skrzywdziłam! Od kogóż mam wyglądać ratunku? Tylko od ciebie, bo tylko ty możesz mnie rozgrzeszyć, bo tylko twoje rozgrzeszenie może mnie zbawić!... To nie miedziane czoło, to świadomość własnej nędzy i pragnienie ekspiacji przyprowadzały mnie do ciebie...

— Zapóźno — powiedział Murek.

Nira potrząsnęła głową:

— Ja wiem... ja wiem, zapóźno. I wróciłabym dawniej, ale walczyłam ze swoją dumą, z ambicją, wiedziałam przecie, że nie ominą mnie najdotkliwsze upokorzenia... Ale teraz już jestem tak śmiertelnie zmęczona, już brak mi sił i nawet taką litość, która nie różni się od pogardy, przyjmę z wdzięcznością...

— Zapóźno — powtórzył Murek.

— Umiem napamięć to straszne słowo — przygryzła wargi. — Jednak łudziłam się, chwytałam się resztek nadziei, wierzyłam w twoją dobroć, której wtedy nie umiałam ocenić...

— Niema już tej dobroci — powiedział spokojnie. — Niema we mnie nic z tego człowieka, którego pani znała. Wyrzuciłem z siebie garściami wszystko. I dlatego jest zapóźno. Jestem innym człowiekiem. I pani to mam do zawdzięczenia. Tak, pani. Kiedyś byłbym gotów panią zabić, dziś nie mam prawa nawet sądzić pani, mogę tylko... przeklinać. A wie pani dlaczego?... Bo jestem dzisiaj łotrem, łotrem najgorszym, bez czci, bez sumienia. Mika nie powiedziała pani wszystkiego, bo Mika nic o mnie nie wie. Nie wie, jak nisko stoczyłem się... Ale to pani pchnęła mnie w tę przepaść i dlatego znaleźliśmy się na jednym poziomie. O, dzisiaj jestem bogaty, jestem przytem szują nie gorszym od Junoszyca. Mógłbym dać pani wszystko to, za co kiedyś pani mnie sprzedała. Ale rozgrzeszenia pani dać już nie mogę, bo niema we mnie już prawa, by kogokolwiek rozgrzeszać. Wolno było pani rozporządzać sobą, wolno było splugawić własną duszę, ale nie wolno było okradać mnie z wszystkiego, z wszystkiego, czego już odzyskać nie zdołam.

Słuchała z szeroko otwartemi oczyma. Murek umilkł i po chwili dodał:

— I dlatego jest zapóźno. Zniszczyłaś sobie sama ostatnią sposobność ratunku.

— Franku! — jęknęła i wyciągnęła doń ręce, ale on cofnął się gwałtownie:

— Odejdź, odejdź! Nie dotykaj mnie. Ty i ja — za dużo ohydy. Ponad moje siły. Odejdź. Dość w każdem z nas trucizny, by się samemu zatruć. Bije od nas trupi zaduch, jak od padliny. Nie chcę cię widzieć, nie chcę wiedzieć, że istniejesz, nie chcę pamiętać przeszłości. Chcę żyć, a każde wspomnienie dusi mnie, dławi. Muszę mieć spokój i pewność, że żyję. Odejdź, zniknij, przepadnij!...

Nira stała wyprostowana z podniesioną głową, ale po jej twarzy spływały łzy.

Za oknami zmierzch gęstniał i przechodził w ciemność. Murek stał przy oknie. Tu i ówdzie zapalały się światła. Słyszał za sobą kroki Niry, powolne, znużone. I jakieś szmery, szczęk zamków w walizce.

— Pakuje rzeczy — stwierdził w myśli.

Musiała to robić poomacku, bo nie zapaliła lampy. Nie poruszył się, z ulgą wsłuchując się w szelest pakowanych rzeczy.

— Odjeżdża — myślał.

Nie wiedział ile minęło czasu, gdy z ciemności odezwał się jej głos:

— Żegnaj, Franku.

— Żegnaj — odpowiedział cicho.

A potem skrzyp naciśniętej klamki, kroki w przedpokoju, lekkie trzaśnięcie drzwi i ledwie dosłyszalne stąpanie na schodach.

Nasłuchiwał jeszcze kilka minut. Wyciągnął rękę i zapalił światło. Ciężko opadł na fotel. Był wyczerpany, jak nigdy. Siedział, patrząc bezmyślnie przed siebie.

Biła dwunasta, gdy wróciła Mika. Taka subtelna i taka dobra. Nie pytała o nic, nie wspomniała o Nirze ani jednem słowem. Nieśmiało zajrzała do pokoju, uśmiechnęła się blado, stwierdziła wzrokiem brak walizek Niry i wyszła, by wkrótce przynieść Murkowi szklankę mocnej gorącej herbaty.

— Dziękuję — powiedział i pocałował ją w rękę.

— Może pan coś zje, panie Franku?

— Nic — potrząsnął głową i po dłuższem milczeniu dodał: — Ona odjechała. Jak to dobrze, że już odjechała.

Wrócił na Skolimowską około pierwszej z zamiarem wzięcia środka nasennego, bo wiedział, że inaczej nie zaśnie. Zastał jednak ku swemu zdumieniu Czabana. Okazało się, że już rano nadeszła ze Szwajcarji fatalna wiadomość: bank, finansujący instalacje hydropatyczne w Medanie ogłosił upadłość. Groziło to poważnemi konsekwencjami i mogło wstrząsnąć podstawami kredytowemi całego przedsiębiorstwa.

Należało nagwałt szukać gwarancyj i pomimo nocy zaczęli telefonować do różnych grubych ryb finansowych. Upadłość banku dla nikogo już nie była tajemnicą, chociaż w dziennikach jeszcze nie podano o tem ani słowa. Ponieważ już wszyscy wiedzieli o stosunkach Medany z bankiem, nikt nie zdziwił się, że Czaban i Klemm niepokoją ich tak późną porą. Dla każdego z tych ludzi sprawy pieniężne były ważniejsze od snu, czy odpoczynku.

Wczesnem ranem rozpoczęły się gorączkowe konferencje, które miały się przeciągnąć kilka dni. Na szczęście krach zdołano zażegnać na pewien czas dzięki gwarancji, udzielonej przez jedną z państwowych instytucyj kredytowych.

Termin gwarancyj wszakże był krótki i zdziałał tylko tyle, że ślub panny Tunki z doktorem Klemmem oraz uroczystości weselne mogły się odbyć w atmosferze spokojniejszej, nie pod obuchem zagrażającej katastrofy. Zresztą wspaniały bankiet i bal, wydany z tej racji przez Czabana, miały posłużyć jako czynnik reklamowy zarówno dla Medany, jak i jej obecnej sytuacji finansowej.

Ślub odbył się o godzinie siódmej w świeżo wykończonej kaplicy medańskiej w licznej asyście wyższego i niższego kleru. Wielki plac zapchany był setkami lśniących Cadillaców, Mercedesów, Daimlerów.

O siódmej w Złotej sali Kasyna zasiadło do stołów przeszło trzysta osób. O jedenastej rozpoczął się w kolumnowej sali bal.

Była to pierwsza publiczna demonstracja Medany i Czaban musiał zaimponować gościom. Znał się na interesach i wiedział, że niema lepszej i skuteczniejszej reklamy niż ta, która idzie z ust do ust. Był też tego dnia i tej nocy mistrzem ceremonji, zwolniwszy zięcia, jako głównego bohatera uroczystości, od wszelkich obowiązków.

Murek jednak nie odczuwał swojej wyjątkowej roli. Przyglądał się wszystkiemu z zaciekawieniem zwykłego widza w przeciwieństwie do Tunki, przejętej i wzruszonej. Przed ołtarzem miała nawet w oczach łzy, które rozgniewały Murka. Gdy obsypywano ją komplementami, zarumieniona i radosna wyglądała tak, jakby to małżeństwo było dla niej niewiadomo jakiem szczęściem.

— Czego się ona spodziewa po mnie? — myślał z ironją, słuchając toastów. — Czy już zapomniała o Szułowskim?... Oto co znaczy — wieczna miłość, którą sobie napewno przysięgali! Gdyby ją ujrzał teraz taką rozpromienioną?...

Siedzieli obok siebie i Murek uczuł nagle ochotę zapytania jej o to, zwarzenia jej nastroju, dokuczenia jej i wyszydzenia. Pochylił się do niej i już otwierał usta, gdy uczuł na dłoni dotyk jej ręki, ciepły, serdeczny, znaczący. Przełknął ślinę i powiedział:

— Ślicznie wyglądasz.

Było to głupie i banalne. Tunka jednak podziękowała mu spojrzeniem i uściskiem ręki.

— Staję się złem zwierzęciem, jakąś złośliwą małpą — stwierdził w myśli. — Czyż nie stać mię już na tę odrobinę rozsądku, by chociaż nie afiszować się z tem... Na tę odrobinę woli, by samemu przeżuwać swoją żółć?...

Tańczyli ze sobą kilka razy, wkrótce po dwunastej zbliżył się do Tunki, bawiącej kilku otyłych panów, odprowadził ją od nich i zaproponował:

— Jeżeli czujesz się zmęczona, to może już pójdziemy do siebie?

Zaśmiała się, ukrywając zażenowanie, lecz odpowiedziała, śmiało patrząc mu w oczy:

— Wcale nie czuję się zmęczona, ale właśnie dlatego chodźmy.

Było w jej wzroku i w głosie coś wyzywającego i w Murku nagle zbudziła się świadomość, że ta młoda dziewczyna należy od dziś do niego, że nabył prawa do jej ciała, jej pieszczot, że będzie ją miał. Ba, że to jego obowiązek!

— Cóż za paradoks! — pomyślał.

Niepostrzeżenie wymknęli się z kolumnowej sali i bocznemi drzwiami wyszli do parku. Powietrze ciepłe i parne zapowiadało deszcz. W iluminowanych kolorowemi lampionami alejach raz po raz spotykali flirtujące pary. Z zacienionej ławeczki koło stawu spłoszyli swem przejściem jedną.

Od kasyna do pałacyku, w którym urządzono im mieszkanie, było dość daleko.

— Jesteś bardzo dobry — odezwała się po długiem milczeniu Tunka.

— Dlaczego dobry? — zdziwił się szczerze.

— Bo... mając do wyboru pozostanie na balu i powrót do domu wybrałeś to drugie.

Nic nie odpowiedział, a ona zaśmiała się:

— Jakie to zabawne! Powiedziałam: Powrót do domu. Przecie to nie powrót. Od dziś dopiero będzie to nasz dom... Nasz dom...

— Tak, nasz dom — powtórzył słowa, które były dlań pustym dźwiękiem.

Drzwi zastali otwarte i ani żywej duszy. Widocznie służba nie spodziewała się, że nowożeńcy przyjdą tak wcześnie. W hallu na parapecie okna stała przygotowana taca z chlebem i solą.

— Będzie im przykro — zauważyła Tunka.

— Powetują sobie tę ceremonję jutro rano — wzruszył ramionami. — Napiwek im nie przepadnie.

Mieszkanie nie było zbyt obszerne. Poza hallem, jadalnią i gabinetem miało jednak dwie ogromne sypialnie z łazienką przy każdej, połączone rodzajem buduaru. W tym właśnie buduarze się rozstali. Tunka chciała coś powiedzieć, lecz tylko uśmiechnęła się i zniknęła za swemi drzwiami.

W dwadzieścia minut później Murek już w pijamie zapukał do nich, a nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, wszedł. Na stoliku wgłębi paliła się nieduża lampa, której różowe światło nie było w stanie przeniknąć wszędzie. W pokoju panował półmrok. Z ogromnego łóżka na tle białej atłasowej kołdry i piany koronek, któremi obszyte były poduszki, odcinała się wyraźnie głowa Tunki. Miała oczy zamknięte i nie podniosła powiek, gdy pochylił się nad nią. Wydała mu się znacznie ładniejsza, niż zwykle.

— Jaka ona młoda — przemknęło mu przez głowę.

I po chwili:

— Będę jej pierwszym mężczyzną...

Pochylił się jeszcze bardziej, lekko przesunął wargami po zamkniętych powiekach i po ustach, niespodziewanie gorących.

— Jesteś moją żoną — powiedział jakimś niemal surowym tonem i pomyślał: — Ona się wstydzi, tak, ale ja chcę jej wstydu...

Ujął brzeg kołdry i chciał ją odrzucić, lecz ręce Tunki usiłowały ją przytrzymać. Powieki drgnęły, usta wygięły się jak do płaczu, policzki zaróżowiły się mocnym rumieńcem. Szarpnął mocno. Dziwnie małe wydało mu się na tem ogromnem łóżku to zawiniątko różowego jedwabiu. Zabawna. Tak strasznie owinęła nogi koszulką, jakby conajmniej zamierzała się bronić!

Usiadł na brzegu łóżka, powolnemi dotykami rąk, spokojnie i nie spuszczając wzroku z jej twarzy, przesuwał wzdłuż nóg, bioder, brzucha i piersi. Drżała pod temi dotykami, a jej policzki, czoło i szyja rozpaliły się jak w gorączce. Nozdrza poruszały się szybko, a dość jędrne piersi wznosiły się wysoko w urywanym oddechu. Tylko oczy miała wciąż zamknięte.

I nagle ugryzło go podejrzenie:

— Nie patrzy, bo chce mieć złudzenie, że to nie ja, że to tamten oficerek!

Przysunął się bliżej i przemocą, pomimo jej oporu zaczął ściągać różowy jedwab.

— Błagam cię, zgaś światło — odezwała się drżącym szeptem.

— Nie! Nie zgaszę! Przeciwnie, żądam byś otworzyła oczy, byś zobaczyła swoją nagość i to, że ja na cię patrzę, bo mi wolno, rozumiesz?... Ty jesteś dla mnie... Patrz oboje jesteśmy nadzy i ty musisz to znosić, musisz...

Przygniótł ją całym ciężarem. Opierała się krótko, owinęła jego szyję rękami i zamarła w bezruchu w oczekiwaniu momentu, tego wielkiego zdarzenia, na które czekała od lat z ciekawością, z przeczuciem szczęścia i z obawą, momentu, od którego zawiśnie ziszczenie wszystkich marzeń, spełnienie życia, nadanie mu całkiem nowej treści. Była to dla niej chwila misterjum i ofiary, zdobyczy i utraty, chwila, którą chciałaby odczuć i zapamiętać w każdym jej najdrobniejszym ułamku, w każdem mgnieniu, w każdem uderzeniu rozkołatanego serca. Wierzyła też najmocniej, że i on, ten człowiek, którego wybrała, by przeżyć z nim taką najcenniejszą chwilę, rozumie i odczuwa, że wie, co się dzieje w jej piersiach, w jej naprężonych do ostateczności nerwach, w jej myśli... Za to jedno byłaby go gotowa pokochać najsilniejszem uczuciem...

On jednak wiedział tylko, że zaciska w ramionach młode, świeże i rozpalone pożądaniem ciało, czuł tylko rytm własnej krwi i jeszcze jakby chęć zemsty za to, że ta kobieta nie jest Arletką.

Ostry, pierwszy krzyk bólu dał mu jakieś dzikie zadowolenie, przyparł jeszcze mocniej, całą siłą mięśni unieruchomiając szamocące się ciało, z całą świadomością, że sprawia ból, że kosztem tego bólu, że za cenę tych jęków osiąga zwyczajny moment rozkoszy, który mógłby mieć od każdej prostytutki za kilka złotych.

Gdy podniósł się i spojrzał na nią, zwinęła się w kłębek. Jej twarz była mokra od łez, a usta wyrażały cierpienie.

— Bardzo bolało? — zapytał z konwencjonalnem współczuciem.

Nic nie odpowiedziała, gdy jednak pochylił się nad nią, by na dobranoc pocałować ją w czoło, wyciągnęła doń ręce i wilgotną twarzą przytuliła się mocno do jego policzka.

— Do licha — pomyślał — jeszcze teraz czułości.

Pomimo to nie starał się uwolnić z jej objęć, chociaż były mu nad wyraz przykre.

— Trzeba teraz, żebyś zasnęła. Już późno... kochanie — odezwał się po pewnym czasie.

— Zostań jeszcze — szepnęła.

Westchnął i położył się znowu. Opanowało go znudzenie. Napróżno zastanawiał się nad wynalezieniem jakiegoś pretekstu do wyjścia z tego pokoju.

— Czego ona chce odemnie? — irytował się w myśli — Jak może tak narzucać się? Przecie sama rozumie, że ożeniłem się z nią nie z miłości! Tego jeszcze brakuje, by zaczęła domagać się teraz wyznań i przysiąg...

Tunka jednak nie wymagała. Zaczęła mówić o sobie, o tem, że teraz należy do niego, że nie jest samotna, że nigdy nie zapomni tej nocy.

— I wiesz, czegobym pragnęła? Ach, ja nawet wierzę, ja wiem, że tak będzie — przytuliła się doń bardziej. — Będziemy mieli synka. Takiego małego synka...

Murek zerwał się:

— Coś powiedziała?

— Dlaczego tak przestraszyłeś się? — spojrzała nań wylękniona — Czy nie chciałbyś, by urodził się nam synek?

Przetarł czoło z całej siły:

— Ach, owszem... owszem... Syn... To dziwaczne! Mój syn!

— Mówisz dziwaczne? Dlaczego?...

— Nie wiem. Kiedyś... dawno już, marzyłem o tem.

Odżyło w nim nagle wszystko, lecz jednocześnie zbudziło się tysiące wątpliwości: czem dziś jest, co po sobie może zostawić synowi, który nawet nie odziedziczy po nim prawdziwego nazwiska, a gdy dorośnie, będzie musiał wstydzić się ojca, albo stanie się taką samą szują...

Pomimo tych smutnych refleksyj innemi oczyma patrzał teraz na Tunkę. Odczuwał dla niej coś w rodzaju wdzięczności za to, że może dać życie jego dziecku, że sama tego pragnie. Wydała mu się teraz bliższa i potrzebniejsza, a skutkiem tego odczucia było to, że spędzili razem całą noc. Tunka nie wiedziała, czemu to zawdzięcza. Nie wiedziała, do krwi zagryzając wargi, by stłumić okrzyki bólu, że dopatrując się w uściskach męża pożądania i miłości, popełnia błąd, że znosząc tyle cierpień fizycznych, jednocześnie naraża się na przekreślenie swoich i jego nadziei.

Nazajutrz wyglądała jak po przebyciu ciężkiej choroby i z największym wysiłkiem zdobywała się na uśmiech w odpowiedzi na żarciki ojca. Wieczorem dostała gorączki, nie powiedziała jednak o tem nikomu, a bojąc się zrazić męża, nie odmówiła mu drugiej wspólnej nocy.

W trzy dni później zemdlała na schodach i wtedy dopiero zrobił się alarm. Sprowadzeni z Warszawy najwybitniejsi ginekolodzy stwierdzili poważną i niebezpieczną chorobę. Jeden z nich wręcz nawymyślał Murkowi za „brutalność i bezwzględność, która może pociągnąć nieobliczalne za sobą skutki".

Po dwuch tygodniach okazało się, że operacja jest nieunikniona. Jeżeli Tunka broniła się przed nią, to nie z obawy o życie, lecz dlatego, że zakomunikowano jej, że nigdy już nie będzie miała dzieci. Mąż przyjął tę wiadomość z ponurą rezygnacją. Tylko wieczorem zrobił pani Czabanowej gburowatą uwagę, że jej obowiązkiem było pouczyć córkę przed ślubem o sprawach, o których ta powinna była wiedzieć. Czaban przyznał zięciowi rację, chociaż miał doń trochę żalu.

Po operacji Tunka szybko wracała do zdrowia. Murek jednak prawie jej nie widywał. Właśnie kończono przygotowania do uroczystego otwarcia uzdrowiska i kasyna, a w związku z tem zajęty był od świtu do nocy. Termin musiał być dotrzymany i z tego względu, że pieniądze były już wyczerpane i tylko ruszenie rulety połączone z napływem kuracjuszów mogło wyciągnąć Medanę z poważnych kłopotów.

Odbyło się wreszcie poświęcenie i otwarcie naraz całej Medany. Zjazd był ogromny, podziw ogólny. Pierwsze tygodnie funkcjonowania przedsięwzięcia nie zawiodły nadziei. Frekwencja wciąż wzrastała. W hotelu wszystkie pokoje były zajęte, w poszczególnych sanatorjach prawie wszystkie, prywatnie prowadzone pensjonaty robiły kokosy. W promieniu kilku kilometrów od Medany grunty sprzedawano na metry. Czaban już żałował, że nie wyśrubowali wyżej cennika i obaj zastanawiali się, czy nie zrobić tego teraz.

Właśnie o tem mówili w gabinecie Murka, gdy zjawił się doktór Sążeń, kierownik sanatorjum neuropatycznego z zabawną protekcją:

— Chciałbym prosić pana dyrektora o ulgowy pobyt, kurację dla jednego z moich pacjentów.

— Niema mowy — krótko zadecydował Murek.

— Dobrze się pan wybrał! — zaśmiał się Czaban.

Dr. Sążeń jednak nie ustępował.

— W każdym razie będę wdzięczny, jeżeli pan dyrektor chociaż przyjmie tych państwa i osobiście odmówi im ulgi. Przynajmniej będą wiedzieli, że ja zrobiłem dla nich, co mogłem.

— Dobrze — skrzywił się Murek. — Przyjmę ich, ale niech zaczekają. Pierwszy raz spotykam się z podobną prośbą.

Gdy Czaban wyszedł, Sążeń wprowadził do gabinetu starszą panią w żałobie i wysokiego chudego młodzieńca o zapadniętych i niezdrowo błyszczących oczach. W pierwszej chwili Murek go nie poznał i obojętnym gestem wskazał dwa fotele przed biurkiem.

— Nazywam się Szułowska — zaczęła staruszka — a to jest mój syn, który wspominał mi, że ma zaszczyt znać osobiście pana dyrektora.

Murek zbladł i opuścił wzrok.

— Rzeczywiście, przypominam sobie — bąknął.

— Otóż syn mój od pewnego czasu zapadł na jakieś cierpienie, rodzaj silnej neurastenji, czy psychostenji. Wydałam niemal wszystkie swoje oszczędności na lekarzy i sanatorja, a niewielki mój folwark przynosi bardzo mało. Pan dyrektor rozumie, prawda, dzisiejsze konjunktury dla rolników są fatalne. Otóż ostatnio leczył syna dr. Sążeń, który obecnie jest szefem sanatorjum w Medanie. I on właśnie poradził nam Medanę. Ponieważ zaś metody leczenia doktora Sążnia skutkują lepiej widocznie, bardzo zależałoby mi na pozostawieniu syna właśnie pod jego opieką. Niestety moje środki absolutnie...

— Dobrze — przerwał Murek, z trudem opanowując uczucie jakiegoś zabobonnego lęku przed spojrzeniem Szułowskiego. — Dobrze. Ile państwo mogą płacić? Proszę się nie krępować. Z przyjemnością zrobię ten wyjątek. Zastrzegam się tylko przed ujawnieniem zniżki. Mielibyśmy wówczas moc kłopotów z innymi pacjentami.

— Ależ naturalnie, panie dyrektorze.

— Zatem ile?

Staruszka wymieniła bardzo niską kwotę i widocznie nie spodziewała się, że dyrektor Klemm to zaakceptuje, gdyż zaraz dodała:

— Może trochę więcej...

Murek jednak potrząsnął głową:

— Załatwione.

Na kartce wyrwanej z bloku skreślił kilka słów i podając kartkę powiedział:

— Proszę to wręczyć doktorowi Sążniowi.

Staruszka zaczęła mu dziękować ze łzami w oczach i zapewniać go o jego wyjątkowej szlachetności i dobroci. Jej syn milczał uporczywie i Murek bez przerwy czuł na sobie jego wzrok. Chciał jak najprędzej pozbyć się ich stąd, lecz właśnie w chwili, gdy pani Szułowska wstała, jej syn odezwał się cicho:

— Idź, mamo i zaczekaj na mnie. Ja muszę jeszcze kilka słów zamienić z panem dyrektorem na osobności.

Murek instynktownie cofnął się za biurko, a jego obawa była tak wyraźna, że staruszka uważała za potrzebne uspokoić go:

— Niech się pan dyrektor zgodzi. Mój syn jest bardzo spokojny.

— Ależ naturalnie, — opanował się Murek — tylko uprzedzam, że mam mało czasu.

Gdy tylko drzwi za panią Szułowską zamknęły się, młody człowiek zerwał się z miejsca i niespodziewanie chwycił Murka za rękę:

— Panie Klemm! — zawołał głośnym szeptem — czy pan widzi, co się ze mną stało?...
— Ależ niech pan siada.
Szułowski jednak był tak podniecony, że zaraz zerwał się znowu:
— Pan mi to wcześniej przepowiedział i do śmierci będę panu za to wdzięczny. Czy pan rozumie, że omal nie unieszczęśliwiłem kobiety, którą kochałem! Co za straszna rzecz: mąż warjat!
— Ależ pan nie jest warjatem — próbował uspokoić go Murek.
— Niestety jestem. I czuję, że dzieje mi się w głowie coraz gorzej.
— Głupstwo! Wyleczy się pan.
— Nie wierzę. Patrz pan!
Podsunął Murkowi przed oczy otwartą dłoń:
— Widzi pan ten krzyżyk?... A ten?... — sam przestudjowałem całą chiromancję. To znaczy obłęd! I pan o tem wie lepiej odemnie, pan dawniej wiedział. Niech panu Bóg nagrodzi to ostrzeżenie. Nikomu, nawet matce, nie wspominałem o tem. I tak oni wszyscy nie wierzą, że jestem obłąkany...
— Jacy oni?
— Lekarze, krewni.
— Proszę pana — perswazyjnie zaczął Murek — oni mają rację. Przecie mówię z panem i stwierdzam, że formułuje pan swoje myśli zupełnie jasno, logicznie, zachowuje się pan też normalnie...
— Tak, cha, cha, cha, — zaśmiał się Szułowski — logicznie, normalnie, ale czy wie pan ile mnie to kosztuje? Ile wysiłku muszę wkładać w to ustawiczne czuwanie nad sobą, w tę nieprzerwaną kontrolę każdej myśli, każdego słowa, każdego ruchu. Bo wiem dobrze, że jedna chwila nieuwagi, a wpadnę w jakiś labirynt, w mrok, w szaleństwo...
Wzdrygnął się i szepnął:
— Straszna jest ta nieustanna walka i ten lęk, och, najgorszy ten lęk przed czemś, co nadchodzi, ogarnia, staje się coraz bliższe, nieuniknione...
— Stanowczo pan przesadza. Zamiast leczyć się, powinien pan wziąć się do jakiejś pracy. Dlaczego pan wystąpił z wojska?
— Zwolniła mnie komisja lekarska.
— Ale na jakiej podstawie?
— Na mój wniosek. Nie mogłem nic robić. A przytem jakże śmiałbym pozostać w armji wiedząc, że moje władze umysłowe znajdują się w rozstroju? Nie byłoby to zgodne z poczuciem honoru i obowiązku.
Napróżno Murek długo jeszcze przekonywał Szułowskiego. Tegoż jeszcze dnia odbył konferencję z doktorem Sążniem i przekonał się, że lekarz również jest przeświadczony o normalności swego pacjenta. Tem usilniej zalecał mu Murek zwrócenie szczególniejszej uwagi na Szułowskiego, a przedewszystkiem wciągnięcie go do jakiejkolwiek pracy.
Niestety, Szułowskiemu nic nie pomagało. Natomiast jego obecność w Medanie zaczęła Murkowi dokuczać: wciąż go spotykał w parku, czy na ulicy, przyczem był narażony na zwierzenia nieszczęśliwca, który dzielił się z Murkiem swemi spostrzeżeniami nad postępem własnej choroby. Nadomiar złego, któregoś dnia spotkała go również Tunka i wróciła do domu przygnębiona. Murek wprawdzie nieprzejmował się jej nastrojami, irytowała go jednak świadomość, że Tunka wciąż myśli o Szułowskim.
Wreszcie zatelefonował do doktora Sążnia i powiedział:
— Jest tam u pana pacjent Szułowski. Otóż włóczy się on stale po całem uzdrowisku, co mi się nie podoba. Jeżeli jest chory, to powinien być zamknięty.
— Nie, panie dyrektorze — odpowiedział lekarz. — Wskazana jest dla niego jak największa swoboda.
— Ale ja sobie tego nie życzę! On mi wystrasza kuracjuszów swoją grobową miną i makabrycznym wyglądem. Zresztą tu nie może być dyskusji. Albo pan go zamknie, albo proszę go wypisać. Niech sobie jedzie, gdzie chce.
— Zamknąć nie mogę. Byłoby to świadome szkodzenie zdrowiu pacjenta. Wobec tego wyślę zawiadomienie do jego matki. Tylko doprawdy nie wiem, jakie podać motywy...
Murek oburzył się:

— Panie doktorze, od tego się zajmuje kierownicze stanowisko, by dla dobra przedsiębiorstwa umieć znaleźć to, co trzeba. Dowidzenia i mam nadzieję, że za tydzień zawiadomi mię pan o wyjeździe Szułowskiego z Medany.

Położył słuchawkę, nie chcąc słuchać dalszych objekcyj Sążnia. Nazajutrz jednak przekonał się, że lekarz ten nie umiał ustępować.

Mianowicie, przy obiedzie Tunka zapytała:

— Czy to prawda, kochanie, że kazałeś usunąć pana Szułowskiego?

— Prawda — odpowiedział marszcząc brwi.

— Spotkałam doktora Sążnia i martwi się z tego powodu.

— Na zdrowie, niech się martwi.

— Ale Szułowscy są w złych warunkach materjalnych. Nie stać ich na żadne dobre sanatorjum.

— Cóż na to poradzę — wzruszył ramionami. — Pieniędzy im nie dam.

— A właśnie o to chciałam cię prosić.

Spojrzał na nią zdumiony:

— Z jakiej racji?

— Bo ja cię o to proszę.

— A to pyszne! — wybuchnął. — Mam finansować jegomościa, w którym kochała się moja żona! Czy to nie zakrawa na groteskę?!

Tunka spojrzała mu w oczy i powiedziała z naciskiem:

— Zakrawałoby na nieprzyzwoitość, gdybym to ja sama zrobiła i dlatego sądzę, że powinieneś to ocenić, że zwracam się do ciebie.

Murek umilkł. W duchu musiał przyznać jej słuszność. Nie miał prawa wymagać od niej obojętności w stosunku do Szułowskiego. A sam nie był przecie obojętny. Kosztem pewnej sumki nabywał spokój. Dlatego po obiedzie powiedział:

— Sprawę Szułowskiego załatwię tak, jak tego sobie życzysz.

Podziękowała mu ciepłym uśmiechem, a w kilka dni później Szułowski wyjechał do domu zdrowia słynnego profesora Reingartta w Tyrolu.

Od czasu otwarcia Medany, Murek nader rzadko, i najwyżej na kilka godzin, wpadał do Warszawy. Po paru jednak miesiącach, gdy oswoił się z trybem życia człowieka żonatego, i gdy z drugiej strony organizacja przedsiębiorstwa ustaliła się w regulaminach i w podziale kompetencyj, mógł sobie pozwolić na częstsze wypady do stolicy, tembardziej, że zatrzymał nadal mieszkanie na Skolimowskiej, które służyło jako pied a terre zarówno jemu, jak i rodzinie Tunki. Ona sama, niemal co tydzień, miała coś do załatwienia w Warszawie i wybierając się z mężem, wiedziała, że on zostanie na noc i wróci dopiero nazajutrz. Murek nie umiał z jej zgodności wywnioskować, czy tak pewna jest wierności męża, czy też nie dba o nią wcale. Nie zastanawiał się zresztą nad tem, gdyż było mu to w gruncie rzeczy obojętne.

Nie zdradzał Tunki poprostu dlatego, że jedyna kobieta, od której mógłby się spodziewać czegoś więcej, znajdowała się teraz bardzo daleko. Przekonywał siebie, że jest już ustabilizowany, że dopiął celu, że urzeczywistnił plany, z któremi rozpoczął swoje drugie życie i dlatego każde wspomnienie Arletki było dlań czemś najgorszem: nasuwało wątpliwości.

Starał się zagłuszać je drwinami, a gdy i to nie pomagało, — pił. Alkohol działał skutecznie, nie działał jednak długo i wtedy Murek przypominał sobie tych ludzi, w których otoczeniu czuł się znacznie lepiej, lżej i spokojniej: znajomych Miki.

Zbliżało się właśnie Boże Narodzenie, i korzystając z tej okazji, nakupił dużo zabawek dla dzieci państwa Lipczyńskich. Jego zjawienie się zostało przyjęte radośnie. Jednakże, po obejrzeniu prezentów, i po podziękowaniach, doktór Lipczyński wyprawił z pokoju dzieci i zapytał Murka:

— Pan już wie, co się stało z Miką Bożyńską?

— Nic nie wiem. Przez kilka miesięcy nie byłem w Warszawie.

Chirurg pokiwał głową:

— Stało się nieszczęście, a przynajmniej to, co ludzie nazywają nieszczęściem.

— Ten skrzypek?...

— Tak.

— Rzucił ją?...

— To było do przewidzenia. Ale rzucił ją w stanie... Ona spodziewa się dziecka.
— A, bydlę! — wyrwało się Murkowi.
— Jest źle, jest bardzo źle. Dowiedziałem się o tem zupełnie przypadkowo. Wszyscy w ostatnich czasach dostrzegaliśmy, że zmizerniała, a nawet zbrzydła. Ponieważ nie było tajemnicą, że narzeczony z nią zerwał i wyjechał, przypisywaliśmy wszystko przeżyciom w związku z tem zerwaniem. Pewnego dnia zemdlała podczas swego dyżuru w szpitalu. Ordynator, który zaczął ją cucić, ze zdumieniem stwierdził ciążę.
— Psiakrew! — zaklął Murek.
— Mało tego — ciągnął chirurg. — Szpital jest pod opieką zakonnic, a dwie z nich były obecne przy cuceniu Miki. Wiadomość rozeszła się szybko i zwolniono ją natychmiast. Wprawdzie i tak nie mogałby teraz pracować, ale to zamyka jej drogę na przyszłość. Zrobiłem, co mogłem, a nawet mniej, niż mogłem, bo to biedactwo nie chce przyjąć żadnej pomocy. Wogóle nie chce nikogo widywać. Zamknęła się u siebie. Ledwie dała się uprosić, by przyjęła wizytę ginekologa.
Lipczyński westchnął i dodał:
— A ginekolog mówił mi właśnie wczoraj, że nie ma najmniejszej nadziei na pomyślny poród.
— To znaczy?...
— Daj Boże, by dało się utrzymać przy życiu matkę.
Murek siedział przez dłuższą chwilę w milczeniu. Nagle wstał i bez słowa wyciągnął do Lipczyńskiego rękę. On nie odezwał się również i tylko w przedpokoju jeszcze raz mocno uścisnął dłoń Murka.
W kwadrans później Murek dzwonił do mieszkania Miki. Dopiero po trzecim dzwonku, usłyszał jej głos:
— Kto tam? — pytała.
— Tu Murek, niech pani otworzy.
— Ach, to pan! — w jej głosie zabrzmiała wyraźna radość i otworzyła drzwi.
Wyglądała nieszczególnie, ale bynajmniej nie tak źle, jak mówił Lipczyński. W jej figurze znać było wyraźną zmianę. Mika podchwyciła spojrzenie Murka i zarumieniła się. Zaczęła mówić prędko i bezładnie o różnych rzeczach, jakby pragnąc odwrócenia jego uwagi od siebie. W końcu powiedziała:
— A wie pan, że Nira więcej się nie pokazała?...
— Nie powinniśmy martwić się z tego powodu — wzruszył ramionami.
— Zapewne. Jednak jej zjawienie się było dla mnie wstrząsem. To takie przykre uczucie spotkać kogoś bliskiego, kim się musi gardzić, kogo się musi potępiać, dla kogo...
Nagle umilkła i po dłuższej pauzie dodała:
— Pan teraz pomyślał pewno, że mówię o sznurku w domu powieszonego?...
— Wcale tak nie pomyślałem.
— To dziwne, bo przecież pan wie...
— Wiem, ale nie potępiam pani. Tylko nie mogę pojąć, by tak rozsądna dziewczyna jak pani dała się tak haniebnie oszukać podobnemu... alfonsowi!
— Niesprawiedliwie pan go osądza... — zaczęła, lecz Murek przerwał:
— Jakto niesprawiedliwie?... Wyłudzał od pani pieniądze, ciężko zapracowane pieniądze! Tak, czy nie?
— Nie. Dawałam mu, ile mogłam. Ale dobrowolnie. I wcale mnie nie oszukał.
— Pani żartuje! Obiecać dziewczynie małżeństwo i rzucić ją w ciąży.
— Sądzi pan zbyt pochopnie, panie Franku. A nie można rzucać na kogoś kamieniem, póki nie wie się wszystkiego.
— Kiedy tu niema żadnego „wszystkiego", bo wszystko jest widoczne jak na dłoni. Same fakty.
— Fakty nie zawsze wystarczają. Trzeba jeszcze znać pobudki, okoliczności. Strasznie mi przykro o tem mówić, ale uważam to za swój obowiązek, bo nie wolno mi wygodnem milczeniem zwalać winy na Tomka. Widzi pan, on tu wcale nie zawinił. Tylko ja, tylko i wyłącznie ja. Zaczęliśmy żyć ze sobą, bo ja tego chciałam...
— Proszę darować — przerwał Murek — ale nie uwierzę. Przecież pani go nie kochała! Nie mogę też sobie wyobrazić, by pani temperament i pobudliwość były silniejsze

od jej poglądów etycznych i od ośrodków hamujących. Pani chce go wybielić w moich oczach.

— Bynajmniej — potrząsnęła głową. — Chcę tylko, by pan wiedział prawdę. Mojego uczucia do Tomka zapewne nie da się nazwać miłością. Kochać można tylko raz w życiu, tak ja myślę, a pan wie, że... Ale to nie należy do sprawy. Otóż, gdy przekonałam się, że drugi raz nie pokocham, że własnego szczęścia nie zdobędę, zapragnęłam przynajmniej dać szczęście komuś, komuś, kto jest tego wart...

— I wyszukała pani tego skrzypka.

— Nie szukałam go. Spotkaliśmy się przypadkiem. Zachwycił mnie jego talent, wielki talent. Gdy mi powiedział, że mnie kocha i że odbierze sobie życie, jeżeli go odepchnę... Dlaczego nie miałam zostać jego narzeczoną?...

— Każdy kabotyn tak mówi, to są wyświechtane banały.

Mika uśmiechnęła się:

— Panie Franku, gdzież znaleźć owe niebanały? Ludzie od setek tysięcy lat miewali te same uczucia, przeżywali podobne sytuacje i musieli używać jednakowych słów. Wszystko co mówimy i co robimy jest banalne, szablonowe; wszystko już było, działo się, powtarzało tysiące razy. Ale dla każdej jednostki każdy z tych banałów jest zawsze nowością, odkryciem. I dla mnie było rewelacją to, że ja, nic nie znacząca dziewczyna, mogę kogoś uszczęśliwić, a przez to mieć chociażby taki księżycowy odblask szczęścia dla siebie. O, bardzo trzeźwo i bardzo rozsądnie myślałam.

— Tylko przeliczyła się pani z nadziejami.

— Tak. Bo wkrótce przekonałam się, że nie daję mu tego szczęścia. Dowiedziałam się, że bywa u innych kobiet. I to u kobiet, których nie można nietylko kochać... Pan rozumie. Wtedy, nie ukrywam, że było mi bardzo przykro, wtedy zażądałam od niego zerwania, a on rozpłakał się i wyznał mi prawdę: jest mężczyzną, nie może istnieć bez stosunku fizycznego z kobietami, gorzej, bo nie może pracować, uczyć się, nie może grać ani komponować. Postawił sprawę prosto i uczciwie. Przyznał się, że po każdem naszem spotkaniu musiał zaspokajać rozbudzony głód zmysłów i robił to, chociaż później odczuwał wstręt i nękała go obawa przed różnemi chorobami. Cóż mu wobec tego mogłam zarzucić? Skoro pragnęłam jego szczęścia, skoro wiedziałam, że największym dlań skarbem jest jego talent, wymagający spokoju nerwów i zdrowia fizycznego, jakże mogłam go potępić?... Przeciwnie potępiłam siebie. Zrozumiałam, że to egoizm z mojej strony patrzeć obojętnie na jego głód i pozwalać mu zaspokajać ten głód jakiemiś ochłapami, po których czuje się obrzydzenie. I znowuż zupełnie trzeźwo przemyślałam to, zanim doszłam do wniosku, że moim obowiązkiem jest danie mu, danie jego organizmowi tego pokarmu, którego potrzebuje. Poprostu karmiłam go sobą, chociaż niech mi pan wierzy, nie przyszło mi to łatwo i... wcale nie spełniło moich marzeń.

Mika podniosła głowę i uśmiechnęła się:

— Zanudzam pana temi zwierzeniami, ale ja chciałabym, by pan nazbyt surowo i mnie nie sądził...

— I cóż dalej? — zapytał Murek.

— Dalej?... Po pewnym czasie przekonałam się, że zostanę matką. Nie powiedziałam o tem Tomkowi. A nie powiedziałam dlatego, że we wrześniu miał się odbyć nasz ślub. Tymczasem Tomasz poznał pewną kobietę.

— Aha!

— Była trochę starsza od niego i dość ładna, chociaż nie w jego typie. On uznawał tylko blondynki. Miała jednak inne zalety. Przedewszystkiem pokochała go szczerze, podrugie była niezależna i bardzo bogata, a najważniejsze, że znała się na muzyce, że w świecie muzycznym rozporządzała ogromnemi stosunkami, że mogła Tomkowi otworzyć drzwi do najświetniejszej karjery... Jakże miałam postąpić? Czy mogłam stanąć na drodze i zagrodzić mu sobą drogę do sławy, do powodzenia, do wszystkiego tego, co jest najwyższem szczęściem każdego artysty? Wprawdzie w chwili słabości, podrażniona zazdrością i egoistyczną ambicją, niepotrzebnie powiedziałam Tomkowi, że zostanę matką jego dziecka, ale później sama żałowałam tego sobkostwa i zdołałam przekonać go, że powinien pójść za tamtą.

— A on nie chciał — z ironją mówił Murek, — on bronił się rękami i nogami...

Mika poczerwieniała:

— W każdym razie gotów był zostać ze mną.

— Gotów był!... Aż tyle?...

— Pan, panie Franku, nie wie, co to jest perspektywa sławy dla artysty. Przyznaję, że Tomek nie postąpił może szlachetnie, że nie zdobył się na ofiarę ze swej karjery, ale jest przecie tylko człowiekiem, a czyż można od człowieka wymagać tak wiele? Niech pan sam powie?

Murek opuścił głowę i milczał. Jakżeby pragnął teraz zaprotestować, powiedzieć bez chwili namysłu, że należy wymagać od innych i od siebie największych ofiar, że wszystko pozatem jest łajdactwem.

— Pozostaliśmy zresztą w przyjaźni, — mówiła Mika — rozstaliśmy się zgodnie. Tomek nawet czasami pisuje do mnie. O, właśnie wczoraj dostałam list z Brukseli.

Wstała i podała Murkowi grubą kopertę. Wewnątrz była paczka z wycinkami z gazet: recenzje. List był krótki:

„Posyłam mojemu Mikukusiowi wyciupeczki z tutejszych dzienników. Jak widzisz, pełne zwycięstwo! Bruksela szaleje za mną. Na koncercie zasypano mnie kwiatami. Jutro będę przedstawiony królowi. Dudu jak lodu. Czy tam w Warszawie wiedzą o mnie? Rozpowiadaj wszystkim. Niech łapserdaki zielenieją z zazdrości... Ciubuńciam Twoje łapciuńcie — Tomek".

„P. S. — Ubzdryngoliłem się wczoraj na bibce i wątróbka się odezwała. Proszę, dowiedz się u Lipczyńskiego, jakie to proszki. Zgubiłem receptę. Najlepiej tam zrobić i przyślij. Tylko one mi pomagają. Bubusiam mocno na dobranoc — J. W. P. prof. dr. inż. hr. Tomasz, tytularny kandelabr J. K. M."..

Murek złożył list i mruknął:

— Bezczelny błazen.

— Nie, panie Franku. To dzieciak. On jest bardzo dziecinny, a przytem artysta. My, ludzie zwyczajni, nie zawsze potrafimy poznać się na tem. To jest zupełnie inna konstytucja psychiczna.

— Zawracanie głowy! — zirytował się. — Dziecinny i artysta, ale o forsie i o własnej wątrobie umie pamiętać. Przecie w tym liście niema słówka o pani, niema cienia współczucia, czy troski. Poprostu ohydne. On chyba wogóle nie potrafi myśleć o czemś innem, jak tylko o sobie!

Mika uśmiechnęła się blado:

— Tacy są wszyscy mężczyźni. Cóż na to poradzić?...

— Nieprawda — impulsywnie zaprzeczył Murek.

— O, nie chciałam pana dotknąć. Pan najlepiej wie, że pana uważam za wyjątek. Pan jest wyjątkiem.

Spojrzał na nią posępnie i nic nie odpowiedział. Dziwnego uczucia doznawał za każdym razem, gdy Mika w ten sposób o nim mówiła. Gdzieś w głębi piersi ściskało się coś boleśnie, a jednocześnie odczuwał ulgę, podobną do tej, jaką daje zmęczonemu i zgrzanemu ciału chłodna kąpiel. Nie odpierał już nawet w myśli jej uznania, jej szacunku. Odnosił je automatycznie do swej przeszłości, która wydawała się mu teraz rzeczywiście godnem podziwu bohaterstwem. Słuchał tego, jak legendy o dawnych olbrzymach i rycerzach, których już dzisiaj niema i być niemoże. Chwilami ogarniała go jakaś niedobra radość, że nietylko on, ale wszyscy są źli i nędzni. Jeżeli nie są aż tak źli, jak on, to jedynie dlatego, że brak im odwagi i że każdy ma coś do stracenia.

Przestając wszakże z Miką, z Lipczyńskimi, z Minasowiczem i z całem ich licznem przecie towarzystwem, nie mógł zamknąć oczu na ich uczciwość, na to, że kierują się w życiu zasadami, których on się wyrzekł. Budziło to w nim zawiść i niedowierzanie, ale jednocześnie i jakieś zadowolenie i chęć uchodzenia między nimi za podobnego. Chęć ta zaś bywała niekiedy tak silna, że utożsamiała się z przedświadczeniem, iż właśnie nie różni się od nich. Pozwalała mu zapominać o swojej rzeczywistości.

Więcej, bo podniecała go do dostarczenia im i sobie samemu dowodów, namacalnych dowodów, że jest takim, jakim oni go widzą.

I teraz zaczęło go nurtować to pragnienie. Czuł się tu niejako wysłannikiem Lipczyńskiego i całej reszty przyjaciół Miki. Wiedział, że powierzyli mu czuwanie nad nią i nad jej nieszczęściem, że nie wątpią o jego najlepszych zamiarach, że wierzą w jego opiekę. Tę

zaś opiekę rozumiał dwojako. Przedewszystkiem należało zapewnić Mice pokrycie wszelkich braków materjalnych, co zdołał osiągnąć prośbami i perswazjami. Po drugie jeszcze bardziej potrzebowała odprężenia nerwów, odczucia ludzkiej przyjaźni i serdeczności. Powinna była zrozumieć, że nie jest potępiona, że jej bliscy odnoszą się do niej z niezmierną życzliwością. Przecie dlatego odsunęła się od wszystkich, dlatego zamknęła się w domu, że straciła na to nadzieję.

Od tego dnia Murek codziennie odwiedzał Mikę, a po dłuższej naradzie z Lipczyńskimi, udało mu się przekonać dziewczynę, że powinna przyjąć panią Lipczyńską, która czuje się wciąż obrażona za brak zaufania. Odtąd oprócz Murka codziennym gościem u Miki bywała pani Lipczyńska. Wychodziły zrana razem na przechadzkę i zaprzyjaźniły się jeszcze bardziej.

Murek mógł poświęcić tylko wieczory, rzadziej popołudnia. A i to stawało się coraz trudniejsze.

Po krótkim okresie rekordowego powodzenia, w Medanie zaczęło się dziać gorzej. Frekwencja spadała gwałtownie. Nie pomogła nowa wielka kampanja reklamowa. Medana opustoszała. Wreszcie Czaban zadecydował:

— Ludzie nie mają pieniędzy. Oto wszystko. Trzeba zatem obniżyć ceny.

Ceny obniżano z dnia na dzień i nasilono propagandę, ale i to nie dało spodziewanych skutków. Poraz pierwszy Medana nie wypłaciła miesięcznych pensyj swoim pracownikom. Bieżące weksle udało się prolongować tylko z największym trudem. Powszechny głód gotówkowy, mnożące się bankructwa i wogóle pogłębianie się kryzysu uczyniły drobnych kapitalistów szczególnie nerwowymi. To też wiadomości o kłopotach Medany odezwały się natychmiastowem echem. Pomniejsi akcjonarjusze nagwałt usiłowali pozbyć się swoich pakietów. Podaż akcyj obu Towarzystw przybrała charakter paniki. Napróżno zainteresowane banki i same zarządy Towarzystw zapewniały, że niepowodzenie jest chwilowe i minie wraz z sezonem wiosennym.

Banki belgijskie, finansujące elektrownię, zdecydowały się wreszcie na dorżnięcie przedsiębiorstwa. Nie otrzymawszy trzeciej kolejnej raty, wystawiły elektrownię w Medanie na licytację. Było to uderzeniem pioruna. Biura budowlane, wznoszące wokół Medany kilkaset will w celach spekulacyjnych, z miejsca przerwały budowę. W dziennikach zaroiło się od ogłoszeń, oferujących działki w Medanie.

— Warjaci, skończeni warjaci! — wołał Czaban. — Przyjdzie lato i będziemy mieli zatrzęsienie gotówki.

— Do lata trzeba wytrzymać — odpowiedział Murek.

— I wytrzymamy!

— Wątpię.

Całe noce spędzali na wertowaniu bilansów, na układaniu preliminarzów, na szukaniu możliwości przetrwania. W ciągu dnia odbywali konferencje z kierownikami, z delegatami pracowników, z właścicielami przedsiębiorstw handlowych, które chciały się już likwidować, z wierzycielami, którzy gotowi byli ułożyć się na pięćdziesiąt, bodaj na czterdzieści procent, byle wycofać część gotówki.

Pani Czabanowa płakała całemi dniami i sam jej widok, istne uosobienie klęski, doprowadzał Czabana do ostatecznej furji. W końcu wyprowadził się od siebie do córki i zięcia. Tunka miała tę dobrą stronę, że nie przejmowała się sytuacją Medany. Była pogodna i nie działała na nerwy. Zięć, chociaż usposobiony dość pesymistycznie, nie opuszczał rąk i można było z nim wytrzymać. W jego tajemniczych codziennych wyjazdach do Warszawy, Czaban był skłonny dopatrywać się też jakiej takiej nadziei. Sądził, że zięć na własną rękę szuka ratunku, a nie chciał go wypytywać, gdyż będąc z natury przesądnym, bał się zapeszyć jego zabiegi.

Któregoś dnia zapytał natomiast Tunkę:

— Jak myślisz, poco on ciągle lata do miasta, a?

— Nie wiem — wzruszyła ramionami.

— Jakto? I nie interesujesz się tem?

— Przypuszczam, że poprostu ucieka od... nudów.

— Gadasz głupstwa. Taki on do hulanek i kobiet, jak ja do robótek ręcznych.

— Nie twierdziłam, że hula, a nawet myślę, że mnie nie zdradza. Nudzi się jednak ze mną. Gdy tylko wolny jest od pracy, zaraz wyjeżdża.

— Ach, wy, baby! Wiecznie narzekacie.
— Wcale nie narzekam.
— Cóż ty jemu możesz zarzucić?
— Nic też nie zarzucam. Jest zupełnie... poprawny.
— No widzisz. Ja ci go wybrałem, a ja się znam na ludziach.
W ten sposób zakończył rozmowę, bo przeczuwał, że Tunka nie jest szczęśliwa w małżeństwie i wolał tego z jej ust nie usłyszeć. Kochał córkę bardzo, a dowiedzenie się o tem, że nie jest szczęśliwa, byłoby nowym kłopotem i to w okresie, kiedy tak bez reszty zajęty był walką, do której musiał mobilizować całą swoją energję, wiarę i pomysłowość.
Nie zbywało mu na żadnym z tych trzech czynników, którym zawdzięczał swoje dotychczasowe powodzenie. Tym jednak razem trudno było o zwycięstwo.
Pewnego dnia, po długich kalkulacjach, podczas których doszedł do przekonania, że jakoś zdołają wytrwać do lata, powiedział zięciowi:
— Aż serce się kraje, że nie mamy z tobą jakiejś głupiej sumki.
— Owszem — zaśmiał się Murek. — W kasie jest czterysta z czemś złotych.
— Nie kpij. Nie chodzi o kasę. Medana nie ma forsy. Ale żebyśmy mogli wytrzasnąć dla siebie kilkaset tysięcy. Zastanów się tylko, a sam skapujesz.
— Żeby spakować manatki i zwiać?
— Głupiś, bracie. Ty nie rozumiesz na czem polega sztuka robienia interesów.
— A mianowicie?
— To nie sztuka zarobić na prosperującem przedsiębiorstwie. Sztuka zarobić na plajtującem! Pomyśl! Ho, ho! Gdybym miał teraz pół miljona w kieszeni! Nawet nie pół! Wystarczyłoby dwieście, trzysta tysięcy.
— Cóżbyś zrobił?
— Co?... Oto, przedewszystkiem cofnąłbym wszystkie płatne artykuły z pism. Przeciwnie, sam na lewo i na prawo opowiadałbym, że z Medaną koniec. Plajta!
Murek kiwnął głową:
— Teraz rozumiem. Chciałbyś skupić akcje.
— Po djabła akcje! Wierzytelności! Wierzytelności! Możnaby je wtedy nabywać za dwadzieścia, za piętnaście, za dziesięć procent! I te wille też. Przecie w razie plajty Medany, w razie zamknięcia kasyna i sanatorjów, one nie będą więcej warte, niż budulec na rozbiórkę! A elektrownia?
— To prawda — przyznał Murek. — Ale czy opłaciłoby się pakować w ten interes jeszcze cokolwiek?
— Kokosy! Kupić na licytacji tę elektrownię! Co? A?...
— A w razie plajty?... A jeżeli lato nic nie da?...
— Musi dać! Po zlicytowaniu zaś elektrowni — entuzjazmował się Czaban — upada i kontrakt z nią zawarty przez nas. Zatem nowy właściciel będzie mógł dyktować za prąd takie ceny, jakie zechce.
— No, możemy się nie zgodzić.
— Frajerze! Ale my się zgodzimy, bo elektrownia będzie naszą własnością!
Zerwał się i zaczął biegać po pokoju:
— Forsy mi dajcie! Forsy! Marne dwieście tysięcy!
— Daj spokój — reflektował go Murek. — Gdybyśmy nawet skąd wydobyli te pieniądze, wolałbym je schować na wszelki wypadek, niż ryzykować, że po plajcie wyjdziemy bez portek.
Czaban zatrzymał się przed nim:
— A z czem tu przyszedłeś, a?...
— Ja z niczem, ale ty.
— No, więc ty nic nie stracisz, tylko ja. A ja gotów jestem raczej stracić więcej, niż pozwolić takiej okazji przemknąć się mi pod nosem. I łeb mi pęka, by wykombinować owe dwieście tysięcy, choćby dwieście tysięcy! Gotów byłbym podkop pod jaki bank zrobić!... Cóż milczysz do licha!
Znowu stanął przed Murkiem i sam umilkł. Twarz zięcia nagle zbladła, a w oczach pojawił się nieznany dotychczas Czabanowi jakiś ostry wyraz.

— Jest pewien... sposób — cedząc słowa zaczął Murek. — Mam pewien sposób wydobycia... znacznej sumy... Ale tu trzeba byłoby zdecydować się na.. na coś gorszego, niż podkop, na coś niebezpieczniejszego.

— Mów — schwytał go za rękę Czaban.

Murek jednak wyrwał rękę:

— Nie, nie! — zawołał stanowczo. — Daj mi spokój. Muszę się jeszcze w tem rozpatrzeć.

— Warjacie! — zaszeptał Czaban. — Niema czasu na żadne ceregiele! Czy nie rozumiesz naszego położenia?

— A ty nie rozumiesz, że tu chodzi o stryczek?

Czaban odstąpił o krok, zrobił nieokreślony ruch ręką i po chwili odezwał się:

— Nu, stryczek to przykra rzecz. Zapewne. Ale nie każdy, kto zasługuje na stryczek, musi wisieć. Trzeba to zbadać, obliczyć możliwości...

— Właśnie, to chcę zrobić. I zostaw mi kilka dni na to.

— Jak chcesz.

Tegoż wieczora Murek znowu wyjechał do Warszawy. Zamiast jednak na Żoliborz, udał się na Pocztę. Upatrzywszy chwilę, gdy nikt nań nie zwracał uwagi, otworzył skrytkę. Odetchnął z ulgą. Szara koperta leżała na swojem miejscu i nikt jej nie dotykał, gdyż cieniutka nitka, którą ułożył tak, że najmniejsze poruszenie koperty musiałoby zmienić pozycję nitki, pozostała na swojem miejscu.

Wyjął kopertę i schował ją do kieszeni. Dziś już mógł nie obawiać się, że go zechcą zrewidować.

Zawarte w kopercie dokumenty szpiegowskie, dotyczące wojskowej fabryki w Rzeczkach, jak i szkice konstrukcyjne armatki „B. Z. — 38" mogły już nie przedstawiać dla żadnego z obcych państw żadnej wartości. Zbyt wiele minęło czasu, a wywiady zagranicznych sztabów napewno nie próżnowały. Należało jednak mieć nadzieję.

W każdym razie, posiadanie przy sobie takich papierów było niebezpieczne i Murkowi przyszło na myśl oddanie ich na przechowanie Lipczyńskiemu. Ten człowiek wolałby umrzeć, niż zajrzeć do powierzonego sobie pakunku, a ma w domu kasę ogniotrwałą.

Dr. Lipczyński bez trudu zgodził się przechować „listy" Murka na kilka dni i dokumenty w nowej, olakowanej kopercie powędrowały do pancernej kasy. Nadeszła właśnie żona chirurga i zaczęła opowiadać o swojej bytności u Miki:

— Biedactwo — mówiła — niknie w oczach. Wy nie macie pojęcia, jak ona się dręczy. Oczywiście, ukrywa to starannie, nadrabia miną, ale przecie zdaje sobie sprawę ze swojej tragedji. Bądź co bądź, to straszne znaleźć się w takiej sytuacji. Rozpacz mnie ogarnia, że właściwie niczem jej pomóc nie mogę. My jej nie potępimy, my postaramy się w miarę naszej umiejętności, nagrodzić jej krzywdę współczuciem i ciepłem. Ale inni! Ale świat! Dla ludzi będzie to hańba. Zakraczą ją biedactwo, zadziobią...

— O, zrobią to z radością — ponuro dodał Murek.

— Rozmawialiśmy już z mężem — ciągnęła pani Lipczyńska — by wysłać Mikę na decydujące dni gdzieś na wieś, a później wzięlibyśmy dziecko do siebie.

— Jakto, państwo wzięliby?...

— Adoptowalibyśmy — powiedział Lipczyński. — Żona kiedyś podsunęła Mice ostrożnie ten pomysł, ale ta nawet słuchać o tem nie chciała.

— No, widzą państwo! — ze złością zawołał Murek. — Jakże jej można przyjść z pomocą, kiedy ona wciąż ma fanaberje!

— Niech pan tak nie mówi — oburzyła się pani Lipczyńska. — Zresztą pan sam nie myśli o niej w ten sposób. To jest duszyczka subtelna, jak kwiat. Nie wiem, czy jest gdzieś na świecie istota mniej zasługująca na surowe słowa, na owe nieszczęścia, pod któremi ledwie dyszy biedactwo, na tę samotność, na ten brak jakiegokolwiek oparcia w podobnej chwili.

— Ma nas, przyjaciół...

— Ach, przyjaciół. To zamało. Sam pan wie, że nawet widzieć nikogo z nas nie chciała, póki pan od niej tego nie zażądał. Właściwie, jedynym bliskim dla niej człowiekiem jest pan. Ciągle mówi tylko o panu, czeka na każde pańskie przyjście. Tem żyje.

— To już przesada, proszę pani — zmieszał się Murek.

— Niema żadnej przesady. Przecie ona pana kocha.

Po tych słowach zapanowało milczenie. Murek siedział z oczami, utkwionemi w podłogę. Minęło kilka minut, zanim odezwał się pierwszy Lipczyński:

— Często myślałem nad tem, co może dać człowiekowi wielkie i prawdziwe szczęście. A prawdziwem szczęściem możemy nazwać tylko takie, którego trwałość jest nienaruszalna, niezależna od czynników zewnętrznych. I doszedłem do wniosku, że zdobycie takiego szczęścia może odbyć się tylko w duszy jednostki. Zdobycie przeświadczenia o własnej wartości, zdobycie wiary, że się wyzyskało wszystkie swoje siły, wszystkie możliwości dla podniesienia siebie. Że się osiągnęło szczyt osiągalnej sublimacji. Takie szczęście daje nam zupełną niezależność od losu. Ono dawało uśmiech męczennikom umierającym na płonących stosach. Ono daje pogodę w nędzy i radość codzienną tym, którzy w oczach przeciętnych śmiertelników uchodzą za najbardziej pokrzywdzonych... Myślę zaś, że takie szczęście można osiągnąć tylko przez wyrzeczenie się siebie. Przez poświęcenie swoich aspiracyj, upodobań, nadziei. Przez ofiarę. Przez ofiarę złożoną z siebie samego Bogu, czy ludziom. Oczywiście, nie wszystkim ten stopień doskonałości jest dostępny, ale mam głęboką cześć dla tych, którzy ku niemu dążą...

Znowu siedzieli w milczeniu. Murek zrozumiał, ku czemu zmierzały te abstrakcyjne wywody Lipczyńskiego i bał się, by oni tego nie poznali. Na szczęście do pokoju wbiegły dzieci i zaraz wpakowały się na kolana swego przyjaciela. O powrocie do niebezpiecznego tematu nie mogło już być mowy.

Przy kolacji chirurg opowiadał o swoim nowym pacjencie, jednym z najwyższych dygnitarzy państwowych, który podczas uczenia się pilotażu spadł tak niefortunnie wraz z samolotem, że roztrzaskał sobie obie szczęki. Lipczyński podjął się przeprowadzenia niezwykle trudnej operacji, połączonej nawet z transplantacją kości. W związku z tem studjował fachową literaturę i wprost od stołu poszedł do gabinetu. Wkrótce i Murek zaczął się żegnać. Do przedpokoju odprowadziła go pani Lipczyńska i tu przytrzymała jego rękę i patrząc mu w oczy powiedziała:

— Niech się pan ożeni z Miką. Uszczęśliwi pan najlepszą, najzacniejszą kobietę, a i dla siebie zdobędzie pan żonę, której przecie brak panu tak bardzo.

— Cóż za pomysł! — żachnął się Murek.

— Wydobędzie pan ją z tragicznej sytuacji. Pan jeden może to zrobić.

— Ale to jest niedorzeczne!

— Dlaczego? Czy pan ją potępia?

— Bynajmniej.

— No, właśnie. Kamień nam wszystkim spadnie z serca. Niech pan nie udaje małodusznego. Wiemy, co sądzić o panu, i dlatego wszyscy pragnęlibyśmy waszego małżeństwa.

Wybiegł od Lipczyńskich, wstrząśnięty tym projektem. Przez całą drogę powtarzał sobie:

— Nonsens, niepodobieństwo, absurd!

Jednakże nazajutrz myśl ta nie dawała mu spokoju. Ostatecznie był żonaty pod fałszywem nazwiskiem. W swoich prawdziwych dokumentach figurował jako kawaler. Zatem rzecz formalnie była do przeprowadzenia. Jednak popełniłby szaleństwo, pakując się w tak poważne komplikacje. Czyż nie po to wyrzekł się najbliższej sobie istoty, czyż nie postąpił z nią najplugawiej, w tym jedynie celu, by zapewnić sobie beztroskie, proste i wygodne życie! Czyż poto brnął z jednego łajdactwa w drugie, by teraz narażać się na nowe trudności, by zastawiać nowe pułapki na siebie?... I poco?.. Podeptał własne uczucia, a teraz ma roztkliwiać się nad cudzemi?...

— Nie, nie! Nonsens! — przekonywał siebie.

Gdy jednak wieczorem znalazł się u Miki, gdy patrzył na jej wychudłą twarz, na bezkrwiste wargi, na bolesny uśmiech niebieskich oczu, ściskało mu się serce i mimowoli raz po raz wracał do niedorzecznej koncepcji.

W dwa dni potem spotkał u Miki panią Lipczyńską i doktora Boruckiego, ginekologa, który wstąpił tu zarówno jako lekarz, jak i po przyjaźni. Wyszli razem. Borucki bez ogródek powiedział im, że stan Miki bardzo mu się nie podoba. Poród może być katastrofą zarówno dla matki, jak i dla dziecka. Szukać ratunku jego zdaniem należało tylko w doprowadzeniu psychiki pacjentki do jakiegoś, bodaj względnego spokoju, do równowagi.

— Brak snu, apetytu, migrena, nerwica żołądka — mówił, — wszystko to wycieńcza jej organizm i staje się coraz groźniejsze. A wszystko ma źródło w stanie jej nerwów. No, nie dziwię się. Ale gdybym dostał w ręce tamtego łobuza... Do stu djabłów!

Zatrzymał się, wybałuszył oczy i potrząsnął wielkiemi pięściami. Gdy już siedzieli w tramwaju, westchnął:

— Zresztą, może to i lepiej... Ciężki jest w naszem społeczeństwie los nieślubnej matki i nieślubnego dziecka...

Murek odprowadził panią Lipczyńską do domu. Nie rozmawiali ze sobą po drodze. Przy pożegnaniu też nie odezwała się ani słowem. Przy świetle latarni dostrzegł tylko, że w oczach miała łzy.

— Proszę pani — powiedział prędko, nie patrząc na nią, — pani jutro rano będzie u niej. Niech pani jej zakomunikuje, że... że przyjdę wieczorem. I że chcę ją prosić o rękę... Tak... A dziecko w każdym razie uznam za swoje... To wszystko.

Uchylił kapelusza i, nie czekając na odpowiedź, szybko poszedł spowrotem.

O, bynajmniej nie pod wpływem impulsu, nie pod naciskiem nagłego wzruszenia powziął tę decyzję. Przemyślał ją gruntownie i, jeżeli nie całkiem na zimno, to w każdym razie rzeczowo.

O co chodziło?... O uratowanie życia Mice. Poród miał odbyć się za sześć tygodni. Jeżeli w ciągu tego czasu jej nerwy pod wpływem nowych perspektyw życiowych dojdą do równowagi, poprawi się stan jej zdrowia i poród przejdzie bezpiecznie. Wtedy można będzie znaleźć jakiś przekonywujący pretekst do zerwania zaręczyn. Zaręczyny to jeszcze nie ślub. A dziecko adoptuje w każdym razie.

— Nowe oszustwo — mignęła mu w głowie refleksja. — Czyż ja nawet przy dobrych uczynkach muszę już zawsze popełniać oszustwa?... A jednak to konieczne. Ożenić się z nią nie mogę i dlatego, że kiedyś przecie moja przeszłość może wyjść najaw. A dla niej byłaby to nowa tragedja.

Z tak ułożonym planem, z pierścionkiem i z bukietem kwiatów zadzwonił nazajutrz wieczorem do mieszkania Miki.

Odrazu poznał, że musiała już słyszeć o wszystkiem od pani Lipczyńskiej. Była śmiertelnie blada, patrzyła nań szeroko otwartemi, jakby przerażonemi oczyma, dygotała tak, że nie mogła wydobyć z krtani ani słowa.

Usiadł przed nią i powiedział:

— Przyniosłem pani te kwiaty, bo jeżeli pani zechce przyjąć przychylnie moją prośbę, dziś będzie wspólna uroczystość. Nasze zaręczyny. Oto właśnie... Nie wiem, czy pani się podoba...

Z dziwnym trudem wymuszał na sobie wyraz po wyrazie. Niezręcznie odłożył zawinięty w bibułkę bukiet na stojące obok krzesło i wydobył z kieszeni pierścionek z brylancikiem i z dwiema niedużemi perłami. Niezgrabnie wziął jej bezwładną rękę, wsunął pierścionek na serdeczny palec (— Zaluźny — stwierdził w myśli), pocałował w rękę i bezradnie chrząknął. Bał się podnieść oczy i spotkać jej wzrok, by w jego spojrzeniu nie odczytała kłamstwa.

Mika jednak siedziała nieruchoma, z zamkniętemi powiekami i tylko nierówny, spazmatyczny oddech, który poruszał jej wątłemi piersiami, świadczył jak silne, jak głębokie przeżywa wzruszenie. Pomału podniosła powieki, spojrzała na błyszczący na ręku pierścionek i wybuchnęła łkaniem.

Napróżno starał się ją uspokoić, napróżno głaskał po włosach, napróżno przytulał. Dygotała w jego ramionach, jej ręce oplotły go kurczowo, a wśród szlochu wyrywały się z jej ust zniekształcone słowa, które z trudem rozumiał:

— Boże... Szczęście... Franku... Za co?... Jakiś ty nieludzko dobry... Nie jestem warta... Franku...

Paroksyzm stopniowo mijał. Szlochanie jeszcze wstrząsało ramionami Miki. Dojmujące uczucie litości walczyło w Murku z gniewem, który wzniecał przeciw sobie za tę słabość, za tę litość, za pragnienie przekreślenia całego planu i dotrzymania obietnicy.

Wreszcie Mika uspokoiła się zupełnie. Tylko wilgotne oczy i silne zaczerwienienie twarzy, czoła, a nawet szyi, świadczyło o niedawnym wybuchu wzruszenia. Uśmiechała się, patrząc mu w oczy z taką wdzięcznością, z takiem oddaniem, że aż ścisnęło mu się serce.

— Trzeba te kwiaty włożyć do wody — szepnęła.

Wzięła z krzesła bukiet i, jakby chwiejąc się na nogach, wyszła do łazienki.

Murek właśnie sięgnął po papierosa, gdy rozległ się brzęk rozbitego szkła i ciężki odgłos padającego ciała. Skoczył do drzwi. Na podłodze w łazience leżała Mika, wijąc się z bólu. Z zaciśniętych zębów wydobywało się głuche: — Aaaa... Palcami zagiętemi kurczowo, rozrywała na sobie suknię.

Zrozumiał i, nie tracąc chwili czasu, wybiegł na schody. Przeskakując po kilka stopni, w minutę był już w mieszkaniu o dwa piętra niżej, gdzie — jak wiedział — pozwalano Mice używać telefonu. Na szczęście Lipczyńscy byli w domu. Obiecali natychmiast przyjechać i wszystkiem się zająć.

Gdy Murek wrócił na górę, zastał Mikę nieruchomą. W pierwszej chwili przeraził się, lecz zaraz potem odczuł na przegubie ręki słaby puls i stwierdził:

— Zemdlała.

Bał się jednak podnieść ją z podłogi. Mogło to wywołać nowy atak bólów. Namoczył ręcznik w zimnej wodzie, przyklęknął i ostrożnie zaczął ją cucić. Mika jednak nie odzyskiwała przytomności. Mijały minuty po minutach, a tamci nie przyjeżdżali.

Nareszcie w przedpokoju rozległ się tupot kroków. Pierwszy wpadł Lipczyński ze swoim lekarskim neseserem w ręku. Po chwili wbiegła pani Lipczyńska i nie zdejmując kapelusza, ani futra, zaczęła pomagać mężowi w cuceniu Miki. Zemdloną przenieśli na jej łóżko do drugiego pokoju. Murek usiadł w pierwszym i palił papierosa za papierosem. Wkrótce wpadł do mieszkania doktór Borucki, a niedługo po nim jakaś niemłoda pani z walizką.

Z sypialni dobiegały przyciszone głosy, tupot kroków i jęki. W łazience trzeszczało pod butami szkło rozbitego wazonu, plusk wody mieszał się z warczeniem gazowego palnika.

Murek siedział jak odrętwiały. Nie wiedział, ile minęło czasu. Otrzeźwił go nagle ostry, rozpaczliwy krzyk, krzyk niesamowity, długi, przeszywający.

Instynktownie zerwał się z krzesła i podbiegł do drzwi, lecz zatrzymał się przed niemi. Zmieszany tupot nóg i urywane słowa, jeszcze kilka minut i drzwi otworzyły się. Z poduszką w ręku weszła szybko owa starsza kobieta. Na poduszce leżało małe, czerwone ciałko, jakby odarte ze skóry, sinawe i nieruchome. Czyjś rozkazujący głos zawołał:

— Sztuczne oddychanie, rozdąć płuca!

Kobieta położyła poduszkę na stole i pochyliła się nad nią. Po dłuższym czasie odezwała się zdyszanym głosem:

— Żyje... Czy to pan jest ojcem?... Pański synek żyje...

— Żyje — głucho powtórzył Murek, lecz nie mógł zmusić się do rzucenia okiem na poduszkę.

Z sypialni wyszedł Lipczyński. Włosy miał w nieładzie, czoło spocone.

— Co z dzieckiem? — zapytał.

— Żyje.

— Owinąć i grzejniki. W łazience są płaskie butelki — mówił z trudem i zwrócił się do Murka: — Księdza trzeba. Zaraz. Czy pan nie wie, gdzie tu najbliżej?...

— Nie wiem — odpowiedział Murek.

— Dowiem się od dozorcy — kiwnął głową chirurg i wybiegł z mieszkania.

Zegar wskazywał trzecią, gdy Lipczyński wrócił z księdzem. Z łazienki dolatywał urywany, piskliwy płacz niemowlęcia. W powietrzu pachniało lekarstwami. Z sypialni wyszli wszyscy, zostawiając chorą z księdzem. Pani Lipczyńska mówiła coś doktorowi Boruckiemu, a on tylko przecząco potrząsał głową. Z dołu przyszła dozorczyni i przyniosła gromnicę. Okazało się, że niepotrzebnie, bo towarzyszący księdzu kościelny był równie przewidujący.

— Czy niema ratunku? — zapytał Lipczyńskiego Murek.

— Bóg czasem robi cuda — odpowiedział chirurg.

Po chwili ksiądz wyszedł, rozejrzał się i zapytał:

— Czy jest tu pan Murek?

— Jestem.

— Pan jest narzeczonym?

— Tak.

— Umierająca, której przed chwilą udzieliłem Najświętszego Sakramentu, ma nadzieję, że nie odmówi pan jej prośbie. Chce przed śmiercią połączyć się z panem węzłem małżeńskim. Nie chodzi jej, rzecz zrozumiała, o siebie, lecz o przyszłość dziecka.

Zapanowało milczenie. Murek powiódł po obecnych nieprzytomnym wzrokiem.

— Jeżeli pan zgadza się — dodał ksiądz — to mogę ślubu udzielić zaraz, bez formalności. In articulo mortis. Tylko świadkowie muszą mnie zapewnić, że żadnych przeszkód niema.

Znowu zaległo milczenie. Murek czuł na sobie wzrok wszystkich, oczekujących jego decyzji.

— Zgadzam się — powiedział ochrypłym głosem.

Na łóżku blada, niemal przezroczysta, z zamkniętemi oczami Mika wyglądała jak nieżywa. Jej jasne włosy w tem przyćmionem świetle przypominały aureolę świętych ze starych, wypłowiałych obrazów. Uniosła powieki, gdy Murek ucałował ją w rękę i szepnęła:

— Niech ci tę dobroć Bóg nagrodzi...

Stanęli półkolem. Ktoś podniósł z podłogi w łazience kwiaty i przyniósł je, by położyć na kołdrze. Były to kremowe róże. Niektóre zgnieciono i zdeptano podczas krzątaniny. I gromnice przydały się. Na stoliku przykrytym białą serwetką ustawiono je po obu stronach małego czarnego krucyfiksu. Żółte płomyki paliły się jasno.

Ksiądz dał znak ręką, wskazując Murkowi miejsce przy wezgłowiu i zaczął swoje obrzędowe modlitwy. Nie miał książeczki i mówił je z pamięci. Lecz, czy pamięć go zawodziła, czy wzruszenie pomieszało łacińskie słowa, modlitwa urywała się raz po raz, a kościelny w każdej pauzie na wszelki wypadek dopowiadał „amen".

Pod drzwiami skulona na klęczkach szlochała pani Lipczyńska.

Murek czuł na dłoni lekki uścisk drobnej ręki Miki. Była zupełnie przytomna i nikły uśmiech nie schodził z jej twarzy. Teraz powtarzali za księdzem sakramentalne słowa:

— ...biorę sobie ciebie za małżonkę...

I dalej. Usta Miki ledwie się poruszały, lecz taka była cisza w pokoju, że i ten ledwie dosłyszalny szept wszyscy słyszeli.

Przy słowach: „i że nie opuszczę cię aż do śmierci", — skonała. Nieco wyżej uniosły się piersi w oddechu i głowa bezwładnie osunęła się nabok. Tylko koło ust pozostał ten sam pogodny uśmiech.

Wszyscy poklękali i tylko ksiądz odwrócił się od nich: kończył obrzęd ślubu, biorąc obecnych na świadków wobec Boga i ludzi, że tych dwoje połączył sakramentem małżeństwa.

ROZDZIAŁ VI

Tymczasem dziecko zabrali doktorostwo Lipczyńscy. Oni też zajęli się sprawami związanemi z pogrzebem i zawiadomieniem rodziny zmarłej. Jakieś formalności i święta spowodowały, że pogrzeb wyznaczono dopiero na piąty dzień po śmierci.

Murek przez te kilka dni nie pokazał się w Warszawie. Wstrząs, jaki przeżył, doprowadził go niemal do otępienia. Tunka była przerażona, Czabanowa błagała go, by powiedział jej, co się stało, Czaban namawiał na lekarzy. Przyprowadził nawet doktora Sążnia, lecz Murek wogóle nie chciał go widzieć.

— Ależ, chłopie — załamywał ręce Czaban, — oprzytomnij. Nam tu ziemia pali się pod nogami! Nie chcę się wtrącać, co cię tak przygniotło, ale miałeś wydobyć forsę!

— Dobrze, dobrze — zbywał go Murek. — Daj mi teraz spokój.

Po kilku dniach niespodziewanie wyjechał do Warszawy. Rodzina Czabanów, dowiedziawszy się o tem, orzekła, że to dobry znak. Tymczasem Murek pojechał na pogrzeb. Na cmentarzu ściskał ręce brata Miki i bratowej, a także wielu dalszych krewnych, których nie znał. Nikt z nich nie wiedział o istnieniu Tomasza Kańskiego i dlatego w Murku widzieli winowajcę śmierci Miki. Kilka osób posunęło się nawet do wypowiedzenia ostrych uwag.

I to właśnie trochę otrzeźwiło Murka. Nie protestował i ani myślał bronić się, czy usprawiedliwiać. Czuł jakąś niewytłumaczalną przyjemność w znoszeniu tych niezasłużonych oskarżeń.

Przy mogile został długo. Wszyscy już się rozeszli i sprawiła mu ulgę ta samotność. Okazało się jednak, że dr. Lipczyński czekał nań przy bramie. Długi czas szli obok w milczeniu.

— Jak się Warszawa rozbudowuje — zaczął wreszcie chirurg. — Patrz pan, co za kamienica! Przed rokiem był tu, o ile się nie mylę, nędzny zakład kamieniarski, czy może ogród warzywny...

— Czy dziecko jest zdrowe? — przerwał Murek.

— Zupełnie zdrowe. Przedwczoraj była obawa, że nie wytrzyma. Ochrzciliśmy je wobec tego. Daliśmy mu pańskie imię. Nic pan nie ma przeciw temu?

— Nie! Zabiorę je do siebie.

— Żona się zmartwi. Zakochała się w maleństwie. Ale będzie przecie mogła je odwiedzać.

— Wyjeżdżam — sucho odpowiedział Murek. — Wyjeżdżam na długo i daleko.

— O, szkoda. Polubiliśmy pana, panie Franciszku, szczerze. Ale trudno. Szkoda tylko, że już pan chce jechać, bo widzi pan... Istnieją pewne możliwości. Nie zawracałbym panu w takiej chwili tem głowy, ale skoro pan zamierza wyjechać... Wspomniałem panu niedawno o tym ministrze, którego leczę...

— Owszem, pamiętam. Uczył się pilotażu i spadł.

— Właśnie. Odwiedzają go różni dygnitarze i tak jakoś zgadało się, proszę nie brać mi tego za złe, zgadało się o panu...

— O mnie? — zdziwił się Murek.

— I wyobraź pan sobie, że jeden z nich, jak się okazało, zna pańską sprawę.

— Ale jaką sprawę? — zaniepokoił się Murek.

— No, sprawę zredukowania pana. Miał w ręku pańskie podanie o rehabilitację złożone na imię Prezydenta Rzeczypospolitej.

Murek machnął ręką:

— Ach, to?... Dawne dzieje.

— Otóż, przycisnąłem go i obiecał solennie, że sprawdzi, jak się rzecz przedstawia i da mi znać. Jeżeli zatem mógłby pan poczekać z wyjazdem... kilka dni. Tembardziej, że i dziecko wolałbym jeszcze jakiś czas mieć na oku. Takie, przed terminem urodzone dzieci wymagają szczególnie pieczołowitej opieki. Pan zaś, jako samotny, musiałby powierzyć opiekę osobom obcym.

— Dobrze — zgodził się Murek.

— Wstąpimy do nas? — zaproponował Lipczyński. — Zobaczy pan Franka.

— Wstąpię. Tembardziej, że chciałbym zabrać tę kopertę, którą pan był łaskaw wziąć na przechowanie.

Niemowlę było brzydkie podawnemu, lecz nie tak czerwone. Pani Lipczyńska utrzymywała, że jest śliczne i zmartwiła się wiadomością, że Murek chce je zabrać. Zaczęła go przekonywać i namawiać, lecz nie zgodził się. Zapowiedział w końcu, że jeszcze się namyśli. W istocie, pragnął przed decyzją rozmówić się z Tunką.

Narazie zabrał depozyt i wrócił do Medany.

— Dam mu to i niech robi, co chce — myślał, idąc do Czabana.

Zastał go w gabinecie, użerającego się z delegacją pracowników o zaległe pensje.

— Niech panowie zostawią nas samych — powiedział stanowczym tonem. — Przypuszczam, że wkrótce będziemy mogli wypłacić zaległości.

Gdy wyszli, sprawdził, czy nikt nie może podsłuchiwać, pozamykał drzwi na klucz, i położył przed Czabanem kopertę.

— Co to jest? — zapytał Czaban.

— Albo bezwartościowa makulatura, albo kilkaset tysięcy. Nie wiem. Otwórz i zobacz.

Czaban rozciął kopertę, wyjął z niej drugą i z niej paczkę starannie złożonych papierów. Przejrzał kilka z brzegu, poczerwieniał i podniósł na Murka oczy:

— Skąd to masz?

— To obojętne. Mam i tyle.

Czaban zagwizdał:

— Fiu, fiu, nie wiedziałem, że ty takie ecie-pecie potrafisz... To poważna sprawa...

Murek usiadł i zapalił papierosa, Czaban zaś systematycznie przeglądał papiery, arkusz po arkuszu.

— To komplet? — zapytał.

— Pełny komplet. Wystarczy każdemu. I nam też, jako bilet wolnej jazdy na szubienicę.

— Daj spokój — skrzywił się Czaban i zastukał zgiętym palcem w drewniany spód szuflady. — Powiedz lepiej, czy tego szukają? Skradzione z fabryki?

— Nie szukają, bo nie skradzione. Same kopje, fotografje i odpisy. Zresztą, gdyby nawet szukali, to od paru lat musieli już przestać.

— Od paru lat? — z rozczarowaniem zapytał Czaban. — Więc to już może być nic nie warte?

— Może być. Ale nie sądzę. Przekonamy się o tem, gdy znajdziemy kupca. Jeżeli oczywiście zechcesz ryzykować głową.

— Co znaczy, czy zechcę? — wykrzyknął Czaban. — Muszę!

Poderwał się z miejsca i zaczął chodzić po pokoju, mrucząc pod nosem:

— Kto to kupi?... Kto to kupi?...

Murek rozłożył ręce:

— Nie wiem.

— Anglicy nie, Amerykanie też nie. Tu można brać w rachubę tylko Berlin i Moskwę.

— Zapewne.

Czaban zirytował się:

— Zapewne! Zapewne! Ale jak to przeprowadzić, do jasnej cholery!

— Tego już nie wiem.

— Ba, to oczywiście postawiłoby nas na nogi... Hm... A może zrobić poprostu: pójść do ambasady i zaproponować?

— Ale co?

— No całe te papiery.

— Zatem musiałbyś je zabrać ze sobą. Kota w worku nie kupią.

— Więc zabiorę.

Murek zaśmiał się:

— Ale oni mogą wówczas wszystko zatrzymać i grosza nie dać. Co im zrobisz?

— Psiakrew, racja.

— Jeżeli zaś już mają te dane, kto ci zaręczy, że nie przyjdzie im do głowy oddać cię w ręce policji?

— W jakim celu?

— Czy ja wiem?.. Powiedzmy poto, by zjednać sobie polski rząd okazaniem takiej lojalności...

— Zupełnie możliwe — przyznał Czaban.

— Jest jeszcze jeden sposób, nad którym kiedyś zastanawiałem się.

— Mianowicie?

— Użyć pośrednika. Znam niejakiego Bigelsteina, adwokata. On jest z nimi w stałym kontakcie. Ale tu trzeba byłoby oddać mu przynajmniej połowę.

— Niema gadania — zakrzyczał Czaban. — Zwarjowałeś?

— No, więc ja już nic więcej nie wymyślę.

Wstał, lecz Czaban go zatrzymał:

— Czekaj!... Jak sądzisz, czy telefonicznie możnaby porozumieć się bez obawy?

— Nie radziłbym.

— Żebym, psiakrew, którego z tych dyplomatów znał osobiście!

— No, na to jest rada — zauważył Murek.

— Jaka?

— Możesz poznać kogo zechcesz.

— W jaki sposób?

— A chociażby zaprosić oficjalnie na obejrzenie Medany.

Czaban klasnął w ręce:

— To jest pomysł!

— Ty go, powiedzmy, sprowadzisz tu. Facet będzie zwiedzał, oglądał, a w pewnym momencie powiesz mu z miejsca: Szanowny panie, tu, za temi oto drzwiami jest człowiek godny zaufania, człowiek, za którego osobiście ręczę. Ma on do pana interes.

— No, i co dalej?

— A no, pokażę mu w cztery oczy te papiery i zaproponuję kupno. Zgodzi się, to nazajutrz przyniesie forsę i zabierze, — nie zgodzi się, to nawet nie będzie wiedział, z kim rozmawiał, a ciebie sypnąć nie może, bo wyprzesz się wszystkiego i nic nam nie zrobią.

— Rozumiem. Masz kepełe. Dowidzenia.

— Dokąd?

— Do Warszawy. Zatelefonuję, by cię uprzedzić. Gdzie chcesz z nim gadać, tutaj?

— Za żadne skarby! Najlepiej w jednym z pokojów w kasynie. W razie czego będziesz mógł twierdzić, że był to ktoś całkiem ci nieznany, zwykły gość.

— Wybornie. Czekaj telefonu — uścisnął jego rękę Czaban. — Jeżeli mi się poszczęści, wrócę z facetem.

Jednak wyprawa Czabana nie odrazu powiodła się. Dopiero po trzech dniach udało się ściągnąć do Medany cały wyższy personel ambasady. Natomiast podczas swoich wizyt w obcem przedstawicielstwie Czaban zorjentował się, który z dyplomatów jest osobą miarodajną i decydującą w podobnych sprawach. Słowem, kto jest szefem akcji szpiegowskiej. Pan F. Kiner zajmował w ambasadzie podrzędne stanowisko, a nawet wyglądał dość niepozornie. Gdy wszedł do pokoju, w którym oczekiwał go Murek, robił wrażenie jakby onieśmielonego.

— Nikt tu nas nie słyszy. Drzwi zamykam na klucz. Chcę panu przedstawić pewną poważną propozycję.

— Mnie? — udał zdziwienie Kiner, lecz wyraz jego oczu, ostry i badawczy, zdradzał, że orjentuje się w sytuacji.

— To pana do niczego nie obowiązuje. Proszę tylko mnie wysłuchać. Zechce pan usiąść — podsunął mu krzesło.

— Dobrze, słucham pana — usiadł Kiner.

Murek zaczął od wstępu:

— Nie zajmuję się szpiegostwem. Ponieważ jednak jestem obywatelem rumuńskim i wobec państwa polskiego do żadnych sentymentów się nie poczuwam, a nastręcza mi się okazja zarobienia poważnej sumy, wymyśliłem pretekst, by namówić dyrektora Medany, do zetknięcia mnie z panem. Zapewniłem go, że chcę skorzystać z wizyty pana w Medanie, dokąd umyślnie przyjechałem, i prosić pana o interwencję w sprawie aresztowanej przez waszą policję mojej kuzynki. To był jednak tylko pretekst.

— A jakaż sprawa? — z lekką niecierpliwością zapytał Kiner.

— Sprawa jest taka. Mam szwagra, który z tytułu swego stanowiska może mieć dostęp do ważnych dokumentów, dotyczących uzbrojenia i przemysłu wojennego w Polsce. Szwagier zgrał się tu niedawno w kasynie i grozi mu dużo kłopotów. Chcę mu pomóc.

— Zatem?

— Zatem zapytuję pana, czy nie zainteresowałaby pana Wytwórnia Wojskowa w Rzeczkach i produkowane przez nią armatki B. Z. — 38?

Kiner rozłożył ręce:

— Ja się takiemi rzeczami nie zajmuję.

— To szkoda — Murek wstał.

— Zaraz, panie. A jakie wiadomości pan o tem ma?

— Wszystkie. Plany, rysunki, obliczenia, statystykę.

Dyplomata rozejrzał się:

— Czy musimy mówić w tym pokoju?

— Jak pan sobie życzy — uśmiechnął się Murek. — Ale wiem, o co panu chodzi. Tu napewno nikt nie podsłuchuje i napewno w ścianach nie ukryto mikrofonu. Zresztą proszę mi się przyjrzeć: czy wyglądam na agenta drugiego oddziału, który chce pana skompromitować, czy na człowieka, zamierzającego zrobić dobry interes? Pański zawód, czy też pańskie stanowisko zmusza pana do znania się na ludziach.

Kiner nie odpowiedział. Przeszedł się po pokoju, wyjrzał przez okno, potem odsunął nabok sztych w ramce wiszący na ścianie, otworzył drzwi i wyjrzał na pusty o tej porze korytarz. Wreszcie zapytał:

— Gdzie pan to ma?
— Tutaj. Przy sobie — Murek dotknął ręką kieszeni.
— Proszę pokazać.
Bez słowa Murek wyjął kopertę i jeden po drugim zaczął rozkładać na stole przed Kinerem papiery. W sposobie przeglądania widać było znawcę. Nie pytał o nic, szybko przerzucał dokumenty i rysunki. W końcu złożył i odsunął.
— Tak, owszem. Nie są to rzeczy nowe, ale ostatecznie mogą się przydać.
— Pan nawet nie wyobraża sobie — zachęcająco powiedział Murek — ile sobie polski sztab obiecuje po tych armatkach.
Dyplomata zaśmiał się:
— Owszem, wyobrażam sobie. Ale polski sztab myli się.
— To może okazać się tylko w wypadku wojny.
— Tak... No, a ile pan sobie obiecuje?
— Czterysta tysięcy.
— Lej rumuńskich?
— Nie, złotych.
Kiner wstał i wyciągnął do Murka rękę:
— Żegnam pana. Tracimy czas. Widzę, że pan rzeczywiście nie jest fachowcem w tych sprawach. Suma, którą mógłbym zaproponować... Ach, szkoda czasu. Za takie materjały nie płaci się wyżej niż kilka tysięcy.
— Fachowcem nie jestem — pakując papiery, chłodno powiedział Murek, ale wczoraj od kogoś, kto jest mniej niż pan zainteresowany w nabyciu tych rzeczy, słyszałem... sumę sześciocyfrową.
— Optymista — wzruszył ramionami Kiner.
— Optymista, zgadzam się, bo zdaje się mu, że trafił na naiwnego.
— Więc mówmy serjo: ile pan żąda?
— Czterysta tysięcy.
— Panie, ależ to absurd!
— Z tej kwoty mogę ustąpić dziesięć procent dla pana, jako prowizję.
Kiner obrzucił Murka pogardliwem spojrzeniem.
— Dziękuję panu, ale ja za swoją pracę pobieram pensję. Można być szpiegiem, a nie być jednocześnie łapownikiem.
— To już mnie nie interesuje.
— Zatem ile?
— Zatem czterysta — uparcie powtórzył Murek. Tak go rozdrażniło to, że ten typek chciał mu zaimponować swoją moralnością, że teraz postanowił raczej zniszczyć wszystkie dokumenty, niż ustąpić mu bodaj pięć złotych.
Kinerowi jednak widocznie bardzo zależało na zdobyciu tych materjałów, gdyż targował się zawzięcie. Jeszcze raz przejrzał wszystko, jeszcze dwa razy się żegnał, wreszcie powiedział:
— Więc dobrze. Zapłacę panu trzysta tysięcy równe...
— Czterysta.
— Niech pan nie przerywa. Trzysta. Jutro przyjadę tu o pierwszej z panem, który przywiezie pieniądze i wypłaci je panu. Oczywiście z ręki do ręki. Do jutra pan się namyśli, ale i ja się namyślę. Tu, w kasynie, w tymże pokoju o pierwszej. Dowidzenia.
— Należy być przygotowanym na wszystko — mówił w godzinę później Czabanowi Murek. — Owym gościem, co ma przywieźć pieniądze, może być wywiadowca policyjny.
To też nazajutrz zachowano wszelkie środki ostrożności. Obawy jednak okazały się zbędne. Kiner przyjechał punktualnie z jakimś drabem, wyglądającym bardziej na tragarza w niedzielnem ubraniu niż na funkcjonarjusza dyplomatycznego. W kwadrans rzecz była załatwiona i Murek, ściskając w ręku paczkę banknotów, widział przez okno odjeżdżającą czarną limuzynę.
Do pokoju wszedł Czaban.
— Załatwione? — zapytał niespokojnie.
— Przelicz — podał mu pieniądze Murek.
Obojętnie przyglądał się Czabanowi i plikom banknotów. Zrodziła się w nim dziwna potrzeba ostudzenia radości Czabana.

— Czy wiesz, cośmy zrobili? — odezwał się.
— Jakto co?
— To się nazywa zdradą państwa. Pomyśl: z tych armatek będą strzelać do naszych żołnierzy. Kto wie, ile trupów naprodukowaliśmy przez tę tranzakcję?...
Czaban wzruszył ramionami i burknął z wyraźnem niezadowoleniem:
— Dajże spokój. Trudno. Stało się. Nie było innego sposobu.
— Słuchaj teraz — wziął go za rękę Murek. — Czy ty naprawdę wierzysz, że nie można być uczciwym człowiekiem?
— Do djabła z filozofowaniem...
— Nie, ale odpowiedz!
Czaban zamyślił się:
— Zapewne, można. Ale najlepiej nie zastanawiać się nad podobnemi rzeczami. — Żyć, jak idzie, i koniec. Poco sobie psuć nerwy?... No, zabieraj się, jedziemy teraz gadać z Szubińskim o elektrowni. Idjota myśli, że nie mamy pieniędzy. Ładnie ich urządzimy, co?... Mówię ci, żeśmy się dobrali w korcu maku, a?...
— Rzeczywiście, takich dwóch łajdaków nie łatwo znaleźć!...
— Stulże gębę. Co cię ugryzło! Zawsze musi psuć mi humor. Chodźmy.
Do wieczora załatwiali interesy w Warszawie. Czaban, poczuwszy w rękach pieniądze, odzyskał cały swój dawniejszy rozpęd, cały spryt i temperament, a nawet szczęście, bo udało się im przeprowadzić kilka nader korzystnych umów.
— To jest prawdziwy skarb takie usposobienie — myślał Murek, przyglądając się teściowi. — On rzeczywiście z największego błota umie wyjść sucho. Przynajmniej nie widzi błota na sobie.
Wieczorem Czaban wrócił do Medany, a Murek poszedł do Lipczyńskich. Od progu już przywitano go gratulacjami:
— Winszujemy, winszujemy. Należało się to panu, ale jednak przyjemnie jest otrzymać taką satysfakcję.
— Nie rozumiem o co chodzi — zaniepokoił się Murek.
Wówczas Lipczyński wyjął z biurka jakiś papier z urzędową pieczęcią i podał Murkowi.
„Naskutek Pańskiego podania z dnia takiego to, złożonego w Kancelarji Cywilnej Pana Prezydenta R. P., sekretarjat Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wzywa Pana do przybycia w dniu jutrzejszym o godz. 11-ej min. 15 do gmachu Ministerstwa i zgłoszenia się w sekretarjacie".
— Cóż to ma znaczyć? — zapytał Murek.
— Przyjmie pana sam minister. I mam jego obietnicę, że nie wyjdzie pan z niczem — klepnął go po ramieniu Lipczyński. — Czy pan wie, że świat rządowy jest poruszony pańską sprawą?
Zdziwiła może Lipczyńskich obojętność, z jaką Murek przyjął tę pomyślną nowinę, złożyli to jednak na karb jego ostatnich osobistych przeżyć. To też doktorowa zaczęła opowiadać, że zajęła się już likwidacją mieszkania Miki, że była na Powązkach, gdzie kazała zasadzić narcyzy i konwalje oraz dwie duże białe azalje. Po chwili przyniosła dziecko, tłumaczyła coś o jakimś nowym systemie odżywiania, którego nie stosuje wbrew opinji męża, bo nie chce eksperymentować. Decyzję wszakże pozostawia ojcu.
— Jeżeli pan postanowi inaczej...
— Przepraszam — przerwał Murek — ja powziąłem inne postanowienie, — chyba, że państwo zmienili swój pierwotny zamiar... Państwo wiedzą, że to nie jest mój syn. Otóż doszedłem do przekonania, że nie potrafię wzbudzić w sobie żadnych uczuć w stosunku do niego. Jest to dziecko człowieka, którego organicznie nie znoszę. I wiem, że o tem nigdy nie zapomnę. U was będzie mu rzeczywiście lepiej. U mnie byłby zdany na opiekę osób zupełnie obcych. Dlatego, jeżeli nie zmieniliście zamiarów, będę państwu bardzo wdzięczny. Oczywiście, ustalimy jakąś kwotę miesięczną, czy roczną, która pokryje koszty utrzymania i wychowania małego.
Najniespodziewaniej Lipczyński zaoponował:
— Nie, panie Franciszku! Propozycji pańskiej przyjąć nie mogę. Nie przez wzgląd na nas, czy na dziecko. Kochamy dzieci, kochaliśmy jego matkę i cieszylibyśmy się, mając w domu to maleństwo. Ale chodzi mi o pana.

— Jakto o mnie?

— O pana, drogi panie Franciszku. Każdy lekarz musi być trochę psychologiem. Obserwując pana od dłuższego czasu, a moja obserwacja była tem sumienniejsza, że zrodziła się z najserdeczniejszej życzliwości, otóż, doszedłem do wniosków nader ciekawych. Zapewne, życie pana ciężko wypróbowało, ludzie pana boleśnie skrzywdzili, ale przecież trzeba znaleźć w sobie zdolność przebaczenia. Pan, panie Franciszku, nie lubi ludzi i nie ufa im. Czyż do śmierci chce pan zostać tak zwanym samotnikiem w tłumie? Na to szkoda pana i szkoda życia. Otóż największą pańską tragedją jest ta samotność. Nie ma pan nikogo, o kogo możnaby zaczepić się uczuciami, przez kogo zbliżyć się sercem do ludzi. Bo, proszę pana, trzeba kogoś kochać. Tak, jak trzeba oddychać, spać, jeść, tak trzeba też kochać. Trzeba o kimś myśleć, dla kogoś pracować. I dlatego, głównie dlatego popychałem pana do małżeństwa z Miką. Dla pana. Gdy mój pacjent z takich, czy z innych powodów opiera się wzięciu lekarstwa, które go uratuje, ja skłonny jestem użyć bodaj przemocy. Pan jednak sam jest rozumnym człowiekiem, zdolnym do introspekcji i nie pragnącym zgorzknienia ni starczości... W tem dziecku ma pan remedium. Powierzyła je panu umierająca matka. Nie kochał pan jej, ale cenił ją, szanował, lubił, miał pan dla niej wiele dobrych uczuć. Trudno również zapomnieć, że ona pana kochała, pana jednego. Jakiemże prawem może pan teraz pozbyć się swoich względem tej zmarłej zobowiązań?...

— Zobowiązań nie wyrzekam się — wtrącił Murek.

— Ach, nie chodzi o stronę materjalną. To byłoby zbyt łatwe. Obiecał pan matce, że jej dziecko znajdzie w panu ojca! Że znajdzie te uczucia, to ciepło, bez którego żyć niepodobna. Oparcie nietylko materjalne, lecz i moralne... Tak, panie Franciszku!

Pani Lipczyńska uśmiechnęła się do Murka:

— Niech pan tylko nie sądzi, że dla własnej wygody chcemy się wycofać z propozycji, zrobionej zbyt pośpiesznie.

— Boże broń — zapewnił jej mąż. — Długo naradzaliśmy się nad tem. I niech pan mi wierzy, że ciężko nam było powziąć taką decyzję. Ale chodzi nam przedewszystkiem o pana. Mówi pan, że Franek jest dzieckiem niesympatycznego panu człowieka. Czyż to nie jest naiwne? Ojcostwo Tomasza jest tu wręcz przypadkowe. Franek jest przedewszystkiem dzieckiem Miki, a następnie pańskiem, bo panu je powierzono z całą ufnością. Jestem przekonany, że pan wkrótce przywiąże się do tego maleństwa.

— Napewno. Jest takie śliczne — dodała pani Lipczyńska.

— No, niechże pan sam powie z ręką na sercu, czy wolno nam zatrzymać to dziecko i czy panu wolno wyrzec się go?

Murek zrobił nieokreślony gest ręką:

— Oczywiście... Może to i racja. Nie bierzecie tylko pod uwagę tego, co ja temu dziecku, nie teraz, lecz gdy zacznie dorastać, co ja mu będę mógł dać? Nie stać już mnie na ciepło.

— Żarty! Panie Franciszku, żarty! — zawołał z przekonaniem Lipczyński — Przekona się pan, jakie zmiany w panu samym zajdą, gdy tylko nauczy się pan od nowa troszczyć o kogoś, myśleć o kimś, układać jego charakter, umysł, przyszłość... Ba! — To pana odrodzi!

Cóż im mógł na to powiedzieć! On już w to nie wierzył i nie mógł uwierzyć. Nie wierzyliby i oni, gdyby im pokazał bodaj rąbek swojej dzisiejszej duszy.

Jednak iskierka nadziei zapadła weń głęboko i czuł, że tli się wciąż wbrew rozsądkowi.

— Dobrze — kiwnął głową. — Zabiorę dziecko.

Tego dnia już więcej o tem nie mówiono.

Nazajutrz o wyznaczonej porze Murek stawił się w Ministerstwie. Początkowo zamierzał wogóle zignorować wezwanie. Cóż go mogło teraz obchodzić to, co się działo kiedyś w jakże dalekiej, jakże innej przeszłości. Rehabilitacja miałaby dlań jakąś konkretną wartość wtedy, gdyby oczyszczała go w oczach ludzi, którzy byli świadkami jego wydalenia, byłaby policzkiem dla tych, którzy odwrócili się od niego po redukcji, gdyby udzielona mu satysfakcja kompromitowała Niewiarowicza, wojewodę Dornickiego, wszystkich urzędników z tamtejszego magistratu...

Poszedł jednak. Trochę przez ciekawość, trochę dlatego, by nie sprawić przykrości Lipczyńskim, a trochę w celu wyrżnięcia ministrowi kilku słów prawdy.

Po krótkiem oczekiwaniu, został wprowadzony do gabinetu ministra. Z za biurka wychylała się szczupła postać o małej siwej głowie z dużym orlim nosem. W pokoju było jeszcze kilku starszych panów. Wśród nich Murek poznał dyrektora departamentu Gąsowskiego, obecnie już piastującego stanowisko wiceministra.

Minister wstał, uścisnął rękę Murka i okrągłym gestem przedstawił go reszcie zebranych, poczem wygłosił coś w rodzaju krótkiej mowy.

Stwierdził, że prawdziwe zasługi i prawdziwa wartość nie mogą być i nie bywają zapomniane przez państwo. Dr. Murek został zredukowany. Popełniono w stosunku do niego niesprawiedliwość, która wynikła z nieporozumienia. Mianowicie przesadnie gorliwy i usunięty już dawno za nadużycia tymczasowy prezydent miasta Niewiarowicz wprowadził nieścisłą informacją w błąd władze zwierzchnie. Używając do tego celu jednego z nieuczciwych dostawców, zapewnił ówczesnego dyrektora departamentu samorządowego, pana wiceministra Gąsowskiego, że Dr. Murek jest owym znanym komunistą, zamięszanym zresztą w różne afery kryminalne, który w swoim czasie grasował na terenie województwa Lwowskiego i narobił wiele szkód w tamtejszych organizacjach samorządowych. Oszczerstwo mogło zyskać wiarę wskutek przykrego podobieństwa nazwisk, wspomniany bowiem osobnik nazywał się Marmurek.

— W ten sposób obarczono posądzeniem o komunizm najlojalniejszego politycznie, najuczciwszego i jednego z najdzielniejszych urzędników samorządowych.

Minister podniósł głos i kończył:

— Doktorowi Franciszkowi Murkowi należy się nietylko rehabilitacja, nietylko satysfakcja, lecz otwarcie mu pola działania. Minęło od czasu redukcji sporo lat, ale wszyscy to rozumiemy, że lepiej późno, niż nigdy.

Minister potoczył wzrokiem po obecnych, poczem otworzył stojące na biurku pudełko, skąd błysnął złotem krzyż na kolorowej wstążce.

— W imieniu Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej — powiedział uroczyście — dekoruję pana doktora Franciszka Murka Złotym Krzyżem Zasługi.

I przypiął Murkowi do klapy order, poczem powinszował on i inni panowie. Gąsowski ściskając dłoń Murka nazwał go kolegą i prosił o puszczenie w niepamięć dawnego nieporozumienia. Zaznaczył też, że wakuje właśnie stanowisko komisarycznego wiceprezydenta w Częstochowie i że prosi Murka o zgłoszenie się w tej sprawie w przyszłym tygodniu.

Murek przez cały czas zaciskał zęby, by nie wybuchnąć śmiechem i przekleństwami, by nie rzucić im pod nogi tego orderu, by nie wykrzyczeć im w oczy, że pluje na ich parusetzłotowe posadki, bo dzięki nim nauczył się kraść, dzięki nim gwiżdże na ich szumne słowa o państwie i społeczeństwie.

Na szczęście pohamował się. Jakkolwiek wielkie było jego wzburzenie, życie już go nauczyło panować nad sobą, liczyć się z konsekwencjami, przygryzać język. Nie zdołał wszakże wydobyć z siebie ani słowa. Skłonił się w milczeniu i wyszedł.

Dopiero po dłuższym czasie wrócił do równowagi. Wtedy zaczął rozmyślać nad położeniem i nad ewentualnemi szansami wyzyskania propozycji Gąsowskiego. Zbyt już był przyzwyczajony do patrzenia na wszystko pod kątem możliwości zysku. Po rozważeniu jednak wszystkiego wysłał w końcu list do Gąsowskiego z podziękowaniem i z rezygnacją. Wolał nie komplikować sobie życia, szczególniej teraz, gdy stawało się ono coraz prostsze i coraz wygodniejsze.

Jednego z najbliższych dni rozmówił się z Tunką.

Wracali właśnie z obiadu u jej rodziców. Na obiedzie była cała rodzina prezesostwa Bolińskich i rozmowa toczyła się dokoła kwestji nadzwyczajnych podobno uzdolnień sześcioletniej córeczki prezesostwa. Tunka siedziała przez cały czas jak struta.

— Nie jesteś dziś w humorze — zaczął Murek.

— Sam wiesz — odpowiedziała — dlaczego nie byłam wesoła.

— Tak. I ja się nie cieszę. Ale od dłuższego już czasu prześladuje mnie pewna myśl. Bardzo pusto u nas w domu i ty nudzisz się. Cobyś powiedziała, gdybyśmy wzięli na wychowanie jakieś dziecko?

Tunka poczerwieniała i aż stanęła:

— Poważnie to mówisz?

— Zupełnie poważnie.

— Więc przyznam ci się, że marzyłam o tem. Tylko niemogłam zdecydować się na zwrócenie się z tem do ciebie. Bałam się, że to cię rozdrażni.

— Cóż znowu.

— Nie przypuszczałam, że i tobie brakuje... Wybacz, ale nie posądzałam cię o... jakikolwiek głód uczuć.

— Może i miałaś rację.

— Nie. I szalenie się cieszę. Wiesz, cioteczna siostra naszej kucharki jest wdową i ma sześcioro dzieci. Najmłodsza córeczka ma trzy lata. Jest cudna. Kazałam ją kiedyś podczas twojej nieobecności przyprowadzić. Mówię ci: czarujące dziecko. Juszczeniowa, matka tej dziewczynki, z wdzięcznością oddałaby ją nam...

Murek skrzywił się:

— Myślałem raczej o chłopcu.

— Ale, gdy ją zobaczysz... — zaczęła Tunka.

— Niema celu — przerwał. — Wzięcie takiej dziewczynki byłoby niewskazane z wielu względów. Przedewszystkiem jest już zaduża. Będzie pamiętała swój dawny dom. Pozatem myślałem o zaadoptowaniu, a tu byłoby to kłopotliwe.

— Dlaczego?

— Bo popierwsze matka nie zgodziłaby się na to. A gdyby nawet! Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego co będzie, gdy dziewczynka dorośnie? Jak ułoży się jej stosunek do rodzeństwa, jej, kulturalnej i wykształconej panny do zwykłych posługaczek i parobków? Pocóż dobrowolnie układać dramat, który kiedyś może zepsuć jej życie?

— Masz wiele słuszności — przyznała Tunka — Więc jak ty sobie to wyobrażasz?

— Ja?... Zacznę od tego, że mam już prawie konkretny plan. Chcę jednak najpierw poddać ten plan twojej krytyce, bo byłoby nonsensem forsować go wbrew twojej woli, czy chociażby wbrew twemu uprzedzeniu. Dziecko to musi dać nam obojgu radość, obojgu zapełnić pustkę. A i ono byłoby skrzywdzone, gdyby przesądzone było już, że nie zyska twoich uczuć. Prawda?...

— I jakiż to plan? — zapytała Tunka.

— Zaczekaj. Więc przedewszystkiem dziecko to musi być sierotą. Musi nie mieć rzeczywistych rodziców dlatego, by nikt doń nigdy nie zgłosił pretensyj i by ono nie wiedziało, że jest tylko naszem przybranem dzieckiem. Przynajmniej do czasu aż osiągnie dojrzałość. Drugie, to kwestja pochodzenia tego dziecka. Chciałaś wziąć chłopskie dziecko i wychować je w środowisku swojem. Otóż... wiem coś o tem z bezpośredniej obserwacji. Znałem kilka podobnych wypadków. Zbyt często kończyły się źle... Bardzo źle.

Zamyślił się i mówił jakby do siebie:

— Ludzie są jak rośliny. Nie wolno ich bezkarnie przenosić z jednego klimatu do drugiego. Czasami wprawdzie taki eksperyment się uda, częściej jednak roślina pomimo największych wysiłków ginie, lub degeneruje się, przestaje dawać owoce, lub zaczyna dawać trujące, jadowite, złe owoce. Karłowacieje, więdnie i gnije, albo staje się pasorzytem, niepożytecznym chwastem. Nie umie, nie może znieść nowego klimatu bez względu na to, czy klimat ten będzie łagodniejszy, czy surowy, bez względu na to, czy gleba będzie żyźniejsza, czy jałowa. Wystarczy, że klimat będzie inny, że gleba będzie inna. Widziałem wielu emigrantów z inteligencji rosyjskiej, wielu i Polaków, których rodzice potracili majątki. Ci ludzie nie umieją żyć w klimacie proletarjatu. Nie umieją pracować, ani kontentować się skromnemi warunkami, do jakich zmusza ich życie. I cóż się z nimi dzieje?... Pełno ich w domach noclegowych, w barakach, w więzieniach. A przecież, zdawałoby się, że przechodząc z wyższych, z bardziej skomplikowanych form bytowania do prostych, powinni dać sobie radę. Zdawałoby się powinni zachować i te ideały i te moralne wytyczne, które odziedziczyli po ojcach i dziadach. Tymczasem — nieprawda. Giną i wyginą. Klimat, gleba. Ani gorsze, ani lepsze. Poprostu inne.

— Nie zgodzę się z tobą o tyle — odezwała się Tunka — o ile twoje porównanie z roślinami nie jest słuszne. Nie przeczę, że jakieś egzotyczne kwiaty, czy krzewy wysadzone z cieplarni na zwykłe pole, zmarnieją. Ale przecie wszystkie rośliny szlachetne, drzewa owocowe, róże sztamowe i tak dalej, wszystko to zostało wyprowadzone z roślin dzikich, z roślin pochodzących z innych klimatów i z innej gleby. Więc i takie dziecko prostej chłopki...

— Otóż błąd! Otóż błąd — przerwał Murek. — Sama mówisz: wyprowadzone. A co znaczy wyprowadzone? Znaczy pielęgnowane i przystosowane do nowych warunków egzystencji, do nowej roli i nowego zadania przez szereg pokoleń. A tak. Czytałem kiedyś taką książkę o pewnym francuskim miljonerze dorobkiewiczu. Pytał on swego sekretarza, czemu się to dzieje, że czuje się nieswojo w środowisku burżuazyjnem. Sekretarz na to odpowiedział: — Bo panu brak dwudziestu czterech lat gimnazjum. — Jakto dwudziestu czterech — zdziwił się miljoner — przecie skończyłem gimnazjum w osiem lat! — Tak — wyjaśnił swoją myśl sekretarz — ale trzeba jeszcze szesnastu: po osiem dla pańskiego ojca i dla pańskiego dziada!... — Otóż oczywiście nie chodzi tu o gimnazjum. Chodzi o stopniową aklimatyzację. Zresztą poco daleko szukać. Codzień patrzysz na swoich rodziców i nieraz mi mówiłaś, że ojca bardziej cenisz od matki, ale nie zaprzeczysz, że wiele rzeczy w jego postępowaniu razi cię i drażni. Już ciebie! Jego córkę! Jego wnuki nie znosiłyby go wcale. Wuja Żołnasiewicza lekceważysz, ale — jakby to powiedzieć — klimatycznie jest ci bliższy.

Zaśmiał się i dodał:

— Są jeszcze i inne osoby w twojem otoczeniu, które mógłbym tu wymienić na równie wymowny przykład. Ale wróćmy do tematu. Zetknęło mnie kiedyś życie z pewnym zacnym i niewątpliwie pełnym najlepszych intencyj starszym panem. Nazywał się Słowiński. Był to człowiek zupełnie samotny, dość zamożny i wysoce kulturalny. Mniejsza o to z jakich powodów, ale postawił sobie jako cel w życiu wydobycie z nędzy i wykształcenie kilkorga chłopskich dzieci. Chciał niemi obdarzyć społeczeństwo, wyposażywszy ich w takie wartości, których nie mogliby żadną miarą zdobyć pozostając w swojem środowisku. Gdyby dziś żył, przekonałby się, jak trudne, jak niewdzięczne podjął zadanie. Bo mało jest wypolerować człowieka, mało jest wyrzeźbić jego powierzchnię i jak gwoździe powbijać weń dogmaty, zasady, pojęcia. Trzeba jeszcze mieć moc ożywienia ich, zmuszenia do zapuszczenia korzeni. Trzeba nauczyć myśl tego człowieka, by przebiegała przez takie, a nie inne komórki mózgowe i by rodziła się, co najważniejsze, z takich a nie innych uczuć. A jakże wypruć z istoty ludzkiej uczucia, któremi od wielu pokoleń żyła, które stały się narzędziem do oceniania otoczenia równie niezbędnem, jak instynkt i jak on nieomylnem. Lecz nieomylnem tylko w rodzimem środowisku. Uczuciom trzeba dać czas!... Trzeba je wyprowadzić, jak róże sztamowe z polnego głogu.

Zamyślił się i szli w milczeniu alejką wśród strzyżonych trawników i rabat, pokrytych różnobarwnemi kwiatami.

— Tylko poco?... Poco?... — powiedział z ironją. — Róża nie jest przecie szczęśliwsza od głogu... A równie bezużyteczna..

Po nowej pauzie powiedziała Tunka:

— Nie wiedziałam, że tyle myślisz o podobnych rzeczach i że myślisz z taką goryczą.

— Co mówisz? — ocknął się.

— Wspomniałeś, że masz już jakiś plan?

— A tak — przetarł oczy — Mam plan. Jest małe dziecko. Chłopak. Znałem matkę i ojca. Ojciec zaginął. Zresztą nie wie o dziecku. Matka umarła przy porodzie. Była to wyjątkowa... tak, pod każdym względem wyjątkowa dziewczyna. Subtelna, inteligentna, szlachetna. Jeżeli chłopak odziedziczy po niej bodaj część zalet... Dziecko jest zdrowe i podobno ładne...

— Widziałeś je?

— Tak, ale ja się na urodzie niemowląt nie znam. Zobaczysz je i zadecydujesz sama. Nie będę cię ani namawiał, ani tembardziej zmuszał. Zrobisz, jak zechcesz.

Tunka zapytała:

— Niemowlę?... Więc ile ma miesięcy?

— Kilka tygodni. A właściwie trudno określić, gdyż poród był przedwczesny — dodał Murek.

— Przepraszam cię za tę indagację — po chwili wahania odezwała się Tunka — ale powiedziałeś mówiąc o matce chłopca, „dziewczyna". Czy to znaczy, że dziecko jest nieślubne?

Murek zmarszczył brwi:

— A robi ci to jakąkolwiek różnicę?

— Ależ bynajmniej. Poprostu chciałam wiedzieć. Jeżeli to tajemnica...

— Żadna tajemnica. Dziecko jest ślubne. Przekonasz się o tem z metryki, gdy będziemy załatwiali formalności związane z adoptacją. Oczywiście tylko w tym wypadku, gdy zaakceptujesz mój zamiar i mój wybór.

— Jak dotychczas, nie widzę powodu do sprzeciwu — odpowiedziała pojednawczo.

— Jestem ci za to wdzięczny.

— A kiedy będę mogła zobaczyć to dziecko?

— Jeżeli sobie życzysz, choćby jutro.

— Doskonale. O której pojedziemy? — ożywiła się Tunka, lecz Murek zapowiedział tonem bezapelacyjnym, że sam dziecko przywiezie.

Nie mógł przecie dopuścić do zetknięcia się Tunki z Lipczyńskimi.

Nazajutrz, przyjechawszy do Warszawy, zostawił samochód na Skolimowskiej, poczem taksówką pojechał do doktorostwa Lipczyńskich. Musiał użyć wielu wymówek, by wykręcić się od towarzystwa doktorowej, która gwałtem chciała osobiście przekazać malca nowej opiekunce, choćby przyszło jechać aż na Podlasie, do majątku Zasławskich, gdzie, jak powiedział Murek, tymczasowo zamieszka z dzieckiem i z wykwalifikowaną nurse. Musiał też wielokrotnie zapewnić oboje o kwalifikacjach tej nurse, by uwolnić się już od wybranej przez Lipczyńską kandydatki.

— Więc teraz prędko pana nie zobaczymy? — serdecznie ściskał dłoń Murka chirurg. — Szkoda, że ci Zasławscy znowu pana zabierają z Warszawy.

— Ja nie żałuję. Sam o to prosiłem.

— A niech pan, panie Franku — upominała doktorowa — nie zgubi kartki, na której wypisałam wszystko, co trzeba. Leży w walizce na samym wierzchu.

— Nie zgubię napewno — uspokoił ją.

— I niech pan napisze.

— Za to nie ręczę. Nie lubię pisać. Proszę, nie bierzcie mi tego za złe. Ale, jeżeli przyjadę, napewno u was będę.

W pięć minut później siedział już w taksówce z poduszką na kolanach. Dziecko na szczęście, nakarmione na drogę, spało. Przyglądał się mu z żalem może, że oto kończy budowę swego życia i że nie jest w stanie wzbudzić w sobie ani cienia radości.

Zatrzymał taksówkę na rogu Skolimowskiej. Należało być ostrożnym do końca i nie dopuścić do rozmowy taksówkarza z szoferem, który napewno zainteresowałby się, skąd pan dyrektor Klemm wziął to niemowlę.

Przed obiadem byli już w Medanie. Tunka wybiegła do samochodu, z wypiekami na twarzy wzięła dziecko na ręce i śmiała się dziwnym podnieconym śmiechem, jakiego Murek u niej dotychczas nie znał. Zaalarmowani telefonicznie przybiegli Czabanowie, ich służba, Żołnasiewicz, jeszcze kilka pań, żon wyższych urzędników. Tunka wszystkim demonstrowała z zachwytem swój nabytek:

— No, patrzcie! Jakie on ma cudowne oczy! Jaki on śliczny!

Panowie grzecznie pomrukiwali, nie bardzo orjentując się w powodach, dla których to robią, natomiast wszystkie panie entuzjazmowały się głośno.

Natychmiast podniesiono rwetes z instalowaniem nowego członka rodziny w domu. Wybrano odpowiedni pokój. Telefonowano po mamkę, wysyłano specjalnego gońca po łóżeczko i wózek.

Murek, który przygotowany był jeszcze na rozmowę z Tunką i chciał od niej usłyszeć w cztery oczy, czy naprawdę dziecko jej się podoba i czy zgadza się na nie, szukał jej po całem mieszkaniu. Gdy wszedł do sypialni, klęczała przy łóżku, na którem już rozpakowany leżał chłopak.

Podniosła głowę i wtedy zobaczył, że płacze. Wyszedł, nie pytając o nic.

Późnym wieczorem przyszła do jego pokoju. Wzięła jego rękę i zapytała cicho:

— Powiedz, powiedz szczerze… Czy to… twój syn?…

Wpatrywała się w jego oczy niemal błagalnie. Murek opuścił głowę i odpowiedział również cicho:

— Nie mój. Niestety, nie mój…

ROZDZIAŁ VII

Letni sezon w Medanie dał świetne rezultaty. Pokoje zamawiano na miesiąc naprzód. W wielkiej sali Kasyna po dwanaście godzin na dobę czynne były rulety. Co wieczór odbywał się bal, co wieczór lał się szampan, park rozbrzmiewał głośnym śmiechem i cichemi szeptami, wśród gałęzi aż do świtu jarzyły się kolorowe latarki, kilka orkiestr grało nieustannie. Noce były krótkie, na sen nikt tu nie miał czasu. Od wczesnego ranka w wielkich basenach z morską i zwykłą wodą roiło się od barwnych kostjumów kąpielowych, na tenisowych kortach migały białe postacie, w alejach rozlegał się tętent wierzchowców, w zakładach wód alkalicznych tłoczyli się kuracjusze, tarasy zastawione leżakami służyły zwolennikom opalenizny, w salach bilardowych klaskały kule, w pokojach bridżowych zasiadano do kart, a przy lunchu już znowu grały orkiestry, a po lunchu na dużych owalnych stołach zaczynały wirować rulety.

Całe lato w Medanie było jednem nieustającem świętem beztroskiej zabawy, komfortowego wypoczynku, emocjonującej rozrywki. Za wszystko wprawdzie trzeba było płacić i to słono, ale któż o tem chciał myśleć! Kuracjusze zdobywali zdrowie, lub przynajmniej przeświadczenie, że czują się lepiej, gracze zaspokajali swój głód hazardu, młodzież — namiętność do sportu i tańca, smakosze żołądki, sybaryci rozkoszowali się wygodami, snoby swoją obecnością wśród możnych tego świata i błogiem uczuciem wyższości, z jakiem będą później opowiadać znajomym, że lato spędzili w Medanie. A spędzić lato w Medanie znaczyło tyle, co zdobycie pewnej pozycji towarzyskiej. Czyż za to nie warto było płacić?... Tembardziej, że do reklamy wystarczały dwa lub trzy tygodnie pobytu w tem luksusowem uzdrowisku. Któż będzie kontrolował resztę wakacyj opędzonych taniutko w Zielonce, czy w Kaczym Dole?...

Więc płynęły pieniądze rzeką. W masywnych kasach pancernych w podziemiach Kasyna piętrzyły się paczki banknotów, akcjonarjusze zacierali ręce, Czaban promieniał i gdy sam na sam zostawał z zięciem, skakał i śmiał się, jak dziecko.

— Rozruszajże się, stary djable! — oklepywał go ze wszystkich stron zachęcająco. — Przecie nawet nie marzyliśmy o takiem powodzeniu! Co ci jest?! A?!

— Zmęczony jestem — mówił Murek i mówił prawdę. Pracował jak wół. Pierwszy wstawał, ostatni kładł się. On jeden bodaj w całej Medanie nie użył ani godziny na zabawę. Napróżno Czaban przekonywał go, że to przesada, że olbrzymi aparat administracyjny został już wyregulowany do ostatniej śrubki i działałby sprawnie nawet bez kierownictwa.

Murek tylko wzruszał ramionami i tem zawzięciej zabierał się do roboty. Gdy w nocy wracał do domu, był już tak wyczerpany, że nie mógł o niczem myśleć. Automatycznie rozbierał się i zasypiał kamiennym snem, by nazajutrz zerwać się jaknajwcześniej i pędzić do biura. Tam przy czytaniu korespondencji jadł śniadanie. I na obiad rzadko wracał do domu, tłumacząc się przed Tunką brakiem czasu na bawienie gości.

— Więc pocóż ich ciągle zapraszasz? — perswadowała.

— Żebyś się nie nudziła — odpowiedział krótko.

A Tunka nie nudziła się wcale. Wiele czasu zajmowało jej dziecko, które pokochała jakąś smutną, lecz gorącą miłością, resztę pochłaniały bale, stroje, no i dom, gdyż mąż rzeczywiście codziennie zapraszał, kogo się tylko dało, przeważnie młodzież, która nadskakiwała pięknej pani dyrektorowej.

Nie był zazdrosny. Przedewszystkiem nie miał czasu o tem myśleć, a pozatem był więcej niż pewny, że Tunka go nie zdradzi. Ilekroć odzywało się w nim to przeświadczenie, czuł jakby irytację. Jednak nie chciał analizować tego uczucia.

W gruncie rzeczy nie miał jej nic do zarzucenia. Była przesadnie poprawna. Wiedział od służby, że sama codziennie, przed udaniem się na spoczynek, zagląda do jego sypialni, układa pidżamę na łóżku, nakręca budzik, ustawia syfon z wodą sodową i obiera jabłko.

Czasami, zwróciwszy na to uwagę, doznawał rodzaju wzruszenia i wówczas wchodził do jej pokoju na pół godziny, by spełnić swój obowiązek małżeński. Sam czuł, że w tych wizytach jest coś trywjalnego, może nawet obrażającego. Ona musiała to odczuwać znacznie silniej. Jednak nigdy nie dała tego poznać po sobie. Była miła i uprzejma. Budziła się z uśmiechem i z uśmiechem go żegnała, a on uciekał czemprędzej, gdyż bał się, że zobaczy w jej oczach łzy.

— Dlaczego ona mnie nie znienawidzi? — pomyślał kiedyś.

Lecz w chwilę potem przywoływał się do porządku:

— Za co ma mnie nienawidzieć? Poświęcam jej tyle czasu, ile mogę. Przecież nie zbijam bąków, tylko ciężko pracuję, a ona o tem wie.

I pracował. W sierpniu przyszła ostatnia, wielka fala gości. Przyjechało kilkaset osób z zagranicy, z Norwegji, Szwecji, z Niemiec, Finlandji, a nawet kilku Anglików i jeden Włoch. Od września jednak frekwencja zaczęła szybko spadać. Tym razem jednak, w porę obniżone ceny zrobiły swoje i napływ gości ustalił się w dobrych granicach, wykluczających deficyt.

Ustało wszakże gorączkowe tempo życia w Medanie i pewnego dnia Murek spostrzegł się, że właściwie prawie nic nie ma do roboty. Widział zdziwione i zniecierpliwione spojrzenia podwładnych, gdy wciąż ponawiał całkiem zbędne kontrole, gdy żądał uporządkowania archiwów, które — sam to dobrze wiedział — znajdowały się w idealnym porządku, gdy dyktował naszpikowane niepotrzebnemi szczegółami sprawozdania, ale wreszcie i to się wyczerpało.

Siedział teraz godzinami w gabinecie bezczynny. Próbował czytać, lecz książki doprowadzały go do furji. Bronił się przed tem, lecz wkońcu musiał zrozumieć, że okłamuje sam siebie. Musiał zrozumieć, że praca była dlań tylko narkotykiem, że niczem innem tego narkotyku zastąpić się nie da, że tak dłużej nie wytrzyma.

— To wszystko nerwy — przekonywał siebie.

I nie brakowało mu argumentów. Cóż bowiem poza nerwami mogło tu działać. Przecie nareszcie po wielu latach nędzy i mordęgi znalazł się u szczytu swoich pragnień, u celu swej drogi. Nie jest już pomiatanym włóczęgą, nie potrzebuje dopominać się o prawo do życia, ani o niczyją łaskę. Nie jest zwierzęciem, ściganem przez wszystkich, zaszczutem i bezsilnem. Zdobył to, czego chciał, co postanowił zdobyć. Zdobył nawet więcej. Jest dziś bogaczem, miljonerem, osobistością, z którą każdy musi się liczyć. Ma wygody i zbytki, ba! Ma spokój i bezpieczeństwo. Może nikogo się nie bać. Zdołał usunąć wszystkich wrogów, zatrzeć wszystkie ślady, ubezpieczyć się przed wszelkiemi niespodziankami. Wyzbył się lęku i zyskał prawo do szacunku ludzkiego. Posiada dość pieniędzy i znaczenia, by ludzi do tego szacunku zmusić, i jednocześnie gardzić nimi, w poczuciu własnej siły.

Perspektywa dalszego życia otwierała się jasna i prosta, pogodna i beztroska.

— Więc tylko nerwy! Należy wziąć się w garść — powtarzał sobie.

Lecz mijały dni, a każdy z nich był gorszy. Jakieś obezwładniające zniechęcenie, jakaś niechęć do wszystkiego i wszystkich, jakaś niecierpliwa nuda opanowała go całkowicie. Przestał chodzić do biura, natomiast włóczył się całemi godzinami po okolicy. Nieraz wracał przemoczony od deszczu do ostatniej nitki, zabłocony po kostki. A wówczas troskliwość Tunki przyprawiała go o wściekłość, którą hamował, do krwi zagryzając wargi.

Zamykał się w swoim pokoju i siedział nieruchomo, nie myśląc o niczem. Gdy z za drzwi dobiegał głos Tunki, lub płacz dziecka, zrywał się i biegał od ściany do ściany, aż do zmęczenia.

— Oszaleję — syczał przez zęby. — Oszaleję!...

Po pewnym czasie i te wybuchy ustały. Ulegając zupełnej apatji, położył się do łóżka i nie wstawał przez tydzień. Tunka i Czabanowie namawiali go, by wezwał lekarza.

— Jeżeli dobrze mi życzycie, — odpowiadał — Proszę o jedno: Zostawcie mnie w spokoju.

Jednak nie chcieli. Widocznie uradzili, że trzeba go rozerwać, że trzeba obudzić w nim jakiekolwiek zainteresowanie. Przychodził Czaban i gadał i gadał bez końca o projektach reform w Medanie, przychodziła Tunka i mówiła o dziecku, a czasem przynosiła małego, by zademonstrować jego wygląd, bezzębne uśmiechy i niezaradne ruchy tłustych łapek.

Przyglądał się im wszystkim z obojętnem zdziwieniem, słuchał z wzrastającą niechęcią, prawie z obrzydzeniem. Cóż go oni, cóż go te sprawy mogły obchodzić? Gdy uświadomił sobie, że tak przecie zbudował swoje życie, że już na zawsze będzie tkwił tutaj, wśród obcych ludzi, wśród obcych spraw, zaczął w nim rodzić się bunt. Zaczęła w nim rosnąć nienawiść, tem gorsza, że nie miał za co ich nienawidzieć, że całkowitą odpowiedzialność musiał wziąć na siebie, że to on przemocą wdarł się w to obce, nieznośne życie, że w niczem ich nie może winić, żadnym zarzutem ich obarczyć... A czuł, że oni widzą w jego spojrzeniach nienawiść i że nie dziś, to jutro, padnie pytanie:

— Czego od nas chcesz?... Czego ci braknie?... Cośmy ci złego zrobili?

Jakże odpowiedziałby im na to: — Moja wina, nie wasza! Nie mam prawa mieć do was nawet urazy. Tylko znieść już dzisiaj nie mogę tego życia wśród was, tej obcej kobiety, tego cudzego dziecka, tych pieniędzy, robionych bez celu.

Jakżeby odpowiedział: — Braknie mi treści i potrzeby życia, braknie sensu tej wegetacji. Zębami i pazurami utorowałem sobie drogę, popełniałem zbrodnię za zbrodnią, by osiągnąć to, co dzisiaj mnie mierzi i dusi. Moja wina, mój błąd. Nie wiedziałem, że tak żyć nie potrafię. Omyliłem się, ale czyż za tę omyłkę muszę cierpieć do śmierci?

I wtedy to, pewnej nocy zaczęło w nim konkretyzować się postanowienie:

— Uciec!

Uciec, rzucić to wszystko, zacząć życie od nowa.

Decyzja zelektryzowała go, obudziła w nim energję. Umysł zaczął żywiej pracować.

Nazajutrz wstał wczesnym rankiem, ogolił się, wziął kąpiel, z apetytem zjadł śniadanie i poszedł do biura. Jego zjawienie się wywołało popłoch wśród urzędników. Nie nadarmo miał opinję surowego, bezwzględnego i nie zawsze sprawiedliwego zwierzchnika. Wiedzieli, że jest ciężko chory i jego przyjście stało się przykrą niespodzianką. Nie jeden i nie jedna drżeli na myśl, że za chwilę usłyszy wezwanie do pana dyrektora, i że wówczas wyjdą najaw zaległości i zapuszczenia w powierzonej pracy.

Drzwi gabinetu wszakże nie otwierały się. Dyrektor Klemm kazał sobie przedstawić tylko stan kasy i kont bankowych, zażądał połączeń telefonicznych z kilkoma finansistami w Warszawie, i chociaż panna Pączkowska, telefonistka z centrali, podsłuchiwała, dowiedziała się niewiele. Tyle tylko, że pan dyrektor umówił się z jednym na dziś o trzeciej, z dwoma innymi na jutro. O prawdziwości jej informacji świadczyło to, że przed trzecią zajechała przed biuro wielka limuzyna, i dyrektor odjechał w stronę Warszawy.

Murek istotnie tam jechał. Po przebyciu kilkunastu kilometrów wspaniałej medańskiej autostrady, wóz skręcił na otwocką szosę, która zbliżyła się do Wisły i towarzyszyła już jej do samego miasta. Białe, zaśnieżone brzegi, szeroka wstęga rzeki, i dość gęsto płynąca pierwsza kra.

Miał już cały plan gotowy. Plan przekreślenia dotychczasowego swego życia radykalnie, raz na zawsze.

Zwykły wyjazd, zwykła ucieczka nie rozwiązałaby mu rąk, nie powstrzymałaby takiego człowieka, jak Czaban, od poszukiwań. A i policja na własną rękę zainteresowałaby się zniknięciem dyrektora Medany. Dr. Klemm był już zbyt wybitną osobistością, by zaprzestano wysiłków, zanimby go nie odnaleziono.

Trzeba było zrobić inaczej, trzeba było uzyskać zupełną swobodę. Na to zaś najlepszym sposobem było zainscenizowanie samobójstwa.

Pewnego pięknego dnia zniknie dyrektor Klemm, ale na brzegu Wisły znajdą jego rzeczy i ślady. Nie znajdą wprawdzie zwłok, ale iluż to trupów Wisła nie wyrzuca. Dr. Klemm przestanie istnieć, Tunka ponosi żałobę, całość interesów przejmie Czaban. Nikomu do głowy nie przyjdzie, że gdzieś, daleko, żyje człowiek, który kiedyś nosił to nazwisko, fałszywe nazwisko, przywłaszczone, oblepione błotem i brudem, i krwią, i podłością, że żyje Franciszek Murek, który zrzucił je, jak ohydną skorupę, by zacząć nowe życie, by szukać innego szczęścia.

Plan był prosty. Tegoż jeszcze dnia Murek złożył podanie o paszport zagraniczny na swoje prawdziwe nazwisko. Dzięki poparciu pana wiceministra Gąsowskiego miał otrzymać ten dokument już nazajutrz. Jednocześnie podjął starania dokoła zastawienia swoich medańskich akcyj. Chodziło o uzyskanie większej kwoty w sposób dyskretny. Nie przedstawiało to zresztą poważniejszych trudności. W umowach zastawniczych umieścił zastrzeżenie, dające możność Czabanowi wykupienia akcyj, jeżeli zechce. Zastawił zresztą nie wszystkie. Zamierzał wziąć z sobą zaledwie kilkadziesiąt tysięcy, by na początek, zanim znajdzie na obczyźnie jakąś pracę, mieć z czego żyć. Znacznie więcej przeznaczył na inną sprawę i gdy miał już potrzebną sumę w kieszeni, zgłosił się do Lipczyńskiego.

Po serdecznych powitaniach powiedział:

— Ja do pana właściwie w interesie, a raczej z prośbą.

— Słucham pana, panie Franciszku.

— Otóż, zacznę od tego, że nie znam nikogo, do kogo mógłbym mieć większe zaufanie niż do pana.

— Bardzo panu dziękuję...

— Niech pan nie dziękuje. To zaufanie obarczy pana mnóstwem kłopotów. Ponieważ jednak znam pana, ośmielam się mieć nadzieję, że weźmie je pan na siebie. Jest to czyn dobry, który ma chociaż w części naprawić wielkie zło, popełnione przez kogoś innego. Ten ktoś, mniejsza o to jak się nazywa, już nie żyje. Przed śmiercią błagał mnie, bym się tem zajął i uzyskał moje przyrzeczenie. Niestety, nie mogę go spełnić. Widzi pan, mam już zagraniczny paszport w kieszeni i wyjeżdżam. Prawdopodobnie nazawsze. Są względy, dla których postanowienie to jest nieodwołalne.

Lipczyński uśmiechnął się:

— Pozwoli mi pan na popis domyślności?... I na małą niedyskrecję?...

Murek spojrzał nań z obawą, lecz Lipczyński przymrużył oko i powiedział:

— Szukajmy w tem kobiety!

— Możliwe — uśmiechnął się Murek.

— Zatem życzę szczęścia i winszuję. Ale cóż to za legat, który pan mi zostawia?

— Nie ja. Ja tylko przekazuję w godniejsze ręce — zastrzegł się Murek. — A sprawa jest taka. Przed półtora rokiem została wywieziona do Argentyny i sprzedana handlarzom żywym towarem pewna dziewczyna, odznaczająca się niepospolitą urodą... Podobno piękna. Wiem, że była kiedyś fortancerką. Pomimo to wierzę zapewnieniom mego mandanta, że na taki los nie zasługiwała. Otóż chodzi o odszukanie jej. Zostawię panu tę oto kartkę, zawierającą wszystkie potrzebne dane. Nazwisko, daty, nazwę okrętu, nazwisko i adres właściciela domu publicznego w Buenos Aires, gdzie została zainstalowana i t. d. Ma to być dziewczyna wyjątkowo inteligentna, wykształcona i sprytna. Możliwe tedy, że sama już w jakiś sposób zdołała się uwolnić z rąk tych ludzi. W przeciwnym razie trzeba ją wykupić. Na koszty poszukiwań, wykupu i zaopatrzenia owej dziewczyny zmarły wręczył mi tę oto sumę.

Murek położył przed Lipczyńskim grubą paczkę banknotów:

— Jest tu trzydzieści tysięcy dolarów — wyjaśnił — zmarły sądził, że to musi wystarczyć, a i ja tak myślę. Oczywiście nie żądam od pana, by osobiście zajął się pan tą sprawą. Chodzi o nadzór i dysponowanie pieniędzmi. Zna pan napewno jakiegoś uczciwego i sumiennego adwokata, który weźmie sprawę do serca, a w razie potrzeby sam pojedzie, by poszukiwania przeprowadzić na miejscu. To już wszystko. Wiem, że to bezczelność narzucanie się panu z tą prośbą, ale naprawdę nie mam nikogo, komu odważyłbym się powierzyć nie tyle pieniądze, ile los owej biednej dziewczyny.

Lipczyński słuchał w milczeniu i teraz nie odezwał się długo. Wreszcie wyciągnął rękę:

— Dobrze. Może pan na mnie polegać.

— Dziękuję. Serdecznie dziękuję — mocno ścisnął jego dłoń Murek.

— Zrobię wszystko. Jednakże może się zdarzyć, że ta dziewczyna umarła, lub, że niepodobna jej odnaleźć. Co wówczas mam zrobić z pieniędzmi?

— Wówczas? — Murek machnął ręką — Może pan je wyrzucić, spalić, rozdać biednym. To już obojętne.

— Ogromna suma. Nigdy takiej nie widziałem — powiedział chirurg, chowając pieniądze do szuflady.

— I ja nie za często — zaśmiał się Murek.

— Cha... cha... sądzę! Ale jeszcze się kiedyś dorobimy. Prawda? Młodzi jesteśmy. Ale wie pan... Zabawne. Tylko niech mi pan tego nie weźmie za złe.. Gdy pan zaczął mówić zdawało mi się przez chwilę, że... Proszę mi wybaczyć...

— Że to ja sprzedałem tę dziewczynę? — usiłując uśmiechnąć się, odpowiedział Murek.

— No, nie! Ale, że to pan chce ją wydobyć. I gdyby nie ta góra dolarów... No, to najlepsze pańskie alibi.

— Jeszcze jedno. Cokolwiekby się stało, jakikolwiek byłby rezultat poszukiwań, proszę pana o niewymienianie nikomu mego nazwiska. Czy mogę na to liczyć?... Mam poważne powody...

— Może pan być pewny. Nawet żonie nie wspomnę, że to pan powierzył mi tę sprawę.

Tegoż dnia Murek przygotował wszystkie listy: do żony, do Czabana i do policji. Dwa pierwsze donosiły, że zauważył u siebie objawy poważnej choroby umysłowej i dlatego postanowił odebrać sobie życie. Nadto w liście do Czabana wspomniał mimochodem, że

na pewnej operacji finansowej stracił grubszą sumę, wskutek czego zmuszony był u tych i tych osób zastawić swoje akcje z zastrzeżeniem pierwszeństwa dla Czabana. Listy te włożył do głównej szuflady swego biurka. List do policji umieścił w kieszeni futra. Zawierał on krótkie oświadczenie, że popełnia samobójstwo i prosi nie winić z tego powodu nikogo.

Nazajutrz po obiedzie wyjechał samochodem do Warszawy. Załatwił dwie wizy, w biurze podróży kupił bilet na nocny pociąg do Wiednia i sleeping. Wstąpił do sklepu gotowych ubrań i nabył tam jesionkę, którą ku niejakiemu zdumieniu subjektów włożył na siebie pod futro. Wprawdzie mróz był duży i ostra zadymka na dworze, ale to nie usprawiedliwiało podobnego dziwactwa.

— Nie lubię nosić paczek — wyjaśnił Murek.

Zapadł zmierzch, lecz należało zaczekać na zupełną ciemność. O ósmej wrócił na Skolimowską i obudził szofera:

— Jedziemy do domu — powiedział.

Za miastem musieli zwolnić. Masy sypkiego śniegu niesione porywistym wiatrem zalepiały szybę i niemal całkowicie przesłaniały drogę, trzepocąc w świetle reflektorów białemi nieprzeniknionemi zasłonami. Szofer jednak zbyt często tędy jeździł, by zmylić drogę, lub zjechać do rowu. Klął tylko ścicha pod nosem.

W miejscu gdzie szosa skręcała w lewo i odbiegała od rzeki, Murek kazał mu zatrzymać wóz. Wysiadł i powiedział:

— Proszę jechać. Ja tu wstąpię do tej willi i zanocuję.

Nieprzyzwyczajony do rozmów szofer tym razem jednak odważył się zaproponować:

— To ja pana dyrektora podwiozę pod willę. Zamoczy pan dyrektor nogi.

— Proszę jechać i nie wtrącać się w nieswoje rzeczy.

— Przepraszam, panie dyrektorze, a czy pani dyrektorowej mam powiedzieć, że...

— Tak, tak. Że tu nocuję.

— A może zaczekam, panie dyrektorze?... Taka zamieć...

— Czy wy chcecie stracić posadę? — huknął Murek.

Wóz zwolna ruszył z miejsca. Stopniowo oślepiająco biały klin reflektorów zmniejszał się i znikał w ciemności, aż znikł zupełnie. Dokoła była tylko czarna nieprzenikniona ciemność pełna świstu i miljonów łaskotliwych płatków, muskających twarz i ręce ostremi niewidzialnemi dotykami.

Z lewej strony o sto kilkadziesiąt metrów od szosy musiała stać willa, z prawej duży wał oddzielał drogę od Wisły. Na wale dopiero wiatr z całą siłą uderzył i trzeba było pochylić się, by nie cofnąć się pod jego przemocą. Brnąc po kolana w śniegu i ostrożnie macając teren przed sobą laską, dotarł Murek do brzegu. Pod uderzeniami laski skruszyło się z łatwością te kilkanaście centymetrów lodu, które od wczoraj, gdy silniejszy mróz chwycił, zdołało narosnąć. Tędy biegł głęboki nurt i masy wartkiej, a cieplejszej od powietrza wody wciąż zlizywały marznący brzeg.

Murek wbił w ziemię laskę, zdjął futro i zarzucił na nią, wdeptał w śnieg swój czarny pilśniowy kapelusz. Z kieszeni jesionki wydobył cyklistówkę, jak najgłębiej nasunął ją na uszy, następnie idąc uważnie wybrał miejsce, kędy wiatr nanosił zaspę.

— Tu musi zawiać powrotne ślady — stwierdził w myśli i wygramolił się na szosę.

Jednak trzymanie się szosy było zbyt ryzykowne. Nie przypuszczał, by szofer, nabrawszy jakichś objekcyj, mógł zawrócić, ale wystarczyło spotkać jeden z wielu jeżdżących tędy samochodów, by zniweczyć cały plan. Skręcił tedy w bok i poszedł naprzełaj. Okolicę znał wybornie i nie bał się zabłądzić. Obliczył sobie najprostszy kierunek do Śródborowa. Ominie Otwock, gdzie mógłby być poznany i wsiądzie do pociągu na mniejszej i nocną porą pustej stacyjce śródborowskiej. Nawet obliczył sobie, że bez pośpiechu zdąży na pociąg o północy.

Wsiądzie do wagonu, a w godzinę później będzie już w sleepingu, pędzącym do Wiednia... zagranicę... w świat. Mimowoli myśl powracała do wszystkiego tego, co porzucał. Nazajutrz zrobi się alarm, poszukiwania, policja. Tunka znajdzie listy w biurku, znajdą miejsce, gdzie dyrektor Klemm rzucił się do Wisły i utonął. Będą szukali zwłok. Pójdą telefonogramy wdół rzeki... A Czaban?... A Tunka?..

Próbował wyobrazić sobie, co powiedzą, jak odczują to zdarzenie. Zajęty swemi myślami nie czuł ani zmęczenia, ani zimna. Natrafił na niewielki zagajnik i zdawało mu się, że przypomina go sobie. Było tu zaciszniej. Przystanął, by zapalić papierosa. Machinalnie spojrzał na zegarek: wskazywał pół do pierwszej.

— Musiałem zabłądzić — skonstatował z lekkim niepokojem — Już tu powinien być tor kolejowy. Zanadto wziąłem w lewo. A może zegarek stanął?

Przyłożył do ucha, lecz świst wiatru w gałęziach zagłuszał wszystko. Pociągnął jeszcze raz papierosa i w jego świetle stwierdził ruch sekundnika. Zatem rzeczywiście zmylił drogę. Nie przestraszył się tem jednak. Za godzinę przez Śródborów przechodzi następny pociąg. Cała strata to tylko sleeping. No, i jeszcze pół doby w Warszawie...

Za laskiem skręcił w prawo. Lecz minęła godzina, dwie, a toru nie było. Pozatem czuł, że już daleko nie ujdzie. Zmęczone nogi coraz wolniej pracowały, oczy znużone ustawicznem wypatrywaniem w ciemności piekły od wiatru i ostrych igiełek śniegu. Przypominał sobie swoją wędrówkę sprzed kilku lat, kiedy podobnie borykał się z zimą i błądził po bezdrożach, uciekając od policji. Natrafił wówczas na wieś i to uratowało go od zamarznięcia w polu. Tak walczył wtedy o swoje życie, a cóż ono było warte, jakie miało perspektywy?... A dzisiaj... dzisiaj....

— Co dzisiaj? — odezwała się w nim jakby czyjaś obca myśl.

— No, mam pieniądze, doświadczenie, możność rozpoczęcia nowego życia — przekonywał siebie. — Znajdę w świecie kąt, gdzie mnie nie znają, gdzie nie wiedzą...

— Czego nie wiedzą?... — odwrotną falą odbiła się myśl. — Czy tego, co niosę w sobie?...

— Wyrzuciłem wszystko — upewniał siebie — wszystko. Zostało tam na brzegu, gdzie utopił się dyrektor Klemm. Niema go już. Niema, niema... Tam zostało wszystko...

— Tam?... Tam zostało tylko futro. A sumienie mam tu ze sobą! Trzeba było taką sztukę wymyślić, by zostawić sumienie...

Zdaleka rozległo się szczekanie psów. Myśl urwała się, przyśpieszył kroku. Po kolana zapadł w zaspy i dyszał ciężko. Napróżno jednak przystawał co kilka minut. Szczekanie nie powtórzyło się. Albo przynosił je jakiś boczny podmuch wiatru, albo było wogóle złudzeniem. Na wschodzie niebo zaczynało zdaleka szarzeć.

Nagle o kilka kroków przed Murkiem zarysował się jakiś wielki czarny kształt i wiatr ustał.

— Dom.

Zbliżył się i dotknął ręką. Nie był to dom, lecz jakiś budynek gospodarski z nieociosanych okrąglaków, prawdopodobnie stodółka chłopska. Jednak w takim razie gdzieś niedaleko musi być wieś, lub chociażby pojedyńcza chata.

Murek zaczął krążyć dokoła, bał się wszakże zbyt daleko odejść od stodółki, by jej nie stracić z oczu. Wreszcie zrezygnował z poszukiwań. Do rana śnieg przestanie padać, a w każdym razie zamieć minie, w stodółce zaś i tak można przeczekać.

Obszedł budynek i namacał niedomykające się wierzeje. Nie były zamknięte. Rozhuśtał jedną połowę o tyle, że odepchnął przywalający ją śnieg i przez szczelinę mógł wsunąć się do środka.

Ogarnęła go nagle cisza i dobrze pamiętny z lat dziecinnych zapach słomy i zboża, i grochowin, i jakby worków po mące, czy po otrębach. Wyprostował się i zaczął rozcierać ręce, policzki i uszy. Potem zapalił zapałkę. Stodółka była prawie pusta. Na klepisku stała ręczna sieczkarnia, pod ścianą wóz drabiniasty, w kącie niewielka stertka słomy.

— Jakoś tu przenocuję — pomyślał.

Poomacku dotarł do słomy i zakopał się w niej po szyję. Zdrętwiałe mięśnie zwolna się rozprężały. Przyjemne ciepło zwolna przenikało do skóry. Spodziewał się, że zaśnie, lecz sen nie przychodził. Pod wpływem ciepła i myśli jakby odtajały.

Oto jest już wolny, wyzwolony z całej swojej przeszłości. Nie powlecze się za nim, jak kula u nogi. Przerwał łańcuch, zostawił ją za sobą. Jak brudną, plugawą szmatę...

— Dla nowych ludzi będę białą nie zapisaną kartą i stanę się nią dla siebie. A później... Nie znajdzie się na niej nic, coby ją mogło splamić. Nic. Żadnej podłej myśli, żadnego nędznego czynu, żadnej krzywdy ludzkiej...

Pod zamkniętemi powiekami zarysowała się twarz Szułowskiego o wytrzeszczonych obłąkanych oczach…

Murka ogarnął nagły niepokój:

— Krzywdy też można wynagrodzić, można! Szułowskiemu napisać, wyjaśnić… A jeżeli… Przecie dla Arletki zrobiłem co mogłem… Tak, tylko trzeba się zastanowić!… Na wszystko jest rada… Właśnie! Poświęcić życie dla wynagrodzenia krzywd!..

— A Kuzyk?… A ci co poszli do więzienia?… A całe społeczeństwo?…

Zrozumiał, że roztacza się przed nim olbrzymi czarny ocean, wobec którego jest bezsilny. I nagle ogarnął go gniew:

— A czyż mnie nie skrzywdzono?! Czyż ja chciałem być łotrem, czy nie oni, tak, oni wszyscy, zepchnęli mnie w błoto, w gnój? Oni, ludzie, najpodlejsze zwierzęta, łajdaki, wyssali ze mnie sumienie, wdeptali w brudy… Czemu ja mam za to płacić, czemu ja!?

Zerwał się, rozrzucił słomę i wyciągnął pięści przed siebie jakby gotów do obrony przed tłumem oskarżycieli.

Ale pusto tu było i cicho. Nawet wiatr za ścianami już się uspokoił i tylko przez szpary wlewał się mleczny poblask świtu.

Czemuż nie było tu nikogo, komu mógłby rzucić w twarz swoje oskarżenie, swoją obronę, od kogo żądać sprawiedliwego sądu! Od kogo zażądać wyroku!

Dlaczego jest tu sam!?… Dlaczego on musi już na zawsze zostać jedynym własnym sędzią?!…

Dreszcz przeszedł mu po grzbiecie. Przez krótką, jak mgnienie, chwilę zdawało mu się, że widzi przed sobą własną twarz surową, nieubłaganą, zaciętą, że w tym ponurym wzroku czyta wyrok…

Z wściekłością skoczył przed siebie, lecz ręce trafiły na pustkę. Zachwiał się i upadł. Wpił palce we włosy, a z zaciśniętej krtani wydobywało się urywane rzężenie, coraz głośniejsze, coraz bardziej rozpaczliwe, aż przeszło w krzyk:

— Arletko!… Arletko!… Arletko!… Ratuj!… Ratuj!…

Wreszcie opadł nieruchomy na ziemię i długo dyszał.

Gdy podniósł się, było całkiem jasno na świecie. Przez uchylone wierzeje nisko stojące słońce wciskało się jaskrawym snopem promieni. Dwa wróble ćwierkając kręciły się po klepisku. Spłoszył je, gdy zbliżył się do drzwi. Z tamtej strony było mroźno, cicho i biało. Tak biało, że oczy ślepły.

Odwrócił się i rozejrzał: u góry słomiane poszycie na cienkich krokwiach, niżej grube belki poprzeczne. Pomału zbliżył się do wozu. Znalazł to, czego szukał. Trudno było sznur odwiązać, bo zamarzł, ale zamróz puszczał zwolna pod dotykiem gorących dłoni. Nie było tego wiele. W sam raz, by przerzucić przez belkę i pętlę przełożyć.

Głośno zatrzeszczały zmarznięte deski wozu pod ciężarem. Gdy już stał pewnie, nie śpiesząc się sięgnął po zwisającą pętlę i zacisnął ją lekko na szyi. A wtedy odepchnął się nogami i skoczył.

Sznur naprężył się i zatrzeszczał. Nogi jednak nie sięgnęły klepiska. Brakowało nie dużo. Może ćwierć łokcia. Ale to wystarczyło, by już nigdy chodzić po ziemi nie mogły.

*

Miało się już ku wieczorowi, gdy gospodarz Jan Sobczak przyszedł do stodoły narżnąć sieczki i znalazł wisielca. Najpierw splunął, potem przeżegnał się, a potem pobiegł po swoją babę, by uradziła, co z takiem zdarzeniem zrobić.

I uradzili: tajemnicę zachować, policji ani sołtysowi nie meldować, kłopotów na swoją głowę nie napytywać.

Gdy się zmierzchło, wziął Jan Sobczak na ramię sztywny ciężar i ruszył do Wisły. Blisko było, nawet się nie zmęczył. A tam z wysokiego brzegu ciężar do wody zrzucił.

Gęsto płynęła kra i trup zaraz pod nią się zanurzył. Jan Sobczak zdjął czapkę i szeptem powiedział:

— Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie…

Ale rzeka nie znała odpoczynku. Pędziła naprzód, niecierpliwa, bulgocząca, zwijała się w wiry, grzechotała krami.

E-book można pobrać ze strony: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dolega-mostowicz-drugie-zycie-doktora-murka/

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Dołęga-Mostowicz, Drugie życie doktora Murka, Tow. Wydawnicze „Rój", Warszawa 1956.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (http://pl.wikisource.org). Redakcję techniczną wykonała Marta Niedziałkowska, a korektę ze źródłem wikiskrybowie. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: Głowa mężczyzny, szkic, Rudziński, Stanisław (1870-1915), domena publiczna

ISBN 978-83-288-0190-5